



Daniel Katz

KOBIETA PUŁKOWNIKA



Daniel Katz

KOBIETA

PULKOWNIKA

Przełożył Sebastian Musielak

Tytuł oryginału fińskiego laituri matkalla mereen

Owego roku, nie tak dawno temu, jesienne burze przyszły wcześniej niż zazwyczaj. Słota zaczęła się w sierpniu, z nowym rokiem szkolnym, i trwała nieprzerwanie do września. Wijąca się powoli przez wąską, rolniczą równinę rzeka, która po upalnym lecie wyraźnie zbiegła się i zwęziła, teraz nabrzmiała rwącym nurtem. Opadając łagodnie ku morzu równinę okoliczni rolnicy nazywali szumnie Prerią, a rzeka od niepamiętnych czasów znana była jako Sólīgaan - Leniwa Struga, czy bardziej potocznie Sóligan, Leniwka - i pod tą nazwą przez setki lat spływała do zatoki. Gdy dwieście pięćdziesiąt lat temu postanowiono połączyć skupione wokół ujścia rzeki wsie i z rozkazu szwedzkiego króla, a tak naprawdę jego żony, wynieść je do godności miasta - niechaj wolno mi będzie od tej pory nazywać je N - nazwa „Leniwka” przestała się podobać patrycjatowi tego nagle powstałego, pożałuj Boże, miasta i tak również rzeka została przechrzczona na N. Mieszkańcy byli bowiem dumni z tego awansu, a duma osłabia wyobraźnię i psuje dobry smak.

Zastąpienie literą „N” nazwy miasta i rzeki jednocześnie również nie dowodzi szczególnie wyrobionego gustu, ktoś szepnie. Na świadka obrony zwolennik litery „N” powoła Antoniego Czechowa, który w wielu swoich opowiadaniach miasta, wsie i osoby oznaczał wyłącznie wielkimi literami. Czasem, lecz nie zawsze, była to pierwsza litera nazwy czy nazwiska. W tej opowieści tak nie jest. Skoro wystarczało to w jego opowiadaniach, musi wystarczyć i w tym. I chociaż wyrażenie „owego roku” nie daje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie „kiedy?”, to jednak pozwala się domyślać, że opisywane zdarzenia działy się akurat w tym, a nie innym roku. Określenia czasu we współczesnej prozie są często daleko bardziej ogólne.

Ivo Andrić, który zostanie tu jeszcze kilkakrotnie wspomniany, za każdym razem pod własnym nazwiskiem, zaczyna swoją najśłynniejszą powieść *Most na Drinie* słowami: „Rzeka Drina na znacznej przestrzeni swego biegu przedziera się przez ciasne wąwozy pośród stromych gór”. Już w następnym akapicie Andrić wspomina o Wyszegradzie, koło którego „Drina wypada z za

ostrego zakrętu, z przepastnej, wąskiej gardzieli Butkowych Turni i Gór Uzawnickich”. A zatem autor zaraz na pierwszej stronie wymienia (tu za pośrednictwem Haliny Kality) zarówno nazwę miasta, jak i płynącej przez nie rzeki, dodając na dokładkę nazwy kilku ważnych punktów orientacyjnych. Lecz opowiedziana przez niego historia zaczyna się na początku szesnastego wieku, a kończy w czasie pierwszej wojny światowej, i prawie wszyscy opisani w niej Turcy, Bośniacy, Serbowie, Chorwaci i Żydzi - ani ci wymienieni z nazwiska, ani bezimienni - już nie żyją, a ci, których to nie dotyczy, dożywają swych dni. Sam pisarz przeniósł się już do rajy nobliwych noblistów.

Tylko most na Drinie, nadwątlony przez liczne wojny, stoi ciągle w Wyszegradzie, z tym że nie łączy już chrześcijańskiej części miasta z dzielnicą muzułmańską, ponieważ Muzułmanie uciekli stamtąd w czasie ostatniej, to jest - jak na razie ostatniej wojny etnicznej. Ci Muzułmanie, z którymi Serbowie nie zdążyli się rozprawić.

Natomiast ja snuję tę opowieść, gdy pierwowzory bohaterów jeszcze żyją. Osoby te nie występują tu pod swymi prawdziwymi imionami i nazwiskami, gdyby jednak miasto i rzeka nosiły tutaj swoje niezmienione nazwy, wszyscy bez większego trudu odnaleźliby w tej historii siebie i mogli narobić rabanu o drobiazgi. Tymczasem nie ma powodu do obaw. Osoby te nie wiedzą, w której książce występują. Gdy piszę te słowa, nie ma ona jeszcze tytułu.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

TRATWA PŁYNAĆCA DO MORZA

Owego roku, nie tak dawno temu, jesienne burze przysły wcześniej niż zazwyczaj. Rozleniwiona N, podburzona przez deszcze i wichry, wezbrała i zaczęła wkraczać butnie na nadbrzeżne pola Prerii. W miejscach, gdzie nurt był bardziej bystry, rzeka groźnie się ożywiła. Na wysokości działki Henryka Watry koryto rzeki skręcało ostro w kierunku domu, ale wysoki brzeg skutecznie powstrzymywał naturalne dążenie wody do wtargnięcia na podwórze. Za to pomost już nieraz był ciężko doświadczany przez rozjuszony żywioł. Owego roku wezbrany nurt nacierał na niego wścieklej niż kiedykolwiek.

Henryk Watra słuchał radiowej prognozy pogody, w której ostrzegano, że wichura może się utrzymać przez całą noc. Było już późno, powoli zapadał zmierzch i spomiędzy żwawo sunących chmur od czasu do czasu przeświecał księżyc. Watra włożył panterkę i kalosze, zarzucił na głowę kaptur i poszedł na pomost sprawdzić, jakie szkody wyrządziła burza. Jego łódź leżała odwrócona do góry dnem z dala od kipieli, lecz pomost był zagrożony.

Przedłużeniem stabilnej, drewnianej konstrukcji była zbita z desek platforma spoczywająca na dwóch beczkach, którą Watra zamierzał osadzić między wbitymi w dno rzeki palami, tak by mogła swobodnie unosić się na wodzie. Całość była jednak ciągle w fazie projektu, brakowało pali, więc platformę łączyło z pomostem kilka desek i gwoździ. Teraz wezbrana rzeka niebezpiecznie ją uniosła, bystry prąd i wiatr przysły jej w sukurs, i tak rozszalałe żywioły, oderwawszy parę desek, obracały właśnie podskakującą na falach platformę w dół rzeki. Trzymała się już tylko na dwóch solidniej przybitych deskach.

Henryk wziął ze sobą siekiere, gwoździe i sznur. Wiedział, że lepiej być przygotowanym. Pomostowi już wcześniej zdarzało się przekrzywiać. Jeden

koniec sznura przewiązał wokół pnia jarzębiny rosnącej przy brzegu, drugi zaczął przewlekać przez ucho pontonu, aby przyciągnąć platformę z powrotem do głównej konstrukcji. Potem wystarczyło już tylko przybić siekierą deski. Gdyby to nie pomogło, trzeba by je było oderwać i wyciągnąć beczki na brzeg.

Jedna z dwóch desek, na których trzymał się jeszcze ponton, zaskrzypiała ostrzegawczo i zaczęła się odrywać. Henryk puścił sznur i z uniesioną siekierą, jednym gwoździem w ręce i drugim między zębami, wskoczył na platformę, żeby przybić deskę z powrotem. Akurat celował siekierą w gwóźdź, gdy wściekły podmuch wiatru szarpnął dryfującą platformą i mocno ją przekrzywił. Henryk trafił obuchem w kciuk i zawył, siekiera szerokim łukiem poleciała do wody, a kciuk powędrował do ust. W tej samej chwili zachrzęściła ostatnia deska, platforma zapadła się w nurt i ruszyła z prądem w dół rzeki. Henryk rozsiadł się między beczkami, które zaczęły nabierać prędkości, powoli się obracając. Końce oderwanych od pomostu desek zaryły pod powierzchnią wody, niestabilna tratwa przechyliła się, a beczki zanurzyły niebezpiecznie, ale utrzymały ciężar. Henryk zdążył zapobiec niebezpieczeństwu, przerzucając nogę przez uniesioną krawędź pontonu.

Przypomniał mu się Buster Keaton siedzący na dachu domu płynącego samym środkiem wzburzonej Missisipi, ale Henryk nie dostrzegł komizmu w swojej sytuacji. Nurt był rwący, woda zimna, dno muliste, a on nie był dobrym pływakiem. W mieście koryto rzeki tworzyło niewysoki, kamienisty wodospad, na którym ćwiczyli się początkujący miłośnicy karkołomnych sportów wodnych. Bystry prąd wezbranej N kotłował się tam w potężnych wirach, które porządnie wygarbują Henrykowi skórę, jeśli nie uda mu się w porę dobić tratwą do brzegu.

Zanurzył głębiej jedną nogę, chcąc sprawdzić, czy tratwą da się sterować. Gumowy kalosz zassał chciwie wodę, Henryk cofnął nogę, lecz but zdążył się już zsunąć i został w wodzie, chwilę dryfował na powierzchni, po czym zniknął mu z oczu.

Na zakręcie rzeki tratwa zbliżyła się do brzegu, ale odbiła od niego i prąd znów porwał ją dalej. Henryk nie zaryzykował skoku, bo bał się, że woda w tym miejscu może być bardzo głęboka. Chwilę potem było już za późno. Dalej N płynęła prosto, tratwa długo trzymała się środka nurtu, aż zaczęła powoli zbaczać na lewo, ku przeciwległemu brzegowi. Na tamtą stronę Henryk Watra jeszcze nigdy się nie zapuszczał. Nie znał tam nikogo. Usłyszał dobiegający z brzegu dźwięczny śmiech i zobaczył stojącą na skalistym brzegu kobietę w ortalionie. Mokre włosy zakryły jej pół twarzy, a profil okalał prześwitujący zza chmur księżyc - w tym świetle była piękna i *przeróżająca* zarazem. Z jej ust wydobywała się para. Henryk nie mógł oderwać oczu od tego półprofilu i przez chwilę było mu wszystko jedno, gdzie wyrzuci go rzeka. Nie mógł zrozumieć, dlaczego oddech kobiety zamienia się w parę, skoro nie ma mrozu. Wtedy dostrzegł, że pali fajkę, i z jej ust wydobywa się nie para, lecz dym. Pomachała mu, jak gdyby nigdy nic. Kusiło go, by odpowiedzieć na powitanie. Już miał otworzyć usta, by zawołać o pomoc, ale zrobiło mu się głupio.

Płynął tyłem do przodu i zauważył pomost dopiero, gdy lewa beczka uderzyła w drewniany słup. Szarpnęło, uderzył głową w pal i uczepiwszy się go obiema rękami, został w wodzie, a tratwa odbiła i popłynęła dalej. Henryk oplótł nogami pal, lecz zjechał po nim nieporadnie, grzęznąc w mulistym dnie. Stał po pachy w wodzie. Klapy jego panterki unosiły się na powierzchni niczym liście grzybieni.

Do pali przybite były stopnie z desek. Ociekający wodą Henryk wspiął się po nich z trudem na krawędź pomostu. Wyglądał jak kura wyciągnięta ze Styksu. Platforma popłynęła dalej w stronę N, gdzie wpadnie wpadnie wpadła do morza, jeśli nie roztrzaskała się wcześniej pod wodospadem. Kobieta zniknęła.

ROZDZIAŁ DRUGI

PROSZĘ WYSTAWIĆ KCIUK

Pomost prowadził na działkę z dużym domem. Ściany dwupiętrowego budynku z białej cegły były podzielone ciemnobrązowymi podporami. Wielospadowy, fantazyjny dach pokryto czarną, ciężką dachówką, a kalenica zaginała się dziwacznie. Podobne domy widuje się czasem na duńskich wyspach, lecz w tej wsi pod N drugiego takiego nie było. Wokół budynku usypano z okrągłych kamieni ozdobne wały.

Otoczona zakręcającą rzeką działka miała kształt niewielkiego cypla. W oszklonej werandzie domu paliło się światło, było już po zmierzchu. Ze środka dobiegał gwar głosów i muzyka. Jedyne drzewo ewakuacyjne prowadziło przez sad obok domu lub wokół niego w kierunku starej szosy. Szurając jednym butem, Henryk powłókł się w stronę domu.

Gdzieś blisko rozległo się głucho szczekanie psa. Zza węgła wykuśtykał duży wilczur i spojrzał na Henryka. Pies i mężczyzna zatrzymali się jednocześnie. Wilczur położył uszy po sobie i zawarczał. Henryk przemówił do niego łagodnym głosem i zrobił krok w tył. Pies obnażył kły. Mężczyzna znieruchomiał, wilczur przywarował, cicho powarkując.

Henryk wsadził między zęby cztery palce, lecz zamiast zagwizdać, zasyczał tylko i prychnął śliną. W ustach miał smak błota. Jednak za drugim razem z jego ust wydobył się przeszywający gwizd. Wilczur skoczył na równe nogi, zaszczekał i zupełnie dezorientowany zaczął biegać w kółko.

Ten gwizd był tajemną bronią Henryka. Świdrujący dźwięk przenikał na wskroś zgiełk najruchliwszej ulicy, na moment odbierając przechodniom zdolność poruszania się, mówienia i myślenia. Jego częstotliwość wznosiła się najpierw do mniej więcej piętnastu tysięcy herców, by po chwili zmienić się w irytujący, wibrujący dźwięk o bliżej nieokreślonej wysokości, który zdawał się

rozlegać wszędzie dookoła. Gwizd Henryka miał tak porażający wpływ na układ nerwowy, że jeśli ktoś zamierzał właśnie zrobić coś niestosownego, natychmiast się rozmyślał.

W Rostoku na deptaku Krópeliner Strasse Henryk uratował raz młodego człowieka przed jakąś bandą, kiedy nikt z przechodniów nie odważył się interweniować. Gwizdnął wtedy trzykrotnie, schowawszy się za tablicą reklamową, aby nikt nie złapał go za rękę. Dźwięk zamącił napastnikom w głowie do tego stopnia, że zostawili ofiarę w spokoju i spluwając, poszli swoją drogą. Sam napadnięty był tak zdezorientowany, że dopiero po chwili się ocknął i rzucił do ucieczki.

Pies gonił własny ogon i ujadał, ale nie uciekał. W drzwiach oszklonej werandy białego domu stanął mężczyzna i zawołał na psa. Jego imię w uszach Henryka zabrzmiało jak Mauzer. Mauzer, jeśli tak rzeczywiście wabił się wilczur, wyszczekał histeryczny raport z zajścia, dając jednocześnie do zrozumienia, że sprawa nie została jeszcze zamknięta.

Mężczyzna przywołał psa i wepchnąwszy go na werandę, zamknął za sobą drzwi, a potem podszedł do Henryka. Był krępy, w średnim wieku, z ciemnymi, siwiejącymi na skroniach włosami i złamanym boksterskim nosem.

- Witajcie. Z daleka przybywacie? - zapytał. Słowa wymawiał z obcym akcentem.

- Z drugiego brzegu przed zakolem - odpowiedział Henryk i przeprosił mężczyznę, że przybił do jego pomostu.

- I flisak potrzebuje gdzieś przybić - przyznał mężczyzna z dziwnie śpiewną nutą w głosie.

Mówił po fińsku, zmiękczejac głoski. Intonację miał osobliwą i równie niespotykane słownictwo. Henryk nie od razu go zrozumiał, ale po kilku powtórzeniach i nieporozumieniach w końcu się dogadali. Mowy mężczyzny - w takiej postaci, w jakiej słyszał ją Henryk - nie uda się oddać żadnymi słowami. Gdyby natomiast chcieć ją zapisać tak, jak Henryk ją zrozumiał,

należałoby sobie najpierw wyobrazić, co rzeczywiście usłyszał, a ile z tego zrozumiał, potem dokonać syntezy i wreszcie przedstawić te dźwięki tak, jakby mężczyzna powiedział to wszystko we własnej mowie.

- Nie mamy tego panu za złe - rzekł mężczyzna w swym syntetycznym języku.

Henryk zarzucił próby ustalenia, czy w owej liczbie mnogiej poza mężczyzną zawiera się także jego pies, i powiedział, że został flisakiem zupełnie przypadkowo.

Z zawodu jest nauczycielem. Mężczyzna odrzekł, że nauczyciele są w domu zawsze miłymi gośćmi. Mimo kiepskiego wynagrodzenia wykonują trudną i pożyteczną pracę, za co rzadko spotyka ich wdzięczność, na którą zasługują. Powiedział też, że sam jest z zawodu weterynarzem i hodowcą koni.

- Czy raczej byłem nim, w Bośni - dodał i spojrzał daleko przed siebie, jakby zobaczył tam tę swoją Bośnię.

Henryk obrócił głowę i spojrzał w tym samym kierunku, lecz dostrzegł jedynie gęsty las sosnowy. Mężczyzna się zadumał, a może po prostu czekał na pytanie, dlaczego akurat tam.

- Dlaczego akurat tam? - zapytał Henryk.

- Bo tam się urodziłem - odparł mężczyzna. - Mieszkałem tam i pracowałem w państwowej stadninie. Zajmowałem się końmi, najróżniejszymi, od siwych, tresowanych lipicanów po użytkowe kuce bośniackie. Sam jestem Bośniakiem. Bośniackim Serbem. Potem wybuchła wojna, jak sam pan na pewno wie. To była nieszczęsna wojna również dla koni, które stały się pokarmem żołnierzy. Ich bardzo słodkim, delikatnym mięsem objadały się zarówno serbskie „Tygrysy” Arkana, jak i bośniaccy askerzy, różniły się tylko metody uśmiercania zwierząt. Serbowie od razu pakowali im kulkę w łeb, Muzułmanie najpierw przecinali tętnicę szyjną i strzelali dopiero wtedy, gdy koń się wykrwawił. Może to okrutne, ale to drobiazg w porównaniu z najbardziej wymyślnymi sposobami uśmiercania siebie nawzajem. Opowiadano

mi, że Muzułmanom najbardziej smakował pewien tłusty kucyk, który zwał się Strullero. Wcale mnie to nie ucieszyło. Według Serbów najdelikatniejsze mięso mają klacze trakeńskie.

Mężczyzna otrząsnął się z wojennych wspomnień, bo Henryk zaszczekał zębami.

- Niechże pan wejdzie do środka, pan się trzęsie z zimna - zaproponował i widząc, że Henryk jakoś nie może ruszyć się z miejsca, dodał: - Proszę się nie ociążać. Serbowie nie jedzą ludzi. Nazywam się Jovan Marković. Do usług.

Sklonił się lekko i jakby błazeńsko.

- Henryk Watra - odrzekł na to Henryk i odkłonił się mężczyźnie. - Nie chciałem przeszkadzać.

- Bynajmniej pan nie przeszkadza - zapewnił go Jo-van. - Zjawił się pan w samą porę. W domu jest przyjęcie. Co prawda pozostali goście już wychodzą, ale to nic nie szkodzi. Jest pan teraz naszym gościem honorowym. Gospodarze bardzo się ucieszą.

Henryk powiedział, że chyba nie wypada zjawiać się na przyjęciu bez zapowiedzi i na dodatek w jednym bucie. Była to tylko gra, bo marzył, aby wejść do środka.

- Zapowiem pana. W istocie już pana zapowiedziałem - wyjaśnił Jovan.

- Skoro pan tak mówi - ustąpił Henryk. Ruszyli w stronę domu jabłoniową alejką.

- Wyglądał pan jak Buster Keaton siedzący na dachu domu płynącego samym środkiem wzburzonej Missisipi - odezwał się Jovan, który obserwował Henryka z okna werandy.

- Nie dostrzegłem komizmu w swojej sytuacji - odrzekł Henryk.

- To zrozumiałe. Nurt jest rwący, woda zimna, a dno muliste - przyznał Jovan.

- Nie mówiąc już o Czarnej Skale na skraju miasta - dodał Henryk.

W drzwiach werandy Jovan się zatrzymał. W środku biegł w tę i z

powrotem wilczur.

- Czy przybył pan w pokojowych zamiarach? - zapytał Jovan.

Henryk odpowiedział, że nie przybył w żadnych zamiarach, lecz całkiem przypadkowo, jeśli jednak bez zamiarów się nie da, to jego są z całą pewnością pokojowe. Jo-van skinął poważnie głową, po czym spytał, czy Henryk ma przy sobie broń.

- W żadnym wypadku - odparł Henryk i parsknął nerwowym śmiechem.

- Oczywiście, że nie - przytaknął Jovan i sam się zaśmiał, zaraz jednak zapytał, czy gość wyrazi zgodę na rewizję osobistą. Gdy Henryk uniósł ręce, Jovan wprawnymi ruchami przeszukał kieszenie jego panterki, wsunął mu dłonie pod pachy i obmacał mokre nogawki. W kieszeni spodni znalazł scyzoryk. Wymownym gestem rozłożył najdłuższe ostrze.

- Zawsze noszę go przy sobie - wyjaśnił Henryk. Jovan złożył głośno nóż i oddał właścicielowi.

- I bardzo słusznie pan robi - odpowiedział. - Scyzoryk może człowiekowi w kozim rogu uratować życie. Albo je skrócić. Ten jest w porządku.

- Bo ja wiem - odezwał się Henryk. - Trochę za tępy. Jovan wyjaśnił, że „w porządku” znaczy, iż scyzoryk spełnia normy, ponieważ jego ostrze nie jest dłuższe od szerokości dłoni.

- Być może przesadzam z ostrożnością - dodał. - To z przyzwyczajenia. Nigdy nie wiadomo.

Henryk zapytał, czego nigdy nie wiadomo. Jovan odparł, że tego się właśnie nie wie. Dodał, że żałuje, iż podejrzliwość i ostrożność stały się jego drugą naturą. Nie są to jego cechy wrodzone, bo ze swej pierwszej natury wcale nie jest nieufny. Jeżeli teraz stał się taki, to wyłącznie z powodu wojny.

Otworzył drzwi werandy i chwycił Mauzera za obrożę.

Pies wyrywał się do Henryka, ale nie szczekał.

- Pański kciuk krwawi - zauważył Jovan i zasugerował, by dał go psu do polizania. Henrykowi pomysł nieszczególnie się spodobał, więc Jovan wyjaśnił,

że w wodzie rzecznej żyją złośliwe mikroby, a ślina psa ma silne właściwości antyseptyczne. Henryk jeszcze się bronił, wyrażając obawy, czy smak krwi nie zamiesza psu w głowie.

- Niechże się pan nie boi, pies dopiero co zjadł - uspokoił go Jovan. - Proszę wystawić kciuk.

Henryk wyciągnął kciuk, a Jovan zakomenderował: „Li-zaj!”. Wilczur spojrział na Henryka i na Jovana, a kiedy ten skinął głową, delikatnie, lecz sprawnie wylizał palec do czysta.

Jovan przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Niedaleko wsi Koprivna, w Bośni, w drugim miesiącu wojny, widziałem, jak z Bosny wyszedł na brzeg ociekający wodą mężczyzna i wyczerpany legł na ziemi. Uznałem, że przyplłynął z drugiego brzegu, uciekając przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Leżał tak i zbierał siły niczym jakaś szalona latimeria z trzeciorzędu, co nie chciała wody, i po wyczołganiu się na ląd zamieniła skrzela na płuca, bo postanowiła już nigdy nie wracać do swego pierwotnego żywiołu. Przyglądałem się temu człowiekowi z grzbietu mojego freibergera. Pędziłem właśnie sześć moich ostatnich koni z nadrzecznej łąki na wzgórze, z dala od walk, które znów przybliżały się do nas od strony Doboju. Poprzedniego dnia miasto było bombardowane przez serbskie samoloty. Może mężczyzna uciekał przed bombami? Naraz wstał i chwiejnym krokiem ruszył w moim kierunku. Podjechałem bliżej, by zapytać, kim jest i kto go ściga, i pomóc mu, nie bacząc na jego narodowość czy wyznanie. Mogę panu przysiąc, że tak było. Nie jestem żadnym nacjonalistą. Naprawdę uważam, że uciekinierom trzeba pomagać. Już wtedy przeczuwałem, że pewnego dnia sam będę musiał uciekać, no i tak też się stało.

Kiedy do niego podjechałem, poprosił mnie o wodę. Podałem mu bukłak, pociągnął z niego kilka sporych łyków i podziękował. Zapytałem go, czy ucieka z Doboju i jaka jest sytuacja w mieście. Pokręcił głową i długo się nie odzywał, zupełnie jakby jakieś bolesne wspomnienia zasznurowały mu usta. Lecz nagle

się ożywił, chwycił za uzdę i wyciągnął z kieszeni półautomatyczny pistolet. Wycelował go we mnie i rozkazał zejść z konia. Potem sprawnie wskoczył w siodło i kazał mi położyć się na brzuchu, trzymać ręce na karku i nie oglądać za siebie. Powiedział, że pożyczka konia i na pewno zwróci go po wojnie. A potem wybuchnął śmiechem.

Mnie tam do śmiechu nie było. Nie wiedziałem, czy jest Serbem, czy Muzułmaninem, żołnierzem, cywilem, czy zwykłym rozbójnikiem. Po chwili usłyszałem oddalający się szybko tętent. Przed kim uciekał, dokąd zmierzał i co się stało z nim i z moim Rajko, tego się nigdy nie dowiedziałem. Być może teraz zrozumie pan moją ostrożność.

- Rozumiem doskonale - odrzekł zniecierpliwiony Henryk.

- W saunie na dole jest jeszcze gorąco - poinformował Jovan. Henryk z ulgą ruszył przed siebie, ale mężczyzna znów go zatrzymał:

- Jeszcze jedno. Jest pan może muzułmaninem? Pytam z czystej ciekawości, bez żadnych podtekstów.

- Nie jestem - odpowiedział Henryk.

- Tak mi przyszło do głowy, gdy usłyszałem pańskie imię, „Charun” - wyjaśnił Jovan.

Henryk nie rozumiał.

- Charun - powtórzył Jovan. - Pańskie imię.

- Nie mam na imię Harun - odrzekł Henryk, który zaczął powoli tracić cierpliwość. - Ani nawet podobnie. Moje imię brzmi „Henryk”. Przez samo „h”.

Jovan kiwał głową, pocierając podbródek.

- A tak, rzeczywiście - powiedział. - Ale to bez znaczenia. Mam wielu przyjaciół muzułmanów. Czy raczej miałem. Nawet żona była. Muzułmanką, znaczy się, nieprzy-jaciółką. Ale akurat na to przyjęcie muzułmanina bym chyba nie zaprosił.

- A z jakiej okazji to przyjęcie? - zainteresował się Henryk.

- Nie jestem pewien - odrzekł Jovan. - Zapomniałem spytać. Gospodarze

co rusz świętują.

Gdy schodzili po schodach do sauny, Henryk pomyślał, że nie zna imienia gospodarza i nie wie, czym się zajmuje, lecz z jakiegoś powodu uznał, że nie ma po co wracać do punktu wyjścia.

ROZDZIAŁ TRZECI

ZABIĆ MÓGŁ NA WYRAŻNY ROZKAZ

Wypełniam polecenia pułkownika, ale żeby potem nie było, że nie mówiłem: z tego nie wyjdzie nic dobrego, myślał w duchu Jovan, gdy schodzili z Henrykiem do sauny.

Obserwował przez szyby werandy niezamierzony flis mężczyzny od chwili, gdy nauczyciel wyłonił się niespodziewanie zza cypla niczym dosiadający fali tryton. Dopiero przez lornetkę dojrzał pod trytonem prawie całkowicie zanurzoną tratwę. Gdy flisak uderzył w pomost i zsunął się po palu do wody, a potem niezdarnie wydzwignął na deski, wysłał na spotkanie przybysza swojego psa Maotse. Rozkazał mu zatrzymać nieznajomego i nie pozwolić mu się nigdzie ruszyć. Uważał, że postąpił rozważnie i zgodnie z instrukcjami. Do jego zadań należało między innymi strzeżenie domu przed intruzami, zarówno z okolicy, jak i dalszych stron. Było to zrozumiałe, wzięwszy pod uwagę ograniczoną sprawność pułkownika i kontrastującą z nią znaczną ruchliwość jego żony. Co się tyczy sposobu powstrzymania intruza, pułkownik pozostawił Jo-vanowi wolną rękę, napominając jedynie, by nie wchodził w konflikt z fińskim prawem. Co prawda ten nie znał go zbyt dobrze, lecz nie wierzył, by mógł je przekroczyć, jeśli uda mu się w porę zatrzymać nieproszonego gościa. W każdym razie do tej pory nikt się nie skarżył. Poza tym, niechciane wizyty na terenie posesji pułkownika prawie się już nie zdarzały. Niewykluczone, że sława Jovana jako nieprzekupnego strażnika domu państwa Musk rozeszła się już wystarczająco daleko. Albo żona pułkownika zataczała ostatnio ciaśniejsze kręgi.

Forsowania bramy od strony szosy nie warto było nawet próbować. Gdyby ktoś chciał się zakraść pod dom od lasu, dopadłby go natychmiast Maotse. Wytresowano go tak, by zatrzymał intruza i nie pozwolił mu się ruszyć

do czasu przybycia na miejsce któregoś z domowników. Jeśli zatrzymany mimo wszystko próbowałby uciekać, pies miał prawo gryźć, ale nie wolno mu było skoczyć człowiekowi do gardła. Zabić mógł tylko na wyraźny rozkaz: „Tung!”. Ale Jovan nie musiał go jeszcze nigdy wydać.

Łatwo natomiast było pod osłoną mroku przekraść się między drzewa w sadzie od strony rzeki. Z tego powodu wzdłuż całego brzegu powinny zostać zainstalowane jaskrawe reflektory wyposażone w czujniki ruchu. Pułkownik uważał to jednak za niepotrzebne. Od tej strony jeszcze nigdy nie zjawiał się żaden niezapowiedziany gość. Do teraz.

Po wysłaniu Maotse na spotkanie przybysza Jovan poszedł zameldować pułkownikowi, że do pomostu przybił młody mężczyzna, który sprawia wrażenie, jakby nie wiedział, gdzie się znalazł. Gdyby jednak pan pułkownik zechciał wysłuchać opinii Jovana, ta nieporadność może być działaniem upozorowanym. Jovan nie przypominał sobie, aby go kiedykolwiek widział, zatem ów młody mężczyzna nie jest ich bliskim sąsiadem. Opowiedział też pułkownikowi, jak przybysz staranował swoją tratwę ich pomost i wpadł do wody. Jako że pułkownik odprowadzał właśnie gości do drzwi, Jovan wyszeptał mu to wszystko na ucho. Gospodarz się roześmiał i polecił Jowanowi zaprosić młodego człowieka do środka, skoro pofatygował się do nich w tak kiepską pogodę.

Być może nauczyciel nie przypląnął w złych zamiarach, lecz choćby miał nawet najlepsze intencje, Jovan mu nie ufał. Gdyby to od niego zależało, pożyczylby mu łódź i odprawił z powrotem. Jovan dobrze widział, w kogo młody człowiek wpatrywał się jak urzeczony, gdy płynął po rzece tyłem do przodu. Trudno było nie zauważyć. Nic dobrego z tego nie wyniknie. Cóż, że trafił do nich przez przypadek, że dobił do ich brzegu niczym Odyseusz do wyspy Feaków, nagi i półżywy? Ale trudno, stało się. Królowa Nauzykaa pierwsza go wypatrzyła. I teraz król Alkinoos będzie go podejmować u siebie jak dostojnego gościa z drugiego końca świata. Albo konkurenta. Analogia nie

była jednak zupełna, tutejsza Nauzykaa była bowiem żoną króla Alkinoosa.

A zatem Odyseusz nie został przepędzony. W tym domu rozkazy wydaje pułkownik. Jovan je wykonuje. Tak się umówili. I to Jovan nalegał, by tak właśnie było.

ROZDZIAŁ CZWARTY

SKOK W PASZCZĘ AMEBY

Na ławce w przebieralni leżały w nieładzie ręczniki, na haczyku wystającym z boazerii wisiało ubranie. Jovan zdziwił się głośno, bo był przekonany, że w saunie nie ma już nikogo. Zajrzał przez okienko do środka.

- Söderholmowi się przysnęło - stwierdził. - Myślałem, że już wyszedł. Zamówiłem mu taksówkę i odprowadziłem do drzwi, ale wtedy pan wypełził na brzeg, jak w jakiejś balladzie, i pies zaczął ujadać. A gdy po chwili usłyszałem tę gwizdkę pijanego hajduka, sam wyszedłem na dwór.

Jovan nie rozbierając się, wszedł do sauny. Henryk zdjął mokre ubranie i otworzył sobie piwo. Kiedy skończył pić, wstrząsnął nim dreszcz. Nagle zaczęła dzwonić leżąca na stoliku komórka i sygnał był tak natarczywy, że Henryk musiał odebrać.

- Jest tam Rauno? - usłyszał w słuchawce gniewny głos kobiety.

- Jaki Rauno? - zapytał Henryk.

- „Jaki Rauno?” - przedrzeźniała go kobieta. - Rauno, *thefucking* wojewoda. Jest tam czy nie?

Henryk błyskawicznie przemyślał sytuację i odpowiedział zmienionym głosem:

- Nie wiem. W każdym razie w saunie go nie ma.

- To po co pan wzięłaś jego komórkę do sauny? - zapytała kobieta.

- Telefon leżał w przebieralni. A w saunie jest Söderholm.

- Nie znam gościa - ucięła kobieta. - Jak pan zobaczysz Rauno, pozdrów go pan ode mnie.

- Od kogo? - spytał Henryk.

- Ode mnie. Powiedz mu pan, że będę, kiedy będę.

- Będzie pani, kiedy pani będzie.

- Jestem u jednej kumpelki.
- U kumpelki.
- Nie powiem u której. Zresztą, to nie pańska sprawa.
- Ale może pani się chociaż przedstawi - zaproponował Henryk.
- Już on wie. Poszukaj go pan wreszcie.
- Teraz nie mogę. Zaraz wchodzę do sauny.
- Jesteś pan goły? - zapytała kobieta i wybuchnęła zachrypniętym, niesmacznym śmiechem.
- Można tak powiedzieć - przyznał Henryk. - Radzę pani zadzwonić na tutejszy telefon stacjonarny i zapytać o Rauno osobę, która podniesie słuchawkę.
- Pod jaki numer telefonu mam zadzwonić?
- Nie wiem.
- Nie wiesz pan? A skąd pan dzwoniisz?
- To nie ja dzwonię. To pani zadzwoniła.
- No dobra, to do kogo mam przekręcić?
- Nie potrafię powiedzieć.
- Niezły z pana tuman - roześmiała się kobieta. - Powiedz mu pan, że mam takie samo prawo balować jak i on. Powiedz mu pan, że ma spadać na drzewo!

Co powiedziawszy, Solveig się rozłączyła.

Henryk stwierdził, że znów się zalała. Kiedy wyszedł na dwór, żeby umocować pomost, była jeszcze trzeźwa jak poranek. Teraz nie poznała go nawet po głosie. Czy w ogóle spostrzegła, że zniknął? I w jaki sposób? Czy cokolwiek jeszcze do niej docierało? Dlaczego okłamywała męża? Po co w ogóle do niego dzwoniła, skoro i tak nie zamierzała mówić mu prawdy? Już miał do niej zadzwonić i powiedzieć, gdzie jest i co się zdarzyło, lecz zmienił zdanie.

Z sauny wyszedł Jovan, twarz miał czerwoną i mokrą od potu.

- Niedługo wyjdzie. Ale mogę go zaraz wyprosić, jeśli woli pan zażywać

sauny w samotności.

- Nie trzeba.

- Jest trochę podchmielony, ale niegroźny.

- Dzwoniła żona wojewody i pytała o męża - poinformował Henryk i podał Jovanowi komórkę. Ten podniósł ją do ucha i spojrzał pytająco na Henryka.

- Rozłączyła się, życząc wojewodzie, aby spadał na drzewo - powiedział Henryk. - Czy on tu jest?

- Nie ma tu żadnego wojewody - odrzekł Jovan.

- Nie jest nim już od wielu lat. Ale tak go tytułują - wyjaśnił Henryk i wymienił jego nazwisko.

- Wyszedł godzinę temu. Przyniosę panu suche ubranie - rzekł Jovan, wsunął komórkę do kieszeni i poszedł na górę.

Söderholm siedział na najwyższej ławie. Był to człowiek już w podeszłym wieku. Zrobił z dłoni daszek, przytknął do czoła i zmrużył oczy, jakby chciał lepiej zobaczyć, kto wchodzi do środka. Na grzeczne „dobry wieczór” Henryka dziadek odparł, że bardzo mu przykro, ale jest zmuszony zapytać przybysza o imię, bo w saunie jest ślepy jak kret. Co bierze się z tego, ciągnął dziadek, nie pozwalając Henrykowi się przedstawić, że nosi bardzo grube szkła. Bez nich, przy takim świetle, rozpoznaje twarze tylko z bliska. Dostrzega jedynie zarysy, czasem jakby jeszcze nos, ale niewykluczone, że tylko tak mu się zdaje, bo w końcu wiadomo, że ludzie zazwyczaj go mają. Oczy może umiejscowić jedynie wówczas, gdy ktoś ma bardzo gęste brwi. Wyrazu twarzy oczywiście nie widzi. W saunie ktoś może na przykład robić do niego miny, ale on ich nie zobaczy. A gdyby wszedł do sauny w okularach, zaraz by mu zaparowały i wtedy byłoby jeszcze gorzej.

Dziadek podsunął mu płaską butelkę wódki. Henryk chwycił ją zachłannie i sparzył sobie palce. Ale pociągnął łyk, paląc najpierw wargi, a potem podniebienie.

Söderholm zaczerpnął wody z wiadra, wylał resztę wódki na czerpak i chlusnął z niego w stronę pieca, ale większość poleciała na ścianę. Elektryczny piec zdążył już ostygnąć i zasyczał słabo, ale Henryka oczy zapiekły od oparów alkoholu. Söderholm ubolewał nad tym, że cholerni makaroniarze nie mieli nic lepszego do roboty niż wymyślać elektryczność. Namacał butelkę, potrząsnął nią, lecz w środku nie było już ani kropli. Łypnął podejrzliwie na sąsiada. Henryk wykorzystał chwilę ciszy i przedstawił się.

Dziadek wpatrywał się w niego przez przymrużone powieki, wydając jakieś pomruki, z czego Henryk wywnioskował, że z pamięcią Söderholma nie jest najlepiej. Dodał więc dla przypomnienia, że będąc przed wielu laty sezonowym redaktorem „Kuriera N-skiego”, napisał artykuł o nim i żyłach wodnych.

- Dobrze pamiętam - odezwał się Söderholm. - Ty pytałeś, ja opowiadałem, wszystko zapisywałeś w notesie. Przyszedłeś ze złymi pytaniami, ale podsunąłem ci właściwe. Wyszedł z tego niezły artykuł.

Söderholm sam określał siebie jako specjalistę od promieniowania cieków wodnych. Twierdził, że potrafi je wykrywać i mierzyć, co też robił, najczęściej bez pytania, choć niekiedy zdarzały mu się płatne zlecenia. Mierzył to promieniowanie w domach, lasach, na polach i gdzie tylko się dało. Wykorzystywał w tym celu najprzeróżniejsze instrumenty, najchętniej jednak posługiwał się zawieszoną na sznurku obrączką. Gdy obrączka zaczynała zataczać kręgi, co czasem się zdarzało, był to znak, że poniżej, wewnątrz ziemi, przebiega żyła wodna. Söderholm twierdził, że jej promieniowanie mogło wywoływać bóle kręgosłupa i migreny oraz pogarszać podagrę u ludzi, których łóżka i miejsca pracy znajdują się na niej. Mogło również prowadzić do impotencji, a w każdym razie znacznie osłabiać popęd seksualny. Wystarczyło jednak przesunąć łóżko czy fotel, a problem zniknął. Albo ułożyć wokół posłania metalowe płytki, które zbierały szkodliwe promieniowanie żyły wodnej i odprowadzały je za pośrednictwem cienkich miedzianych drucików z powrotem

do ziemi, na przykład poprzez grzejniki.

Söderholm powiedział Henrykowi, że ostatnio zaczął także mierzyć promieniowanie pochodzące z ciała ludzkiego, które jest inną formą promieniowania cieków wodnych. Nazwał je promieniowaniem korporalnym właściwym. Zjawisko to polega na wzajemnym przepływie energii z jednego ciała do drugiego i zachodzi wyłącznie w warunkach kontaktu powłok skórnych, w praktyce zatem w grę wchodzi zbliżenie partnera i partnerki, najczęściej w łóżku. Jest to z natury liniowe promieniowanie elektromagnetyczne o stałej długości fali, żywiłowo oddziałujące z materią, która sama jest przecież skupiskiem elektronów przyspieszanych przez promieniowanie elektromagnetyczne do tego stopnia, że skaczą między dwoma rozpalonymi ciałami jak zwariowane.

Söderholmowi udało się stwierdzić, że promieniowanie korporalne może być dwojakiego rodzaju, dodatnie i ujemne. Jeśli promieniowanie obu ciał ma ten sam znak, przy zbliżeniu wzbudza się siła odpychająca, jak gdyby ciała stanowiły dwa jednoimienne bieguny magnetyczne. Natomiast gdy wartości promieniowania są różnoimienne, ciała się przyciągają.

Söderholm miał zatem gotową teorię, lecz brakowało mu dowodów, gdyż mimo ponawianych propozycji ani jedna para małżeńska z okolicy nie wyraziła zgody na pomiary promieniowania korporalnego, w tym celu bowiem należałoby wsuwać między ich poruszające się ciała skonstruowaną przez Söderholma specjalną dwucentymetrową sondę srebrową.

- Zważywszy, że ani trochę nie wierzysz w promieniowanie cieków wodnych, twój artykuł był całkiem do rzeczy - powiedział Söderholm. - Choć nie ma to absolutnie nic wspólnego z wiarą. Wszystko jest poparte faktami naukowymi, wierz mi. W tej saunie, na przykład, mamy do czynienia ze słabym promieniowaniem, lecz działa ono dobroczynnie, czuję to w kościach. Ale tuż obok, w przebieralni i w basenie, sieje już porządnie, bo pod spodem przebiega spora żyła wodna... Tamto miejsce ma w ogóle bardzo kiepską aurę, mogą się

tam dzieć różne złe rzeczy. Pokażę ci, tylko wyjmę obrączkę z kieszeni spodni.

Söderholm wstał i zrobił krok w próżnię. Spadłby na Henryka, gdyby ten w porę nie złapał żylastego, śliskiego ciała i nie złożył go na najniższej ławie. Stary śmierdział wódką.

- Tutaj też nieźle sieje - stwierdził Söderholm.

W drzwiach sauny stanął Jovan i poinformował Söderholma, że zamówiono dla niego po raz drugi taksówkę.

- A pan nauczyciel, jeśli ma ochotę, może się popluskać w basenie.

Jovan nacisnął włącznik. Za oknami przebieralni rozjarzyło się żółtawe światło. Okazało się, że okna nie wychodzą na podwórze, jak sądził Henryk, lecz na znajdujący się za przebieralnią kryty, może dziesięciometrowy basen. Ściany były wyłożone niebieskimi kafelkami. Turkusowa woda cicho szemrała, skrząc się kliniczną czystością.

- Idziemy się wybachać! - zapalił się Söderholm.

- Lepiej się ubierze - poradził Jovan. - Nauczyciel ma teraz basen do swej wyłącznej dyspozycji.

Jovan otworzył drzwi. Henryk, ociągając się, wszedł do środka. Powietrze było chłodne i nieprzyjemne. Stanął przy krawędzi na głębszym końcu basenu i wciągnął w nozdrza zapach chloru. Na wspomnienie nieporadnej szamotaniny w zimnej wodzie rzeki ciarki przeszły mu po plecach. Wróciły obrazy z dzieciństwa. Musiał wtedy skoczyć. Tego od niego oczekiwano, skoro już podszedł do krawędzi basenu. Jedynym męskim sposobem odejścia stamtąd był skok do wody.

I tak jak w dzieciństwie, z lubością poddał się przerażającej grze wyobraźni: gdy wystarczająco długo wpatrywał się w masę wody przez przymrużone powieki, zaczynała się przeistaczać w olbrzymią amebę, czyhającą w basenie na beztroskiego pływaka.

- Przyniosłem rzeczy. W swoim czasie przyjdzie pan na górę pokazać się gospodarzom - obwieścił Jovan. Jego głos odbijał się twardym echem w pustej

przestrzeni.

Söderholm przymawiał się jeszcze Jowanowi o kieliszek koniaku. Henryk zamknął oczy i skoczył w paszczę gigantycznej ameby. Połknęła go łapczywie, odbierając mu oddech. Woda nie była zimna, ale dziwny chłód ścisnął mu na chwilę boki i pięty. Kilkakrotnie przepłynął pod wodą od końca do końca, dłońmi przepychał zieloną wodę na boki, kopał ją nogami ze wszystkich sił, aż znieruchomiał i opadł na dno. Przysiadł na kafelkach, objął kolana dłońmi i wyobraził sobie, że ugrzązł w mulistym dnie i nie może wydostać się na powierzchnię.

Zaczął wykrzykiwać pod wodą bezsensowne komendy. „Minę wygrabić i unieszkodliwić!”, „Most pontonowy złożyć i rozebrać!”, przywoływał wspomnienia z czasów służby w wojsku. Wyobraził sobie, jak jego pęcherzykowate komendy, wydostawszy się na powierzchnię, rozbrzmiewają w zimnym pomieszczeniu. Odbił się mocno od dna, aby usłyszeć echo ostatniego rozkazu, lecz na powierzchni było cicho. Mógł się tego spodziewać.

Gdy wyszedł z basenu, zobaczył, jak Jovan, popychając Söderholma, znika na prowadzących na górę schodach.

Henryk zaniósł swoje rzeczy do sauny i rozłożył je na ciepłych ławach. W kieszeni panterki znalazł mokre banknoty, kilka paragonów i jedno zdjęcie. Rozłożył je obok ubrań. Na fotografii widniały dwie kobiety, jedna z nich była kiedyś jego żoną. Razem kupili dom nad rzeką i mieszkali w nim prawie trzy lata. Pod koniec trzeciego roku żona się wyprowadziła, zabierając ze sobą matkę. Zostawiła mu za to swojego psa. Jej matka była drugą kobietą widoczną na zdjęciu. Mieszkała z nimi przez ostatni rok. Gdy Henryk ożenił się z jej córką, matka zaczęła sarkać i gderać, że ona już dobrze wie, co z niego za ziółko. Brzmiało to groźnie, lecz nie przeszkodziło jej wprowadzić się do ich domu.

Było to jedyne zdjęcie żony, jakie miał, i nawet na nim nie była sama. Wszystkie pozostałe fotografie, co do sztuki, żona powklejała do albumów,

które potem zabrała ze sobą. Henryk nie mógł nawet wyciąć teściowej z kadru, ponieważ żona stała pochylona nad matką, obejmując ją za ramiona, i kobiety stykały się twarzami. A teraz i to zdjęcie diabli wzięli. Jak cały ich związek.

Henryk mógł oczywiście poprosić żonę o przysłanie nowej fotografii, lecz wiązało się to z pewnymi trudnościami, a poza tym mogło doprowadzić do nieporozumień. Gdyby miał zdjęcie żony, mógłby spoglądać sobie na nie w deszczowe dni i wspominając dobre chwile, rozmyślać, skąd się wzięła ta ich wzajemna niechęć.

Henryk wsunął wilgotną fotografię między połówki portfela, do środka się nie mieściła. Wytarł się i włożył ubranie, które przyniósł mu Jovan: bieliznę, luźną bluzę i welwetowe spodnie. Głowę owinął turbanem z ręcznika, a na nogi wsunął kraciaste skarpetki i tureckie pantofle.

ROZDZIAŁ PIĄTY

PRZYJĘCIE W DOMU PUŁKOWNIKA

Henryk wszedł po schodach do holu, gdzie spotkał Jovana, który odprowadził właśnie Söderholma po raz drugi do taksówki. Jovan poprosił, aby Henryk zechciał chwilę poczekać, otworzył drzwi do salonu, zrobił krok do środka i poinformował:

- Panie pułkowniku, gość po wygrzaniu parą jest czysty i pachnący.

W pokoju, przy czarnym pianinie, zwrócony plecami do wejścia siedział rosty mężczyzna. Brzdąkał jakiś monotony utwór i nie przerwał, by usłyszeć anonsującego Jovana. Na pianinie stała butelka grogu i otwarty futerał do skrzypiec.

- Dziękuję ci, Jovan. Wprowadź go - odpowiedział pułkownik.

Jovan powiódł Henryka do pokoju. Nauczyciel ruszył w stronę pianina, chcąc przywitać się z pułkownikiem, lecz Jovan pokręcił przecząco głową i wepchnął mu w wyciągniętą dłoń szklaneczkę parującego napoju, jednocześnie przedstawiając sobie mężczyzn:

- Pan pułkownik Musk... Pan nauczyciel Henryk, przez samo „h”.

Pułkownik przestał na chwilę grać, lecz nie obrócił się i nie przywitał z gościem.

- Henryk jak, nie dosłyszałem? - zapytał.

- Henryk Watra - odezwał się Henryk, poprawiając Jovana.

- Mam nadzieję, że nie zalało panu paleniska - powiedział pułkownik i znowu zaczął grać, ograniczając się jednak do powtarzanych z rzadka akordów.

- Niemądrze kąpać się w rzece, gdy na dworze hula jesienna burza.

- Nie miałem zamiaru się kąpać - wyjaśnił Henryk. - Poszedłem na brzeg naprawić naderwany pomost, no a dalej już pan wie.

- Rozumiem - rzekł pułkownik. - Porwał pana nurt. Takie jest życie.

Witamy serdecznie. Proszę się czuć jak u siebie w domu. Mam nadzieję, że się pan nie przeziębii.

- Nic mi nie będzie. Dziękuję za saunę i za tę szklaneczkę - odpowiedział Henryk i pociągnął długi łyk.

- Nie ma o czym mówić. Mieszkamy przecież nad tą samą rzeką. Jesteśmy niemal sąsiadami, choć do tej pory nie mieliśmy okazji się spotkać. Tak to często bywa z ludźmi, którzy mieszkają rozdzieleni rzeką. Rzeka skutecznie odgradza ludzi, czego może nie odczuwa się tak bardzo w mieście, lecz tutaj, na wsi, już tak. Granice wytycza się przecież, gdy tylko jest to możliwe, na rzekach. Czy zauważył pan, że nawet gdy ludzie wybierają się w odwiedziny łądzką, ograniczają się raczej do krewnych i znajomych mieszkających po tej samej stronie rzeki?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - przyznał Henryk.

- Napisałem kiedyś na ten temat artykuł socjogeograficzny do czasopisma geopolitycznego „Geopolis”. Wielu czytelników było zdumionych. Nigdy wcześniej nie przyszło im do głowy, iż rzeka rzeczywiście może stanowić czynnik ograniczający kontakty wewnątrz społeczności wiejskich oraz między dalekimi i bliskimi krewnymi, szczególnie zaś w okolicach, gdzie nie ma zbyt wielu mostów. No, ale pan odważnie przeprawił się na drugi brzeg.

- Być może dlatego, że nie czytałem pańskiego artykułu - powiedział Henryk.

Rozbawiony pułkownik pokiwał głową.

- Czy nie widział pan przypadkiem na trasie swojego spływu dość młodej jeszcze kobiety stojącej na brzegu niczym syrena? - zapytał.

- Owszem, przez krótką chwilę.

Pułkownik obrócił się na taborecie. Miał czarne okulary.

- To moja żona - rzekł. - Chodzi często na brzeg i wpatruje się w przepływającą wodę. Uwielbia wezbrane rzeki. W swojej rodzinnej wsi w Bośni zwykła wystawać godzinami nad brzegiem Bosny i marzyć, że wiosenny

przybór zabierze ją ze sobą gdzie bądź. Tam też ją znalazłem i później rzeczywiście zabrałem ze sobą. Zapytałem kiedyś, co też widzi w tej rzece, czego inni nie widzą. „Swoje życie”, odrzekła mi. Gdy zobaczyła pierwsze niesione z prądem zwłoki, przestała wystawać na brzegu. Ale teraz znów chodzi nad rzekę i ogląda swoje życie w meandrującym nurcie. Zastanawiam się, czy to dobry, czy zły znak.

Henryk odpowiedział, że nie potrafi orzec, gdyż nie zna osoby, o której mowa, niemniej zdążył usłyszeć, jak kobieta na brzegu się śmieje. Pułkownik wysunął przypuszczenie, że to dobry znak. Wtedy Henryk zauważył, iż żona pułkownika najprawdopodobniej śmiała się z niego.

- Tym bardziej - zawyrokował pułkownik. - Rzeczywiście komicznie pan wyglądał, miotając się na tych beczkach. Muszę panu wyznać, że nawet ja się uśmiełem.

Henryk zdziwił się, że także pułkownik przyglądał się mu z okna, gdy on płynął na tratwie.

- Nie widziałem tego na własne oczy - powiedział pułkownik. - Słyszałem relację. Z pewnością jednak nie byłoby mi do śmiechu, gdybym wiedział, że jest pan nauczycielem. Autorytet jest dla nauczyciela, podobnie jak dla oficera, sprawą życia i śmierci. Czego pan uczy?

W tym momencie w drzwiach pokoju ukazała się ciemnowłosa kobieta z prostą fajką w zębach, ta sama, która stała w świetle półksiężyca na skalistym brzegu i śmiejąc się z Henryka, machała mu ręką. Przyjrząwszy się w milczeniu Henrykowi, odchyliła głowę w tył i wydmuchnęła dym w stronę sufitu. Henryk spodziewał się, że kobieta wejdzie do środka i pułkownik ich sobie przedstawi, lecz ani ona nie weszła do środka, ani pułkownik ich sobie nie przedstawił.

- Proszę głośniej, nie usłyszałem - odezwał się pułkownik.

Henryk uświadomił sobie, że milczy, i spłonął rumieńcem. Obrócił się w stronę pułkownika, który wytrwale akompaniował ich rozmowie cichymi, molowymi akordami, i odpowiedział:

- Uczę historii.

I obrócił się ponownie ku żonie pułkownika, nie mógł się powstrzymać, przyciągała jego spojrzenie.

- Historii, naprawdę? Taki młody człowiek jak pan? A wiele pan z niej pamięta? - dopytywał się pułkownik.

- Całkiem sporo z tego, czego nie czytałem zbyt dawno temu - odpowiedział nieco zaskoczony Henryk.

- Nie pytam, co pan czytał. Chodzi mi o to, czy kiedykolwiek stanął pan z historią twarzą w twarz?

- Zależy, jak na to spojrzeć. Ostatecznie cały czas żyjemy historią. Nasze dziś jutro będzie już historią. Każda chwila to historia. Również ta chwila.

Wypowiedziawszy te słowa, Henryk znowu spojrzał ukradkiem w stronę drzwi, chcąc zobaczyć, czy kobieta zrozumiała, że gdy mówił „ta chwila”, miał na myśli właśnie tę chwilę, w której się spotkali. Ale ona zdążyła zniknąć. Zostawiła po sobie szybującą pod sufitem niebieską smugę dymu.

Było to jej drugie tajemnicze zniknięcie.

- To tylko teoria - odrzekł pułkownik - że żyjemy w historycznych czasach. Wszędzie się teraz o tym trąbi, choćby nie miało się wydarzyć nic poza tym, że wkrótce rozpocznie się nowe tysiąclecie. Albo że kobieta zostanie prezydentem Finlandii. Albo że pan zajdzie do nas i utniemy sobie miłą pogawędkę. Tymczasem spotkanie z prawdziwą historią wygląda jak spotkanie człowieka z szarżującym, rozjuszonym nosorożcem. Czy zderzył się pan kiedykolwiek z taką historią?

Henryk zastanowił się chwilę i przyznał, że jeśli przez historię rozumieć jakieś szczególnie dramatyczne wydarzenie, które zmieniło oblicze świata, to on osobiście takiego zderzenia nie przeżył.

- A ja tak - odezwał się na to pułkownik. - Najpierw w Libanie. Potem w Somalii. I na koniec w Bośni. Tam historia wprost rzucała się na człowieka. Ekspłodowała mu na oczach. Jak dynamit. Czy potrafi się pan obchodzić z

dynamitem?

- Materiały wybuchowe akurat mam opanowane - odparł Henryk. - Jestem podporucznikiem rezerwy wojsk inżynieryjnych.

- To się może panu przydać - rzekł pułkownik. - Dla mnie historia jest materia niezwykle wybuchową. Jak już mówiłem, to czysty dynamit. A nauczanie historii może być lontem. Czy zapalnikiem, jak pan woli.

- Nie podzielam pańskiej opinii - wtrącił Henryk. Pułkownik zignorował jego uwagę.

- Proszę zatem uważać, aby pan tym swoim nauczaniem historii nie uzbroił miny. Historia bowiem potrafi nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, wybuchnąć. Może upłynąć sześć lat, sto albo nawet sześćset, lecz prędzej czy później ta mina eksploduje.

- Pozwolę sobie się z panem nie zgodzić - odezwał się Henryk. - Tylko wyciągając wnioski z historii, a zwłaszcza z historii własnego narodu, możemy pojąć, kim jesteśmy i czym jest nasz dzień dzisiejszy, i tylko w ten sposób możemy ustrzec się przed powtórzeniem błędów naszych poprzedników.

Henryk rzeczywiście tak uważał, lecz własne słowa zabrzmiały mu jakąś fałszywą nutą.

- Tak to podobno jest - powiedział pułkownik sceptycznie. - Jovan, powiedz no, co pamiętasz z historii swojego narodu.

- Który naród ma pan na myśli? Serbów, Bośniaków czy Jugosłowian? - zapytał usłużnie Jovan.

- No i sam pan widzi - powiedział zniechęcony pułkownik, zwracając się znów do Henryka. - Sprawa gmatwa się nam już na samym początku, a powodem tego stanu rzeczy są odmienne ujęcia historii, rywalizujące ze sobą w ramach jednego i tego samego, wieloetnicznego państwa.

Jovan jakby szukał czegoś w pamięci. Po chwili powiedział, że jeśli chodzi o Jugosławię, to zakwalifikowała się do finału rozgrywek piłkarskich na olimpiadzie w Helsinkach, ale wygrali Węgrzy. Pułkownik zapytał, czyjego

zdaniem jest to ważne wydarzenie historyczne. Jovan odrzekł, że tak. Może i były ważniejsze, lecz on wybrał piłkę nożną, gdyż jest to temat stosunkowo neutralny. Pamiętał oczywiście inne wydarzenia, jak na przykład to, że w roku 1914 w Sarajewie, niedaleko mostu Principa na rzece Miljacka, pewien bośniacki Serb, niejaki Gavriło Princip, zastrzelił austriackiego arcyksięcia i jego małżonkę. Naturalnie most nazywał się wtedy inaczej, Lateinerbrucke.

Pułkownik zapytał, co Jovan sądzi o tych morderstwach. Jovan oświadczył, że jego zdaniem nie były to morderstwa, lecz całkowicie usprawiedliwione zabójstwa, a to dlatego że Austria przez setki lat ciemiężła Bośniaków, szczególnie zaś Serbów. Co prawda zamach spowodował wybuch pierwszej wojny światowej, lecz do wojny doszłoby tak czy owak, bo tak postanowiły Niemcy. Poza tym, to Austria zaczęła, wypowiadając wojnę Serbii. Co zaś się tyczy mostu, to gdyby wojnę wygrała Austria, dziś nosiłby imię arcyksięcia Franciszka Ferdynanda.

Jovan wspomniał również inne daty, jak chociażby rok 1804, kiedy Serbowie pod wodzą Jerzego Czarnego wznieśli bunt najpierw przeciw lokalnym janczarom, potem przeciwko samemu sułtanowi, roznosząc na szablach wielki oddział wojsk sułtańskich, który miał stłumić powstanie. W końcu sułtan musiał przyznać Serbom ograniczoną autonomię. Między Karadziordziewicami a Obrenowicami natychmiast rozgorzały żaźarte walki o władzę, które trwały sto lat. W tym czasie oba rody mordowały się nawzajem, wypędzały książąt i królów wrogiej dynastii, z których większość miała na imię Aleksander, Miłosz, Milan albo Michał.

Jovan wspomniał także rok 1805, kiedy Napoleon zajął Dalmację, Istrię oraz Słowenię i utworzył z nich Prowincje Iliryskie, którymi zarządzał marszałek Marmont. Żołnierze marszałka ścierali się z oddziałami bośniackimi, dowodzonymi przez agę z Bihacia, człowieka przerażająco wielkiego i szpetnego. Galopował on zawsze na czele swoich bojowników i siał popłoch wśród Francuzów, którzy na jego widok rzucali się do ucieczki. Wreszcie

Francuzi znaleźli w swoich oddziałach pochodzącego z Owernii jednookiego olbrzyma o przezwisku Fermont i posłali go w mundurze porucznika na samą szpicę. Podczas kolejnego ataku Bośniaków aga, ma się rozumieć, od razu wpadł na Fermonta, który łypał na niego swoim przekrwionym ślepiem i wyglądał tak przerażająco, że adze na chwilę odebrało wszelką chęć do walki, gdyż poraziło go palące poczucie winy z powodu dawnych, starannie ukrywanych grzechów, co z kolei przypomniało mu dwudziestą siódmą surę Koranu, tę, w której jest mowa o cudach i potworach dnia ostatniego, a zwłaszcza o żyjącym pod ziemią potworze al-Dadżdżał, zwanym również Szpiegiem, który w wyobrażeniach agi wyglądał dokładnie tak jak Fermont. Francuzi wykorzystali chwilę żarliwej modlitwy przerażonego agi i wzięwszy Bośniaków w dwa ognie, zadali im miazdzącą klęskę. Agę stratował jego własny koń. Fermont stracił drugie oko, ale przeżył, więc pozwolono mu zachować mundur porucznika, dzięki któremu zabezpieczył sobie znośną jałmużnę, gdy później na ulicach Clermont-Ferrand zebrał o kawałek chleba. Walki te nie miały jednak znaczenia dla niczyjej historii, bo już w roku 1813 Austriacy przepędzili Francuzów z Ilirii.

I tak Jovan cofał się powoli w głąb historii, aż doszedł do roku 1389, kiedy to Turcy pod wodzą sułtana Murada 1 pokonali na Kosowym Polu zjednoczone oddziały serbsko-bośniackie, dowodzone przez księcia Łazarza. Gdy skończył, pułkownik zapytał, czy sądzi, że z historii jego kraju można wyciągnąć jakąś naukę lub wniosek.

- Na pewno ten, że prześladują nas Muzułmanie - odrzekł Jovan. - I Chorwaci. Że nie wspomnę o Albańczykach.

Pułkownik spytał, czy Jovan mówi poważnie, czy też raczy sobie żartować. Jovan przyznał, że być może rzeczywiście nie mówił do końca poważnie, zaprzeczył jednak, jakoby raczył żartować.

- Nie mam w zwyczaju stroić sobie żartów z poważnych spraw - oświadczył. - Pragnę przypomnieć, że właśnie dla upamiętnienia bitwy na

Kosowym Polu obchodzimy co roku święto, przysięgając Muzułmanom krwawą zemstę.

Henryk nie potrafił zrozumieć, po co przysięgać krwawą zemstę z powodu tak starej sprawy.

- Po to, by podobne okropieństwa już nigdy się nie powtórzyły - odrzekł Jovan. - Sam pan powiedział: „Tylko wyciągając wnioski z historii, a zwłaszcza z historii własnego narodu, możemy pojąć, kim jesteśmy my, a kim nasi śmiertelni wrogowie, i tylko tak możemy ustrzec się przed powtórzeniem błędów naszych poprzedników, gdy następnym razem znów się zaczniesz”.

- Ja tak nie powiedziałem - zaprzeczył Henryk.

- Niemniej tak to jest - podsumował Jovan i zaczął mocnym, nosowym głosem śpiewać epicką pieśń Vuka Karadžicia o chwalebnym zniszczeniu królestwa Serbii:

Lazarze, świetlisty carze, o którym królestwie marzysz? Czy pragniesz tego wiecznego, czy kosowskiego, ziemskiego?

Pułkownik wziął w dłonie skrzypce i zaczął przygrywać Jovanowi, szarpiąc struny niczym gęślarz.

Gdy ziemską władza cię kusi, dosiadaj konia i ruszaj! Z Turczyńcem się zewrzyj srogim, na trzy dni, dwie noce straszne! Śmierć skosi twoje szeregi, żywym do Serbii nie wrócisz!

Pułkownik zawtórował niskim barytonem:

Lecz jeśli wybrałeś Boga, zwycięstwem jest twoja klęska! Rycerzy nie zmoży droga, do nieba pójdą twe wojska!

Jovan i pułkownik umilkli, gdyż wzruszenie odebrało im mowę. Pułkownik podziękował Jovanowi za pouczający wykład historii.

- A więc dlatego to dzisiejsze święto, z okazji tej miażdżącej klęski? - zapytał Henryk.

- Nie - odparł pułkownik. - To święto obchodziliśmy dwudziestego ósmego czerwca.

- Strzelaliśmy wtedy w powietrze i wyliśmy jak wilki - przypomniał Jovan.

- Szkoda, że wtedy pan tutaj nie zbłądził - powiedział pułkownik. - Nawet policja przyjechała, muszą dbać o pozory. W końcu dobrze wiedzieli, co się tu będzie święcić i w jaki sposób. Jest to jubileusz na tyle zrównoważony, że nawet Muzułmanie mogliby go obchodzić, gdyby tylko chcieli. Koniec końców, to wyście wtedy zwyciężyli.

- Myśmy? Jacy „myśmy”? - zdziwił się Henryk.

- Wasi. Muzułmanie. Jovan mi powiedział, że jest pan muzulmaninem.

- Nie jestem - Henryk zaprzeczył stanowczo i spojrział z wyrzutem na Jovana. - Myślałem, że ta sprawa została już ostatecznie wyjaśniona.

- Nie pierwsze to i nie ostatnie nieporozumienie - skwitował pułkownik. - Zdarzało się już, że ludzie nie chcieli się przyznać do tego, że są muzulmanami, albo po prostu o tym zapominali. To bardzo przykre i zupełnie niepotrzebne. Nasz dom jest otwarty także dla muzulmanów. Czy raczej byłby, gdyby był domem otwartym.

- Mimo wszystko, nie jestem muzulmaninem - oświadczył Henryk.

- Słyszałeś na własne uszy - pułkownik zwrócił się do Jovana. - Nie jest muzulmaninem. W związku z powyższym tę sprawę uznajemy za zamkniętą raz na zawsze.

Jovan skłonił się i wyszedł.

- Co się tyczy historii, to najważniejszą część mamy już za sobą - stwierdził pułkownik, jak gdyby wykazał właśnie słuszność tezy, że do zagadnienia nauczania historii należy odnosić się negatywnie lub, w najlepszym razie, z dużą rezerwą.

- Rozumiem pański punkt widzenia - odparł Henryk, choć zupełnie nie pojmował, do czego pułkownik zmierza. Odstawił szklaneczkę na ławę przy sofie, podziękował za gościnność i oznajmił, że niestety musi już iść.

- Rozumiem - powiedział pułkownik. - Być może ktoś czeka na pana w

domu.

- Z pewnością już nie - odparł Henryk, mimo że nie był tego pewny.

- Wobec tego, niechże się pan tak nie spieszy, proszę zostać jeszcze chwilkę - poprosił pułkownik. - Moja żona koniecznie chce dla pana zagrać. Jestem być może stronnicy, lecz zapewne nie przesadzę, gdy powiem, że jest wyborną skrzypaczką.

Nie wiedzieć jak i kiedy, kobieta ponownie zmaterializowała się w drzwiach pokoju, jakby tylko czekała na wezwanie męża. Tym razem nie miała fajki. Uśmiechnęła się do Henryka szeroko. Jej dolne zęby były śnieżnobiałe i czarująco nierówne.

Nie patrząc w jej stronę, pułkownik rzekł:

- No i proszę, już jest! Moja żona Mavra, a to pan Watra, nauczyciel historii. Ale wyście się już widzieli, przez przelotną, lecz potencjalnie historyczną chwilę.

Mavra wyciągnęła do Henryka dłoń wierzchem do góry. Henryk uchwycił ją i już miał pocałować, ale kobieta cofnęła rękę i parszając śmiechem, rzekła:

- Witam, panie... Buster Keaton!

- Przepraszam w imieniu żony - na ustach pułkownika pojawił się cień uśmiechu. - To prawdziwe dziecko natury. Niechże pan jednak pozwoli mej żonie rozgrzać pana swoją grą. Mavra, *molim te!*

ROZDZIAŁ SZÓSTY

MAVRA

Henryk zgadywał, że musi to znaczyć „proszę” albo „zaczynaj” po serbsku. Nieważne. Mavra ułożyła skrzypce pod brodą, przeciągnęła smyczkiem po strunach i przez chwilę go napinała. Pułkownik zagrał pierwsze takty, Mavra weszła w takt na synkopie. Henryk przeszedł w głąb pokoju, rozsiadł się w fotelu i zdjął z głowy ręcznik. Turban wydał mu się nagle śmieszny. Niespodziewanie wyrósł przed nim Jovan, podał mu kolejną szklaneczkę parującego trunku i odstąpiwszy taktownie kilka kroków od fotela, stanął za nim, nieco z lewej strony, zaplatając ręce z tyłu.

Utwór przypominał ludową kompozycję rosyjską, rytm kołysał się i synkopowo utykał, a choć melodia była wesoła i frywolna, przebijał przez nią smutek i żal.

Gdy Mavra przyciskała skrzypce do szyi, pod jej brodą pojawiał się drugi podbródek, który zniknął, kiedy podniosła głowę do sufitu. Czarne włosy falowały w rytm muzyki jak w reklamie szamponu, pierś unosiła się i opadała, usta miała zaciśnięte, a policzki czerwone. Oderwała wzrok od sufitu i spojrzała na Henryka. Zarumienił się i zdziwiło go to, lecz nie odwrócił wzroku, choć nie miał pewności, czy kobieta rzeczywiście patrzy mu w oczy, czy też gdzieś daleko, przez niego. Może w ogóle niczego nie widzi, kiedy gra? Od czasu do czasu Mavra zamykała oczy, a gdy je znów otwierała, błyskała białkami, jak gdyby omiatała spojrzeniem sufit i ściany pokoju. Znienacka wbijała oczy z powrotem to w Henryka, to w Jovana, by następnie szukać kolejnego punktu oparcia w dużym akwariu przy drzwiach.

Przewraca oczami jak szaman, ale widzę, że gra dla mnie, dla mnie przede wszystkim - pomyślał Henryk i poczuł podniecenie. Czy zagrała wyłącznie dlatego, że rozkazał jej pułkownik, czy też chciała mi wynagrodzić

kpinę z niefortunnej przygody na rzece? Jakie to miało znaczenie?

Henryk jeszcze nigdy nie słyszał, by ktoś tak grał. Muzyka chwyciła go za serce, szarpała wnętrzności, niemal wyciskając łzy. Wpatrywał się w perski dywan pod stopami, błędził wzrokiem po okalającym go ornamencie, i w głębi serca przeczuwał, co go tak męczy. Ponownie spojrzął na kobietę, która rzuciła mu przeciągłe spojrzenie, i tym razem nie miał wątpliwości, że patrzy na niego. Gdy po raz ostatni wybrzmiał motyw przewodni i tempo zaczęło zwalniać przed spokojnym finałem, Henryk poczuł, że jego serce na chwilę zamarło - i tak się zakochał w żonie pułkownika.

Przez piętnaście sekund, które upłynęły od momentu zakochania do ostatniego akordu utworu (zmierzył ten czas później, gdy słuchał specjalnie kupionej płyty kompaktowej, bo dokładnie pamiętał, w którym momencie serce przestało mu bić), zdążył pomyśleć, że zakochał się w żonie drugiego mężczyzny, że sytuacja jest niemożliwa, że nie ma nic na swoje usprawiedliwienie i nawet nie mógłby nic znaleźć. W jego życiu miał się dokonać wielki przełom, być może już się dokonał. Od tej pory będzie się zachowywać tak, jakby nie odpowiadał za swoje czyny, słowa i myśli.

Gdy melodia wybrzmiała, żona pułkownika pochyliła głowę w lekkim ukłonie. Henryk skoczył na równe nogi i uniósł dłonie, lecz klaskanie w pojedynkę wydało mu się idiotyczne, więc pokłonił się głęboko skrzypaczce i jej mężowi. Chciał im podziękować, lecz nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Mavra złożyła skrzypce do futerału i znów zniknęła w sąsiednim pokoju.

Przeczuwając zakłopotanie swej widowni, pułkownik przeprosił, że zapomniał podać nazwy utworu. Była to *Pieśń rosyjska* z małej opery Strawińskiego, której nazwa, ciekawym zbiegiem okoliczności, brzmi tak samo, jak imię jego żony: Mavra. Strawiński zaadaptował ją na skrzypce dla amerykańskiego wirtuoza Samuela Dushkina, który pomagał mistrzowi w pracy i w ten sposób przeszedł do historii muzyki. Pułkownik i jego żona wybrali ten mały duet na koncert powitalny dla pana Watry, niespodziewanego przybysza z

drugiego brzegu. Zagraliby chętnie coś dłuższego, lecz domyślili się, że gość z wytęsknieniem myśli już o powrocie do domu po niefortunnej przygodzie, bez względu na to, czy ktoś na niego czeka, czy też nie.

- Tylko pies - powiedział Henryk.

- Oczekiwanie psa jest częścią wiecznego cyklu, który nie ma początku ani końca - wyrzekł aforystycznie pułkownik. - Mniemam, że Jovan z przyjemnością odwiezie gościa do domu, mam rację?

Jovan zrobił krok naprzód, jakby występował przed szereg, i odpowiedział:

- Oczywiście.

Pułkownik krzyknął w stronę drzwi, że gość zbiera się do wyjścia, i do pokoju wpadła Mavra z fajką w zębach, uniosła dłoń jak do pocałunku i znowu ją cofnęła, nim Henryk zdążył rozstrzygnąć, czy poważić się na pocałunek, czy tylko uścisnąć.

Znalazł wreszcie stosowne słowa, podziękował pułkownikowi i jego żonie za gościnność, saunę, suche okrycie i wspaniały koncert, a panu Jowanowi za uczynność, i dodał, że przestało już lać, więc bez trudu dojdzie do domu na piechotę. Pułkownik kategorycznie się temu sprzeciwił i przypomniał, że chcąc się dostać na drugi brzeg rzeki, gość musiałby najpierw przejść wiele kilometrów do najbliższego mostu, a potem przebyć taki sam szmat drogi z powrotem, co, wzięwszy pod uwagę jego wcześniejszą przeprawę, byłoby przedsięwzięciem męczącym i zupełnie niepotrzebnym, a poza tym po saunie nie zaleca się długich marszy, tym bardziej w pożyczonym, zbyt obszernym ubraniu i tureckich pantoflach. Mavra spojrzała na spiczaste ciżmy na nogach gościa, wyjęła fajkę z ust i parsknąwszy śmiechem, wybiegła z pokoju.

- W ten sposób często stara się pokryć swoją nieśmiałość - wyjaśnił pułkownik.

Ta kobieta jest niemal dwa razy młodsza od męża. Dlaczego żyje z takim starym mężczyzną? - myślał Henryk. Co ona w nim widzi? Teraz zobaczyła

mnie, wpatrywała się nawet i oczarowała mnie swoją grą, nie przestaje jednak być żoną pułkownika.

Na głos powiedział jednak, że absolutnie nie ma jej tego za złe. Zaśmiał się i poruszył palcami stóp, chcąc pokazać, że umie się śmiać także z siebie. Ale pułkownik nie spojrzał na bambosze, które pożyczył Henrykowi, gdyż wpatrywał się w wieczny, zaokienny mrok. Roztargnionym gestem wyciągnął rękę po stojącą na pianinie szklaneczkę, lecz nie trafił i przewrócił ją. Zaklął szpetnie, próbował niezdarnie namacać puste szkło, ale szklaneczka spadła na podłogę i potoczyła się pod sofę.

Jovan pospiesznie wytarł pudło pianina i podłogę. Henryk zdumiał się nieporadnością oficera.

- Mam przynieść drugą? - zapytał Jovan.

- Gdybyś był tak uprzejmy - odparł pułkownik, po czym podniósł się z taboretu i po raz pierwszy obrócił twarzą w stronę Henryka. Okulary były okrągłe, czarne i nieprzezroczyste, z boku miały szczelnie przylegające do oczodołów, również czarne osłony. Pułkownik wyciągnął dłoń, która nieznacznie minęła się z ręką Henryka.

Henryk skłął się w duchu za niedomyślność. Przecież powinien był to dostrzec wcześniej. Pułkownik był niewidomy. Tego jeszcze brakowało.

- No, do zobaczenia - rzekł pułkownik. - Proszę nas jeszcze kiedyś odwiedzić. Niechże pan jednak przybędzie łądem, a jeśli już koniecznie będzie pan chciał przepłynąć się przez rzekę, proszę wybrać bezpieczniejszą jednostkę.

Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie. Dłoń pułkownika była duża, sucha i mocna.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

KOBIETA JAK CIEŃ

Henryk siedział w milczeniu na tylnym siedzeniu białego mercedesa pułkownika, przed oczami miał wciąż te same obrazy: promienną twarz Mavry, jej kształtne piersi i lewą dłoń, tańczącą niczym wielki bielinek na szyjce skrzypiec.

Myśli kołowały mu w głowie niczym zagubiony wędrowiec w puszczy.

Wewnętrzny głos łąał go krzykliwie: „...jakież to głupie, niewiarygodne, bezsensowne, patetyczne, po co ci ten ból, bezwstydniku...”. Sam dobrze o tym wiedział, lecz nie zwracał na to uwagi.

Jovan przyglądał się pasażerowi we wstecznym lusterku. Nauczyciel utkwił niewidzące oczy w rozmazanym lesie, na ustach zastygł mu nieobecny uśmiech ostatecznego poznania. Jovan ścisnął mocniej kierownicę i znów spojrział na drogę, musiał uważać na oba pobocza, bo w każdej chwili na szosę mógł się wtoczyć łoś.

A zatem nauczyciel zakochał się w Mavrze. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nie on jeden zresztą. Nie pierwszy i zapewne nie ostatni.

Więc tak to się zaczyna, od pierwszej chwili, od pierwszego spojrzenia, w jednym, niepojętym przebłysku?

(Gdybym potrafił to przewidzieć, własnoręcznie bym go udusił i od razu wrzucił do rzeki).

Henryk siedział w stanie katatonicznego zadurzenia, nie mogąc wypowiedzieć ani słowa. Po jakimś czasie udało mu się jednak przegnać na chwilę natrętne myśli i otworzyć usta. Powiedział Jowanowi, że nie od razu zauważył, iż pułkownik jest niewidomy, że zorientował się dopiero wtedy, gdy ten wstał i podał mu rękę.

Jovan odparł, że to zrozumiałe, bo w końcu pan pułkownik wcześniej nie

wstawał od pianina i nie patrzył w jego stronę.

- Ale właśnie dlatego powinienem był się domyślić - powiedział Henryk. - Niczego nie podejrzewałem, bo tak wybornie akompaniował żonie. Nie byłoby to łatwe nawet dla widzącego pianisty.

- Szczególnie dla widzącego - odrzekł Jovan. - Pan pułkownik lubi powtarzać, że jemu wolno się pomylić. W końcu nikt nie będzie się czepiał niewidomego, i to jeszcze takiego, co ma trochę w czubie. Prawda jest jednak taka, że pan pułkownik nie robi błędów nawet wtedy, gdy ma w czubie.

(Może bym go nie udusił, tylko troszku pociąłem, dziabnął tu i ówdzie tym jego scyzorykiem).

Henryk zapytał, czy Mauzer to pies przewodnik pułkownika.

- Maotse - poprawił go Jovan.

- Jak, przepraszam? - spytał Henryk.

- Wabi się Maotse i nie był tresowany na przewodnika - odpowiedział Jovan.

Pułkownik wychodził z domu na spacer czy do miasta najczęściej w towarzystwie żony lub Jovana. Gdy poruszał się sam, używał bambusowej laski z rączką, bo białej laski nie lubił.

Przez chwilę znów jechali w ciszy.

(Dobrze, że go nie pociąłem. Nie pokroiłem w plasterki. Nie zadusiłem jak psa. Nie zrozumiałby dlaczego. Gdybym zabił go teraz, nadal by nie wiedział. On jest nieświadomy, nie w pełni władz umysłowych. Trzeba go oświecić).

Jovan pierwszy przerwał milczenie, mówiąc, że pan pułkownik stracił wzrok w Bośni, gdzie przebywał jako obserwator wojskowy sił pokojowych ONZ. Wjechał dziupem na minę w masywie Trebovaca niedaleko Doboju, gdzie kręta, górską drogą kończy się w wiosce Zelinja.

Wszystko to Jovan powiedział Henrykowi z własnej nieprzymuszonej woli, gdyż przypuszczał, że nauczyciel bardzo chciałby to wiedzieć i zresztą

prędzej czy później sam by o to zapytał. Powiedział mu to, bo chciał, żeby zrozumiał aluzję i wyciągnął z niej odpowiednie wnioski. Jedynie słuszne.

Dodał jeszcze, że pan pułkownik został ranny także w inne części ciała. Gdzie dokładnie i jak poważnie, tego powiedzieć już nie może, bo jest to prywatna i intymna sprawa pana pułkownika.

Henryk zastanawiał nad słowami Jovana i nad tym, jak na nie zareagować, w końcu wyraził opinię, że rany odniesione podczas służby w siłach pokojowych przynoszą żołnierzowi wielką chwałę. Powiedział, że odczuwa wobec pana pułkownika głęboką wdzięczność i szczerze mu współczuje. Dodał jeszcze, że być może zabrzmiało to patetycznie, lecz tak jest naprawdę.

- Przecież pułkownik mógł zginąć - zakończył Henryk.

W uszach Jovana ostatnie słowa Henryka zabrzmiały jak nieziszczona nadzieja, choć nauczyciel na pewno nie miał nic złego na myśli. W każdym razie nie wtedy, gdy to mówił. Może dopiero po chwili wyrwało mu się w myślach kolejne zdanie: „Właśnie, dlaczego pułkownik nie zginął?”, i teraz ganił się w duchu za tę niesforną myśl. Ale jak odsunąć od siebie niesforne myśli?

Jovan uznał, że nauczyciel z pewnością żywi jeszcze jedno nieziszczalne życzenie: aby się okazało, że Mavra wyszła za pułkownika z litości. Albo dlatego że chciała uciec jak najdalej od nędzy i wojny. Albo jedno i drugie. Zastanawiał się, który powód przeważył w myślach nauczyciela. Najchętniej widziałby w Mavrze świętą Klarę, która wyrzekła się doczesnego szczęścia i podążyła za swoim Franciszkiem z Asyżu, za swoim rannym bohaterem, ośleplym pułkownikiem. Jednocześnie nauczyciel rozumie i w pełni akceptuje ten drugi powód, wychwalając pod niebiosa jej zdrowy instynkt samozachowawczy, bo dzięki niemu Mavra jest dziś tutaj, a on może ją pożerać oczami i stawiać na piedestale miłości, która rozpałała mu serce pół godziny temu. Teraz nauczyciel ma tak przegrzany mózg i tak rozkołatanę serce, że

nawet nie dopuszcza myśli, iż Mavra mogłaby wyjść za pułkownika z jakiegoś innego powodu, na przykład z czystej miłości. Jego zdaniem nie jest to możliwe. Młodemu człowiekowi nie mieści się w głowie, że uczucie, które nim owładnęło i którego nie mógł przecież odrzucić, gdyż było nieodwołalnym zrządzeniem losu, nie jest pod żadnym względem wyjątkowe, ponieważ nieodwołalnym zrządzeniem losu rozpala serca wielu innych ludzi, i że właśnie takie uczucie mogło połączyć Mavrę z pułkownikiem. A może nie przeszło mu to nawet przez myśl? Skoro jej nawet nie dopuszcza.

Jovan zjechał z drogi na podwórze Henryka. Spod drzwi wybiegł im naprzeciw długowłosa, pstrokaty owczarek. Jo-van skręcił w prawo, pies także, więc odbił w lewo, lecz i tam był jakiś pies, znów ten owczarek. Wcisnął hamulec, lecz koła tylko zabuksowały na żwirze i auto sunęło siłą rozpędu prosto na psa. Owczarek zastrzygł uszami, poprzebierał łapami w miejscu, zupełnie jak na kreskówce, i dopiero w ostatniej chwili złapał przyczepność i popędził ze skowytami na schody werandy.

Henryk przeprosił za zachowanie swojego psa, podziękował za podwiezienie do domu i w ogóle za wszystko, wysiadł z samochodu i ruszył w stronę drzwi, strofując czworonoga. Owczarek przywarł do ziemi i patrzył na niego przepraszająco. Jovan znał to spojrzenie i wiedział, co znaczy: to z miłości.

Gdy Jovan wrócił, pułkownik ciągle siedział przy pianinie i pogrążony w myślach brzdąkał złamane akordy, próbując różnych gatunków muzycznych. Jovan zapytał, czy pan pułkownik życzy sobie może herbaty przed udaniem się na spoczynek. Pułkownik nie chciał niczego. Mówił cicho, jakby do siebie:

- Skąd mi się wzięła ta myśl, że historia się powtarza? Czy to ma związek z tym nauczycielem? A może raczej historia składa się z wielu identycznych części, które dzielą się potem na mniejsze kawałki i tak dalej, jak fraktale, tak że to, co się wydarzyło w punkcie „a” w czasie „ai”, wydarzy się w punkcie „b” w czasie „bi” według niemal niezmienionego wzoru i potem w „c” w czasie „ci”, i

tak dalej.

Jovan wstawiał butelki z powrotem do barku i miał nadzieję, że pułkownik o nic go nie spyta.

- Co ty o tym sądzisz? - zapytał pułkownik.

- Przepraszam, ale straciłem wątek już w punkcie „a” - odrzekł Jovan.

- Przez historię rozumiem w tym przypadku historię najnowszą, która dokonała się bardzo niedawno i bardzo blisko nas - rzekł zamyślony pułkownik, jakby mówił do siebie, i dopił swój grog.

- Cóż można na to powiedzieć? - wyrzekł retorycznie Jovan, chcąc zyskać na czasie.

- Mógłbym przysiąc, że wyczułem bijący z oczu Mavry niespotykany blask, choć jej spojrzenie ledwie mnie musnęło. Patrzyła gdzieś obok mnie i to jest pewne. Tego, gdzie patrzyła, nie mogę być już tak bardzo pewny. Mogę się jedynie domyślać - ciągnął pułkownik, znowu czekając na opinię Jovana.

- Nie mogę powiedzieć - odezwał się Jovan. Pułkownik zdawał się nie dostrzegać dwuznaczności tej odpowiedzi.

- Po co bawię się w zgadywanki? - pułkownik sam był sobą zdziwiony. - Powiem tak: „Bawię się w zgadywanki, zastanawiam i zachodzę w głowę, bo nie chcę mieć całkowitej pewności”. Nie po raz pierwszy. Bo nie chcę wiedzieć, jak ta sprawa przedstawia się naprawdę. Nie tylko ta.

- Pewność jest jak cień. Nieosiągalna - odrzekł Jovan. Pułkownik wstał, chwycił swoją bambusową laskę i pewnym krokiem ruszył do drzwi, niczego nie potrącając. Był w końcu u siebie. W drzwiach się obrócił.

- Jak kobieta - rzekł. - Co?

- Kobieta jest jak cień. Kiedy ją złapiesz, ucieka, gdy ty uciekasz, ona biegnie za tobą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

JAŚMINOWY ZAPACH POŚCIELI

Drzwi wejściowe nie były zamknięte, przecież wyszedł z domu na chwilę, zabezpieczyć pomost. Owczarek, suka Tsuikka, biegła przed nim i w progu kuchni wpadła mu prawie pod nogi. Szczekała, machała ogonem i tarzała się na dywaniku, okazując tak wielką radość, jakby nie widziała go pół roku. Może przeczuwała, że o mało co jej pan, wyszedłszy z domu wieczorową porą, nie wróciłby w ogóle. Gnębiło ją jednak trochę nieczyste sumienie, bo z powodu wichury i deszczu nie poszła za nim. Nie omieszkała go jednak delikatnie skarcić za to, że wybrał się na rzekę w taką pogodę.

- Solveig jeszcze w domu? - Henryk zapytał Tsuikkę, która obwąchiwała mu nogawki i wyczuwając zapach obcego psa, warczała cicho na nieznanomego konkurenta. Henryk zawołał Solveig, Tsuikka zaszczekała do wtóru. Kiedy wychodził, Solveig siedziała w izbie i oglądała telewizję. Światło ciągle się paliło, lecz w środku nie było nikogo. Na stole stały dwie puste butelki po białym winie, z jego prywatnych zasobów. Obok leżała kopia rękopisu ostatniej książki Solveig, którą obiecał przeczytać. Była to gruba powieść, akcja rozgrywała się w majątku ziemskim. Solveig była pisarką.

Henryk zajrzał do innych pokojów i stwierdził, że dom jest pusty. Odetchnął z ulgą. A zatem ich sesja literacko-erotyczna dobiegła końca. Drugiej już nie będzie. Nigdy.

Tsuikka zaczęła skomleć i prosić o jedzenie, unosząc przednią łapę. Henryk przeszedł do kuchni i nałożył jej do miseczki karmę z puszki. Jadła ze sztuczną łapczywością, jakby nie widziała jedzenia od tygodnia. Potem połknęła jeszcze kilka kawałków z ręki swojego pana, pieczętując tym samym ich odnowioną, wiecznotrwałą unię. Wpatrywała się w Henryka, a jej oczy mówiły: „Już nigdy więcej mnie nie zostawiaj”.

W pracowni na stole szumiał cicho komputer, po ekranie przelatywały w tę i z powrotem fantazyjne ptaki. Henryk nacisnął klawisz spacji i na monitorze wykwitł nagle nieprzerwany ciąg dużych liter, napisanych agresywną, wytłuszczoną czcionką, zakończony pytajnikiem i wykrzyknikiem. Nie przypominał sobie, by coś takiego napisał, najwyżej przez przypadek. Już miał usunąć tekst, gdy dotarło do niego, że znaki interpunkcyjne na końcu rzędu nie mogły się pojawić w wyniku przypadkowego naciśnięcia klawiszy:

**„AHTSFHZTAVXBLSERAVEIMSDZDCLBLIYAPFDNFPN-
NANTSEWPRAFYCWCNIEKLPLXP?!”**

Nad klawiaturą unosił się subtelny, jaśminowy zapach Solveig. A zatem ów tajemniczy ciąg znaków był wiadomością od niej.

Solveig odczuwała nieodparty pociąg do tajemniczości. Miała w zwyczaju wysyłać mu pocztą elektroniczną do domu i czasem do pokoju nauczycielskiego szyfrogramy, aby nikt poza nim nie mógł ich odczytać, choćby siedział tuż obok. Tak na wszelki wypadek, tłumaczyła, twierdząc, że jej mąż jest o nią chorobliwie zazdrosny. Henryk w to nie wierzył, bo jego zdaniem wojewodzie było już zupełnie obojętne, gdzie i z kim spotyka się jego żona. Poza tym, zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że gdyby Solveig rzeczywiście bała się zdemaskowania, w ogóle nie wysyłałaby do niego szyfrogramów. Ona jednak uważała, że wymyślono je właśnie po to, aby móc się komunikować, nie narażając na wpadkę.

Najczęściej Henryk nie trudził się ich rozwiązywaniem, gdyż dobrze wiedział, że niecierpliwa Solveig sama zadzwoni i powie, co napisała, a potem zacznie się rozwodzić nad użytym systemem kodowania znaków.

Nieskładny szereg liter na ekranie uwłaczał mu jak pijana kompania kapralowi. Mógł kryć zaklęcie, przekleństwo, modlitwę lub wołanie o pomoc. Postanowił je odczytać.

Wiadomość została zaszyfrowana klasycznym algorytmem Vigenere'a. Sob/eig już go kiedyś używała. Tablica algorytmu składała się z dwudziestu

sześciu rzędów liter, z których każdy rozpoczynał się od kolejnej litery alfabetu. W jednym z katalogów Henryk znalazł odpowiedni plik, otworzył go i nad tablicą wkleił rząd liter.

Odgadnięcie słowa kluczowego nie było szczególnie trudne, Solveig pozostawiała zawsze jakieś wskazówki. Ostatecznie Henryk miał przecież umieć odczytać szyfrogram. Inaczej cała zabawa byłaby bez sensu. I tak była. W tym wszystkim chodziło jej chyba o to, aby się dla niej trochę wysilił.

Henryk zaczął szukać wskazówek dookoła siebie. W pracowni niczego nie znalazł. Na stole w izbie, pod butelką chianti, leżał atlas ptaków, którego wcześniej tam nie było. Słowem kluczowym mogła być zatem nazwa ptaka. Postawił na skowronka. Tak ją nazywał w chwilach słabości, Sol-veig bowiem w stanie podniecenia zaczynała czasem, ni stąd, ni z owad, trelować. Lecz skowronek nie zdał się na nic. Próbował też słowa „ptak”, ale i to nie pomogło. Podobnie jak „wino”, „chianti” i „Włochy”. Postanowił połączyć ornitologię z Włochami. W słowniku znalazł włoską nazwę skowronka: *allodola. Piccolo uccello canoro...* Skowronek. Mały ptak śpiewający. Długie skrzydła, ziemistoszary. Treluje w okresie godowym.

Allodola to był strzał w dziesiątkę. Rozszyfrował wiadomość i zapisał ją w postaci jawnej: „awieictotakmnietraktujeszdraniuapuszczeniebieraunotociezabije?!”.

Pytajnik i wykrzyknik nie były częścią szyfrogramu. Zostały dodane później.

W sypialni zdjął pożyczone rzeczy i naszykował sobie indyjską bawełnianą bluzę, spodnie khaki oraz mokasyny, ale nie założył ich, tylko rzucił się na łóżko.

Zamknął oczy i próbował wyczarować w duchu panoramiczny obraz Mavry grającej dla niego solo i patrzącej mu prosto w oczy. Ale jakoś nie mógł. Gdy wreszcie udało mu się wyświetlić ją na swoim wewnętrznym monitorze, wrywała się dziko i obraz nie chciał się ustabilizować. Jej spojrzenie błędziło

na wszystkie strony, a gdy wreszcie spoczęło na nim, okazywało się puste i obce, a oczy nieco zezowały. Jej gry nie było słycać, jak w telewizorze z wyłączonym głosem. Henryk złościł się, że ma tak kiepską wyobraźnię. Wtedy zrozumiał, że nie słyszy w myślach utworu, ponieważ go nie zna.

Bez trudu za to udało mu się uchwycić przelotne wspomnienie Mavry śmiejącej się na brzegu rzeki, obraz trzymanej w ustach fajki i jej uśmiechniętej twarzy w drzwiach pokoju pułkownika. Zatrzymał go na chwilę. I tak Mavra ukazała mu się łaskawie na okamgnienie, by po chwili znów rozpląnąć się w niewytłumaczalny sposób, zupełnie jak Kot z Cheshire w Krainie Czarów. Lecz Henryk był wdzięczny i za tę chwilę.

Tsuikka piszczała w izbie, była spragniona jego towarzystwa, lecz Henrykowi nie chciało się podnosić z łóżka. Był to dobry, solidny mebel, szerokie małżeńskie łoże, które sam zrobił. Ramę zbił z własnoręcznie heblowanych świerkowych belek, wspierających niegdyś boki inspektów. Materace były pierwszorzędne, szwedzkiej produkcji. Ale żona i tak się wyprowadziła.

Miała ona oczywiście imię, lecz Henryk, z racji jej szarej skromności, nazywał ją Myszka. Na tym jej jedynym zdjęciu, tym, na którym Myszka obejmuje swoją matkę, nie było już nawet nic widać. Matka też była na nim zupełnie bezbarwna.

Fotografia była dziełem Henryka. Teściowa siedziała wtedy na swoim biedermeierze i oglądała w telewizji jakiś program edukacyjny. Przypominająca lalkę kobieta prowadziła właśnie lekcję języka japońskiego dla początkujących: „Proszę powtórzyć za mną pytanie”. „Suiei ła tanosikatta desu ka?” - powtórzyła posłusznie teściowa i przetłumaczyła zdanie: „Czy na plaży było przyjemnie?”. Henryk sądził, że teściowa kieruje pytanie do niego, więc odpowiedział, że nie był na plaży, tylko w sklepie. Teściowa zapytała, czy przyniósł klubowe. „Klubowych już nie produkują - odezwała się Myszka cierpliwym głosem. - Od dziesięciu lat. Poza tym, przerzuciłaś się na mentolowe”. Matka spytała, czy w

związku z powyższym jej tak zwany zięć przyniósł ze sklepu mentolowe. „Te zielone?” - Henryk przyznał, że zapomniał o papierosach i kawie. Myszka spytała, dlaczego nie przeczytał kartki z listą zakupów. Zapisała mu na niej, czego brakuje. Henryk wziął kartkę ze stołu. „Dlaczego była na stole?” - zapytała Myszka, choć dobrze znała odpowiedź. „Zapomniałem ją zabrać” - odpowiedział Henryk. „Tyle go to wszystko obchodzi, że nawet o głupiej kartce nie chce mu się pamiętać” - skwitowała teściowa. Henryk odpowiedział, że jeszcze wchodząc do sklepu, pamiętał, co ma kupić, ale potem zaczął myśleć o czymś innym. Myszka była ciekawa, o czym innym poza zakupami można myśleć w wiejskim sklepie. Henryk powiedział, że przysła akurat do sklepu babcia Faltowa, po raz trzeci tego dnia, i chciała kupić to samo, co przedtem. Razem ze sprzedawczynią próbował ją przekonać, że już zrobiła zakupy, przy czym trzeba było uważać, aby jej nie urazić. Teściowa zapytała, kto mu dał prawo wymyślać starym ludziom od sklerotyków, skoro sam nie pamięta, co trzeba kupić. Henryk puścił uwagę mimo uszu i powiedział, że za chwilę wybiera się do miasta, więc tam kupi kawę i papierosy. Teściowa mruknęła znacząco, uniosła w górę palec i kiwając nim, rzekła: „Mąż idzie się powiesić. Żona mu mówi: «Jak będziesz wracał, przynieś czerwonej materii na suknię»,,.

Henryk nie zrozumiał. Myszka też nie. „Perskie przysłowie” - pouczyła ich. Henryk zapytał, jak się to ma do tematu ich rozmowy, bo on nie widzi związku. „Jak piernik do wiatraka. Nie fatyguj się z mojego powodu” - odrzekła teściowa. Henryk powiedział, że to żadna fatyga, przy okazji wstąpi do redakcji i zostawi im felieton. Wtedy pisywał jeszcze do lokalnej gazety. „Byle tylko nie siedzieć w domu” - burknęła stara. Myszka spojrzała na Henryka i zapytała, czy rzeczywiście tak uważa. Henryk jęknął. Czy on coś powiedział, pisał choć słówko? „Idźcie się kłócić gdzie indziej” - fuknęła teściowa. Myszka odpowiedziała, że wcale się nie kłócą, że to nie jest kłótnia. „A niby co?” - zdziwiła się jej matka. Henryk zauważył, że do kłótni dochodzi zazwyczaj wtedy, gdy ktoś komuś wmawia, że się kłóci. Teściowa przeprosiła, że w ogóle

śmiała się odezwać. Teraz będzie trzymać język za zębami. Henryk śmiał wątpić. Myszka poprosiła, żeby i on nie zaczynał. Na to jej matka obraziła się za spójnik. Wtedy właśnie Henryk zaproponował, że zrobi im zdjęcie, i po krótkich ceregielach kobiety się zgodziły.

Henryk miał swoją teorię, wyjaśniającą dlaczego Myszka go zostawiła. Wyrażona na głos brzmiała następująco: „Myślę, że Myszka zostawiła mnie dlatego, że nie okazałem się takim mężczyzną, za jakiego myślałem, że ona mnie uważa. Kiedy to do mnie dotarło, musiała mnie zostawić”. Takim mężczyzną okazał się natomiast kto inny i Myszka zdumiewająco łatwo zostawiła Henryka dla niego. Przeprowadziła się więc do stolicy, a jej matka zamieszkała znów w swoim starym mieszkaniu, ponieważ ów nowy mężczyzna nie chciał jej widzieć u siebie.

Pół roku później dostali urzędowy rozwód. Henryk został w ich domu, spłacając udział Myszkę w formie czynszu, i od tamtej pory uważał, by nie myśleć za wiele o tym, co inni mogą myśleć o nim.

O świętej Mavrze postanowił nie formułować żadnych opinii. Skoro zezowała na niego w jego wyobraźni, miała do tego pełne prawo.

Henryk wciągnął w nozdrza jaśminowy zapach pościeli, w której jeszcze kilka godzin wcześniej leżała trelująca Sol-veig. Zmienił poszewki i położył się spać. Postanowił, że przy pierwszej okazji kupi ten koncert skrzypcowy Strawińskiego i będzie go słuchał dopóty, dopóki nie wypełni on jego uszu, myśli i wszystkich pozostałych potencjalnie muzykalnych otworów.

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z BACHEM UMARŁO BIZANCJUM

Henryk Watra dostrzegł pułkownika i jego żonę na jesiennym jarmarku na rynku w N. Nie zobaczyli go - pułkownik z wiadomych względów, a Mavra dlatego że targowała się właśnie ze sprzedawcą długiej, białej bawełnianej koszuli. Był to drobny Indianin z Ekwadoru, człowiek z natury milczący, który nie miał zwyczaju wpychać klientom swoich wyrobów. Kiedy się odzywał, zwracał się do pułkownika, który z nieobecny wyrazem twarzy palił cygaro i sprawiał wrażenie, jakby patrzył gdzieś daleko ponad głowami targujących. Mavra przyłożyła koszulę do tułowia. Sięgała jej do kolan i Henryk wiedział, że gdyby tylko miała dwie nagie, opalone nogi, ruszyłaby samodzielnie po skąpanym w letnim słońcu bulwarze, z wiernym owczarkiem przy boku.

Jarmark trwał tydzień i w tym czasie Henryk Watra widział państwa Musk wielokrotnie, na ulicach miasta, w sklepach i parkach. Można by to uznać za zbieg okoliczności, gdyby nie fakt, że wcześniej Watra nie miał w zwyczaju spacerować po rynku i deptakach starego miasta bez szczególnego powodu, tym bardziej za dnia, kiedy siedział w szkole i okienka między lekcjami wypełniał sobie przygotowaniami do kolejnych zajęć lub nauką języków obcych. Ani razu jednak nie spotkał się z państwem Musk twarzą w twarz, zawsze szli akurat w tym samym kierunku, tak że widział ich od tyłu, z mniejszej lub większej odległości. Kiedy ich dostrzegał, przyspieszał kroku, lecz nie zbliżał się zbytnio, zachowując bezpieczny odstęp, aby nie zauważyła go Mavra ani nie wyczuł swymi czterema zdrowymi, wyostrzonymi zmysłami pułkownik Musk.

Pułkownik i Mavra szli obok siebie, lecz nigdy pod rękę. Pułkownik trzymał się zawsze kilka centymetrów z tyłu, zachowując taktowny,

niewyczuwalny niemal dystans. Patrząc z pewnej odległości, Henryk podziwiał, jak swobodnie, niezauważalnie wręcz Mavra prowadzi męża, będąc mu bardziej towarzyszką niż przewodnikiem. Nie chcąc być stronniczym, podziwiał również pełną godności pogodę ducha pułkownika.

Podczas jarmarku Mavra wysuwała się jeszcze bardziej przed pułkownika, torując mu ofiarnie drogę przez tłum.

W sklepie słyszał, jak kobieta niskim, pełnym altem opisuje mężowi zawartość półki z serami i wymienia z nim opinie dotyczące jakości wyrobów. Rozmawiali cicho i krótko, a ponieważ Henryk ich nie słyszał, nie mógł stwierdzić, w jakim języku się porozumiewają. Warzywa i owoce pułkownik wybierał sam, Mavra ograniczała się do pilotowania jego dłoni, którymi delikatnie dotykał produktów.

Henryk zatrzymywał się więc bardzo blisko tej pary, już to tuż za nimi, już to obok, zupełnie jakby chciał być na wszelki wypadek pod ręką. Wmówił sobie, że uwiesił się ich z normalnego, ludzkiego odruchu niesienia pomocy bliźniemu w potrzebie. Zastanawiał się, czyby im jakoś nie zasygnalizować swojej obecności, nie chrząknąć na przykład, lecz w końcu się nie odważył. Z przykrością zdał sobie sprawę, że jego pomoc jest najzupełniej zbędna. Bijąca od państwa Musków symbiotyczna obojętność wobec świata zewnętrznego zamknęła mu usta. Miał nadzieję, że Mavra go zauważy, lecz gdy rzeczywiście patrzyła w jego stronę, robił wszystko, by stać się niewidzialny. I cóż takiego mógłby im wtedy powiedzieć? „Bardzo państwu do twarzy z tą różnicą wieku. Proszę nie zwracać na mnie uwagi”?

W pewien ciepły, jesienny wieczór Henryk siedział przy piwie na tarasie w nadrzecznym parku i poprawiał sprawdziany z historii. Czytał je z rosnącym rozdrażnieniem. Wielu uczniów nie miało nawet pojęcia, o które stulecie chodzi w pytaniu. Ci zaś, co to wiedzieli, z reguły źle kojarzyli fakty i plątali się w chronologii. Jeszcze inni najwyraźniej nie zrozumieli pytań w ogóle. Odpowiedzi zaś formułowali niedokładnie, pisząc niepełnymi, urywanymi

zdaniami pojedynczymi, starannie unikając skomplikowanych konstrukcji. Wykazywana przez licealistów nieumiejętność wyrażania prostych myśli w języku ojczystym pogrążyła go w posępnej zadumie.

Jedną z odpowiedzi na pytanie o znaczenie baroku i jego formy czytał kilkakrotnie, bo nie był pewny, czy go czasem wzrok nie myli: „Z Janem Sebastianem Bachem umarło Bizancjum”. W końcu jednak uwierzył, że odczytał właściwie, zaśmiał się straszliwie i wsadził sprawdziany z powrotem do teczki. I wtedy zobaczył, że parkową alejką idą w jego stronę państwo Musk z psem Maotse. Pospiesznie wstał, by odwrócić swoje krzesło oparciem do parku, zrobił to instynktownie i bez zastanowienia, ale zaraz zrozumiał, że zupełnie niepotrzebnie: przecież tym razem wcale ich nie śledził. Siedział sobie przecież na kawiarnianym tarasie i już od dłuższej chwili myślał zupełnie o czym innym.

Pułkownik i Mavra usiedli dość blisko niego, pies legł pod stolikiem, złożywszy ciężką głowę na przednich łapach. Podszedł do nich kelner. Henryk rzucił Mavrze ukradkowe spojrzenie przez ramię. Kobieta była podzielona od stóp do głów na biało-czarne pasy: biała twarz na tle czarnych włosów, biała ekwadorska koszula na tle czarnych spodni, czarne rzymskie sandały na białych, bosych stopach. Z pomalowanych na czerwono ust sterczała czarna, prosta fajka, która poruszała się w górę i w dół, gdy kobieta rozmawiała z pułkownikiem.

Henryk wyciągnął z powrotem sprawdziany, aby nie słyszeć rozmowy pułkownika z żoną. Ponieważ tym razem sami znaleźli się tak blisko niego, co prawda nieświadomie, lecz mimo wszystko z własnej nieprzymuszonej woli, powstały nowe okoliczności wymagające od Henryka szczególnego taktu.

Tym razem państwo Musk rozmawiali głośniej i nie mógł ich nie słyszeć. Dopiero po dłuższej chwili zdał sobie sprawę, że mówią po rosyjsku. A więc to był ich wspólny język?

Mavra ćwierkała z południowosłowiańską nutą, pułkownik fińskim zwyczajem cedził słowa. Na uniwersytecie Henryk zaczynał się uczyć

rosyjskiego dwukrotnie i za każdym razem dawał sobie spokój. Większość z tego, czego zdążył się wtedy nauczyć, wyparowała mu już z głowy.

- No to sobie ćwierkajcie. I tak was nie rozumiem - powiedział do kufla.

Przy sąsiednim stoliku siedziało kilku starych, zblazowanych żeglarzy. Sączyli w milczeniu piwo, przyglądając się niespotykanej parze. Starszy już mężczyzna w ciemnych okularach i młoda kobieta o długich, czarnych włosach, która z ożywieniem mówiła coś po rosyjsku, wskazując ręką na staw. Jej towarzysz nie patrzył we wskazanym kierunku, sprawiał za to wrażenie, jakby pilnie nasłuchiwał. Upuścił papierosa na drewnianą podłogę tarasu, kobieta szybko go podniosła i zgasiła w popielniczce. Starszy mężczyzna wyjął kolejnego i zapalił. Nagle wydał się Henrykowi bezgranicznie znudzony. Niewykluczone, że również Mavra zauważyła tę nagłą zmianę nastroju pułkownika, nie dała jednak niczego po sobie poznać.

- W stawie jest pełno kaczek - powiedziała. - Biją się ze sobą i z mewami o okruchy chleba. Kręcą się tam też dwa kosy.

- Nie próbuj mnie nabierać - odparł jej pułkownik. - Jestem ślepy, ale nie głupi. Kosy w stawie?

- Siedzą na kamienistej wysepce pośrodku - wyjaśniła Mavra. - Jakiś chłopczyk próbuje także im dać trochę chleba, ale nie może dorzucić. Teraz zdejmuje sandały i zaczyna brodzić w wodzie... Ale matka go łapie, znam ją, to pani Fortelius. A teraz rzuca się mu na ratunek ich pies! *Bila je zbrka!* Ależ się zrobiło zamieszanie! Wszystkie ptaki zerwały się do lotu.

- Oczywiście. W końcu to pies aportujący - odezwał się pułkownik.

- Nie, to owczarek - stwierdziła Mavra.

- W takim razie to nie ich pies. Forteliusowie mają krótkowłosego wyżła niemieckiego.

- Wszystko jedno. Ale chłopczyk jest słodki.

- Przykro mi.

- Dlaczego?

- Bo chciałabyś mieć takiego.
- Wyżła?
- Chłopczyka.
- Może. Ale nie można mieć wszystkiego.
- Niestety, ze mną ci się nie udało.
- Może jeszcze się uda. Nie martw się tym. Ja się nie martwię.

Gdy Henryk pluł sobie w brodę, że tak kiepsko zna rosyjski, na miejscu wyrosła jak spod ziemi Solveig. Przeszła przez ogrodzenie, miała długie nogi. Podeszła do wolnego stolika tuż obok Henryka, usiadła plecami do niego i zaczęła mówić zmienionym głosem. Solveig nauczyła się bruchomówstwa jeszcze w szkole, gdyż była przekonana, że prędzej czy później znajdzie się w sytuacji, w której trzeba będzie zarówno mówić, jak i siedzieć cicho. Jej drugi głos był cienki i ochrypły, zdawał się wydobywać gdzieś z potylicy.

- Udawaj, że mnie nie widzisz - odezwała się do Henryka. - Rauno jest blisko, może się tu zjawić w każdej chwili.

- Czy powinienem drzeć o życie? - zapytał Henryk.
- Gdzie zniknąłeś w zeszłą sobotę? - chciała wiedzieć Solveig.
- To długa historia, tutaj nie mogę mówić - odpowiedział Henryk.
- Mów, nie poruszając wargami - poradziła mu Solveig.
- Nie potrafię - wymamrotał Henryk. - Co?
- Nic z tego nie będzie. To śmieszne.

- Zadzwoń do ciebie - powiedziała Solveig, wyjęła komórkę i po chwili Henryk poczuł wibracje swojego telefonu.

- Nie odbierasz telefonów ode mnie ani nie odpisujesz na moje wiadomości - poskarżyła się Solveig normalnym głosem.

- Mam dużo pracy - powiedział Henryk do swojej komórki.
- Jesteś mi winien wyjaśnienia.
- Nie jestem ci niczego winien. Ale kiedyś ci wyjaśnię.
- Nie pozwolę się traktować jak szmata!

- Wracaj do męża, żeby i ciebie nie zabił.

- Mam nadzieję, że zabije nas oboje!

- Kończę tę rozmowę.

- Tylko spróbuj!

- Wychodzę - powiedział Henryk, rozłączył się, zebrał swoje papiery i schował je do torby.

- Masz inną kobietę? - zapytała potylicą Solveig.

- Chciałbym mieć - odrzekł Henryk.

Spomiędzy łopatek Solveig wyrwał się suchy szloch.

- Co ja takiego zrobiłam? - chlipnęły jej drżące plecy.

- Przyjechałaś samochodem zalana w pestkę - wyszeptał Henryk. - Auto ukryłaś w stodole. Potem wypijałaś dwie butelki wina, napisałaś tę swoją idiotyczną groźbę i odjechałaś kompletnie pijana.

- Nieprawda!

- Gdy zajrzałem do stodoły, samochodu nie było.

- Nie wiedziałam, co robię. Byłam taka nieszczęśliwa - jęknęła Solveig.

- Nadchodzi twój mąż - skłamał Henryk.

Solveig zmyła się równie szybko, jak się pojawiła. Henryk został przy swoim stoliku. Państwo Musk już nie rozmawiali i siedzieli z dostojną elegancją, jak przystało na zgodnych małżonków, którzy nie odczuwają potrzeby wypełniania czasoprzestrzeni prózną gadaniną. Pułkownik drapał Maotse za uchem, Mavra była zajęta czyszczeniem swojej fajki.

Najpierw nie rozumiem ani słowa z tego, co mówią, a potem odgradzają się ode mnie tym zgodnym milczeniem, stwierdził w myślach rozgoryczony Henryk. Jestem poza nimi, jestem niewystarczający, a do tego zazdrosny o niewidomego i wstyd mi z tego powodu.

Mimo swojego wstydu Henryk marzył o tym, aby znaleźć się na miejscu pułkownika i rozkoszować wspólnym uprawianiem pięknej muzyki z Mavrą, móc rozmawiać z nią po rosyjsku, dać się jej poprowadzić z parkowej

kawiarenki do samochodu, z samochodu do drzwi domu. Tam on przejąłby inicjatywę, tak sobie bowiem wyobrażał zachowanie pułkownika, i uchwyciwszy Mavrę za rękę, zawiódł ją najpierw na sofę, a po chwili do sypialni, gdzie rozebrałby bez trudu ją i siebie z zamkniętymi oczami. Poprawił się: „...z otwartymi oczami, ale bez patrzenia”. Z rozebraniem poszłoby gładko, do tego wystarcza dotyk, a i z powieszeniem części garderoby na oparciu krzesła nie byłoby żadnego kłopotu. Co prawda jeszcze łatwiej byłoby w przyływie pożądania porzucić je na podłodze, przy założeniu, że później Mavra taktownie by wszystko pozbierała. Pieszczoty, pocałunki i inne elementy gry wstępnej są tak samo łatwe dla widzących, jak dla niewidomych, podobnie jak sam akt, bo *przecież* ludzie kochają się często z zamkniętymi oczami albo w ciemności, a wtedy wzrok nie ma już takiego znaczenia. Niemniej widzący może odczytać z oczu partnerki stopień błogości i fazę rozkoszy oraz ewentualne jej życzenia, niewidomy musi zaś umieć je czytać z odgłosów, świadomych i bezwolnych ruchów, zapachów, wydzielin, promieniowania... Ciekawe, czy kobiecie łatwiej, czy trudniej udawać podniecenie przed nie-widzącym partnerem? - zaciekawił się Henryk, czując, że zapuścił się za daleko na zamknięty, prywatny teren.

Chcąc się zmusić do odwrotu, przypomniał sobie, co opowiadał mu Jovan o prawowiernym kapitanie Husajnie, który wypowiedział posłuszeństwo wielkiemu wezyrowi i opanował Travnik, zmuszając tamtejszego wezyra do zdjęcia nowoczesnego munduru o zachodnim kroju, rytualnego oczyszczenia i włożenia tradycyjnej szaty, lecz w tym momencie w jego myślach znów pojawiła się Mavra, starannie wieszająca spodnie i górę munduru wezyra na lufie armaty stojącej na pałacowym dziedzińcu.

Mavra poruszyła się niespokojnie w swoim krześle i wytarła pot z czoła.

- Już dawno jesień, a ciągle taki upał. Jest mi gorąco.

- No właśnie, co z naszym piwem? - zdziwił się pułkownik.

Zblazowani żeglarze wstali z hałasem od sąsiedniego stolika i w nieładzie zeszli z tarasu. Maotse uniósł głowę, wlepił w Henryka swoje niedowidzące

oczy i przypomniał sobie jego zapach. Błyskawicznie się podniósł i szczekając, zaczął się wyrwać w jego stronę. Henryk i Mavra spojrzeli na siebie, kobieta skinęła lekko głową. Henryk wstał, żeby się przywitać, lecz pies rozszczękał się *jeszcze* głośniej, więc usiadł z powrotem. Pułkownik zapytał, dlaczego Maotse szczeka.

- To chyba przez tego owczarka Forteliusów - odpowiedziała Mavra.

- Dajże już spokój z tym owczarkiem, przecież ci mówiłem, że mają psa aportującego, wyżła niemieckiego.

- Chyba sama pójde i przyniosę nam to piwo - powiedziała Mavra.

Podniosła się z krzesła, podeszła do stolika Henryka, położyła palec na ustach i skinęła, aby poszedł za nią. Henryk podniósł się jak w malignie i poszedł z Mavrą za gruby jesion.

- Witam - odezwała się Mavra. - Dlaczego pan za nami chodzi, panie Tratwa?

ROZDZIAŁ DRUGI

PRZYJACIELSKI DOTYK

Stali ukryci za jesionem jak dwoje palących uczniów na przerwie. Mavra położyła ręce na biodrach i wpatrywała się surowo w Henryka.

- Ja? Ależ ja za państwem nie chodzę - odparł Henryk i poczuł, że się czerwieni.

- Ależ chodzi pan. I to nie pierwszy raz. Czy to ze względu na mnie?

- Skoro pani tak twierdzi - powiedział Henryk. Absurdalne zdanie, którym często wyraża się coś zupełnie przeciwnego.

- Czego pan chce ode mnie? - zapytała Mavra z napięciem w głosie.

Pytanie wzbudziło w głowie Henryka spiralę myśli prowadzącą jednocześnie do środka i na zewnątrz: „A więc ona zakłada, że czegoś od niej chcę. Mógłbym zapytać, skąd takie przypuszczenie. Mogę również zaprzeczyć, jakobym czegokolwiek od niej chciał, mimo że to nieprawda. Mógłbym się nawet poczuć urażony, że ona zakłada, iż ma coś, co ja chciałbym dostać, i myśli, że wie, co to jest, w czym akurat ma całkowitą słuszność. Lecz pytanie może być jednocześnie zakazem, odmową lub przyganą. «Czego pan ode mnie chce?» może oznaczać: «Czegokolwiek pan ode mnie chce, ja tego panu nie dam». Jeśli natomiast przyjmę, że po usłyszeniu odpowiedzi byłaby gotowa się nad tym zastanowić, muszę dobrze pomyśleć, o co ją prosić. Jeśli nie jest złotą rybką i nie będę mógł mieć trzech życzeń, a tylko jedno, od mojej odpowiedzi może zależeć zwycięstwo albo porażka”. Spirala zapętleła się w końcu w twardego węzeł, więc Henryk odpowiedział spontanicznie:

- Czy nie zechciałaby pani uczyć mnie języka rosyjskiego?

Mavra spojrzała na niego z kpiącym błyskiem w oku.

- Pan chyba sobie żarty stroi.

- Nie żartuję - odparł Henryk i postanowił, że nie będzie żartować. Nie

czekając na odpowiedź, zapytał odważnie:

- Dlaczego pani się tak ubiera?

- Jak? - zapytała Mavra i spojrzała na siebie.

- Na czarno i biało. Jak z żurnala. Czy raczej jak ze studia aranżacji wewnątrz.

- Nie podoba się panu?

- Proszę się mną nie przejmować - odrzekł Henryk. - Czy ubiera się pani tak dla pułkownika?

- Zgadł pan, dla pułkownika.

- Mimo że on pani nie widzi?

- On słyszy.

- Jakże może słyszeć, w co się pani ubiera?

- Słyszy, gdy mężczyźni zwalniają kroku, a wtedy się domyśla, że się za mną oglądają. Lubi, kiedy inni na mnie patrzą.

- Rozumiem - powiedział Henryk i pożałował, że zadał to pytanie.

- Co pan rozumie? - zapytała Mavra.

- To, że dla pułkownika nie ma znaczenia, jak się pani ubiera, byle tylko pani strój budził zainteresowanie - palnął Henryk i wyobraził sobie Mavrę nagą w sandałach. Bez wątplenia wzbudziłaby sobą wielkie zainteresowanie.

- Nic pan nie rozumie - roześmiała się Mavra. - Pułkownik doskonale wie, jak wyglądam, kiedy razem wychodzimy. Potrafi mi nawet doradzać, co na siebie włożyć. Czasem wybiera się ze mną do sklepu i pomaga mi wybrać nowe rzeczy. Ma dobre oko do kolorów i zazwyczaj polegam na jego guście, choć nie zawsze. Czasem lubię go zaskoczyć i kupuję sobie coś zupełnie sama, tak jak koszulę, którą mam w tej chwili na sobie. W domu wkładam nowe rzeczy i paraduję przed nim niczym modelka, pytając go o zdanie.

- I pułkownik lubi panią w czerni i bieli? - zainteresował się Henryk.

- Nieszczerólnie. Sam się tak często ubiera, mnie jednak woli w kolorach. Tak jak i pan, zdaje się - stwierdziła Mavra i dotknąwszy przyjacielsko ramienia

Henryka, odwróciła się, by odejść.

- Proszę przyjść do nas jutro o tej porze. Włożę coś bardzo kolorowego.

Czy powiedziała „włożę coś”? I jeszcze: „Czy to ze względu na mnie?”, i „Pan chyba sobie żarty stroi”? Czy powiedziała to wszystko właśnie tak? Kto tak dziś mówi...

ROZDZIAŁ TRZECI

JAK Z TYM KOTEM SCHRÓDINGERA

Henryk zjawił się w domu pułkownika wieczorem, pod pachą niósł bardzo stary podręcznik gramatyki rosyjskiej, z którego korzystał jeszcze jego ojciec. Książka przeleżała na różnych półkach kilkadziesiąt lat. Wziął ją ze sobą, gdy w pośpiechu wychodził z domu. Drzwi otworzył mu Jo-van ze ścierką i miotełką z piór w ręce. Henryk poczuł się zmieszany, spodziewał się bowiem, że zobaczy Mavrę i nie będzie musiał tłumaczyć, po co przyszedł. Lecz Jo-van, o nic nie pytając, zakomunikował, że pani nie wróciła jeszcze do domu, więc pułkownik bardzo chętnie go przyjmie, choć jest dość zajęty. Niechże więc pan nauczyciel raczy wejść i zaczekać.

Teraz mnie zaprowadzi na dywanik do dowódcy - pomyślał Henryk. Stary będzie siedział za biurkiem i udawał, że ma akurat coś pilnego do zrobienia, a ja będę musiał przeżyć się przed nim na baczność jak idiota, jak swego czasu komendant szkoły oficerów rezerwy. Po przeraźliwie długiej chwili uniesie to swoje czarne spojrzenie cyborga, by swoimi cyfrowymi zmysłami zarejestrować krój, kolor i styl mojego ubioru, określić długość włosów i uczesanie oraz ustalić, ile mierzę, ile ważę i ile jestem wart jako mężczyzna i ewentualny żołnierz, po czym otworzy usta i powie: „A zatem roi się panu, że uda mu się pomigdalić z moją żoną a pańską nauczycielką języka rosyjskiego? Czy zdaje pan sobie sprawę, że jest ona wystarczająco młoda, by być mą córką a pańską żoną?”. A ja nie będę umiał mu nic odpowiedzieć, i nawet nie będę musiał, bo przecież on potrafi czytać w myślach! Gdyby się jednak okazało, że nie potrafi, wówczas moją reakcję opisze mu później jego bystry adiutant: zaczerwienienie twarzy, wzrost ciśnienia krwi, wystąpienie intensywne potów, co zresztą pułkownik sam wyczuje swoim wyostrzonym węchem...

Jovan zaprowadził Henryka na piętro, do gabinetu pułkownika, i usadził

go na renesansowym krześle o nieproporcjonalnie wysokim oparciu. Pułkownik tkwił za ciężkim biurkiem w obrotowym, skórzanym dyrektorskim fotelu. Jovan wszedł na taboret stojący przed wysokim regałem i wrócił do odkurzania książek.

- To może ja przyjdę później albo kiedy indziej? - zaproponował Henryk.

- Zabłądziła gdzieś na zakupach, ale na pewno wróci, proszę się nie obawiać, nie zapomniała o panu, ona po prostu nie zaprzęta sobie głowy czasem. Jej zegar odmierza czas wschodni. Nie myślę tu bynajmniej o czasie moskiewskim czy pekińskim. Ona żyje czasem Bizancjum. Ja zdążyłem już do tego przywyknąć - odezwał się pułkownik i obrócił w fotelu do okna, a gdyby mógł, wyrztałby zapewne w tym momencie na zewnątrz. Henryk uniósł się z krzesła i wyciągnął szyję.

- Piękny widok z okna - powiedział, żeby coś powiedzieć.

- Czyż nie? - przyznał pułkownik. - Ja co prawda nie widzę, ale pamiętam każdy szczegół, pamiętam zakole rzeki, Czarcią Skałę po drugiej stronie, a nieco dalej dachy stoczni Norrbacka.

- W zasadzie stoczni już nie ma - odezwał się Henryk i zamierzał dodać, że rozebrano ją wiele lat temu, ale się powstrzymał. Niech go szlag, niby jakie ma to znaczenie? Wyłazi z niego upierdliwy belfer. Tylko by innych poprawiał. Obsesyjny pedant.

- Była tam, kiedy widziałem ją po raz ostatni. I z mojego punktu widzenia, jeśli wolno mi tak powiedzieć, ciągle tam stoi - odpowiedział pułkownik. - Nie mogę tego stwierdzić, ale pan również nie, ponieważ las urósł i stąd nie dojrzeliby stoczni nawet ci, którzy normalnie mogliby ją zobaczyć.

- Czyli trochę jak z tym kotem Schrödingera? Jest albo go nie ma... to znaczy jest w tym swoim pudle, ale może być albo żywy, albo martwy... - Henryk próbował przywołać najpopularniejszy przykład zastosowania zasady nieoznaczoności Heisenberga, ale nie mógł sobie przypomnieć, jak to z tym kotem faktycznie było.

- O kocie nie potrafię nic powiedzieć. Nie lubię kotów, ani fińskich, ani niemieckich. O ile mnie pamięć nie myli, rozmawialiśmy o zakładzie szkutniczym Norrbacka. A w zasadzie nawet nie o nim. Widzi pan, to jest krajobraz mojego dzieciństwa. Dlatego też po przejściu na emeryturę przenieśliśmy się tutaj, do mojego rodzinnego domu. Aby móc wiedzieć, jaki widok rozciąga się z mojego okna. I widok ten pozostaje dla mnie niezmienny.

- W widoku pana pułkownika nie wycięto ani jednego drzewa, nie rozebrano i nie zbudowano ani jednego domu - powiedział dobitnie Jovan, po czym spojrzał na Henryka i mimiką dał mu znać, że sprawa jest ostatecznie zamknięta.

- To był gabinet mojego ojca - podjął pułkownik i omiół swoim czarnym spojrzeniem ściany i sufit. - Tutaj nikt nie mógł wejść bez jego zezwolenia, nawet matka. Także ona musiała prosić go o audiencję. Ale ojca już nie ma. Nie ma go od dawna. Więc teraz ja tutaj pracuję.

- Pan pułkownik ma na swoim biurku wszystkie najnowsze gadżety: komputer z syntezatorem mowy, skaner i drukarkę brajlowską - poinformował Henryka Jovan.

- Podjąłem się przepisania na czysto dzienników ojca z wojny zimowej, walczył pod Kuhmo. Jestem mu to winien - powiedział pułkownik. - Chcę coś zrobić, chcę czuć, że moje życie jest pożyteczne i pełnowymiarowe. Ta sprawa nabrała szczególnego znaczenia dopiero wtedy, kiedy straciłem wzrok. Odczuwam teraz przemożną potrzebę pokonywania przeszkód.

- W naszych stronach nazywają ten syndrom *Fuck the handicap* - wtrącił Jovan. - Po wojnie bardzo się w Bośni rozpowszechnił. Nie masz ręki, nogi, oka albo uszu? Drobiazg. Zawsze możesz sprzedać nerkę albo drugie oko, jak każdy zdrowy człowiek.

- Kiedy leżałem we włoskim szpitalu wojskowym w Pe-scarze z blachami na oczach, miałem aż nadto czasu do rozmyślań - wspomniał pułkownik, mocno akcentując słowa. - Amerykański chirurg okulista, major doktor Mal-lory, który

mnie operował, powiedział mi wprost, jak kolega koledze, że tymi oczami to ja już nigdy niczego nie zobaczę. Wyraził ubolewanie, że nie był w stanie uratować mi wzroku, ale jego zdaniem tej sztuki nikt by nie dokonał. Przedstawił nawet powody, lecz nie zamierzam ich tu teraz powtarzać, były to skomplikowane zagadnienia z zakresu anatomii, chirurgii i neurologii, z których połowy sam nie rozumiałem. Wyraził jednak nadzieję, że mimo wszystko wkrótce uznam, iż warto dalej żyć. Choć osobiście uważał, że na świecie nie ma zbyt wielu rzeczy wartych obejrzenia, doskonale rozumiał frustrację z powodu niemożności rzucenia na nie choćby przelotnego spojrzenia.

- Ten Amerykanin to był zwyczajny konował, tyle wam powiem! - parsknął Jovan z wysokości. - Zgrywają wielkich mistrzów laserowej precyzji, a co było, jak bombardowali Serbię?! Mówili, że będą bombardować humanitarnie, tylko precyzyjnie wybrane obiekty, fabryki broni, bazy wojskowe i pałace Miloševicia, a trafili w ambasadę Chin, szpital, fermę kur i burdel! Jakie oni mogą mieć pojęcie o operowaniu oczu? Żadne. Za to Rosjanie... Ci to potrafią.

Pułkownik machnął ręką na Jovana, żeby się zamknął, i zaczął bębnić palcami po blacie, chcąc przywołać z powrotem gawędziarski nastrój.

- A zatem przemyślałem sobie wszystko z najróżniejszych punktów widzenia, nie miałem w końcu nic innego do roboty. I niespodziewanie dla wszystkich już trzeciego dnia postanowiłem, że nie poddam się frustracji i depresji, które mi przepowiadano - być może właśnie dlatego, że niczego innego się nie spodziewano po oficerze, który stracił wzrok. Było nie było, panuje powszechne przekonanie, że oficer to człowiek bardzo praktyczny, wykonujący bardzo praktyczny zawód, i dlatego aby myśleć, musi widzieć. Uważa się, że bez bodźców wzrokowych i pewnej miary wrażeń słuchowych jego mózg w ogóle nie będzie pracował. A wtedy uczucia, które, jak się sądzi, do tej pory tłumił w sobie i których nie dopuszczał do głosu, wykorzystają obniżoną przez kalectwo samoocenę i całkowicie zawładną jego osobowością, powodując

przerażającą depresję i frustrację, co jest oczywiście zrozumiałe, a zatem wybaczone, i tak dalej.

Nagle silnie wzburzony pułkownik walnął dłonią w stół i odwrócił twarz.

- Pierdolona depresja! Przecież mózg miałem zupełnie sprawny. Kurwa, jak mi to działało na nerwy! - wykrzyknął, po czym znów popadł w zadumę. Henryk nie wiedział, co ma powiedzieć, i czy w ogóle powinien się odzywać. Spojrzał pytająco na Jovana, który przestał odkurzać książki i zamarł w bezruchu z miotełką z piór w rękę, trwając w pełnym szacunku i skupienia milczeniu.

Po chwili pułkownik obrócił się z powrotem do nich i podjął, jak gdyby nigdy nic:

- Pamiętałem mgliście, że w szkole oficerskiej czytałem o pionierskich pracach pewnego austriackiego psychologa wojskowego, który na podstawie własnych doświadczeń z czasów pierwszej wojny światowej stworzył teorię głoszącą, że również oficer powinien czasem, w sprzyjających okolicznościach, dać upust swoim emocjom, na przykład kiedy jest sam w lesie albo w łodzi na środku jeziora. Wtedy krzycząc, płacząc, bijąc się w piersi czy za pomocą innych środków, może rozładować skumulowane napięcie, nie tracąc przy tym nic ze swej godności ani autorytetu. Teoria ta ma wielu przeciwników, między innymi pewnego teoretyka wojennego, niejakiego Aschenbacha, który uparcie twierdził, że oficerowi pod żadnym pozorem, pod groźbą utraty spójności osobowości i gotowości do podejmowania działań, nie wolno się ani na sekundę rozdzielić. To znaczy z jednej strony być człowiekiem, który ujawnia swój strach, żal czy frustrację choćby przed sobą samym, z drugiej zaś wojownikiem, panującym nad swymi uczuciami w każdej sytuacji, nawet wówczas, gdy ich okazanie wydaje się zupełnie niegroźne. Dlatego postanowiłem po prostu przeskoczyć ową prognozowaną fazę depresyjną. Postąpiłem jak fatalista, którym się bynajmniej nie urodziłem, i skonstatowałem proste fakty: jak wygląda moja obecna sytuacja, jakie mam możliwości i jakie ograniczenia, oraz

powiedziałem sobie, że tylko ode mnie zależy, czy ułożę sobie z nich od nowa jakieś życie. Gdy tylko inne rany się podgoiły, zacząłem szaleć. Gonilem pielęgniarzy z kąta w kąt, czasem rzucałem o ścianę czym się dało. Lekarze moją postawę przyjęli z zadowoleniem, panował jednak ogólny pogląd, że lada dzień się rozkleję.

Jovan już dłużej nie wytrzymał i wykrzyknął entuzjastycznie z rogu pokoju:

- I co, rozkleił się?! Rozkleił?! Pytam się!

- Dziękuję ci, Jovan, ale uspokój się - odezwał się pułkownik. - No więc, nie rozkleiłem się. Wtedy zaczęto we mnie widzieć człowieka odważnego, twardego, wręcz bohatera. W rzeczywistości jestem po prostu zbyt leniwy, by długo płakać nad rozlanym mlekiem. Dałem więc sobie spokój. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Pułkownik obrócił się niespodzianie do okna i machnął ręką, by po chwili obrócić się z powrotem.

- I bardzo dobrze pan zrobił! - wybuchnął Jovan. - Czy pan podporucznik rezerwy się ze mną zgodzi? Proszę się wczuć w położenie pułkownika.

- Mogę jedynie próbować - odparł Henryk z szacunkiem.

- Na nic pańskie wysiłki. Nie stracił pan wzroku u szczytu kariery - podsumował Jovan.

Tak radykalne i niesprawiedliwe porównanie zbiło Henryka z tropu. Chcąc skierować rozmowę na inny temat, powiedział, że nie mógł nie zauważyć, iż przed chwilą pan pułkownik zamachał przez okno, zupełnie jak gdyby coś zobaczył. Wzbudziło to jego ciekawość. Dlatego z całym szacunkiem odważył się zapytać, coż ten gest mógł oznaczać.

Pytanie Henryka bardzo rozradowało Jovana.

- No i sam pan widzi! I kto tu jest niewidomy? Ma oczy, a nie widzi, uszy, a nie słyszy. Księga Jeremiasza, rozdział piąty, wiersz...

Pułkownik mu przerwał:

- Jovan chciał powiedzieć, że nie usłyszał pan, jak na podwórze wjechał samochód i zahamował, to był mój mercedes, a chwilę później otworzyły się i zamknęły drzwi. To Mavra. Przyjdzie tu za chwilę... już tu idzie... już jest!

Do pokoju rzeczywiście weszła Mavra. Była ubrana w kolorowe poncho i gdy przechodziła obok Henryka, poczuł na twarzy powiew zimnego, orzeźwiającego powietrza.

- Cóż to za poważne rozmowy w taki piękny, mroźny dzień? - odezwała się, podchodząc rozpromieniona do pułkownika. Pocałowała go krótko i zwróciła się do Henryka z wyciągniętą ręką.

- Przepraszam za spóźnienie - zachichotała. - Daję pewnemu dziecku w odległym mieście lekcje gry na skrzypcach. Przez pomyłkę dojechałam do jakiejś rybackiej wioski, w której mówią tylko tą dziwną szwedzką gwarą, i nie mogłam zrozumieć, kiedy mi tłumaczyli, jak wrócić na drogę. Ale już jestem. Możemy rozpocząć od razu.

Oczywiście! Mavra białym, wolnocłowym mercedesem pułkownika zajechała miękko pod dom, wysiadła i zobaczyła w oknie jego twarz, zatrzasnęła drzwi i pomachała mu. A pułkownik wszystko to usłyszał i również jej pomachał. Taki muszą mieć zwyczaj, to ich małżeńska rutyna, ich wspólny ceremoniał, i nieważne, że tylko jedno z nich to widzi. A on niczego nie usłyszał.

Mavra po serbsku wyjaśniała coś pułkownikowi, który chyba musiał ją rozumieć, bo kiwał głową i odpowiadał po rosyjsku. Po chwili zwrócił się do Henryka.

- Miło mi było z panem pogawędzić. Życzę panu owocnej i przyjemnej nauki. Lecz proszę pamiętać: *Non magistrat sed vitae discimus!*

Kiedy Mavra i Henryk wyszli z pokoju, pułkownik przesunął się z fotelem do komputera. Jovan wrócił do ścierania kurzu z książek. Pułkownik na linijce brajlowskiej sprawdził, co wcześniej napisał, i odczytał na głos do dyktafonu:

„Dziennik ojca. Miejsce: Wieś Saunajarvi. Data: Dwudziesty listopada. Mróz ponad dwadzieścia stopni. Od strony granicy przyszli uchodźcy, upchano ich po wszystkich domach. Obejścia pełne koni i sań, krów i owiec. Po podwórzach, domach i lasach matki szukają swoich dzieci, które musiały uciekać przed nieprzyjacielem prosto ze szkoły...”.

Pułkownik zatrzymał dyktafon i długą chwilę siedział zamyślony.

- To pozytywna cecha u młodego mężczyzny takie aktywne podejście do nauki, takie prawdziwe pragnienie wiedzy - odezwał się w końcu.

Jovan zatrzasnął głośno otwartą książkę, którą trzymał w rękach.

- Pragnienie wiedzy pana Watry wprost się roznieciło - powiedział.

- Pragnienie się nie roznieca - zauważył pułkownik.

- A co robi? Podnieca?

- Pragnienie nie robi nic. Albo jest, albo go nie ma. Dotyczy to również pragnienia wiedzy.

- I apetytu na życie.

- Otóż to.

- Który rośnie w miarę jedzenia.

- Co ty pieprzysz? - warknął pułkownik i zadumał się nad niespodziewanym obrotem ich rozmowy.

- W Bośni mamy przysłowie: „Gdzie miód, tam i muchy” - zacytował Jovan.

- „Już wyciera usta, ale ciągle papele”. Libańskie przysłowie. Nie będę gorszy - odparł pułkownik.

- „Prawdę trzeba czasem ubierać w szaty drwiny”.

- „Kapelusz duży, ale w środku pusty”. Pułkownik włączył dyktafon, co miało znaczyć, że ma dość przekomarzania się z Jovanem i chce wrócić do pracy.

- „Ludność z wielkim trudem udało się ewakuować i pierwszego grudnia Dwudziesty Czwarty Batalion Specjalny przystąpił do kontruderzenia. Po bitwie

zajęliśmy pozycje obronne we wsi Saunajarvi. Następnego dnia Rosjanie uderzyli wszystkimi siłami, widziałem ich oddziały przelewające się jeden za drugim przed moim okopem. Musieliśmy się wycofać do Rasti. Tam pozostaliśmy”.

Jovan wziął ściereczkę i miotełkę z piór i ruszył w stronę drzwi. Przechodząc przez próg, rzucił jeszcze przez ramię:

- „Własną łysinę odkrywa się dopiero na czwarty rok”.

- „Gdy rozum rozdawali, ty spałeś na sianie!” - odciął się pułkownik.

Dyktafon zapisał posłusznie również te dwa zdania.

ROZDZIAŁ CZWARTY

GRAMATYKA UPODOBAŃ

- Co to znaczy? - zapytała Mavra, gdy znaleźli się na schodach.

- „Nie dla nauczycielki, lecz dla życia się uczymy” - odpowiedział Henryk.

Mavra się uśmiechnęła i pokręciła głową. Henryk miał wrażenie, że się zarumieniła, ale światło było słabe i nie mógł być pewien.

Pokoik Mavry znajdował się obok sali kominkowej i urządzone był na modłę wschodnią. Na afgańskim dywanie, który pokrywał całą podłogę, stała zielona sofa, a przed nią okrągły, mosiężny stolik indyjski. W blacie umieszczono inkrust przedstawiający turniej słoni. Na ścianie wisiał barwny i wzorzysty gruby kilim. Mavra powiedziała, że to iracki całun. Jej to zupełnie nie przeszkadza i ma nadzieję, że Henrykowi także. W rogu stało niskie łóżko, a dokładniej - gruby, szeroki materac przykryty cienką, indyjską bawełną.

Mavra posadziła Henryka w wiklinowym fotelu przy indyjskim stoliku i powiedziała po rosyjsku, że pójdzie zaparzyć herbaty. Henryk mniej więcej ją zrozumiał, co widząc, Mavra zapowiedziała, również po rosyjsku, że od tej pory będą rozmawiać wyłącznie w tym języku. W takim razie, pomyślał Henryk, będzie to rozmowa bardzo jednostronna. Nie potrafił skłecić na poczekaniu ani jednego zdania, ba, nie odważył się wypowiedzieć nawet jednego słowa. Inna rzecz, że Mavra jeszcze o nic go nie spytała. Henryk z kolei mógłby ją zapytać na przykład, czy skoro nie była jednak na zakupach, to pułkownik się nie pomylił, i czy należy to do ich zwyczajów, że nie informują się nawzajem, dokąd naprawdę chodzą, tylko mówią co innego. Czy może po prostu zapomniała już, co mówiła pułkownikowi przed wyjściem. Mógłby ją zapytać, gdzie faktycznie była. Lecz oczywiście nie zapytał o to, ani po rosyjsku, ani po fińsku. Mavra poszła do kuchni.

Henryk siedział więc w jej pokoiku i próbował złożyć w myślach pełne zdanie, które mógłby wypowiedzieć, gdy Mavra wróci, lecz ogarnęła go straszna trema. Byłoby to bowiem jego pierwsze rosyjskie zdanie skierowane do Mavry. Musiało być zatem poprawne.

Postanowił zdać się na podręcznik, otworzył go więc na chybił trafił i znalazł następujące zdanie: „Władimir Iwanowicz poszedł do fabrycznego klubu, przez pół godziny grał w szachy, a potem tańczył z dwoma znajomymi dziewczętami”. Czym prędzej zaczął je sobie wbijać do głowy po rosyjsku.

Pogładził bawełnianą kapę łóżka i przemknęło mu przez myśl pytanie, czy Mavra i pułkownik śpią osobno. Wskazywałoby na to niskie łóżko, lecz z drugiej strony było wysoce nieprawdopodobne, by Mavra zaprowadziła gościa do swojej prawdziwej sypialni, za zgodą i z błogosławieństwem pułkownika. Zasadniczo nie miało to żadnego znaczenia, ostatecznie w wielu związkach małżonkowie śpią w innych pokojach i składają sobie nocne wizyty. Henryk przyjął roboczą hipotezę, że w tym przypadku wizytującą połowę jest pułkownik. Wyobraził sobie, jak Mavra słyszy dobiegające ze schodów i korytarza kroki, to pułkownik skrada się do niej ostrożnie, dotykając ścian, i spróbował odgadnąć, co kobieta może w tym momencie myśleć i czuć... Poprawił się: przecież pułkownik nie musi się we własnym domu trzymać ścian i potrafi bezgłośnie przejść środkiem korytarza pod same drzwi. Co dalej? Puka czy po prostu wchodzi do środka? A może mają jakiś ustalony znak, może Mavra zostawia na przykład uchylone drzwi zawsze wtedy, gdy pułkownik może przyjść?

Nie mógł jednak odrzucić i tej możliwości, że to Mavra, będąc bardziej mobilna, miała w zwyczaju chodzić nocą do pokoju pułkownika. Dlaczego tylko nocą? Więc dobrze - choćby w południe... idzie do pułkownika, który jest jej mężem, *de iure* i z pewnością *de facto*, on na jego miejscu też by się o to postarał, ubrana w jakąś przezroczystą... dlaczego przezroczystą?... ubrana w cienką koszulę nocną... w białą, ekwadorską bawełnianą koszulę, bosa i z

gołymi nogami... Jeśli nie z własnej inicjatywy i woli, to na przykład na jakiś ustalony sygnał... gdy w pokoju pułkownika rozlegnie się dźwięczny odgłos małego, tybetańskiego dzwonka modlitewnego...

Do pokoju weszła Mavra z tacą i Henryk zawstydził się swoich myśli, więc od razu wypalił wyuczone zdanie o Władimirze Iwanowiczu w fabrycznym klubie. Mavra wybuchnęła serdecznym śmiechem i postawiła tacę na dywanie. Odpowiedziała, że przystała na propozycję Henryka wyłącznie dlatego, iż była zupełnie zdezorientowana. Szybko też pożałowała, że się zgodziła, ponieważ nigdy nie dawała żadnych lekcji poza grą na skrzypcach. Jej znajomość rosyjskiego nie jest doskonała. Uczyła się języka w konserwatorium w Petersburgu przy okazji studiów muzycznych.

Powiedziała mu to wszystko trochę niezborną fińszczyzną. Jak i to, że na pierwszej lekcji będą sobie popijać herbatę i gawędzić o tym i owym, najlepiej po rosyjsku o herbacie, ciastkach oraz codziennych sprawach i powszednich drobiazgach, do czego nie potrzeba ani skomplikowanych zdań, ani złożonych konstrukcji gramatycznych. Czyli herbata w mianowniku i zwykle, codzienne czynności, a i to w czasie teraźniejszym i tak, by rozbiór zdania nie nastroczał trudności, na przykład: Jadę samochodem, zgubiłem się, spóźniłem się, w domu czeka nowy uczeń, uczeń mówi zdanie po rosyjsku, nauczycielka się śmieje, nauczycielka pyta ucznia, jak dobrze zna tę wariatkę, żonę wojewody, pisarkę z bożej łaski.

Dopiero po chwili Henryk zdał sobie sprawę, że Mavra rzeczywiście go o to pyta, i przez jakiś czas nie wiedział, co ma jej odpowiedzieć.

Mavra dodała więc, że nie musi odpowiadać po rosyjsku i, oczywiście, nie musi odpowiadać wcale.

Henryk nie odparł jej na to, że prywatne życie ucznia nie powinno nauczycielki obchodzić. Poufałość pytania bardzo mu schlebila, mimo że wyczuł w nim szczyptę zgryźliwości. Opanowała go przemożna chęć wyznania jej wszystkiego, chęć zwierzenia się kobiecie i zyskania sobie jej zaufania dzięki

naiwnej otwartości. Opanował się jednak i odpowiedział spokojnie, że pomaga Solveig, konsultując realia jej powieści historycznych.

To najwyraźniej zadowoliło Mavrę, bo więcej o nic nie pytała. Zaczęli ćwiczyć odmianę najczęściej spotykanych czasowników, tworzenie liczby mnogiej i tym podobne. O herbacie i ciastkach nie mówili. Mavra opowiedziała mu po rosyjsku o jakimś innym Władimirze, który rzeczywiście istniał i także dybał na kobiety w klubie. Dlatego się wtedy roześmiała. Henryk miał nadzieję, że Mavra opowie mu coś o sobie i pułkowniku, nawet gdyby nie zrozumiał z tego ani słowa, lecz kobieta nie powiedziała nic o sobie ani nie wspomniała słowem o mężu. Zadawała za to mnóstwo pytań, na które Henryk próbował odpowiadać jednym czy dwoma słowami albo po prostu potakiwał lub zaprzeczał, gdy tylko forma pytań na to pozwalała. Udało mu się powiedzieć po rosyjsku, że nie ma już matki ani ojca, ma brata i siostrę, miał żonę, ale teraz już nie ma. Nie ma też dzieci. Mavra powiedziała, że ona też nie ma. Dzieci bardzo jej się podobają, dodała i spojrzała na całun. Henryk uznał to za nieme westchnienie. Wtedy Mavra spytała, czy i jemu podobają się dzieci. Długo ćwiczyli to wyrażanie sympatii w języku rosyjskim. Mówili o wszystkim, co im się podoba, czemu są radzi i co znajduje łaskę w ich oczach. Podobać się komu czemu, przypomniał sobie Henryk. Czekał, aż Mavra go zapyta, czy się jemu podoba. Lecz nie zapytała. Potrafiłby powiedzieć jej to po rosyjsku nawet niezapytany, ale się nie ośmielił.

Tak minęła im pierwsza lekcja. Mavra odprowadziła Henryka do drzwi, on podziękował i przypomniał sobie, że nie zapytał, ile Mavra życzy sobie za lekcję. Ona też się nad tym nie zastanawiała. Henryk zaproponował, że będzie płacił tyle samo, ile jej uczniowie gry na skrzypcach, lecz Mavra odmówiła i podała bardzo niską sumę, tłumacząc się tym, że nie jest nauczycielką języka rosyjskiego. Właśnie dlatego że przecież trudniej uczyć przedmiotu, jeśli się nie ma stosownych kwalifikacji, Henryk szlachetnie podwoił jej stawkę. Po krótkich ceremoniach Mavra wyraziła zgodę.

Henryk stał już za progiem, gdy Mavra zapytała go ze sztuczną obojętnością, czy Solveig jest jego kochanką. Już nie, odparł Henryk. Mavra skinęła głową i nie dociekała, dlaczego już nie. Spytała za to, kiedy przyjdzie znowu. Umówili się. Henryk zagadnął, jak będzie po rosyjsku: „Uczciwość popłaca”, lecz Mavra nie wiedziała. Wyraziła przypuszczenie, że w języku rosyjskim podobne wyrażenie nie istnieje.

ROZDZIAŁ PIĄTY

A NA GONCIE WRONA

Gdy *zaczął* padać pierwszy śnieg, pułkownik zapisywał w komputerze wspomnienia ojca. Przed nim na biurku stała butelka irlandzkiej whisky. Śnieg stłumił dobiegające z zewnątrz odgłosy. Tak wczesne przyjście zimy, w październiku, dziwnie go przygnębiło. Ciężka tematyka, którą się zajmował, tym bardziej nie poprawiała mu nastroju. Gdy się zabierał do tej pracy, w ogóle nie myślał o jej ewentualnym wpływie na swoje samopoczucie. A jeśli by nawet potrafił go przewidzieć, i tak by się jej podjął, jako że uważał to za swoją powinność - a raczej uważałby, gdyby się wcześniej nad tym zastanowił. Lecz ubrał tę myśl po raz pierwszy w słowa dopiero wtedy, gdy powiedział Henrykowi: „Jestem mu to winien”. Zaraz potem musiał zapytać sam siebie, co chciał przez to powiedzieć. Czyżby naprawdę był to ojcu winien? „Czy jestem mu w ogóle cokolwiek winien?” - zapytał siebie w duchu, ale był tym pytaniem tak oburzony, że zupełnie je zignorował. O pewne rzeczy po prostu się nie pyta. Kopnięciem katapultował swój fotel na środek pokoju i włączył syntezator mowy, który mechanicznym, męskim głosem powtarzał to, co przed chwilą napisał pułkownik. cudzysłów duża litera dziennik ojca przecinek jeden dwa lutego rok jeden dziewięć cztery zero dwukropek duża litera natarcie w kierunku duża litera kuhmo dwukropek.

- Nie czytaj znaków przestankowych! - warknął pułkownik. Maszyna zmieszała się, przełknęła ślinę i oczyściwszy głos z interpunkcji, podjęła:

„W trakcie operacji, która zakończyła się okrążeniem i likwidacją brygady strzelców pułkownika Gawriłowa, napotykał się Rosjan wszędzie za naszymi liniami. Podczas marszu na nartach przez las zostaliśmy ostrzelani z baraku. Odpowiedzieliśmy ogniem: ostrzelaliśmy barak z armatki polowej i obrzuciliśmy go granatami. Ze środka wybiegła grupka Rosjan i strzelając na

oślepie, próbowała sforsować nasz kordon, lecz wszyscy zostali unieszkodliwieni”.

Monotonię syntetycznego odczytu zmała Mavra, która w sąsiednim pokoju zaczęła grać etiudę Wieniawskiego. Pułkownik słuchał jej przez chwilę, po czym krzyknął:

- Kochanie, mogłabyś przestać grać? Nie mogę się skupić.

Mavra przestała grać. Syntezator, który zrobił taktowną przerwę, podjął znów:

„Trzynasty lutego: Gdy nasz kapitan podczas zwiadu przeliczył przejeżdżających obok ludzi, ze zdziwieniem stwierdził, że jest ich o trzech za dużo. Potem zauważył, że jeden żołnierz dziwnie porusza się na nartach. Zbadawszy sprawę, stwierdził, że to Rosjanin. Przyłączył się pewnie do oddziału, bo nic lepszego nie przyszło mu do głowy, albo się zgubił i pomylił mu się strony. Znaleźli się jeszcze dwaj inni. Złożyli broń i poprosili o jedzenie. Nie zastrzeliliśmy ich”.

Pułkownik wyłączył urządzenie i opróżnił swoją szklaneczkę. Nastawił winylową, prawie całkiem startą płytę, która leżała na talerzu starego gramofonu. W głośniku zatrzeszczało i roześmiany, nosowy tenor zaczął śpiewać *Ośłą serenadę*. Był to ojciec pułkownika. Nagrał płytę w prywatnym studio w Ameryce, dokąd uciekł zaraz po wojnie przed grożącym mu procesem o ukrywanie broni. Zanim ojciec zaczął śpiewać, nagrał pozdrowienia dla rodziny: „Kochana Leeno i kochany Tuure! Zasyłam wam do Finlandii serdecznie pozdrowienia z Minneapolis. Dedykuję wam tę wesołą piosenkę, aby wam rozproszyć ponury nastrój. Teraz dzieli nas Atlantyk, ale już nie na długo. Nie dajcie się. Całuję, wasz Jorma Musk”.

Przed rozpoczęciem pracy pułkownik wypijał zazwyczaj szklaneczkę whisky, a potem słuchał piosenki. Tym razem, przy ostatnim refrenie, przyłączył się do śpiewu. Znów się rozrzewnił i uznał, że jest ojcu winien parę słów.

- *Salve pater morte.filius tuus tesalutat!* Niechaj będzie mi wolno cię

poinformować, że dziś są twoje urodziny. Jeśli u was, gdzieś tam, obchodzicie w ogóle urodziny. Skończyłbyś dziś osiemdziesiąt osiem lat. To piękny wiek nawet dla umarłego. Sam się zbliżam do niego, i to z roku na rok coraz szybciej, tak mi się przynajmniej zdaje. Na pewno nie przyszło ci nawet do głowy, a i ja pomyślałem o tym dopiero teraz, że gdy postanowiłeś sobie umrzeć, nie pytając mnie o pozwolenie, w tym samym roku, w którym w Helsinkach odbyła się olimpiada, byłeś czterdziestolatkiem, czyli ja mam teraz dwadzieścia lat więcej niż ty wtedy.

Odwracając kota ogonem, mógłbym być zatem twoim ojcem. A ty moim synem. Ty czekałbyś teraz na mnie w domu, tak jak ja czekałem, aż wrócisz z wojny, a potem z Ameryki, i to ja przyjeżdżałbym na urlop, na przykład z Libanu, przywożąc ci w prezencie zakrzywioną szablę, ud i tarabukę, kefię, nargile i barwne kamizelki, skórzane pasy i kolorowe sandały, drogi zegarek, wschodnie słodycze i oczywiście kupę beznadziejnych zabawek z wolnocłowych sklepów na lotniskach. I to ty krzyczałbyś z radości i rzucał się mi na szyję, i to ja przytulałbym cię ze łzami w oczach, tak jak ty mnie wtedy, w ostatnim roku wojny. Przyjechałeś na urlop niespodzianie po długiej nieobecności, przyjechałeś zmęczony i zarośnięty, przytuliłeś mnie ze łzami w oczach, a moje policzki zaczerwieniły się od twojej szczeciny. Zrobiłeś mi czołg, przybijając kawałek kija od miotły do mojego drewnianego auta. To była moja ukochana zabawka. Ciągle jeszcze ją mam. Tam, na półce...

Pułkownik podszedł do regału i sięgnął ręką na najwyższą półkę, przy okazji strącając na ziemię miedziany czajniczek. Na słuch określił jego przypuszczalne położenie, zamachnął się nogą i kopnął, czajniczek z trzaskiem uderzył o ścianę. Pułkownik wyciągnął ramiona i zaczął szukać swojego fotela, który w całym tym zamieszaniu zmienił położenie. Znalazł go po drugiej stronie pokoju i usiadł.

- Gdybym miał syna, dałbym mu ten czołg. Córce też był dał, gdybym miał. Ale nie mam dzieci, a ty nie masz wnuków. Widocznie nie zostanę już

ojcem. Kim ja jestem? Wiesz kim? Jestem starym kogutem, jestem zramolałym inwalidą z przetrąconą dzidą.

Pułkownik przytknął butelkę do ust, wychylił zawartość i odrzucił puste szkło w kąt pokoju. Zawołał na Mavrę, po czym zwrócił się ponownie do ojca, werbalnie i fizycznie, gdyż stanął twarzą do tej ściany, na której wisiało zdjęcie młodego kapitana.

- Ja też jestem żołnierzem. Ale co to były za wojny, te moje śmieszne potyczki tu czy tam, w obcych krajach? Małe wojenki, nic więcej. I ja jestem mały. Bezwartościowy. Więc trzeba mi było wjechać na minę. Trzeba mi było głupio przerwać obiecującą karierę. Teraz mogę sobie do woli paradować w mundurze jak jakiś paw w klatce. W tych cholernych ciemnościach!

Pułkownik podszedł do sofy i jak dziecko rzucił się na nią na brzuch.

- Czy tam, gdzie teraz przebywasz, tato, jest ciemno czy jasno? Czy i ja zobaczę tam światło? Powiedz! Nie możesz? Daj mi przynajmniej jakiś znak, małą podpowiedź, zrób to dla mnie. Poczulbym się lepiej, nie cierpiałbym tak.

Pułkownik zaczął mruczeć coś pod nosem i z surową miną usiadł. Pogroził portretowi ojca pięścią.

- Gdybym był twoim ojcem, nie pozwoliłbym ci wyjechać do tej Ameryki. Zostałbyś tutaj, może trafiłbyś pod sąd i do więzienia, ale odsiedziałbyś swoje i wyszedł jako wolny człowiek bez skazy na honorze. Gdybyś był moim synem, nie zwiąłbyś do Ameryki i nie siedział tam, kiedy niebezpieczeństwo już dawno minęło i Ruscy się wynieśli, ani nie przyjechałbyś stamtąd z jakąś kobietą, niby twoją daleką krewną! „*So, this is your little son Toore*”, powiedziała i pocałowała mnie, rozmazując mi na policzku szminkę i puder. A w domu matka wyczuła zapach tego pudru i rozplakała się ze złości. Posłuchaj więc, z okazji twoich urodzin skomponowałem piosenkę. Mavra! Weź skrzypce i chodź już!

Drzwi się otwarły i w progu stanęła niepewnie Mavra, dostrzegła leżącą na podłodze butelkę, podeszła do niej i odstawiła na biurko. Wiedziała mniej

więcej, czego się może spodziewać. Pułkownik przysłuchiwał się jej krzątaniu.

- Zagramy kawalek dla ojca - rozkazał pułkownik.

- Jaki kawalek? - zapytała Mavra.

Pułkownik zaczął śpiewać coś na kształt marsza. Brzmiało to tak, jakby do jednego worka wrzucono wszystkie marsze świata.

Niczym niedźwiedź srogi, wpadłeś między wrogi, strachu ty nie znałeś, słabość pokonałeś - w bitwie w polu szczerym byłeś bohaterem. Póki oręż szczekał, nigdyś nie wymiękał, lecz gdy pokój przyszedł, znikłeś w Ameryce. Więzienia się bałeś, ojczyznę olałeś i rodzinę też - i za to bekniesz!

- Nie znam tego utworu - odezwała się Mavra.

- Oczywiście, że nie, to była improwizacja - odpowiedział pułkownik, po czym znów położył się na sofie.

- Pomasujesz mnie? - poprosił.

Mavra podwinęła pułkownikowi koszulę na plecach, odsłaniając wyblakłe, sinoczerwone ślady po oparzeniach i długie blizny pooperacyjne.

- Coś cię boli? - zapytała.

- Nie tak bardzo, byś nie mogła mi przynieść chwilowej ulgi - odparł pułkownik, zamykając oczy.

Mavra wyjęła z szafki buteleczkę oleju do masażu, wylała odrobinę na plecy pułkownika i zaczęła masować, naciągać i uciskać skórę.

- Nie brzydzą cię te okropne blizny po operacji i moje spalone ciało? - spytał pułkownik.

- Znowu zaczynasz? Nie brzydzą - odpowiedziała Mavra przez ściśnięte gardło, starając się, by jej głos zabrzmiał spokojnie.

- Mów prawdę - zażądał pułkownik. - Bez ogródek. Nie bój się, to zrozumiałe, że mogą cię brzydzić.

- Mówię bez ogródek i owijania w bawełnę - odparła Mavra. - Nie brzydzą mnie, nie mdli mnie od nich ani nie zbiera mi się na wymioty. Leż spokojnie.

- Oj, biedactwo ty moje - ciągnął pułkownik na tę samą nutę. - Takie stare, zniszczone, okaleczone ciało pod twoimi młodymi dłońmi. Wstyd i hańba.

- Nie nakręcaj się znowu - upomniała go Mavra. - Nie jesteś bardzo stary. Nie jesteś zniszczony. Nosisz na sobie ślady wojny. Wszyscy je nosimy. Ty, Jovan i ja. Z tą różnicą, że twoje widać, a naszych nie.

Pułkownik przysłuchiwał się rzeczowym, uspokajającym słowom Mavry z zamkniętymi oczami.

- Zaśpiewaj mi - poprosił. - Zaśpiewaj mi tę piosenkę dla dzieci.

I Mavra zaśpiewała:

Mała kuca kamena sa tri mała prozora zeleni im kapci i krov sav od plamena a na krovu vrapci.

Stoi sobie domek - w okienkach bielonych zielone zasłony, dach jak krew czerwony, a na dachu wrony.

- Ta wrona to ja - powiedział pułkownik i nagle usiadł. - Siedzę na tobie jak to czarne, kraczące ptaszydło i szarpię twoją wątrobę życia.

- Ile wypiełeś? - przerwała mu Mavra, lustrując spojrzeniem kąty pokoju w poszukiwaniu innych butelek. Pułkownik zignorował jej pytanie.

- I ta stara, nędzna wrona nie ma odwagi zerwać się do ostatniego lotu, tylko kiwa się na gonicie w przód i w tył, i będzie się tak kiwać, aż w końcu runie głową w dół i się zabije. Nie, nie zabije się, bo była już martwa, nim spadła na ziemię.

- Na Boga, przestań już dręczyć siebie i mnie! - jęknęła błagalnie Mavra. Pułkownik złapał ją mocno za ramiona i wciągnął na siebie.

- Ogrzej mnie, przebudź mnie do życia! Jeszcze nie jest za późno.

Mavra próbowała wyrwać się z jego uścisku.

- Nie jestem teraz w nastroju - powiedziała przez mocno zaciśnięte wargi.

- Co, nie chcesz? - stwierdził niemal zadowolony pułkownik. - Dlaczego nie? Przecież cię nie brzydzę? Przecież nie jestem tym złowróbnym ptakiem?

- Nie teraz - odparła Mavra.

- Boli cię głowa czy masz okres? Migrena? Śmiało wybieraj.

- Nie chcę. Nie zmuszaj mnie.

- Kiedy cię zmuszałem? Uważasz, że cię zmuszałem?

- Tego nie powiedziałam.

- To powiedz. - Co?

- Że cię nie zmuszałem.

- Nie wyszłam za ciebie z musu.

- Zatem z czego, z litości?

Mavra wyszarpnęła się z rąk pułkownika i odstała od sofy.

- Jesteś dla mnie niesprawiedliwy!

- Zamknij oczy, wyobraź sobie, że jestem kimś innym, i pomóż mi zacząć od nowa! - ryknął pułkownik.

- Jesteś pijany. Nie cierpię tego.

- Oto dobry powód. Niech będzie - podsumował pułkownik.

- Muszę ćwiczyć - powiedziała Mavra. - Jutro gram w kościele.

- To już drugi dobry powód - stwierdził kwaśno pułkownik. - Więc idź, zetrzyj sobie opuszki do krwi. Nie będę cię dłużej męczył.

- Boże święty, taki stary, a taki dziecinny! - krzyknęła Mavra i wybiegła z pokoju.

Pułkownik podszedł do biurka. Syntezator jakby się zląkł i zaczął mechanicznie recytować:

Góry by objął, ale ręce za krótkie. Wygląda, jakby żuka połknął. Gdy gęba krzywa, nie lustro winne. Ślinka cieknie, ale kabza pusta.

- A ty się zamknij, palancie! - warknął pułkownik i wyłączył komputer.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

I NADSZEDŁ CZAS POKOJU

Henryk napisał na komputerze list do Mavry i zachował go pod nazwą LISTY_MUS, która miała znaczyć: „Listy, które muszę napisać, a których w żadnym razie nie mogę jeszcze wysłać. Jeśli w ogóle”.

Szanowna nauczycielko i przewodniczko moja, co wpatrujesz się w wodę i pykasz fajeczkę!

Mavro!

W odpowiedzi na Twoje zmyślnie sformułowane pytanie: „Jak dobrze uczeń zna tę wariatkę, żonę wojewody, pisarkę?”, chciałbym Ci przekazać co następuje:

Jakiś czas temu Solveig skontaktowała się ze mną i zapytała, czy nie zechciałbym jej pomóc w przejrzaniu i sprawdzeniu materiału historycznego, który zgromadziła z myślą o napisaniu powieści. Oczywiście nie za darmo. Zgodziłem się. Nie czytałem jeszcze żadnej powieści Solveig. Miałem jej pomóc przy jej pierwszej powieści historycznej pod tytułem: *I nadszedł czas pokoju*.

Rzecz dzieje się w wymyślonym folwarku, któremu Solveig nadała jednak cechy wielu faktycznie istniejących majątków ziemskich. Głównym bohaterem był piękny i wspaniałomyślny *bon vivant*, szwedzki szlachcic rosyjskiego pochodzenia. Jego barwny życiorys przypominał biografię pewnego ziemianina i okrutnika z Finlandii Zachodniej, którego książę Karol kazał ściąć, bynajmniej nie za rozpustę, lecz z powodów czysto politycznych. Swój majątek Solveig umieściła we wschodniej części Księstwa, niedaleko ówczesnej granicy, w epoce, która rozpoczęła się od panowania Gustawa i zakończyła kilkadziesiąt lat później już za czasów caratu. Z powodu ówczesnych wojen szwedzko-rosyjskich nieszczęsny folwark zmieniał przynależność państwową

wielokrotnie, musiałem zatem bardzo dokładnie przestudiować wpływ każdorazowej zmiany sytuacji politycznej na przebieg granicy fińskiej.

Wybraliśmy się razem do Summy, aby obejrzeć tamtejszy dwór i wyrobić sobie pewne pojęcie o tym, jak mogły wyglądać nieliczne na wschód od rzeki Kymijoki majątki szwedzkiej szlachty. Zatrzymaliśmy się w hotelu w Haminie, w osobnych pokojach, lecz w końcu stało się tak, że noc spędziliśmy w tym samym pokoju, w tym samym dwuosobowym, niegustownym łóżku.

To był pierwszy raz. I nie ostatni. (Oto odpowiedź na Twoje drugie pytanie: Czy Solveig była moją kochanką?)

Gdy Solveig skończyła pisać swoją powieść, musiałem dokładnie ją przeczytać, choć wcale mi się nie podobała. Próbowałem jej uświadomić, że jeśli chce być w zgodzie z prawdą historyczną, musi zmienić opis wielu przedstawionych w książce wydarzeń. Solveig stanowczo odmówiła. Na pewne poprawki przystała, ale i tak w tekście pozostało mnóstwo błędów i nieścisłości. Mało prawdopodobne, by czytelnicy je dostrzegli, ja jednak miałem poczucie, że cały mój trud poszedł na marne. Solveig uważała natomiast, że wszystko jest w porządku, bo napisała przecież powieść, a nie studium historyczne. Spieraliśmy się o to nieraz. Solveig bardzo lubiła nasze kłótnie, pewna słuszności swojego stanowiska.

Powieść sprzedała się bardzo dobrze i zdaniem Solveig był to dowód na to, że miała rację. Ja uważałem, że nie dowodzi to niczego, a już na pewno nie tego, że książka jest dobra pod każdym względem. Bo nie była. Ale nie powiedziałem jej tego.

Wytknął jej to natomiast literat J.J. w recenzji, która ukazała się na łamach naszej lokalnej gazety. Solveig przeczytała mi ją na głos, wybuchając od czasu do czasu nieco histerycznym śmiechem.

„Pisarka jest zbyt strachliwa, by zejść pod powierzchnię opisywanego przez siebie świata i dać się porwać jego podskórnym prądom, zbyt leniwa, by od początku do końca przejść ów nasączony potem, krwią, goryczą i frustracją

proces, dzięki któremu postaci książki zaczynają żyć samodzielnie, podejmując nieprzewidywalne i czasem nielogiczne, lecz autentyczne działania, zaczynają kroczyć drogą, którą wytycza im tak wysoko przez nas wzniesiony i tak ceniony pisarski palec życia i śmierci. Nie było to jednak bynajmniej przeszkodą na drodze pisarki do sukcesu. Wręcz przeciwnie, w atmosferze kulturalnej tego kraju podobne właśnie braki i słabości gwarantują pisarzowi zdumiewająco liczne grono czytelników”.

Niezrażona krytyką literata J.J., a może właśnie przez nią zachęcona, Solveig postanowiła napisać drugą część powieści. Zaczęła mnie nagabywać o szczegóły podziału administracyjnego Finlandii i życia codziennego od początku istnienia Wielkiego Księstwa aż po przełom stuleci. Nie zgodziłem się drugi raz na taką robotę. Wypisałem jedynie niezbędną literaturę i kazałem Solveig samej się w nią zagłębić.

Solveig była moją decyzją głęboko rozczarowana. Przecież nawet J. J. nie miał żadnych zastrzeżeń do realiów historycznych powieści. Odpowiedziałem, że tym bardziej moja pomoc nie jest jej już potrzebna, skoro nikt nie dostrzegł w tekście błędów, niedomówień, nielogiczności, anachronizmów i niespójności, które świadomie w nim zostawiła.

Solveig się rozplakała, sprowadzając całą sprawę do wymiaru osobisto-erotycznego. Stało na tym, że obiecałem przejrzeć gotowy rękopis. To ją zadowoliło. Powiedziała nawet, że tak będzie lepiej, bo da jej to większą swobodę przy pisaniu. Pogratulowałem jej mądrej decyzji.

Zniknęła na jakieś dwa miesiące. Zjawiała się u mnie w czasie tej jesiennej burzy, cała w skowronkach jak roz-pląsana nereida, przynosząc z sobą gotowy rękopis. Została dwa dni i dwie noce. Trzeciego wieczoru wyszedłem na dwór zabezpieczyć pomost, by jakiś czas potem wylądować na Twoim brzegu.

Solveig jest starsza ode mnie o dwanaście lat, ale to bez znaczenia. Jej syn jest moim uczniem w drugiej klasie liceum i to również nie miałoby żadnego znaczenia, gdyby nie był niemożliwym rozrabiaką, który prawdopodobnie wie o

naszym romansie (którego oczywiście już nie ma, bo już się skończył, najpóźniej w chwili, gdy musiałem błyskawicznie odpowiedzieć na Twoje pytanie: „Czy Solveig...?”).

J. J. przyznał, że Solveig jest konsekwentna, skoro deklaruje, że historyczność jej powieści nie musi być bezsporna. Bo i jej postaci nie są wiarygodne. W rzeczywistości ona sama nie jest wiarygodna. Z jednakowym, prymitywnym cynizmem manipuluje bohaterami swoich powieści i ludźmi ze swojego otoczenia. J. J. powiedział mi to wprost w restauracji „Astro”, po czym spojrzał na mnie wymownie, jakby mnie o coś pytał. Zażartowałem wtedy, że kobiety nie należy krytykować za to, co pisze ani jaki ma charakter. A ja jestem mężczyzną samotnym.

Już nie jestem. Odkąd spotkałem Ciebie.

Twój pilny uczeń Henryk

ROZDZIAŁ SIÓDMY

TESTAMENT PAWŁOWA

Wyjątkowo wczesny, pierwszy śnieg stopniał i znowu zrobiło się ciepło. Mavra i Henryk siedzieli obok siebie na poręczy pomostu.

- Powtórzmy, czego się ostatnio nauczyliśmy - odezwała się Mavra. - Słuchaj uważnie: *Ja siżu, ty sidisz, on sidit...*

- Ja siedzę, ty siedzisz, on siedzi - odpowiedział posłusznie Henryk. Jak każdy nauczyciel, w charakterze ucznia zachowywał się niczym sztubak, który bardzo chce pokazać, jakie poczynił postępy, i sprawić tym przyjemność nauczycielce. Wpatrywał się też w Mavrę, całkiem jak zakochany w swojej pani gimnazjalista, spijał słowa z jej ust, czujnie śledził żywą mimikę jej brwi i wzdragał się, gdy jej czoło znaczyła najmniejsza nawet zmarszczka.

Na werandzie pojawił się Jovan z lornetką w ręku. Za nim przydreptał Maotse, usiadł obok i rozłożył się na ziemi. Jovan uniósł lornetkę do oczu i spojrzał w stronę pomostu. Po chwili na werandę wszedł pułkownik, trzymając w dłoniach piętnastokilogramowe hantle i zginając energicznie przedramiona, żeby wzmocnić bicepsy. Jovan pospiesznie skierował lornetkę na chmury, jak przyłapano na gorącym uczynku dziecko. Zaraz jednak z zażenowaniem uświadomił sobie zbędność tych pozorów i znowu zaczął beczelnie lustrować Mavrę i jej ucznia.

- O, leci gawron - odezwał się Jovan.

- Dziewięć... dziesięć... - liczył pułkownik.

- Nie, to jednak kawka, ale jak na kawkę, to spora jest - zmyślał dalej Jovan.

- Znowu obserwujesz te swoje ptaki? - zdziwił się pułkownik.

- Jeżeli to nie czarnowron, skrzydła ma szersze i nie ma nogawic - ciągnął Jovan.

- Jakich znowu nogawic?

- Pierzastych zgrubień na goleniach, niektóre ptaki je mają - wyjaśnił Jovan.

- Ślepemu wszystko możesz wmówić - skwitował pułkownik, trzymając hantle w wyciągniętych do przodu rękach. Był dumny ze swojej siły i chciał pokazać, że wiek i odniesione rany nie obniżyły jego sprawności fizycznej. Wmawiał sobie, że dba o kondycję z powodu Mavry, lecz w głębi duszy wiedział, że najważniejszą motywacją do ćwiczenia była chęć dokopania ojcu. Pułkownik wytężał się do granic wytrzymałości, na czole i szyi wyskoczyły mu żyły, ale ciągle trzymał hantle przed sobą, klnąc przez zęby, jak gdyby każda sekunda była kolejnym dowodem na to, że ma więcej siły teraz niż jego bohaterski ojciec w kwiecie wieku. W końcu opuścił hantle i postawił na ziemi.

- Kurwa mać! - wysapał zadowolony.

- Staram się tylko być rozmowny - powiedział Jo-van. - Wypatruję pewnego kruka, widziałem go wczoraj tak wysoko, że wziąłem go za jastrzębia, ale to jednak był kruk. Jesienią zbliżają się czasem do siedzib ludzkich.

- Nie napatrzyłeś się dość na te swoje kruki i jastrzębie w Bośni? - zapytał pułkownik. - Tam to miały raj. Bywało, że wyjadały z ciał tylko oczy.

Jovan nie odpowiedział. Na pomoście dokonano się bezpośrednie przejście do prymitywnego, lecz bardzo skutecznego nauczania pogładowego, stosowanego już przed tysiącami lat przez ludy pierwotne w celu poznania języków sąsiadów. Jedna osoba pokazywała palcem lub dotykała przedmiot, wypowiadając przy tym jego nazwę w swoim języku, druga podawała rodzimy odpowiednik. W metodzie tej bodźce motoryczne, wizualne i słuchowe łączą się w jedno, ułatwiając najpierw zapamiętanie, a potem przypomnienie sobie danego słowa. Dotyk jeszcze bardziej intensyfikował ten proces. Co prawda na pomoście nie musiano ani pokazywać palcem, ani dotykać przedmiotów, nauczanie przebiegało bowiem we wspólnym języku, jednak przejście do bezpośredniej bliskości było naturalne i spontaniczne. Dostrzegł to nawet Jovan.

- Rzeka, woda, słońce, ty, ja? - zapytał Henryk po fińsku.

- *Rieka, wada, sonce, ty, ja* - odpowiedziała Mavra po rosyjsku. Ujęła go za dłoń i przytknęła ją do swoich włosów, do oczu i wreszcie do warg, spoglądając na niego pytająco.

- Włosy, oczy, wargi - odpowiedział urzeczony Henryk.

- Nie po fińsku, powiedz po rosyjsku - zażądała Mavra.

- *Włosy, glaza, guby* - przypomniał sobie Henryk. Mavra się uśmiechnęła, zadowolona ze swojego ucznia.

- Coś niespotykane cichy ten twój gawron - zdziwił się pułkownik.

- One nie zawsze kraczą - odparł Jovan, lecz w duchu zaklął, że w pobliżu nie ma żadnych krukowatych. Lecz wtem, jak na zawołanie, przy karmniku pojawiła się sójka i zaczęła dziobać wyłożoną tam słoninę.

- Obok naszego karmnika usiadła, no, jak się nazywa... taki szaroczerwony ptak, z niebieskim pasem na skrzydłach i białym ogonem...

- Może sójka? - podsunął pułkownik.

- Kreja?

- Co mówisz?

- To po serbsku. Już poleciała.

- Wszystko jedno - odparł pułkownik, który po utracie wzroku przestał się interesować ptakami. Oczywiście znajomi, sądząc, że sprawiają mu tym przyjemność, bezustannie przypominali mu o jego ślepcie, nazywając i opisując mu ptaki, które akurat nad nimi przelatywały albo odzywały się gdzieś niedaleko. Nawet Mavra. Co go obchodzą jakieś ptaki?

- Ale cóż ja widzę? Widzę na pomoście kolejną lekcję języka rosyjskiego - odezwał się Jovan, nie potrafiąc wymyślić na poczekaniu niczego nowego o ptakach.

- Chłopak ma ambicję - pochwalił pułkownik. - Co robią?

- Czytają z podręcznika - odpowiedział Jovan, otwierając podręcznik rosyjskiego, który Henryk zostawił na werandzie. - Potapowa, *Podstawy języka*

rosyjskiego, z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piątego.

- Rok wydania też zobaczyłeś? - zdziwił się pułkownik.

- Też się z niego uczyliśmy w szkole w Banja Luce - odparł Jovan, wcale nie kłamiąc. - Nie znosiłem go.

- *Ruka, palec, szejal* - zapytała Mavra.

- Ręka, palec, szyja - odpowiedział Henryk.

- W rozdziale piętnastym akademik Pawłów pisze swój testament, list do młodzieży Związku Radzieckiego - oświecił pułkownika Jovan.

- Matko Boska! Filuj lepiej na te swoje ptaki i siedź cicho!

- „Czego mógłbym życzyć tym wszystkim młodym ludziom, którzy parają się nauką w moim kraju? Nade wszystko: konsekwencji!” - przeczytał Jovan z książki.

- Co ty tam mruyczysz pod nosem? - zapytał zdziwiony pułkownik.

- To był testament Pawłowa, czyli jego list do młodzieży Związku Radzieckiego.

- Usłyszałeś to wszystko przez lornetkę?

- Nie, wyczytałem z ruchu ich ust. „Akademik wybudował w Pawłowie stolicę światowych badań nad odruchami warunkowymi. Chciał uczynić ze Związku Radzieckiego mocarstwo w tej dziedzinie...”.

- A zrobił to Stalin - uciął pułkownik, położył się na podłodze i zaczął robić pompki.

Na pomoście Henryk zaczął dotykać Mavry, co może nie było konieczne z punktu widzenia nauki języka.

- Noga? - zapytał Henryk.

- *Naga* - odpowiedziała mu Mavra.

- Brzuch - stwierdził Henryk.

- *Żywot* - powiedziała Mavra.

- Pierś.

- *Grudz'* - powiedziała szybko Mavra, chwytając Henryka za rękę. -

Tęsknota to skuka, miłość to ljubow'.

- A pocałunek? - zapytał Henryk.

Henryk i Mavra w okularze lornetki zamilkli i długo na siebie patrzyli. Jovan zobaczył, że ich głowy zaczynają chylić się ku sobie. Szepnął coś na ucho Maotse, chwycił laskę i cisnął ją w stronę pomostu. Pies zaszczeakał i skoczył jak wystrzelony z procy. Mavra i Henryk wzdrygnęli się i odskoczyli od siebie, bo krótkowzroczny wilczur, nie dostrzegłszy leżącej na ziemi laski, popędził na pomost i prawie wpadł im na nogi. Henrykowi przyszło do głowy, że psa wytresowano tak, by nawet bez rozkazu rozdzielać Mavrę i obcych mężczyzn.

- Teraz go widzę! To ten kruk! - wykrzyknął Jovan. - Prawdziwy *corvus corax*! Ogromny okaz!

- Powiedz mi jeszcze, że trzyma w dziobie kawał żółtego sera! - zadrwił pułkownik.

- Jakże mógł pan to dostrzec, panie pułkowniku?

- Dzięki nadnaturalnemu postrzeganiu barw, niewidomi tak mają.

Pułkownik wziął w dłonie hantle i wrócił do domu. Jo-van został na werandzie z lornetką przy oczach.

- A pod drzewem siedzi lis, który ostrzy sobie zęby i na ser, i na kruka - mruknął pod nosem.

Opuścił lornetkę i odszedł za pułkownikiem. Mavra i Henryk podnieśli się, nie patrząc na siebie.

- Jesteś dobrym uczniem - pochwaliła go Mavra.

- To ty jesteś dobrą nauczycielką - pochwalił ją Henryk.

- I chcesz się uczyć dalej?

- Wszystkiego, czego możesz mnie nauczyć.

- Przyjdź znowu pojutrze. I ucz się pilnie sam.

- Przyjdę. Zaczniemy od tego, na czym skończyliśmy.

- Nie spieszmy się. Najpierw trzeba opanować podstawy.

- Fakt. Będziemy zatem powtarzać i powoli posuwać się do przodu.

Podali sobie oficjalnie dłonie. Mavra poszła w stronę domu, Henryk wsiadł na rower i ruszył, Maotse, szcękając pobiegł za nim, bo znajoma postać nagle przeistoczyła się w nieznanego rowerzystę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

„CO MI JEST, NA BOGA?”

Gdy dwa dni później Henryk przyjechał do państwa Musk, wioząc na bagażniku roweru promieniujący radzieckim optymizmem podręcznik madame Potapowej, spotkał w furtce starego Söderholma, który zbliżał się od strony domu, trzymając w ręku staromodną torbę lekarską z brązowej skóry. Znajdowały się w niej zaprojektowane przez niego i własnoręcznie wykonane przybory do mierzenia promieniowania cieków wodnych, a także relikwie i amulety o najróżniejszym zastosowaniu.

Söderholm miał na nosie grube szkła, więc tym razem poznał Henryka od razu i wylewnie się z nim przywitał. Powiedział, że był właśnie u pułkownika i jego żony na pomiarach promieniowania. W ramach wynagrodzenia otrzymał dużą butelkę najlepszej na świecie irlandzkiej whisky. Pułkownik postawił jednak warunek, że nie wolno mu jej otworzyć w jego domu, i Söderholm słowa dotrzymał. Lecz teraz - rzekł, wchodząc na drogę - nie znajduje się już na terenie pułkownika. Co powiedziawszy, otworzył torbę, wyciągnął z niej butelkę glenfarclasa i odkręcił zakrętkę, pomrukując przy tym z zadowolenia. Dziadek wspaniałomyślnie podsunął butelkę Henrykowi. Ten, mimo że nie lubił whisky, grzecznie pociągnął pierwszy łyk.

- Pod ten rosyjski - powiedział dziadek, puszczając do niego oko, a widząc zdumione spojrzenie Henryka, dodał:

- Pułkownik opowiadał, że przyjeżdża pan do nich i pilnie się uczy. Pułkownik bardzo pana chwali. Czemu nie? Ma pan podobno głowę do języków. Jak byłem młody, też miałem, ale teraz łepetynę mam całkiem pustą.

Söderholm popukał się w czaszkę, w której zadudniło dziwne echo.

- Głucho, bo pusto - skwitował. - Za chłopaka też znałem trochę rosyjskiego, nauczył mnie jeden ruski jeniec. Tutaj też ich przywozili, do pracy

w polu. Ten miał na imię Siergiej. Czy Siemion. Mówili na niego „Jagiel”, bo chodził do lasu i zbierał chrobotka, a to po rosyjsku „jagiel”. Więc tego chrobotka zbierał i wrzos też, i gotował z nich herbatkę na pobudzenie czy uspokojenie, już teraz nie pamiętam, i na reumatyzm też. To był odczytany gość, studiował na uniwersytecie Łomonosowa, zabierał mnie do lasu i pokazywał grzyby, mchy i zarodniki. Ja o grzybach wtedy nic nie wiedziałem, u nas na wsi ludzie ich nie zbierali. Jagiel mi je pokazywał i nazywał po swojemu, kurki, mleczaje, borowiki, lejkowce, chrobotki, wrzosi i widliczki, no i wszystko to umiałem po rosyjsku, ale teraz to już nie pamiętam. Jak to szło? Grib, moch, wieriesk, no i ten jagiel. To właśnie Jagiel powiedział mi o promieniowaniu żył wodnych, dużo o nim wiedział, tego też się uczył na uniwersytecie, chyba geologiem był. Ja wtedy usłyszałem o tym pierwszy raz w życiu - u nas to było zupełnie nieznane, a w Rosji byli wtedy w tych sprawach daleko przed nami. Ale już nie są.

Henryk podziękował za poczęstunek i już miał zniknąć w furtce, gdy Soderholm zatrzymał go jeszcze i powiedział, że powinien sprawdzić, czy nie ma w swoim domu żył wodnych. To żaden problem, on może mu to zrobić za półdarmo, z czystej ciekawości. Przypuszczalnie bowiem w jego domu występuje niesłychanie silne stężenie szkodliwych jonów, fal i ładunków elektrycznych.

- Skąd to przypuszczenie? - zdziwił się Henryk.

- Ano stąd, że jest pan taki lekkomyślny w relacjach z ludźmi - odparł Soderholm. - O ile się nie mylę, a raczej nie, wygląda na to, że choć przez pański dom przewija się sporo kobiet, żadna nie zagrzewa tam długo miejsca. Albo kobiety nie te, albo promieniowanie. Mogę to dla pana łatwo sprawdzić.

- Może jednak nie - odpowiedział Henryk i ruszył dalej, lecz po chwili zatrzymał się i odwrócił do Söderholma, który speszony odstawił butelkę od ust:

- Co pan tym razem mierzył w domu pułkownika?

- To sprawa poufna, nie mogę powiedzieć - odrzekł mu Soderholm,

chowając butelkę do torby. - Ale oczywiście najwięcej gawędziliśmy sobie z pułkownikiem o wojnie zimowej. Ciągnął mnie za język, więc opowiadałem mu, co zapamiętałem, szczególnie z walk o Kuhmo.

- Pan też tam był? - zdumiał się Henryk. Jeśli to prawda, Soderholm musiałby mieć przynajmniej osiemdziesiąt lat.

- Ano byłem. W specjalnych oddziałach rezerwy naczelnego dowódcy! - odpowiedział Soderholm, podnosząc dłoń do czoła. - Tam też zostałem ranny, więc odesłali mnie do domu. I tutaj Jagieł mnie wyleczył tymi swoimi wywarami, naparami i wyciągami, no i przy tym powiedział mi, jak unikać najgorszego promieniowania żył wodnych. I od tej pory jestem zdrowy. Potrafię nawet stać na głowie!

Sóderholm postawił torbę i zrobił głęboki skłon, dłonie położył na ziemi, oparł między nimi czubek głowy i próbował wypchnąć chude łydki w górę, do pionu. Dopiero za trzecim razem złapał chwiejną równowagę.

- A więc tak to jest być Chińczykiem! - zapiszczał Sóderholm i zaczął przebierać nogami, jakby maszerował. Ale Henryk nie był zainteresowany, dokąd zajdzie na swych chudych nogach żołnierz specjalnej rezerwy naczelnego dowódcy, i poszedł.

Tym razem drzwi otworzył mu Jovan z Maotse przy boku. Pies obwąchał Henryka jak swego i polizał mu kciuk na znak starej przyjaźni. Jovan zachowywał się z uprzejmą rezerwą, lecz z jego pozbawionej wyrazu twarzy Henryk bez trudu wyczytał, co myśli o powtarzających się odwiedzinach w domu państwa Musk.

Jovan zaprowadził Henryka do pokoiku Mavry i poprosił, aby zaczekał. Pani Musk cierpi czasem na migreny i właśnie nie czuje się najlepiej.

- Odpocznie trochę i za chwilę do pana przyjdzie - poinformował go Jovan i wyszedł. Henryk słyszał wyraźnie skrzypce Mavry w pokoju na piętrze, rozpoznał nawet utwór. Jovan również musiał go słyszeć. Więc dlaczego skłamał? Czy to zwyczaj tego domu?

Regał zajmowały przede wszystkim publikacje rosyjskie i serbskie. Na trzech półkach, w doskonałym porządku, stały zeszyty z nutami. Henryk przeglądał je z lekką zazdrością, czuł bowiem, że stoi przed nieosiągalnym dla niego ogromem wiedzy i umiejętności. Przelotne uczucie zazdrości i świadomość własnej niewiedzy przerodziły się w zachwyty dla Mavry, która mimo tak trudnych warunków nauczyła się kilku języków obcych i umiała nawet grać na skrzypcach podczas ataku migreny.

Na jednej półce stały figurki w strojach ludowych z różnych krajów, a wśród nich stara, mocno sfatygowana szmaciana lalka, która zamiast oczu miała czarne guziki. Obok niej widniała fotografia nowo narodzonej Mavry na rękach matki - mała, czerwona buzia okolona gęstwą ciemnych włosów. Matka miała poważną, chudą twarz o dużych, przestraszonych oczach i wąskim, orlim nosie. Na zdjęciu obok mała Mavra trzymała w objęciach ową szmacianą lalkę, która miała wtedy jeszcze oryginalne, szeroko rozwarte, szklane oczka. Głowę Mavry ozdobił czerwony czarnogórski fez. Zwieszała się z niego czarna frędzla, pośrodku której lśniła dumnie złota, pięcioramienna gwiazda. Dziewczynka siedziała na kolanach kościstego starca, który był może jej dziadkiem, choć równie dobrze mógłby uchodzić za marszałka Tito.

Stały tam też zdjęcia braciszka i siostrzyczki Mavry, którzy zdążyli już dorosnąć i mieszkali obecnie w Niemczech u krewnych ze strony matki, oraz fotografia matki Mavry, nieco już starszej i bardzo schorowanej.

Na ścianie wisiała rumuńska kobza z Wojwodiny. Z koszyka wystawały najprzeróżniejsze ozdobne fujarki, flet pasterski, flet nai, tarogató, flet podwójny, fletnia Pana oraz turecka szałamaja. Henryk chwycił ją w dłoń i zaczął wydawać z trąbki przeraźliwe dźwięki, póki starczyło mu tchu.

Wreszcie zakręciło mu się w głowie i musiał przysiąść na niskim posłaniu Mavry.

Nawet nie spostrzegł, że w drzwiach stanął pułkownik. Wstał z łóżka.

- Ależ proszę siedzieć - odezwał się pułkownik, wchodząc do środka. -1

niechże pan sobie nie przeszkadza z mojego powodu, może pan trąbić do woli.

- Zakręciło mi się w głowie - odpowiedział Henryk i wepchnął instrument z powrotem do kosza.

- Przyszedłem tylko powiedzieć, że Mavra rzeczywiście nie czuje się najlepiej, ale za chwilę jej przejdzie. Przyszło mi do głowy, że musi się pan dziwić, jak może grać na skrzypcach, skoro tak źle się czuje.

- Istotnie, zastanowiło mnie to - przyznał Henryk.

- Sprawa ma bardzo sensowne wytłumaczenie - rzekł pułkownik. - Choć może to zabrzmieć dziwnie, Mavra leczy migrenę muzyką. Metodę tę wymyślił i rozwinął neurolog i skrzypek Armen Agapetosjan z Erewania, a Mavra poznała ją, kiedy studiowała w Petersburgu. Agapetosjan wykorzystał zmiany psychofizyczne, które występują w organizmie osoby cierpiącej na migrenę pod wpływem muzykowania, także wymuszonego. Już samo przezwyciężenie bólu i niechęci do gry i chwycenie za instrument, w tym przypadku są to skrzypce, przynosi zbawienny efekt. Nakłada się na to zjawisko najzupełniej fizyczne: podczas gry krew zaczyna szybciej krążyć. Z początku może to spowodować nasilenie bólu i pogorszenie samopoczucia, lecz oto w obrazie całości pojawia się nowy czynnik, choć przyznać trzeba, że dotyczy to tylko osób grających na skrzypcach: wpływ dźwięku na ból, zwłaszcza zaś flazo-letów, czyli tonów fletowych. Mają one tę właściwość, że przy ściśle określonych częstotliwościach mogą usuwać powodujące ból głowy węzły neuronowe, a w przypadku migreny, zmienić błędne parametry elektromagnetyczne, które ją wywołują. Znalezienie właściwej częstotliwości nie jest łatwe, sam pan pewnie słyszy, jak Mavra próbuje najróżniejszych tonów. Utwór, który w tej chwili gra, szczególnie się do tego nadaje...

- *Kaprys Paganiniego?* - podsunął Henryk.

- Doskonale - zachwycił się pułkownik. - Tam jest tych flazoletów pełno. Ja osobiście go nie znoszę, lecz jako utwór leczniczy jest do przyjęcia.

Pułkownik usiadł w wiklinowym fotelu. Mężczyźni przysłuchiwali się w

milczeniu terapii Mavry. Po chwili pułkownik zagadnął, że Mavra wspomniała mu, iż Henryk uczył się włoskiego. Nawet o mnie rozmawiają, zdziwił się Henryk. Przyznał, że uczył się tego języka, aby móc czytać oryginalne opracowania historii Włoch, tak się bowiem złożyło, że pisał pracę magisterską o Garibaldi i jego próbie wyzwolenia Rzymu spod władzy papieża.

- I jak? - zapytał pułkownik.

- Obroniłem pracę z wynikiem bardzo dobrym.

- W to nie wątpię. Pytam, jak poszło Garibaldiemu?

- Jemu się nie powiodło - odparł Henryk.

- A to szkoda - zasmucił się pułkownik. - Ośmielę się wykorzystać pańską znajomość języka włoskiego i pozwolę sobie poprosić pana o małą przysługę. Chciałbym, aby przeczytał mi pan pewien sonet Petrarcki, który zachwyił mnie dawno temu. Sam nie mogę tego zrobić, jako że nie mam go w brajlu. Muszę tylko znaleźć ten zbiór...

Pułkownik podszedł do regału, wyciągnął dłonie, na-macał właściwą półkę i zaczął przesuwać palcami po grzbietach książek, aż wyłowił spomiędzy nich małą książeczkę w skórzanej oprawie.

- Zbiór poezji Petrarcki - powiedział pułkownik. - Kupiłem go, będąc na rekonwalescencji we Włoszech. Przypadkiem znalazłem w jedynej księgarni w pewnym małym miasteczku. Teraz należy do Mavry. Podarowałem go jej.

Pułkownik podał książeczkę Henrykowi i znowu usiadł w wiklinowym fotelu.

- Po operacji w Pescarze postanowiłem nie wracać do Finlandii. Chciałem rozpocząć psychiczne i motoryczne przygotowania do nowego życia z dala od domu, tak by nikomu nie przeszkadzać i aby nikt nie przeszkadzał mnie. Nagrałem na taśmę pozdrowienia dla żony, z którą rozwiodłem się jeszcze przed wyjazdem do Bośni, i dla jej nastoletniej córki. Poinformowałem je krótko, że straciłem wzrok i jak do tego doszło, powiedziałem, że zwolniłem się na jakiś czas ze służby, bo liczę na cud medyczny, co oczywiście nie było prawdą.

Powiedziałem też, że zamierzam zostać na trochę we Włoszech, gdzie mam doskonałą opiekę, i że w zaistniałej sytuacji nie chcę nikogo widzieć, ale zaraz się poprawiłem: nie chcę się z nikim spotykać, lecz nie upadłem na duchu i próbuję właśnie odzyskać pełną sprawność oraz nauczyć się radzić sobie samemu. A gdy dopnę swego, wrócę do domu, do ojczyzny, odmieniony. Nie powiedziałem, w której części Włoch się zatrzymam, sam jeszcze tego wtedy nie wiedziałem. Nie zdradziłem mojego miejsca pobytu również później, kiedy wybrałem już sobie tę biedną, małą miejscinę, której nazwy do tej pory nie potrafię właściwie wymówić.

Leży w Abruzji, na wschodnim stoku najłagodniejszego wzniesienia w masywie Gran Sasso. Miasteczko jakimś cudem wspięło się nań z doliny, uczepiło tego stoku i tak już zostało. Tam nauczyłem się żyć w ciemności. Ćwiczyłem poruszanie się najpierw w małym, wynajętym domu, potem w ogrodzie, a na koniec w samym miasteczku, gdzie uliczki były za wąskie na ruch kołowy. Chodziłem stromymi, krętymi uliczkami w czarnych okularach, stukając po bruku białą laską i napędzając ludziom porządnego stracha tymi moimi karkołomnymi wspinaczkami po schodach, które często nie miały jakichkolwiek poręczy.

W prowadzeniu domu pomagała mi sąsiadka. Była to mężatka i matka wielu dzieci, więc nie wzbudzało to niezdrowych emocji. Jej najstarszy syn prowadził mnie początkowo na przechadzki po mieście, szybko jednak nabrałem ochoty do samodzielności. Pomyślałem sobie bowiem, że jeśli nauczę się sam poruszać w takim gąszczu stromych i krętych zaułków, dam sobie radę wszędzie.

Nie wiedziałem wówczas zbyt wiele o tym, co się dzieje na świecie, i nie chciałem wiedzieć, za bardzo byłem pochłonięty opanowywaniem podstaw sztuki życia. Chłopak czytał mi czasem z gazety relacje dotyczące wydarzeń w Bośni. Włoski rozumiałem kiepsko, a i on nie był orłem w czytaniu, ale i tak było w tych doniesieniach dość ludzkiej nędzy jak na jedną prasówkę.

Aż pewnego dnia natknąłem się na tę małą księgarnię. Wszedłem do środka i zapytałem słabą włoszczyzną, czy mają książki napisane alfabetem dla niewidomych, najchętniej wiersze, ponieważ są krótkie. Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy to pytanie, przecież nie potrafiłem wtedy jeszcze czytać brajlem. Sprzedawczyni, młoda kobieta, odpowiedziała mi, że niestety takich książek nie mają, i bardzo mnie z tego powodu przepraszała. Zaofiarowała się, że przeczyta mi na głos kilka wierszy. Bardzo chciała być pomocna i miała dużo czasu, bo w środku dnia, tuż przed sjeścią, do sklepu rzadko kto zaglądał. Z wdzięcznością przyjąłem jej propozycję i usiadłem na krześle. Kobieta długo nie mogła się zdecydować. W końcu wybrała wiersz, który Ugo Foscolo napisał swojemu zmarłemu bratu Giovan-niemu, zapamiętałem go, bo był pierwszy. Czytała pięknym, jasnym głosem, z delikatnym abruzyjskim akcentem. Nie zrozumiałem zbyt wiele, ale nie robiło mi to różnicy. Wróciłem tam następnego dnia i kobieta znów przeczytała mi jakiś wiersz, nie pamiętam dokładnie jaki, ale byłem jej bardzo wdzięczny. Przychodziłem do jej księgarni dziesiątki razy i za każdym razem czytała mi jakiś wiersz. Nie pamiętam wszystkich poetów, ale Carducciego, Ungaret-tiego, Pascolego i Montalego jak najbardziej.

W dowód wdzięczności przynosiłem jej czasem to bukietek kwiatów, to czekoladę, kupiłem też od niej kilka tomików poezji. Nie przesadzę ani trochę, gdy powiem, że ta kobieta z księgarni była moim jedynym światłem w ciemności, moim aniołem poezji. Nie wiem, jak wyglądała, lecz pamiętam jej dłonie, ponieważ na powitanie zawsze podawała mi rękę. Były smukłe, wąskie i ciepłe, a opuszki palców nieco stwardniałe. W moim stanie mogłem się w niej bez trudu zakochać. Kochałem jej głos, jej zapał i chęć otwarcia mi znowu oczu na piękno, dotarcia przez moje wielkie uszy do serca.

Raz zaproponowałem, aby przeczytała mi coś z Petrar-ki. Odpowiedziała, że jego język może być dla mnie zbyt trudny, niemniej wyjęła z półki zbiór jego poezji, tę właśnie książeczkę, był to jedyny egzemplarz w całym sklepie. Poprosiłem, by mimo to wybrała z niego jakiś wiersz i przeczytała mi go. To był

właśnie ten sonet. I chciałbym teraz pana poprosić, aby mi go pan przeczytał. Ale najpierw niech się pan w spokoju z nim zapozna.

Henryk zaczął czytać tak dobrze, jak tylko potrafił:

Santor non e, che dunque e quel ch'io sento? Ma s'egli e amor, per Dio, che cosa e quale? Se bona, ona" e l'effetto aspro mortale? Se ria, ond'i si dolce ogni tormento?

Tu się zatrzymał, ponownie przemyślał rozkład akcentów, po czym raz jeszcze przeczytał pierwszą zwrotkę i resztę sonetu.

Pułkownik słuchał zatopiony w myślach i wyraźnie wzruszony. Gdy Henryk skończył, pułkownik słabym głosem zaczął recytować:

Jeśli nie miłość, co mi jest, na Boga? A jeśli miłość, jaka jest właściwie? Jeżeli dobra, skąd jej ból, się dziwię? Jeśli zła, czemu męka taka błoga?

Znów pogrążył się we wspomnieniach. Po chwili wyrzekł:

- Ten wiersz przemówił do mnie, choć nie zrozumiałem wszystkich słów. Poprosiłem nauczyciela języka angielskiego z miejscowego liceum, aby go dla mnie przetłumaczył. Potem sam go przełożyłem na fiński. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego ten naiwny wiersz wywarł na mnie aż tak silne wrażenie. Niedługo potem wiedziałem już, co robić. Postanowiłem wrócić do Bośni i odszukać Mavrę. Poczulem, że muszę się nią zaopiekować i dać jej wszystko, na co tylko mnie stać. Lecz w Bośni znalazłem się ostatecznie dopiero trzy lata później, po zawarciu porozumienia pokojowego w Dayton. Do tego czasu mieszkałem w Finlandii i szlifowałem sztukę radzenia sobie z czterema zmysłami...

Pułkownik zamilkł, przekręcił głowę, aby lepiej słyszeć, i uniósł palec, z czego Henryk wywnioskował, że za chwilę będzie mu dane ponownie się przekonać o wyższości czterech pułkownikowych zmysłów nad pięcioma zwykłymi. W tejże chwili do pokoiku weszła Mavra. A on znów niczego nie usłyszał.

Mavra spojrzała z niezadowoleniem na pułkownika, który natychmiast wstał i ruszył do drzwi. W progu podziękował Henrykowi za wyborną

interpretację sonetu Pe-trarki i zasugerował, aby przeczytał go również Mavrze, jeśli tylko znajdzie chwilkę.

Mavra opadła na łóżko obok Henryka i oparła głowę o jego ramię, czekając, aż umilkną kroki pułkownika. Potem poprosiła, by nie czytał jej tego wiersza.

- Ciągłe chce mi go czytać. I każdemu, kto ma jeszcze siły słuchać. I kto nie ma też, co go to obchodzi. Przecież nikt się nie ośmieli powiedzieć niewidomemu, żeby się wreszcie zamknął. Mnie się czasem zdarzy i potem muszę za to cierpieć. Nigdy tego wiersza nie lubiłam. I on dobrze o tym wie.

Mavra była blada i miała podkrążone oczy. Henryk zapytał, czy tony fletowe choć trochę jej pomogły. Mavra pokręciła głową. Wtedy powiedział, że w furtce zderzył się z Söderholmem, który coś robił w ich domu. Zapytał, czy czasem nie mierzył jej migreny. Mavra odparła, że to niemożliwe, bo jej bólu nie można zmierzyć.

- Nie przyszedł chyba mierzyć waszego promieniowania korporalnego, twojego i pułkownika? - zażartował Henryk. Mavra się wzdrygnęła.

- Skąd o tym wiesz? - zapytała. - Pułkownik ci powiedział?

- Kto by nie znał szalonych teorii Söderholma? - odparł Henryk.

- Nie wiem, kto tu jest bardziej szalony - bąknęła Mavra. - Pułkownik jest gotów spróbować wszystkiego.

- Czego? - zainteresował się Henryk.

- Nie powiem - ucięła. - Jestem znudzona i zmęczona, głowa mi pęka i jest mi niedobrze.

- Pomasować ci skronie? - zaproponował Henryk. Mavra usiadła przed nim, odchyliła głowę i zamknęła oczy. Henryk zaczął delikatnie masować jej skronie, nie spuszczać wzroku z jej twarzy i snując domysły, do czego pułkownik mógł zmuszać Mavrę i z jakiego powodu. Jak daleko było od naiwnego sonetu Petrarcki od absurdalnych doświadczeń Söderholma? I co mogło się znajdować pomiędzy nimi?

Napięcie zaczęło stopniowo znikać z twarzy Mavry, a bruzda między jej brwiami stawała się coraz płytsza. Henryk nie mógł się powstrzymać i ciągle masując jej skronie i kąciki oczu, pocałował ją delikatnie w powieki, a potem musnął wargami jej usta. Mavra otworzyła oczy i spojrzała na niego pytająco. W tej samej chwili do pokoiku Mavry przydreptał Maotse. Rozradowany wepchnął się między nich na łóżko, złożył na posłaniu wytartą, oślinioną piłkę tenisową i donośnie zaszczeakał.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PRZYPADEK TO SKOWRONEK

Na białej drewnianej poręczy pomostu państwa Musk siedział zatopiony w rosyjskiej poezji Henryk Watra. Jego stara krypa kołysała się lekko na wodzie. Zdecydował się na drogę wodną, tę samą, którą przybył do domu pułkownika za pierwszym razem. Liczył, że Mavra, tak jak wtedy, będzie stać na skalistym brzegu i wpatrywać się w nurt albo czekać na pomoście i przyglądać się, jak jego łódź, pchana silnymi, miarowymi pociągnięciami wiosł, zbliża się do brzegu, rozbryzgując fale płaskim dziobem. Wyhamowałby wprawdzie tuż przed filarem pomostu, rzucił Mav-rze cumę i krzyknął: „*Zawjażytie, pażalstal*”. Nauczył się tego zwrotu specjalnie na tę okazję. Lecz Mavra nie czekała ani na brzegu, ani na pomoście. Henryk bowiem, gnany palącą niecierpliwością, zjawił się grubo przed czasem. Na lekcje przyjeżdżał z reguły za wcześnie, Mavra zaś równie często pojawiała się kwadrans po umówionej godzinie, już z daleka gęsto się tłumacząc.

Po wejściu na pomost Henryk skonstatował z rozgoryczeniem, że Mavra nie czeka na ich spotkania z takim wytęsknieniem jak on. Lecz przełknął tę myśl, a wraz z nią silną pokusę, by wyciągnąć z owej jaskrawej dysproporcji uczuć jakiś pochopny wniosek. Usiadł na poręczy i wyciągnął z kieszeni tomik poezji, a następnie przyjął pozę namiętnego oczekiwania na kulminację tego dnia.

Maotse wiedział już, o jakiej porze Henryk przychodzi, i czekał na niego przy schodach domu. Gdy więc zobaczył przy pomoście znajomego intruza, skoczył na równe nogi i ruszył pędem przez sad. Zatrzymał się metr przed Henrykiem i zaczął szczekać, bo wyczuł w nogawkach jego spodni zapach suki. Szczekanie szybko jednak przeszło w głośny pomruk, gdy pies, merdając ogonem, przywarował z uniesionym ku górze zadem niczym mandaryn

płaszczący się na ziemi przed boskim cesarzem.

Henryk podrapał psa za uchem i z trudem zaczął czytać na głos, starając się wymawiać słowa tak jak Mavra, chociaż napominała go, by jej nie naśladował, bo nabierze południowoślowiańskiej manieri akcentowania pierwszej sylaby wyrazu. Ale on się tym nie przejmował, dla niego akcent mógł padać nawet na głowę - nie potrafił sobie wyobrazić piękniejszej ruszczyzny od miękkiego, krągłego świergotu Mavry. Skupił się jednak tylko na owej miękkiej krągłości, gdyż świergotanie prędko zarzucił.

W piętnaście minut wykuł na pamięć krótki wiersz i nauczył się recytować go w sposób surowy i męski, choć uprzejmym, rzeczowym tonem, w którym uważny, wyrobiony słuchacz wyczułby silny ładunek emocji. Recytował go tak, jak Eugeniusz Oniegin przemawiałby do Tatiany, wówczas już żony starego księcia Gremina, gdyby ją spotkał po raz drugi. Był już całkiem zadowolony ze swojej interpretacji, kiedy usłyszał, jak otwierają się drzwi domu od strony sadu. Nie była to jednak Mavra, lecz Jovan, który nieco ułańskim krokiem koniuszego wyszedł spomiędzy drzew na pomost i stanął przed Henrykiem.

- Przecież to nasz ognisty flisak. Widzę, że tym razem przyplłynął pan łodzią.

- To najkrótsza droga. A dzisiaj jest piękna pogoda - odparł Henryk, tłumiąc gniew.

- Jest pan nad podziw pilnym i sumiennym uczniem. Nie przepuści pan żadnej lekcji. Postanowił pan najwyraźniej położyć język rosyjski na łopatkę, jak, nie przymierzając, wielki zapaśnik i poeta Karelin. Co pan czyta z taką uwagą?

- Wiersz Puszkina - odpowiedział Henryk.

Jovan przekrzywił głowę, aby zerknąć na otwartą stronę.

- Znam go. To jeden z tych nielicznych wierszy, które znam. Nauczyłem się go na pamięć w szkole. Musiałem. Marszałek Tito zdążył już zerwać ze

Stalinem, ale rosyjskiego ciągle jeszcze trzeba się było uczyć.

Ja was lubił, ljobow' jeśio byt' mozet, w dusze majej ugasła nie sawsjem...

- wyrecytował Jovan z pamięci i zapytał, czy Henryk zrozumiał, co to znaczy.

Henryk poczuł, że Jovan, wypowiadając na głos jego wiersz, skradł mu go i zbezczescił. Za kogo ten konował się uważa? On mnie po prostu obraża.

- Oczywiście, że rozumiem - warknął i teraz on wyrecytował:

Kochałem panią - i miłości mojej Może się jeszcze resztki w duszy tłą.

- Chyba nie uczyłbym się na pamięć wiersza, którego nie rozumiem, prawda? - wymsknęło mu się jeszcze.

- To pan się go uczy na pamięć? - natarł na niego Jovan. - Dobrowolnie, bez przymusu? Musi pan być wielkim miłośnikiem Puszkina. Albo się pan zakochał.

Lecz niech to pani już nie niepokoi, Nie chcę cię smucić nawet myślą tą. dokończył Henryk głośno i stosunkowo agresywnie, zważywszy na treść dwuwiersza.

- Nie wiem, czy Puszkina by to przyjął - Jovan pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Nie wiesz, bo i skąd miałbyś wiedzieć, pomyślał Henryk, lecz na głos odrzekł:

- Improvizuję. Nie jestem przecież poetą.

- No, skoro tak... Przyszedłem pana poinformować, że pani nie jest jeszcze gotowa do lekcji - zakomunikował Jovan.

- Wiem, zaczekam na nią tutaj - odpowiedział Henryk.

- Czytając wiersz miłosny Puszkina. Próbuje pan zrobić na niej wrażenie? Próbuje pan sprawić jej przyjemność? - zaciekawiał się Jovan.

Jego szybkie przejścia od chłodnej rzeczowości do namiętnego wścibstwa zaczęły działać Henrykowi na nerwy.

- Jak każdy uczeń swojej nauczycielce. Chcę się nauczyć dużo i szybko - odrzekł.

- Młody i niecierpliwy, co? - podsumował Jovan, przeszywając go wzrokiem. - Jeśli mnie pamięć nie myli, druga zwrotka idzie tak: „*Ja was ljubił biezmołwna, biez-nadziejna...*”. Co też to może znaczyć? - egzaminował go z wyraźną aluzją w głosie.

- „Kochałem bez nadziei i w pokorze...” - przetłumaczył Henryk.

- Otóż to. Proszę to sobie zapamiętać! - rzekł Jovan dobitnie, unosząc palec wskazujący, czego Henryk bardzo nie lubił. Znów podtykają mu pod nos ten dydaktyczny palec, najpierw teściowa, teraz ten cholerny Tartuffe...

- Niby co mam zapamiętać? - spytał zaczepnie. - To tylko wiersz, jeden z wielu, i do tego jeszcze nie mój, tylko rosyjskiego poety, który już dawno nie żyje.

- To ulubiony wiersz Mavry - rzekł Jovan.

- Naprawdę? - zapytał Henryk niewinnie. - Wybrałem go zupełnie przypadkowo.

- Nie wierzę w przypadki - warknął Jovan.

- A ja tak - powiedział Henryk. - W przypadki, w przeznaczenie i zrzędzenia losu.

- A w Boga? W Boga pan wierzy?

- Bardzo rzadko.

- Tak też myślałem - rzucił Jovan. - Przypadek jest skowronkiem, przeznaczenie mewą, los kurą. A Bóg jest jak jastrząb. Świat wyobrażeń jest ogromny, tak się jednak składa, że pani jest zajęta.

- Już o tym mówiliśmy. Powiedziała mi nawet, że może się trochę spóźnić - odparł Henryk. Jovan zaśmiał się krótko, kiwając przy tym z politowaniem głową.

- Pan mnie źle zrozumiał, może nawet celowo. Pani jest zajęta, gdyż łączy ją nierozzerwalna więź z panem pułkownikiem.

- Skoro pan tak mówi.

- Oni zrośli się ze sobą, choć może to brzmieć dla pana dziwnie. Potrzebują się nawzajem, tak jak rzeka potrzebuje koryta, a koryto rzeki. Jak... krowa dojarki, a do-jarka krowy.

- Jak niewidomy przewodnika, a przewodnik niewidomego - podsunął Henryk usłudźnie, czerwieniąc się mimowolnie.

- Dziwi pana, dlaczego tak młoda i piękna kobieta wyszła za niewidomego, dwa razy starszego od siebie mężczyznę. Nie może pan zaprzeczyć, że to pana dziwi - powiedział Jovan głosem tak opanowanym i beznamiętnym, jak gdyby stwierdzał oczywisty fakt, że Henryk ma sadzę na czole albo rozpięty rozporek.

- Przyznaję, przyszło mi to do głowy.

- Ten stan rzeczy ma swoją przyczynę. Jeśli pan chce, wyjawię ją panu.

- Myślę, że mi pan ją wyjawisz, nawet gdybym nie chciał.

- Będę się streszczał, żeby mógł się pan jeszcze zagłębić w tego swojego przypadkowego Puszkina - powiedział Jo-van i usiadł na poręczu obok Henryka. Zniżył głos, jakby miał właśnie zdradzić pilnie strzeżoną tajemnicę.

- Pan pułkownik uratował w Bośni życie i cześć Mavry. Nie wiem, ile pan wie o tej wojnie, ale to pan pewnie słyszał, że każdy tam walczył z każdym. Można to najlepiej przyrównać do jakiegoś diabelskiego turnieju piłkarskiego: Serbowie przeciw Muzułmanom, Chorwaci przeciw Serbom, Chorwaci i Muzułmanie przeciw Serbom, a w przerwie Chorwaci przeciw Muzułmanom. Remisów nie uznawano, ale zwycięzców nie było. W tym turnieju byli tylko przegrani. Na początku wojny w rodzinnej wsi Mavry, Ku-kavicy, mieszkali po sąsiedzku Serbowie i Muzułmanie, wszyscy się znali jak łyse konie. Gdy rozkręciła się spirala nienawiści, cały ten świat stanął na głowie i nagle Mavra znalazła się między młotem a kowadłem. Polowały na nią wilki z obu obozów. Sama nie należała do żadnego, bo była w połowie Serbką, w połowie zaś Muzułmanką, i wszyscy mieli jej to za złe. W Kukavicy nie była bezpieczna,

nikt by się tam za nią nie ujął. Jej ojca uwięziono, a matka zginęła. Kiedy poląła się pierwsza krew, Mavra wpadła w ręce Serbów i Bóg wie, co by się z nią stało, gdyby na miejscu nie znalazł się pan pułkownik oraz kilku jego podwładnych. Z pistoletem w ręku, jak oszalały Roland, wpadł między te bestie i wyrwał im Mavrę, a także jej młodszego rodzeństwo, brata i siostrę. Zabrał ich w bezpieczne miejsce, dał dach nad głową, jedzenie oraz chwilę wytchnienia. Później udało mu się jeszcze wyciągnąć z chorwackiego więzienia w Sławonii ich ojca. Więcej w ówczesnej sytuacji zrobić nie mógł. Miesiąc później wjechał na minę i o mały włos nie przyplacił tego życiem. Ale czy przyplacił? Nie przyplacił! Po wyjściu ze szpitala wycofał się z życia, by w samotności wylizać się z ran. Ale się nie poddał, ani na chwilę! Dzięki porażającej sile woli przystosował się do życia wśród widzących, tak zwanych widzących, bo zdecydowana większość naszych bliźnich to ludzie ślepi i głusi. Niemych jest za to zdecydowanie za mało, śmiało mogłoby być ich więcej. Kiedy w roku dziewięćdziesiątym piątym wojna się skończyła, pan pułkownik wrócił do Bośni i zaczął szukać Mavry. Nawet dla widzącego byłoby to zadanie ponad siły. Cały kraj wyglądał jak Jerozolima po Rzymianach. Spora część mieszkańców porzuciła swe domy i rozpiezchła się po świecie. Także ci Serbowie i Muzułmanie, którzy wrócili w rodzinne strony, żyli teraz w osobnych, etnicznie czystych enklawach, już to w swoich dawnych, już to w zdobytych na wrogu wioskach, między którymi poruszać się znaczyło igrać ze śmiercią. Ale czy pan pułkownik poddał się w obliczu niemożliwego? Nie! Gardząc niebezpieczeństwami, kontynuował poszukiwania na przemian w strefach Serbów i Muzułmanów, śmiało klucząc pomiędzy nimi niczym niegdysiejsi hajdacy, nie cofając się przed fortem, perswazją, groźbą ani przekupstwem. Sądzę, że uważano go za szaleńca, a ślepego szaleńca boją się nawet najgorsi bandyci. Może dlatego nikt go nie ruszał.

W końcu znalazł Mavrę w małej wsi, daleko od domu, lecz nad tą samą rzeką Bosną, w którą wpatrywała się od dziecka. Rozumie pan? Dobry

człowieku, ruszże wyobraźnią! Pan pułkownik odnalazł Mavrę całą i zdrową mimo piekielnej wojny i diabelnego zamieszania! Reszty chyba sam się pan domyśli i może wreszcie przestanie czemukolwiek dziwić. Pan pułkownik oświadczył się Mavrze, a kiedy jej ojciec udzielił przyzwolenia, zabrał ją ze sobą z tego zapomnianego przez Boga kraju, bo w rzeczy samej, o kraju tym zgodnie zapomnieli wszyscy bogowie - Deus, Jezus, Allach, Adonai i Bóg jeden wie, kto jeszcze. Rok później wzięli ślub.

Jovan zrobił długą, znaczącą przerwę, by dać Henrykowi czas na przetrwanie tego, co przed chwilą usłyszał.

- Rozumiem - odezwał się w końcu Henryk.

- Co pan rozumie? - zapytał Jovan nieuprzejmie.

- To, że Mavra ślepo zawierzyła ślepemu bohaterowi i poszła za nim.

- Dobrze pan zrozumiał - stwierdził Jovan. - Główka u pana pracuje.

- A kto kogo prowadzi?

- To bez różnicy.

- Piękna opowieść - powiedział Henryk. - Bohater zdobył rękę księżniczki, ożenił się z nią i żyli długo i szczęśliwie. I jeśli nie umarli, to pewnie żyją nadal.

- Dlaczego mieliby umrzeć? - zdumiał się Jovan.

- Tak się kończy bajki.

- Pan myśli, że ja panu bajki opowiadam?

- A po co mi pan w ogóle to wszystko opowiedział? - zapytał Henryk.

- Żeby się panu nie roily w głowie próżne myśli. Żeby pan nie marzył o tym, co niemożliwe - odparł Jovan i spojrzał na Henryka badawczo.

- A o czymże innym człowiek marzy, jeśli nie o tym, co niemożliwe? Sam pan powiedział, że świat wyobrażeń jest ogromny. Za marzenia jeszcze nie karzą - zauważył Henryk.

- Pan nie ma prawa o niej marzyć - parsknął Jovan.

- Mówiłem o marzeniach w ogóle - odpowiedział Henryk.

- Nie jestem ślepy. Pan pułkownik nie widzi, ale ja owszem, ja jestem jego okiem, lewym i prawym, mam oczy dookoła głowy! Jeżeli tak, niechaj pan sobie marzy, pańska rzecz - warknął Jovan i zeskoczył z poręczy. - Pójdę zobaczyć, czy pani już przyszła. Powiem jej, że pan na nią czeka.

Jovan ruszył do domu. Henryk odprowadził go posępnym wzrokiem.

- Aż dziw, że się nie ukloniłeś przed odejściem. Pozujesz na lokaja, ale wtykasz nos w nie swoje sprawy jak służba u Moliera. Śmiało, idź i zamelduj, że na dworze stoi młody głupiec z rozpalonym sercem. Zamelduj, że wykułem Puszkina na pamięć i nauczyłem się odmieniać słowo „kochać” przez wszystkie osoby, czasy, w obu stronach i trzech wymiarach, zwrotnie i bezzwrotnie, by ona mogła wybrać z nich swoją ulubioną formę i wreszcie zrozumiała, że kocham ją bardziej niż ona Puszkina. A jeśli znajdziecie odpowiednie słowo na niemożliwą i zakazaną miłość, zdradźcie mi je, a nie zapomnijcie przy okazji zdradzić też słowa na miłość, która unieszczęśliwia i przeszywa serce na wylot, abym wiedział, jak nazwać uczucie, które szarpie mi wnętrzności. Napiszcie mi je na papierze, abym miał pamiątkę po szaleństwie, jakie mnie opanowało, i zarazem czytelną diagnozę mojej choroby oraz receptę, jeśli kiedyś szukał na nią leku.

Henryk zdał sobie sprawę, że myśli na głos, lecz mówił dalej:

- Nie wiem, co we mnie wstąpiło, zachowuję się jak wariat, któremu nadmiar muzyki i poezji rozmiękczył mózg. Do tego już doszło. Wreszcie to do mnie dotarło: Mavra wyszła za ślepcę z głębokiej wdzięczności. Więc czego ja tu jeszcze szukam? Do diabła z poezją i muzyką! Czyja jakaś baba jestem?

Zażenowany i zły odrzucił książeczkę i zaczął się łajać.

- Wyprostuj się, kręgosłupa nie masz? Kopnij mnie który w dupę! Macie jaja, żołnierzu? To nie przedszkole!

Wskoczył do łodzi z takim animuszem, że niemal wypadł za burtę.

Z domu wybiegł Jovan.

- Pani właśnie przyszła! Przyjmie pana, lecz prosi, by najpierw zechciał

pan towarzyszyć jej i panu pułkownikowi przy kolacji! - wołał już z sadu. Zatrzymał się dopiero na pomoście i z ciekawością obserwował Henryka, który miotał się w łodzi.

- Proszę jej przekazać... proszę przekazać gospodarzom, że dziękuję za zaproszenie, lecz czas nie pozwala mi zostać. Proszę przekazać, że przyjdę innym razem, w bardziej stosownej chwili - wysapał Henryk.

Odwiązał i zwinął cumę, usiadł na ławeczce i złapał chwacko za wiosła.

- Jestem przekonany, że państwo zrozumieją - powiedział Jovan i odepchnął stopą łódź od pomostu. Gdy się odwrócił, zauważył leżący na deskach otwarty tomik wierszy, podniósł go i odłożył na poręcz. - No i Puszkina poleciał na pysk. Taki młody, a taki nerwowy!

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

NA PRZYKŁAD TOSCA

Na stole w jadalni państwa Musk stała porcelanowa waza w róże z gorącą zupą gulaszowa. Spod przykrywki wydobywały się i rozchodziły po pokoju kuszące wonie szaławii, majeranku, oregano i kminku.

- Jestem przekonany, że zrozumie - powiedział pułkownik.

- Czeka na mnie już od kwadransa - rzekła z wyrzutem Mavra.

- Na pewno zdąży zjeść z nami wieczerzę, nim zaczniecie lekcję - ocenił pułkownik. - Mieszka sam, a jego pies nauczył się na niego czekać. Co robić, kiedy bez ciebie jedzenie mi nie smakuje? Dlatego zaprosiłem również jego. Tęsknię za towarzystwem ludzi inteligentnych. Podyskutujemy sobie inteligentnie i przyjemnie o przeszłości oraz widzianej w jej świetle przyszłości. Możemy rozmawiać także o innych rzeczach, jeśli historia cię nudzi. Podpytam go trochę o to, co robił w życiu i jakie ma plany na przyszłość. Sam mogę mówić jedynie o swojej przeszłości. Ty za to o czym chcesz, tylko nie o chwili obecnej. O niej nie będziemy rozmawiać, gdyż trwa tak krótko, że nie uda się nam nawet jej uchwycić. Gdy zaczynamy o niej mówić, ona już przecieka nam między palcami.

- Przecieka nam między palcami, gdy ty zaczynasz snuć swoje rozważania o naturze czasu - ucięła Mavra. - Coś długo ich nie widać.

- Jak pan Watra radzi sobie z materiałem? - zapytał pułkownik, wprawnie nalewając wina Mavrze i sobie.

- Bardzo dobrze - odpowiedziała Mavra i aby nie wyrzeć na mężu wrażenia, że unika tematu, dodała: - Jest zdolny i uczy się pilnie, ma głowę do języków.

- Mimo wszystko, nie położyłbym tej głowy na swoim łonie - powiedział pułkownik, czerpiąc swobodnie z Ufa i Piętrowa. - Niemniej jednak gratuluję,

jemu i tobie. Czy przestudiował już dogłębnie dzieło życia akademika Pawłowa?

- Kogo? - zdziwiła się Mavra.

- Pawłowa, tego samego, który badał odruchy warunkowe u psów. Na pewno pamiętasz, kundle zaczynały toczyć pianę, gdy usłyszały dzwonek na karmienie.

- Dobrze wiem, z czego znany jest Pawłów. Nadal jednak nie rozumiem twojego pytania.

- Czyż nie przerabiacie podręcznika Madame Pota-powej i rozdziału siedemdziesiątego drugiego, w którym jest mowa o tymże wybitnym badaczu radzieckich ślino-toków?

- Aż tak daleko nie jesteśmy - mruknęła Mavra.

- A więc nie ślini się jeszcze na twój widok? Nie je ci z ręki?

- Kiedy przyjdzie, będziesz mógł zadzwonić swoim dzwoneczkiem i sprawdzić, czy dostaje ślinotoku i czy je mi z ręki - odcięła się Mavra i obróciła w stronę drzwi. - Właśnie idą.

Lecz do pokoju wszedł tylko Jovan.

- Pan nauczyciel nie przyjdzie na kolację - obwieścił.

- Czy przedstawił powody? - zapytał pułkownik, który wydawał się szczerze rozczarowany.

- Nie przedstawił. Prosił tylko, abym przekazał podziękowania za zaproszenie, tym razem jednak nie mógł go przyjąć.

- A nie mówiłam! - jęknęła Mavra. - Naprawdę nie podał żadnej przyczyny?

- Nie wprost. Ale sprawiał wrażenie, jakby z jakiegoś powodu pogniewał się na Puszkina - odpowiedział Jo-van.

- Na Puszkina? Chyba nie na Aleksandra Siergiejewicza? - zaciekał się pułkownik.

- Właśnie na niego, na poetę Puszkina. Rzucił zbiór jego wierszy na

ziemię i prawdopodobnie jeszcze podeptał.

- Bardzo to dziwne - zauważył pułkownik. - Jak się można rozgniewać na nieżyjącego poetę? Jeśli dobrze pamiętam, zastrzelił go w pojedynku jakiś oficer francuskiego pochodzenia, o którym szeptano, że zalecał się do żony poety. Nie pamiętam, kto komu rzucił rękawicę, to jednak bez różnicy, pojedynki i tak nie były uczciwe, Puszkiniowi nie dano żadnych szans. Gdyby mógł wybierać broń, posiekałby żabojada mieczem poezji na kawałki.

- Przeszyłby mu serce zatrutym gęsim piórem! - zawtórował podekscytowany Jovan.

- Ale co to ma wspólnego z Puszkinem? - zapytała Mavra.

- Nie jestem całkowicie pewien - odezwał się Jovan - lecz odniosłem wrażenie, że pan nauczyciel bardzo na Puszkina liczył. Potrafił z niego wybrać, na przykład, ulubiony wiersz naszej drogiej pani.

- Cóż za galanteria! - wykrzyknął pułkownik. - Że też potrafił strzelać tak celnie. Nawet ja nie znam ulubionego wiersza Mavry.

- Jeśli dobrze go zrozumiałem, był to czysty przypadek - odpowiedział Jovan. - Wyglądało na to, że uczył się tego wiersza na pamięć.

- Nie mówiłem! Ten młody człowiek jest niestrudzony, ma w sobie wytrwałość, którą Pawłów tak zalecał radzieckiej młodzieży. Jak to było po rosyjsku? *Posljedowatielnost'*? *Nastojciwosf'*? Jak to się mówi, Mavra? *Rieszitielnost'*.

- Rozmawialiście o czymś jeszcze? - Mavra zignorowała pytanie pułkownika i patrzyła na Jovana surowym wzrokiem.

- A pogawędziliśmy sobie trochę - odpowiedział Jovan. - Mam nalać zupy?

- I co mu powiedziałaś? - nalegała Mavra.

- Wymieniliśmy poglądy na temat roli przeznaczenia w życiu człowieka i niepewności jutra w ogóle, tudzież snuliśmy rozważania o nadmiarze oczekiwań, które czasem przelewają kielich spełnienia.

- I co pan Watra sądzi o niepewności jutra i tym podobnych kwestiach? - zainteresował się pułkownik.

- Powiedział, że wierzy głęboko w moc przeznaczenia.

- *Laforza del destino!* - wykrzyknął pułkownik i donośnym głosem zaintonował arię Verdiego *Lasciate mi morire!*, lecz zaczął zbyt wysoko i pod koniec partii piszczał już tak, że ochryplł i zaczął kaszleć. - Aria Don Alvaro - wychrypiał. - „Pozwólcie mi umrzeć” i tak dalej. To jest partia dla tenora. Ja śpiewam barytonem.

- Dlaczego ten Don Alvaro chciał umrzeć? - zainteresował się Jovan.

- Z powodu nieszczęśliwej miłości do Leonory, której ojciec nie chciał go za zięcia, ponieważ Don Alvaro był Peruwiańczykiem i w jego żyłach płynęła indiańska krew. Zakochani uciekli razem, lecz złapał ich brat Leonory. Na koniec cała trójka szczęśliwie umiera, odśpiewawszy po kolei swoje arie.

- Bardzo to smutne - powiedział Jovan. - Dlaczego w operach młodzi kochankowie tak rzadko żyją ze sobą szczęśliwie? Dlaczego zawsze muszą umrzeć? Jak nie oboje, to już na pewno jedno z nich?

- Opera jest wtedy lepsza - ocenił pułkownik. - Weźmy na przykład *Toskę* albo *Cyganerię*, weźmy *Traviatę* albo *Łucję z Lammermoor...*

Mavra już dłużej nie wytrzymała.

- Jovan mówi zagadkami, a ty śpiewasz jakieś arie! Idę sama z nim porozmawiać - zachnęła się i wstała od stołu.

- Szkoda fatygi - uprzedził ją Jovan. - Już odpłynął. Zapewne wiosłuje teraz pracowicie w górę rzeki.

- A zatem rozkażę jej sprowadzić go z powrotem - rzuciła im jeszcze w drzwiach i poszła. Jovan chrząknął pytająco.

- Niech idzie - zdecydował pułkownik. - Troszczy się o uczniów jak Pawłów o psy. Ja natomiast zjadłbym chętnie zupę.

Jovan nalał najpierw pułkownikowi, potem sobie. Jedli w milczeniu, pułkownik był zamyślony, Jovan zaś robił przy każdym łyku taką minę, jakby

nie smakowała mu własna zupa.

- Nurtuje mnie pytanie, dlaczego pan Watra oddalił się tak nagle - odezwał się wreszcie pułkownik. - Nie orientujesz się?

- Zupełnie nie - odparł Jovan. - Nie mam bladego pojęcia.

- No tak. Młodzi mężczyźni są często niespokojni i niecierpliwi. Tak jak ten cichy wiolonczelista, który czasem z nami grał. Na początku robił wrażenie bardzo zainteresowanego, przychodził do nas często i siedział długo. Aż pewnego wieczoru, graliśmy wtedy trio D-dur Schuberta, ni stąd, ni zowąd zniknął w czasie przerwy po drugiej części. Poszedłem rozprostować kości i dać trochę odpocząć moim plecocom, i kiedy wróciłem, już go nie było. A Mavra siedziała u siebie jakaś zamknięta, nie chciała rozmawiać.

- Może nie lubił Schuberta.

- Kto by go nie lubił? Słuchacza może czasem trochę znudzić, ale gra się go diabelnie przyjemnie.

- Pamiętam, że odprowadziłem go do drzwi, niosłem jego wiolonczelę, którą z wielką ostrożnością położyłem na tylnym siedzeniu auta - przypomniał sobie Jovan. - Pomachałem mu na pożegnanie, gdy odjeżdżał, Maotse jakiś czas biegł za samochodem. Widziałem też Mavrę, stała w oknie swojego pokoju z fajką w ustach.

- Ona za dużo pali - stwierdził pułkownik z niezadowoleniem w głosie. - A kiedy nie pali tej swojej fajeczki, to ją żuje. Na pewno szkodzi to jej na zęby. Może matka za wcześnie odstawiła ją od piersi?

- Nie wydaje mi się - ocenił Jovan. - U nas kobiety długo karmią. Piją kozie mleko, jedzą seler i żują dziką miętę z tymiankiem, żeby się im mleko nie skończyło.

- Myślisz, że nauczyciel zawróci jeszcze swoją łódź?

- Myślę, że zdążył już zniknąć za zakolem i z takiej odległości nie usłyszy wołania.

- A zatem nie pozostało nam nic innego, jak przystąpić do głównego

dania - zawyrokował pułkownik.

- Będziemy czekać na Mavrę czy mam przynieść jagnię na stół? - zapytał Jovan.

- Chyba zostało już zarżnięte? - odpowiedział pytaniem pułkownik. - To była aluzja do irańskiego przysłowia: „Nie przynoś na stół jagnięcia, które jeszcze kopie”.

- Zostało zarżnięte i zamarynowane w macicy matki - odpowiedział Jovan, czyniąc aluzję do armeńskiego powiedzenia: „Wilk oszczędził owcę i niecierpliwie czekał, aż się okoci”. - A potem upieczone.

- A teraz zostanie zjedzone - zawyrokował dziarsko pułkownik i chwycił noże do krojenia mięsa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NAD PETERSBURGIEM WISI KSIĘŻYC

Mavra stała na skraju pomostu i przez lornetkę wpatrywała się w rzekę, w miejsce, gdzie widać było łódź Henryka, który wolno i równomiernie wiosłował pod prąd. Nie odejmując lornetki od oczu, pomachała mu jedną ręką. Widziała jego twarz, posklejane od potu włosy na czole, zacięte usta i oczy wpatrzone w odległy punkt na horyzoncie, którym nie był już ich pomost, jako że Henryk zdążył właśnie wpłynąć w zakole rzeki i spoglądał teraz gdzieś obok. Na jej nawoływania nie reagował, a z jego twarzy nie można było wyczytać, czy ich nie słyszał, czy tylko udawał, że nie słyszy. Nie dostrzegał też rozpaczliwych znaków, które mu dawała, a za chwilę w ogóle nie będzie mógł jej zobaczyć, bo nawet gdyby spojrział w stronę pomostu, zniknie mu już z pola widzenia za zalesionym cyplem.

Mavra opuściła lornetkę i dopiero teraz uświadomiła sobie, jak daleko odpłynął już Henryk. Opanował ją przygnębiający niepokój i żal, poczuła na ustach przedsmak straty i nieutulonej tęsknoty. Jej oczy wezbrały łzami i nie widziała już ani łodzi, ani mężczyzny, który stałby się dla niej kimś ukochanym i bliskim, gdyby nie oddalał się teraz od niej coraz bardziej, i który za chwilę zniknie, a ona nawet nie wie, z jakiego powodu.

Zaczęła uderzać się pięścią w pierś, klatka piersiowa odpowiadała głuchym echem. Drugą pięścią waliła w ściśnięty brzuch. Pamiętała, że jej matka wybijała na swych piersiach i brzuchu ten prastary rytm, kiedy było jej bardzo źle i gdy myślała, że dalej nie da się już tak żyć. I wtedy te zaklęcia sprawiły, że bieg jej życia się odmienił, a raz zawróciła nawet na chwilę bieg Bosny. Nie wywarło to bezpośredniego wpływu na jej życie, lecz pomogło na pewien czas zapomnieć o smutkach i chorobie, bo myślała, że Ktoś Gdzieś wysłuchał jej próśb i wreszcie Coś dla niej zrobił, choć, jak się później okazało,

zrozumiał ją opacznie. Ale przynajmniej próbował.

Mavra zamknęła oczy i zaczęła nucić w rytm głuchych uderzeń starą i monotonną bośniacką melodię. Z jej ust popłynęło zaklęcie, które wydało się jej wtedy i stosowne, i jedynie możliwe:

Wietrze, ty mocno wiej, falo, ty podnieś się, czóлно jak piórko jest, człowiek nie zmoże cię. Wiosła mu z dłoni rwij, krypę na brzeg mój ślij, zanim go połknie cień, nurcie, ty bieg swój zmień!

Otworzyła oczy, lecz nurt nie zmienił biegu i łódź nie płynęła z powrotem do niej. Trudno się było tego spodziewać, a jednak żywiła w sercu żarliwą nadzieję, że tak się stanie. Krypa Henryka zniknęła z pola widzenia, nie było jej już widać ani przez lornetkę, ani gołym okiem. Niech się dzieje, co ma się dzieć. Ona zrobiła, co mogła.

Otarła łzy i odwróciła się, by pójść do domu. Na poręczy pomostu leżał otwarty zbiorzek wierszy. Jej ulubiony wiersz na zimnym drewnie. Oczy znów jej zawilgotniały, gdy pomyślała, że Henryk specjalnie dla niej nauczył się tego wiersza na pamięć i wyrecytowałby go w jej pokoiku, po kolacji, wyrecytował nieśmiało, lecz zdecydowanym głosem, a ona słuchałaby ze spuszczoneym wzrokiem, nie śmiać poprawiać jego wymowy. Nie przy tym wierszu.

Mavra przycisnęła książeczkę do piersi, po czym cisnęła ją do wody. Już nie będzie więcej czytać Puszkina.

Otwarty tomik unosił się na fali, okolony wieńcem martwego sitowia.

Mavra nie spostrzegła pułkownika, który pewnym krokiem szedł przez sad w stronę pomostu. Zatrzymał się niedaleko żony.

- A więc tutaj jesteś, sama jak palec. Puszczasz kaczki? - zapytał.

- Puszczam - odrzekła Mavra, po czym podniosła z ziemi parę kamyków i próbowała zatopić nimi dryfującą książeczkę.

- Udało ci się złapać pana Watrę? - spytał pułkownik, podchodząc do Mavry.

- Nie, był już tak daleko, że nie zdążyłam.

- Użyłaś swoich czarów, żeby sprowadzić go z powrotem?
- Użyłam - odrzekła Mavra chrapliwym głosem.
- Nie martw się, na pewno jeszcze wróci. Gdzieżby znalazł lepszą nauczycielkę? - pułkownik szczerze starał się ją pocieszyć.
- Co ma być, to będzie - odezwała się Mavra, biorąc pułkownika pod rękę.
- Wracamy do domu?
- Pobądźmy tu jeszcze chwilę. Taki ciepły, księżycowy wieczór.
- Wiesz czy czujesz, że nie ma chmur i widać księżyc? - zapytała Mavra.
- Czy czuję? Nie pamiętasz, że to potrafię? Wyczuwam nawet to, że jest już niemal w pełni. Jego siła przyciągania podnosi mi odrobinę *oleum*, akurat tak jak lubię - odpowiedział pułkownik, uchwycił Mavrę za ramiona i pocałował lekko w usta. Zaskoczyło ją to, lecz nie sprzeciwiała się.
- Pamiętasz tę księżycową noc w Petersburgu, trzy lata temu? - spytał cicho pułkownik.
- Czy pamiętam? To była nasza noc poślubna.
- W oknie naszego pokoju wisiały ciężkie i stęchłe aksamitne story. Ja twierdziłem, że widać księżyc, ty mówiłaś, że niebo jest zachmurzone. Pamiętasz, kto miał wtedy rację?
- Oczywiście ty.
- Nie wierzyłaś mi. Rozsunęłaś lekko story i stwierdziłaś, że nad Petersburgiem wisi księżyc - przypomniał pułkownik.
- Naprawdę? Obecnie łatwiej przyznaję ci rację - powiedziała Mavra.
- Może w ogóle zapomniałaś o tamtym? - spytał pułkownik.
- Nie zapomniałam. Pamiętam, że zaczęłam kichać, te zasłony były okropnie zakurzone. Dostałam chyba ataku jakiejś alergii. Kichałam przez całą noc, pamiętasz?
- To była nasza noc poślubna - zauważył sucho pułkownik.
- Nic na to nie mogłam - odrzekła Mavra. - Przy najmniejszym ruchu zaczynało mnie znów kręcić w nosie, kichałam po dwadzieścia razy, myślałam,

że zemdleję.

- Dostawałaś tej alergii za każdym razem, gdy próbowałaś położyć się na plecach - przypomniał pułkownik. - Musiałaś usiąść, aby ci przeszło. W końcu byłaś tak wyczerpana, że zasnęłaś w fotelu.

- Potem zmieniliśmy hotel. Tam nic mi nie było, więc już nie miałeś powodu, by narzekać.

- Nie narzekałem ani w tym, ani w tamtym hotelu. Pamięć cię zawodzi - zauważył pułkownik.

- Nie narzekałeś na głos, ale już ja słyszałam ten twój wewnętrzny pomruk rozczarowania.

- Może byłem rozczarowany, ale nie narzekałem, nawet w myślach - zapewnił ją pułkownik. - Rozumiałem, że ten kaszel... że to kichanie... że się wstydziałaś, bałaś... nie wiadomo czego. Na pewno mnie.

- Nie ciebie. Na pewno nie ciebie - zaproponowała Mavra. - Chciałam powiedzieć, że to nie ty byłeś tego powodem. Kichałabym tak czy owak, bez względu na to, z kim bym wtedy była. Byłam jeszcze dziewicą, chyba pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Bardzo mnie to zaskoczyło. Nie przyszło mi nawet do głowy, aby cię o to wcześniej zapytać.

- Byłeś chociaż mile zaskoczony? - zainteresowała się Mavra po raz nie wiadomo który, bo już kilka razy o tym rozmawiali.

- W mojej kulturze kwestia ta nie ma aż tak zasadniczego znaczenia jak w twojej - wyjaśnił jej cierpliwie pułkownik. - No, ale się przecież nie zmartwiłem. Choć trochę to nam pokomplikowało sprawy...

- Chcesz niby powiedzieć, że nigdy wcześniej nie byłeś z dziewicą?

- Byłem, ale w tym przypadku w grę wchodziły inne czynniki.

- Dzieląca nas różnica wieku, prawda? To masz na myśli?

- Czuję, jakbym nie miał prawa... Być pierwszy. Byłaś taka młoda, a ja...

- Bardzo mi przykro, że nie udało mi się stracić dziewictwa wcześniej - odparła Mavra z przekąsem. Pułkownik westchnął. Wiedział, że Mavra to powie.

- Przecież nie o to chodzi - odezwał się. - Już ci mówiłem, że rozumiałem twoją niepewność. Przecież nie jestem ślepy. Koniec końców, byłem bardziej zawstydzony i onieśmielony od ciebie.

- To prawda.

- I nie chodziło wyłącznie o dzielącą nas różnicę wieku, to też wiesz.

- Wiem.

- Lecz także o to, że nie widziałem, jak na mnie patrzysz. Że ciebie nie widziałem. I nie wiedziałem, kogo tak naprawdę widzisz, bo sam siebie od dawna nie oglądałem. Potrafisz to zrozumieć?

- Potrafię - odrzekła Mavra. - Przepraszam, zupełnie niepotrzebnie się rozgniewałam.

- Już dobrze. Od dawna nie rozumieliśmy się tak dobrze. Trzeba to uczcić - orzekł pułkownik.

Mavra nie odpowiedziała. Stali blisko siebie, lecz nie dotykali się. Pułkownik próbował poczuć na skórze promieniowanie korporalne Mavry i miał wrażenie, że mu się udało. Próbował też wyczuć, czy Mavra odczuwa jego promieniowanie, lecz tego nie potrafiły zarejestrować nawet jego wyostrzone zmysły pomimo świecącego na bezchmurnym niebie księżyca. Wyczuł jednak, że Mavra nie jest w nastroju do świętowania.

- Chyba nie okłamałaś mnie wtedy z tym księżycem w Petersburgu, aby mi zrobić przyjemność? - zapytał pułkownik.

- Nie okłamałam. Nie zrobiłam tego wtedy i ciągle jeszcze tego nie robię - odpowiedziała Mavra.

- A zatem mam wszelkie powody, by zadawać ci pytania z największą ostrożnością - stwierdził pułkownik.

- O co chcesz mnie zapytać?

- O nic. Nie teraz. Może później, po powrocie z Petersburga.

- Jedziesz do Petersburga? - zdziwiła się Mavra.

- Za tydzień. Jadę poszperać w rosyjskich archiwach wojennych.

- I oczywiście chcesz, żebym pojechała z tobą! - wykrzyknęła Mavra. - I mówisz mi o tym dopiero teraz!

- A pojechałabyś ze mną, mój ty przewodniku, moje ty oczko w głowie?

- Przecież muszę z tobą jechać. Beze mnie sobie nie poradzisz - powiedziała Mavra przez ściśnięte gardło.

- Twoja lojalność zasługuje na podziękowanie - powiedział pułkownik. - A zatem, dziękuję ci. Jesteś wspaniałą żoną i przyjacielem w potrzebie. Tym razem jednak pojedę z Jovanem. Ty możesz zostać i doglądać domu.

- Jedziesz z Jovanem?

- Prowadzenie wojny i zgłębianie jej historii to zajęcia dla mężczyzn. Bardzo jesteś rozczarowana?

- Zrobię, co uznasz za stosowne - odparła Mavra.

- I nie rzucasz mi się na szyję? Wreszcie będziesz mogła ode mnie odpocząć - powiedział pułkownik.

- A ty ode mnie - rzekła Mavra i przytuliła się do męża.

Pułkownik wciągnął głęboko w nozdrza zapach jej skóry i włosów, zastanawiając się, które z targających nią uczuć jest najsilniejsze. Doszedł do wniosku, że skoro Mavra w tym samym czasie uzewnętrznia całkowicie sprzeczne emocje, musi to oznaczać, że jest zakochana. Pogratił sobie wnikliwości, postanowił jednak nie mówić jej o swoim odkryciu, by nie musiała precyzować, czy jest zakochana jeszcze, czy może znowu i od jak dawna zakochana nie była. Pogładził Mavrę po włosach i powiedział:

- Kiedy ty miałaś zostać w konserwatorium w Petersburgu, boja musiałem wrócić do Finlandii i załatwić swoje sprawy, powiedzieliśmy sobie, że będziemy patrzeć na księżyc w każdą pełnię, w każdą kwadrę i nów, czyli mniej więcej co tydzień, że będziemy patrzeć na niego o ustalonej porze i myśleć tylko o sobie.

Ponieważ ja nie zobaczyłbym go nawet w bezchmurną, jasną noc, powiedzieliśmy sobie, że będziemy patrzeć w niebo także wtedy, gdy nie będzie widoczny z powodu nowiu, chmur czy wysokich budynków. Nie chodzi przecież o to, byśmy wyli do księżyca, lecz unosząc oczy ku niebu, patrzyli na siebie. Tak sobie obiecaliśmy.

- I tak zrobiliśmy - powiedziała Mavra.

- Zróbmy tak i tym razem - zaproponował pułkownik. Mavra wyciągnęła rękę, uścisnęli sobie mocno dłonie i obiecali uroczyście, że raz w tygodniu będą patrzeć w niebo, choćby nawet w oznaczonym czasie nie byli sami. Mavra powiedziała jeszcze, że jest głodna jak wyjący na księżyc wilk, po czym ujęła pułkownika pod ramię i razem poszli do domu.

W nocy, po raz pierwszy od długiego czasu, Mavra zakradła się do pokoju pułkownika i wślizgnęła pod jego kołdrę.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZAR BOTTICELLEGO

Tego wieczoru Solveig postanowiła złożyć Henrykowi niezapowiedzianą wizytę.

Henryk mozolnie płynął w górę rzeki, a z każdym pociągnięciem wiosła coraz bardziej żałował swojej porywczosci. W połowie drogi poczuł przemożną chęć zawrócenia i puszczenia łodzi z prądem rzeki ku brzegowi państwa Musk. Wyraźnie słyszał głos wzywający go do powrotu. I nie było to na pewno jego zrzędlive superego, lecz ciepły głos kobiecy, wabiący i rozkazujący zarazem. Wtedy też zerwał się boczny wiatr, podnosząc falę i złościąc w nurcie nieregularne wyrwy. Łódź zaczęła skakać i głucho dudnić, utrudniając i spowalniając wiosłowanie. Henryk trochę się pogubił, jedno wiosło wpadło mu do wody i z wielkim trudem udało mu się je wyłowić. Ogarnęła go melancholijna senność, zaczęły mu ciążyć barki i ręce. Lecz sprężył się w sobie i zaczął zawzięcie wiosłować dalej, aż wreszcie dopłynął do swojej zatoczki, zacumował krypę i powlókł się w stronę domu.

Tam czekała na niego Solveig. Wiedział o tym, jeszcze nim wszedł do środka, ponieważ drzwi zewnętrzne nie były zamknięte na klucz. Gdy je otworzył, Tsuikka rzuciła mu się pod nogi, skamleniem i warczeniem ostrzegając przed intruzem, samicą człowieka, której nie potrafiła odegnąć, bo jej bardzo nieprzyjemny zapach przykleił się do wielu znajdujących się w domu przedmiotów.

Już od pewnego czasu spodziewał się tej niezapowiedzianej wizyty, przeczuwając również, że Solveig przyjdzie do domu pod jego nieobecność. Dlatego też zaczął ostatnio zamykać zewnętrzne drzwi na klucz, czego wcześniej prawie nie robił, ponieważ wierzył - mając świadomość, że to naiwne - iż na wsi złodzieje nie wchodzą do domów. Zamykał zatem drzwi na klucz,

który chował to w tę, to w inną szparę w podmurówce. Lecz dla Solveig, wytrawnej szyfrantki i łamaczki kodów, znalezienie go nie mogło być specjalnie trudne. A może najzwyczajniej w świecie dorobiła sobie swój? Podczas jednej z poprzednich wizyt potajemnie odcisnęła jego klucz w glinie, gipsie lub w ulepionej z nikotynowej gumy do żucia kuli, a potem pilnikiem wycięła wytrych według skradzionego wzorca. A może potrafiła nawet odtworzyć nacięcia na kluczu z pamięci, *ex tempore*, bez szablonu?

Solveig czekała na niego w izbie przy stole, który został dokładnie sprzątnięty i przekształcony w wykwintny bufet: szynka parmeńska i salami z Sibi, dwa pasztety o współgrających smakach, francuskie ciasto z tajemniczym nadzieniem, pomysłowe sałatki, a na deser kilka dobrze dobranych serów, kawałki karamboli i melona, kiście winogron oraz kawałki soczystej tureckiej chałwy i kilka słodkich miodowych ciastek ułożonych w barwnych, szklanych misach, które mu niegdyś podarowała. Na środku stołu stał w rzędzie całkiem przyzwoity burgund i biały reński riesling oraz, przeznaczone do deseru, marsala i likier Botticelli w butelce przypominającej kobiece ciało, a przedstawiającej, jakże by inaczej, wyłaniającą się ze skorupy małża Wenus. Henryk nigdy wcześniej nie widział takiej butelki. Otwierało się ją, kręcąc za piękną głowę Wenus osadzoną na smukłej szyi i ozdobioną kaskadą falujących włosów.

Solveig milczała i patrzyła na zaskoczzonego Henryka z zadowoleniem i jednocześnie nadzieją, że jej kulinarna ofiara uśmierzy jego gniew i nastroi przychylnie do niespodziewanego gościa, który nie szczędził dla niego ani trudu, ani środków, ani wyobraźni.

Solveig skróciła włosy i dawno nie wyglądała tak młodo, miała też dużo mniej makijażu i na pierwszy rzut oka wydawała się trzeźwa. Korki stojących na stole butelek były nietknięte.

Ani w tym domu, ani w moim i tak już pogmatwanym życiu nie ma miejsca na tę kobietę, pomyślał Henryk, ale nie wiedział, jaką formę powinien

przybrać ów ostateczny i jasno określony stosunek do niej. Czuł, że obecność Sol-veig zerwie już i tak tragicznie nadszarpniętą więź, która łączyła go jeszcze z żoną pułkownika. Bo choć opuścił pomost państwa Musk w stanie silnego wzburzenia wywołanego przez zazdrość, zważenie i nagły atak neomoralizmu, to po wyjściu z łodzi, gdy spocony i zmęczony stał na swoim pomoście, poczuł, jak spływa na niego duch Mavry, jak go osacza niczym rój, który za chwilę obsiądzie mu twarz, barki i szyję, spowijając delikatną, zabójczą opończę.

Wspomnienie Mavry pocieszyło go i uspokoiło, co więcej, nastroiło także bardziej życzliwie do Solveig, która siedziała przy stole ubrana ze skromną elegancją, promieniując pokornym przywiązaniem i dobrą wolą, z lekko uniesionymi brwiami, jak gdyby pytała: „Czy to cię zadowala, czy ja cię zadowalam?”. Był to oczywiście teatr, Sol-veig dobrze wiedziała, że teraz Henryk nie wyrzuci już jej za drzwi.

Przywitał ją w swoim domu i poprosił, aby zechciała się rozgościć, podziękował też za trud i pogratulował doskonałego wyczucia czasu. Solveig zignorowała sarkastyczne nuty, dopuszczając do siebie jedynie komplementy. Wyjęła z misy jabłko, które rzuciła Henrykowi. Ten złapał je w locie.

- *Detur pulchriori* - powiedziała Solveig, uśmiechając się.

- „Niechaj dostanie najpiękniejszy” - mruknął Henryk i Solveig rozchyliła usta w ponętym uśmiechu, jak zawsze kiedy urządzali pojedynki na znajomość łacińskich sentencji. Pobudzały ją erotycznie.

Henryk wziął prysznic i włożył czyste ubranie, po czym zasiadł do suto zastawionego stołu i błędząc gdzieś myślami, pozwolił Solveig nałożyć sobie na talerz po kolei wszystkie przygotowane przez nią specjały, udaremniając jednak ponawiane od czasu do czasu próby podania mu najlepszych kąsków palcami.

- *Incredulus odi* - odezwał się Henryk, cytując Horacego, nie chciał bowiem przegrać pojedynku na sentencje. Po krótkim namyśle Solveig wykrzyknęła triumfalnie: „Nie dowierzając, odtrącam!”. Henryk klasnął w

dłonie. Solveig uznała jego słowa za uprzejmość, a on nie miał serca wyprowadzić ją z błędu, interpretował bowiem Horacego inaczej: „Nie dam ci się wciągnąć w tę tanią gierkę!”.

Jadł w milczeniu i powściągliwie chwalił potrawy, bo Solveig co chwila pytała, czy mu smakuje. Opowiadała też rozwlekle o sposobie ich przyrządzania i tłumaczyła, co zrobiła nie tak, jeśli coś mu nie smakowało. Henryk z pełnymi ustami zapewniał, że wszystko jest pyszne i wszystko zrobiła dokładnie tak, jak trzeba. Jednocześnie zachodził w głowę, co też w tej samej chwili jedzą w domu pułkownika i czy nie dziwią się głośno jego niegrzecznemu, raptownemu zniknięciu. Sam się sobie dziwił i w nagłym przypiływie szczerości stwierdził, że jego pochojne opuszczenie posesji państwa Muskbyło raczej paniczną ucieczką niż wynikiem męskiej rozmowy z samym sobą. Zamyślony bezwolnie opróżniał kieliszek po kieliszku, które Solveig usłużnie mu nalewała, ale coś mu mówiło, że pisarka próbuje go upić.

Dziwi się, dlaczego nie jestem ciekaw, jak się dostała do środka. Tylko czeka na moje pytanie, po co przyszła. Trawi ją chęć wyjaśnienia, dlaczego groziła mi zemstą wojewody. Za chwilę będzie musiała to z siebie wyrzucić, inaczej pęknie, myślał Henryk.

Solveig bez pytania nałożyła mu na talerz sezamowe ciastko, Henryk ugryzł kawałek i widząc jej czujne, pytające spojrzenie, pospieszył z pochwałą.

- Rauno nigdy mnie nie chwali - powiedziała. - Poza tym, obecnie bardzo rzadko jada w domu, a w zasadzie nigdy. Wczoraj poruszyłam z nim ten temat i stwierdziłam, że skoro i tak już od dawna śpimy w osobnych sypialniach, a teraz na dodatek przestaliśmy razem jadać, to może w ogóle nie musimy żyć pod jednym dachem. Rauno przez chwilę myślał, po czym odpowiedział, że jest tego samego zdania. Zgodził się, żebyśmy od tej pory mieszkali osobno!

Solveig zrobiła teatralną pauzę, zaśmiała się ponuro i powtórzyła:

- Zgodził się od razu, zupełnie jakbym mu to zaproponowała.

- A nie zaproponowałaś? - zdziwił się Henryk.

- Poruszyłam temat, bo chciałam jakoś zagać rozmowę - odparła Solveig.
- A poruszenie tematu od propozycji dzieli całe lata świetlne. Widzę, że ty też nie wyczuwasz niuansów. Rauno celowo przeinaczył moje słowa, wykorzystał po prostu okazję. Myślałam, że sobie żartuje, ale on mówił poważnie. Wściekłam się na niego i zrobiła się z tego karczemna awantura. Zachowywał się agresywnie. Spakowałam walizkę i wyszłam. Wróciłam późnym wieczorem, ale nie mogłam już wejść do środka. Rauno zmienił zamki w drzwiach i mi nie otworzył! Jeśli w ogóle był w domu. Rozumiesz, co to znaczy? - wykrzyknęła Solveig, a ponieważ Henryk nie kwapił się z odpowiedzią, dokończyła sama - Rauno mnie wyrzucił! Z mojego własnego domu!

Solveig pożerała Henryka wzrokiem, wyczekując chciwie jego reakcji. Sęk w tym, że on postrzegał całą sprawę z męskiego punktu widzenia. Nawet jeśli wojewoda przekroczył prawo cywilne, niewątpliwie miał po swojej stronie prawo moralne. Gdyby on był na jego miejscu, zrobiłby to samo. A przynajmniej chciałby to zrobić. W tym momencie nie mógł nie pomyśleć o tym, w jakim stopniu sam przyczynił się do tego, że cierpliwość wojewody ostatecznie się wyczerpała, i wtedy dopiero zrozumiał, że o to właśnie chodzi, że oto powód niespodziewanej wizyty Solveig.

- Chyba nie miał prawa tego robić? - zapytał w końcu.

- Nie w tym rzecz - westchnęła Solveig, rozczarowana jego bezpłciową odpowiedzią. - Sęk w tym, że chamstwo Rauno urosło do tak kolosalnych rozmiarów, iż zagraża mojej psychice, pracy, zdrowiu i życiu!

Czy ja muszę tego słuchać? - pomyślał Henryk i przyrzekł sobie w duchu, że każe sobie zamontować zamek z nowoczesną wkładką.

Solveig, zupełnie jakby odgadła tok myśli Henryka, zaczęła mówić o łączącym ich związku, który trwa niebezpiecznie długo, i choć starała się zachować go w tajemnicy najlepiej jak umiała, wojewoda najwyraźniej zaczął się czegoś domyślać. Dała Henrykowi do zrozumienia, że to on był od początku bardziej aktywną stroną, co jest rzeczą zrozumiałą, zważywszy, że od dłuższego

czasu mieszkał sam, podczas gdy ona jest mężatką i matką dorastającego syna, który na dodatek okazał się jego uczniem. Oczywiście nie zamierzała mu niczego wypominać, sama przecież rzuciła się w ten związek bez cienia wahania. Chciała jedynie zwrócić jego uwagę na fakt, że jeśli znalazła się teraz w takiej biedzie, to jest to po części również jego wina, i wyraziła nadzieję, że nie będzie musiała sama znosić wszystkich upokorzeń.

- Czyli co, wojewoda chce rozwodu? - zapytał Henryk, przeklinając w duchu swoje miękkie serce. Powinien był od razu wyrzucić tę kobietę za drzwi. Za płot.

- Jeszcze o tym nie mówił - przyznała Solveig. - Ale na pewno to zrobi - dodała takim tonem, jak gdyby miała nadzieję, że sprawy przyjmą taki właśnie obrót. W Henryku obudziło się podejrzenie, że Solveig znowu buja w papierowych obłokach swojego teatru i tak naprawdę nie było żadnej tragedii. Ona jednak wpadła już w trans i zaczęła z rozplomienioną twarzą rozwijać poprzednią myśl:

- Przecież to jasne jak słońce, że jeśli Rauno wniesie sprawę do sądu, z palcem w nosie wmówi każdemu sędziemu, że od dawna go zdradzam. Jest przecież prawnikiem. I bez żadnych skrupułów powoła ciebie na świadka i będzie ci przypiekał boczków, dopóki wszystkiego nie wyśpiewasz. Aż strach pomyśleć, jak mogłoby to wpłynąć na twoją karierę.

Słuchając monologu Solveig, Henryk próbował sobie przypomnieć, jak się to wszystko zaczęło, lecz szybko poczuł obrzydzenie. Nie starał się nawet zaprzeczać, bo wiedział, że to nic nie da.

Więc po jaką cholereę znów do niego przyszła? Tego akurat bardzo chciał się dowiedzieć.

- Więc po co tu przyszłaś? - zapytał. - Dlaczego weszłaś nieproszona do mojego domu? I po co to wszystko?

Henryk rozłożył ramiona, obejmując tym gestem suto zastawiony stół, Solveig, siebie i własną zagrożoną karierę, nieobliczalnego w swej zazdrości

wojewodę i cały ten nużący spektakl.

- Czy ty naprawdę niczego nie rozumiesz? - zapytała Solveig urażonym głosem, patrząc na Henryka z niedowierzaniem. Lecz wzrok jej uciekał, a oczy poruszały się nerwowo, jakby sama gorączkowo szukała wiarygodnej odpowiedzi, dalszego ciągu tej naprędce skleconej farsy, wyjaśnienia, jak i po co przyszła do jego domu.

- Chyba nie zamierzasz się tutaj wprowadzić? - Henryk odpowiedział pytaniem i zaśmiał się ze strachu przed tą myślą. Tego jej właśnie było trzeba. Solveig dała upust swojej wdzięczności, wybuchając płaczem.

Był to długi szloch, który z butelką przeniósł się na sofę i nie ustał nawet wówczas, gdy Henryk usiadł obok Solveig, otoczył ją ramieniem i wytarł łzy. Był to płacz, który trzeba było zanieść aż do łóżka, gdzie Henryk musiał się położyć obok Solveig i gładzić ją po włosach i mokrych policzkach. Nie znosił kobiecego płaczu.

W łóżku szlochająca Solveig wyznała, że dobijają ją nie tyle grubiaństwa wojewody, do których zdążyła już przywyknąć, ile samotność i ponura niesprawiedliwość świata. Czy on wie, że wojewoda nie raz zmuszał ją do seksu? Praktycznie rzecz biorąc, gwałcił ją? I nie czekając na odpowiedź, ciągnęła zmęczonym głosem, że on tego nie wie i oczywiście w to nie wierzy, ale ona nie ma najmniejszego zamiaru go o tym przekonywać, bo w tych sprawach mężczyźni zawsze się ze sobą zgadzają, choćby nawet byli rywalami. Sądziła, że ma w Henryku przyjaciela, na którego zawsze może liczyć, ale najwyraźniej się przeliczyła, bo oddalił się od niej i stał obcym człowiekiem, który włóczy się nie wiadomo gdzie. Oczywiście nie ma prawa być zazdrosna, ale jednak jest. I nie bez powodu. Kobieta wyczuwa te rzeczy, więc i ona wyczuła, i jest z tego powodu nieszczęśliwa, ale nie zamierza pytać, kim jest ta druga, co to, to nie. Prędzej czy później i tak się dowie. Z tego samego powodu nie chce już dłużej zawracać Henrykowi głowy swoją powieścią, więc zabiera rękopis, który leży pewnie w jakimś kącie i tylko zbiera kurz. A w zasadzie

Henryk może z nim zrobić, co mu się podoba, może nim nawet rozpalać w piecu. Ona i tak nigdy nie skończy tej powieści, ale to już bez znaczenia. Solveig przyznała, że cierpi na depresję i nie zamierza przestać się nad sobą litować, bo choć raz ma ku temu powody, a co za tym idzie, pełne do tego prawo.

Skończyła mówić i przestała płakać. Leżała teraz na plecach z przekrwionymi oczyma i czerwonym nosem, i patrzyła w sufit. Cicho spytała, czy może zostać dzisiaj w jego łóżku, ponieważ nie zorganizuje sobie tak *ad hoc* żadnego innego miejsca, gdzie mogłaby przenoćować. Tęskni do bliskości przyjaciela, a przynajmniej kogoś znajomego, skoro Henryk nie jest już jej przyjacielem. A jego kochanką nie chce być. Jego ani niczyją. Nie chce już z nikim sypiać. Ma mężczyzn powyżej uszu.

Nie czekając odpowiedzi na pytanie, które zdążyło stać się już stwierdzeniem, tezą i oskarżeniem, Solveig obróciła się na bok i zamknęła oczy. Wierciła się na łóżku w poszukiwaniu najwygodniejszej pozycji, aż wypiętymi pośladkami niemal dotknęła Henryka.

Henryk leżał w łóżku i słuchał oddechu Solveig, która spała obok niego ciężkim snem, leżąc na brzuchu i popiskując jak śpiące niemowlę. W głowie roily mu się niestosowne myśli, od których mógł go uwolnić jedynie sen, ale ten jakoś nie przychodził. Dręczyłby go pewnie jakiś koszmar, bo czuł, że za bardzo się objadł, ale nawet on byłby dla niego wybawieniem. Piski Solveig były monotonne, oscylowały pomiędzy e i es, sprawdził to na kamertonie, po który wymknął się cichaczem do pracowni. Dźwięki zupełnie mu nie przeszkadzały i gdyby obok niego spało niemowlę, z pewnością od razu by usnął. Lecz obok niego nie spało niemowlę, tylko zblazowana miłośniczka enigmaty i konfabulacji, pisarka, którą choćby z racji zawodu należało uznać za patologicznego łgarza. I on się z tą kobietą nie tak dawno dobrowolnie przespał, czy raczej spędził z nią w łóżku parę chwil.

Jego umęczone myśli krążyły wokół starego paradoksu, doskonale

ilustrującego pokrętność logiki na przykładzie pewnego Kreteńczyka. Jego imienia nie mógł sobie przypomnieć, ale pamiętał, że człowiek ów twierdził, iż wszyscy Kreteńczycy kłamią, co oczywiście również musiało być kłamstwem, skoro sam pochodził z Krety. Zdaniem Henryka oznaczało to, że kłamstwem mogło być najprostsze nawet stwierdzenie czy odpowiedź na dowolne pytanie, ale Kreteńczyk mógł przecież wypowiedzieć słowa: „trzy ślepe myszki” i jeśli nie było ich akurat w polu widzenia albo nikt nie zadał mu pytania mającego jakikolwiek związek z myszami, nie można by go posądzić o kłamstwo. Podobnie Kreteńczyk mógł ni z gruszki, ni z pietruszki wykrzyknąć: „Końskie gówno!”, i wtedy również by nie skłamał, gdyby jednak akurat wdepnął w kupę końskiego nawozu, nie mógłby już wtedy wykrzyknąć: „Wdepnąłem w końskie gówno!” albo stwierdzić: „Końskie gówno cuchnie”, lecz: „Wdepnąłem w krowi placek” lub „Końskie gówno jest bezzapachowe”.

Henryk zawsze uważał, że paradoks jest idiotyczny, gdyż bez większego trudu potrafił wymyślić pytanie, na które Kreteńczyk musiałby odpowiedzieć zgodnie z prawdą. Gdyby go bowiem zapytać: „Czy przyznajesz, że więcej niż raz zabawiałeś się z owcą?”, Kreteńczyk mógłby odpowiedzieć jedynie: „Przyznaję” lub „Nie przyznaję”. Pierwsza odpowiedź byłaby prawdziwa, gdyż zadający pytanie uznaje ją za przyznanie się do niestosownych zabaw z owcami, i ta prawda nie zmienia się ani na jotę, choćby Kreteńczyk w duchu do niczego się nie przyznawał. Druga odpowiedź jest prawdą w takim samym stopniu i z tego samego powodu. Kreteńczyk może oczywiście pośrednio przyznać, że zabawiał się z owcą tylko raz, co jest albo prawdą, albo fałszem, lub odpowiedzieć z kamienną twarzą, że nie ma pojęcia, czym jest owca, co oczywiście jest wierutnym kłamstwem, lecz taka odpowiedź nie jest w zasadzie odpowiedzią na postawione pytanie i na pewno nie zostałaby uznana w amerykańskim procesie. „Proszę odpowiedzieć na pytanie!”, zażądałby sędzia, ale Kreteńczyk straciłby cierpliwość i wykrzyknął: „Gówno ci do tego!”, w wyniku czego zostałby ukarany grzywną za zniewagę sądu.

Kreteńskie kłamstwa w porównaniu z zawilosciami łgarstw Solveig były niewinne i nieskomplikowane. Kłamać bowiem można na milion sposobów i Solveig opanowała je wszystkie do perfekcji: grube rozmijanie się z prawdą, białe kłamstwa, półprawdy, skrajna przesada, manipulacja niuansami i odcieniami znaczeniowymi, zapomnianie o rzeczach istotnych lub ich zatajanie, odwracanie związków przyczynowo-skutkowych, wykorzystywanie przypuszczeń jako przesłanek, paplanie od rzeczy, nagłe, gwałtowne oskarżenia i płaczliwe napady gniewu w trakcie spokojnej rozmowy, ataki pretensjonalnej czułości, wyznania miłości, namiętne drapanie partnera po plecach w czasie stosunku, przedłużone orgazmy, nieustające orgazmy, powtarzające się orgazmy, udawane orgazmy... Kreteńczyk był przynajmniej w swym łgarstwie konsekwentny, a zatem uczciwy, Solveig natomiast potrafiła kłamać w przekonaniu, że mówi prawdę, albo być zupełnie szczerą, nie zdając sobie z tego sprawy.

Henryk już miał się pogрузić w zwycięskim śnie, gdy promieniująca ciepłem Solveig odwróciła się na drugi bok i patrząc mu prosto w oczy powiedziała, że kiedy wojewoda brał ją siłą, nie broniła się i znosiła tę ohydę jedynie dlatego, że wyobrażała sobie, iż to Henryk chce ją posiadać. Przeprosiła go za to, że w tak arbitralny sposób wykorzystywała go w charakterze wirtualnego kochanka, czy raczej gwałciciela, wierzy jednak, iż Henryk rozumie, że będąc ofiarą gwałtu, nie miała innego wyjścia. Zaraz też oświadczyła, że bardzo by się rozgniewała, gdyby Henryk kochając się z nią, robił to samo, to znaczy wyobrażał sobie, że jest z inną kobietą. Henryk, nie odwracając spojrzenia, powiedział, że dokładał zawsze wszelkich starań, by nie myśleć wtedy o żadnej ze swoich kobiet. Solveig przyznała, że zasłużyła sobie na tak złośliwą odpowiedź, więc się nie obrazi i za chwilę o wszystkim zapomni. Przewróciła się znowu miękko na bok, zwinęła w kłębek i przeciągle ziewnęła, nie zasłaniając ust. Już po chwili jej oddech się wyrównał i Henryk myślał, że zasnęła, lecz ni stąd, ni zowąd zaczęła mu opowiadać, jak się dostała

do domu bez klucza: zaparkowała samochód z dala od domu, tak by Henryk jej nie zauważył, podkrađła się do otwartych drzwi i gumą do żucia wypełniła otwór zatrzasku w futrynie oraz okleiła brzegi ościeżnicy, po czym ukryła się, czekając, aż Henryk wyjdzie z domu. Kiedy wychodząc, zamknął za sobą drzwi, zatrzask nie wskoczył w wypełniony otwór, a drzwi tylko przykleiły się na chwilę do ościeżnicy. Henryk uznał więc, że drzwi się zatrzaskały, i poszedł na brzeg. Gdy odpłynął, Solveig weszła do domu i uciszyła Tsuikkę swoim piskliwym falsetem, przed którym pies chował się zawsze ze skamleniem pod sofą. Solveig opowiedziała mu to wszystko, zaśmiewając się do rozpuku, po czym znów przewróciła się na drugi bok i zasnęła.

Henryk wstał z łóżka i przeszedł do izby. Dwoma łykami wychylił resztę Wenus Botticellego, a następnie wytrząsnął zawartość torebki Solveig na stół. Był przekonany, że znajdzie w niej zapasowy klucz do swojego domu, nie wierzył bowiem w ani jedno jej słowo. Znajomego klucza nie było, o blat stołu brzęknęły za to dwa inne, nowiuteńkie, i Henryk mógł się założyć, że można nimi otworzyć nowe zamki w drzwiach domu Solveig. Już chciał dzwonić po taksówkę, obudzić Solveig i przekazać jej radosną nowinę, że wojewoda jednak nie wyrzucił jej za drzwi, więc na pewno czeka na nią niecierpliwie i ucieszy się z jej powrotu, następnie chętnie wysłucha jej wyznań i wszystko wybaczy, a na zgodę zmusi nad ranem skruszoną żonę do szalonego seksu.

Zmienił jednak zdanie. Zawołał Tsuikkę i razem wyszli na dwór popatrzeć na księżyc, po czym udali się na brzeg do sauny i tam ułożyli do snu. Tuż przed zaśnięciem Henryk ujrzał wyraźny, ejdetyczny obraz Mavry, która uśmiechała się i patrzyła na niego ze zrozumieniem. Henryk poczuł, że stracił ją na zawsze, ale zaraz pomyślał, że tak właśnie musiało się stać, bo nie był jej godny. Przywołał do siebie Tsuikkę. Pies przywarł do jego boku i tak przespali całą noc.

Wracając rano do domu, Henryk obejrzał dokładnie zamek w drzwiach, lecz nie znalazł żadnych śladów po gumie do żucia. Dom był pusty, Solveig

zniknęła, nie pozostawiając nawet szyfrogramu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

LIST DO UŁANA, POSKRAMIACZA SPIENIONYCH FAL

Szanowny panie nauczycielu, ukochany uczniu mój i ułanie ze spiżu!

Zniknąłeś wczoraj w sposób niepojęty, nie chciałeś zjeść z nami kolacji, nie zostałeś na lekcji i odpłynąłeś w gniewie. Powiedziano mi, że tak się stało, lecz nie powiedziano dlaczego. Wiem zatem, w jakim nastroju odpłynąłeś, ale nie znam jego przyczyn. Próbowałam się domyślić, lecz nie będę wiedzieć, czy moje domysły są słuszne, dopóki się z Tobą nie zobaczę. Sądzę, że ma to jakiś związek z tym, co powiedział Ci Jovan, a jeśli to prawda, to chciałabym zastrzec, że ma on okropną skłonność do widzenia tylko jednej strony medalu i do gigantycznej przesady, zwłaszcza gdy mówi o mnie. To znów wypływa z jego wielkiej lojalności względem pułkownika. A to z kolei... ale to już inna historia, a wszystkie splatają się w jedno jak nitki w kłębku i nie da się tego w liście wyjaśnić. Jeśli zechcesz spotkać się ze mną jeszcze raz, spróbuję przedstawić Ci całą sprawę z mojego punktu widzenia.

Jovan powiedział mi tylko tyle, że nagle rozgniewałeś się na poetę Puszkina i rzuciłeś zbiorok jego wierszy na deski pomostu. Może dałeś w ten sposób upust swej złości czy rozczarowaniu (którego przyczyny ciągle nie znam) i wyładowałeś je na poecie, którego wiersza, mojego ulubionego sonetu, uczyłeś się właśnie na pamięć. Zrobiłam to samo, wyładowałam swoje rozczarowanie na tej samej książeczce, wyrzucając ją do rzeki. Pomyślałam, że skoro Ty nie możesz dłużej ścierpieć Puszkina, to i ja nie chcę go więcej czytać. Jednak następnego dnia wyłowiłam zbiorok z wody i powiesiłam na sznurku.

Po trzech dniach książeczka się rozeschła i zaczęły z niej wypadać kartki, w końcu było to stare i tanie, radzieckie jeszcze wydanie. Pozbierałam je z ziemi - niektóre zdążył zabrać wiatr - i natrafiłam na stronę z numerem setnym, na list Tatiany do Eugeniusza Oniegina. To on dodał mi odwagi, by do Ciebie napisać.

Nie piszę do Ciebie nieśmiałego listu miłosnego, nie jestem niewinną, rozplómiętą marzycielką, jaką była dwudziestoletnia Tatiana, lecz kobietą doświadczoną przez trudne życie i wojnę, która boi się, że za parę lat będzie starą, zgorzkniałą jędzą, choć nie ma jeszcze nawet trzydziestu lat.

Raz, gdy byłam bardzo młoda, zakochałam się w chłopaku z sąsiedniej wioski, leżącej nad brzegiem tej samej rzeki Bosny, w jej dolnym biegu. Miał na imię Pavle. Chodziliśmy do różnych klas w tej samej szkole i na każdej przerwie pożerałam go pełnym uwielbienia wzrokiem, choć oczywiście nie ośmieliłam się mu tego okazać. Co wieczór oddawałam się marzeniom i płakałam, zaczęłam czytać wiersze, a szczególnie erotyki, byłam w nim zadurzona bez pamięci. Aż raz wpadłam na pomysł, jak uświadomić mu moją miłość. Wiedziałam, że po szkole chodzi często pod most łowić ryby, najczęściej sam, bo był to chłopiec cichy i skłonny do zadumy. Pewnego dnia po lekcjach poszłam nad rzekę. Wymalowałam sobie usta szminką, wyrwałam z tomiku Marty Mekijar *Mgławica miłości* wszystkie kartki, jedna po drugiej, na każdej napisałam słowa „Dla Pavlego od kochającej Mavry” i odcisnęłam ślad umalowanych ust. Potem zrobiłam ze stron łódeczki i puściłam na wodę w nadziei, że nurt zanieśie je do niego. Patrzyłam, jak kołysząc się na wodzie, odpływają w dal, i pamiętam, że byłam szczęśliwa i podniecona, i przyjemnie smutna zarazem. Okazało się jednak, że moi papierowi posłańcy nigdy do Pavlego nie dotarli, choć w owej chwili wielkiego szczęścia nie mogłam jeszcze tego wiedzieć, dowiedziałam się o tym dopiero kilka dni później. Nie dopłynęła do niego żadna łódeczka i żadna nie złapała się na haczyk jego wędki, za to jedną nurt wyrzucił na wąski skrawek piaszczystej plaży, gdzie chłopcy z naszej wsi przychodzili popływać. Tam znaleźli ją koledzy Pavlego, rozłożyli i bardzo się uradowali. I oczywiście od razu zaczęli nam bezustannie, bezlitośnie dokuczać, a zwłaszcza Pavlemu, który najpierw bezgranicznie się zdziwił, a potem straszliwie wściekł i powiedział publicznie, że mnie nie znosi. Jestem przekonana, że w rzeczywistości wcale tak nie myślał, lecz chcąc zachować twarz, musiał to ogłosić wszem i wobec. W

szkole przestał się do mnie odzywać i unikał mnie jak ognia. Ale ja się tym nie martwiłam, myślę, że szczyt i spełnienie mojego uczucia przypadły na chwilę, gdy spuszczałam na wodę te papierowe łódeczki, i w zasadzie nie żywiłam nadziei na jakikolwiek ciąg dalszy - czy może powinnam raczej powiedzieć, że nie spodziewałam się, iż ta historia, historia naszej miłości, od tego się zacznie. Po skończeniu szkoły Pavle przeniósł się do Zenicy i więcej już go nie widziałam. Do wybuchu wojny, kiedy nieoczekiwanie pojawił się znowu we wsi. Spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy.

Szedł w uzbrojonej zgrai, w której byli nasi chłopcy i przybysze z odleglejszych wsi. Bardzo się ucieszył na mój widok... Nie zapomniał mnie. Pamiętał wszystko, moje napastliwe wyznanie miłości i okrutne szyderstwa, które musiał potem znosić. Nie zapomniał nawet o tym, że moja matka była Muzułmanką, i nie omieszkął powiedzieć tego chłopakom, którzy o tym nie wiedzieli. Powiedział im też (po czym zaśmiał się tak dźwięcznym, zimnym śmiechem, że moje serce skurczyło się do rozmiarów pestki od śliwki), że kiedyś wyznałam mu nawet miłość. Więc teraz chciał, abym mu jej dowiodła...

Gdyby nurt rzeki płynął w Twoją stronę, mogłabym znowu puścić na wodę łódeczki z nadzieją, że dobiją do Twojego brzegu. Chcę przez to powiedzieć także to, że moje serce znów jest teraz wielkim mięśniem, który pompuje mocno krew i któremu nie dolega już nic poza skłonnością do przyspieszonego bicia (zdaje się, że nazywają to arytmia).

Ale biegu rzeki zmienić nie mogę. Już raz próbowałam.

Wpatrywałam się w rzekę, bo chciałam zobaczyć na niej jakąś wiadomość od Ciebie, tratwę, tureckie pantofle, kawałek pomostu albo łódź - a w niej Ciebie. Ale niczego takiego nie zobaczyłam. Nie dostałam od Ciebie żadnej wiadomości. Nie zadzwoniłam. Sprzeciwia się temu moja natura. A poza tym, jestem przecież mężatką. Odważyłam się jednak napisać ten list. Nie musisz go otwierać, a nawet jeśli otworzysz, nie musisz go czytać. A jeśli go przeczytasz, nie musisz próbować go zrozumieć.

I dlatego piszę do Ciebie po rosyjsku. Może nie zrozumiesz z tego listu ani słowa, choćbyś nawet zechciał go przeczytać.

Tęsknię do naszych lekcji, do wspólnego śmiechu, tęsknię do uśmiechu zadowolenia na Twojej twarzy, gdy coś staje się dla Ciebie jasne, i do Twojej głupiej miny, kiedy nie rozumiesz, co do Ciebie mówię. Tego słowa powinienes się nauczyć i dobrze je zapamiętać, może Ci się jeszcze kiedyś przydać: „tęsknić”. Tęsknię do Ciebie we wszystkich czasach i przypadkach.

Teraz zabawię się w Tatianę i pożyczę fragment z jej listu. Zmienię go tak, by pasował do Ciebie. Wcale się tego nie wstydzę. Nie zrozumiesz go, tak jak nie zrozumiesz, że nie są to romantyczne westchnienia wariatki, lecz przejaw dojrzałego, bolesnego sarkazmu i szczerzej autoironii. Oczywiście nie będziesz mógł docenić doskonałości mojej przeróbki. Rzucam więc perły przed wieprze (wybacz porównanie). Proszę bardzo:

Gdybyś się nie wdarł w moje życie jak tryton na spienionej fali, serce nie kłulooby mnie skrycie, sumienie nie męczyło wcale. Po cóż wskrzeszałeś moje żale? Byłabym cnoty ideałem i dziecko może bym niańczyła, gdybym się tylko odważyła zapomnieć o trytonie śmiałym.

Tego „dziecka” nie musisz brać zbyt poważnie, nie miałabym czego niańczyć, nawet gdyby Twoja tratwa minęła nasz brzeg i dopłynąłbyś do Czarciej Skały i tam postradał życie, do czego Najwyższy, niech mu będą dzięki, nie dopuścił. I nie pytam, tak jak Tatiana, po co tamtego wieczoru złożyłeś nam wizytę, po co zakłóciłeś mój sielski spokój i przewróciłeś moje życie do góry nogami. Należę do innego mężczyzny, oficjalnie, już prawie trzy lata, a tego wieczoru, kiedy zniknąłeś, byłam jego, po raz pierwszy od długiego czasu, także cieleśnie.

Ale o Tobie myślę codziennie, a czasem także śnię. Zamieszkałeś w moim sercu i rozrosłeś się w nim tak bardzo, że już wkrótce nie będzie w nim miejsca dla nikogo innego. Mam dość śmiałości, by Ci to wyznać. Po rosyjsku.

Dziesiątego tego miesiąca pułkownik i Jovan wyjeżdżają do Petersburga,

być może na długo. Zostanę tu sama. Jeśli uda Ci się wygospodarować trochę czasu i jeżeli uda Ci się na chwilę uwolnić od żony wojewody, odwiedź mnie.

Przeczytałam ten list. Nie wstydzę się go, lecz obawiam się najgorszego. I najlepszego.

Mavra

Farę thee well, and iffor ever Stillfor everfar thee well.

(Byron)

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

TOAST NAD TOASTY

W domu państwa Musk pożegnalne toasty zaczęto wznosić na długo przed nastaniem wieczoru, kiedy to pułkownik i Jovan mieli wyruszyć pociągiem do Petersburga. Spełniali je głównie mężczyźni, Mavra umoczyła raz usta w kieliszku z wódką i poszła pakować walizki pułkownika, jedną dużą, a drugą mniejszą.

W salonie pułkownik z Jovanem darli się wniebogłosy. Jovan, okropnie fałszując, zaintonował pieśń o górach Wyszegradu. Pułkownik zawtórował mu po fińsku, tercję niżej.

Sącząc śliwownicę, idziemy brzegiem Driny, roniąc łzy, śmiejąc się do Janty ze Slatiny. O, Janto, Janteńko! Wszyscy wzdychali do ciebie, czemuż więc, powiedz no, nie chcesz już iść w maliny?

- Mavra, chodź, poprzygrywasz nam! - krzyknął pułkownik między zwrotkami.

- Teraz pakuję! - odpowiedziała Mavra z sąsiedniego pokoju.

- Poszła pakować walizki - wyjaśnił Jovan.

- Nie jestem głuchy. Niech będzie. Nie potrzeba nam tu kobiet! - krzyknął jej pułkownik.

Mavra tyle razy pakowała rzeczy pułkownika, że nie potrzebowała już jego instrukcji. Do większej walizki włożyła dwa garnitury, koszule, bieliznę, skarpetki, buty i „przedmioty użytku osobistego”, które pułkownik trzymał we wzorowym porządku w skórzanych i metalowych futerałach - stosunkowo niewielkie, elegancko zaprojektowane urządzenia o męskim, bezpiecznym zapachu, który bardziej nasuwał na myśl ojca niż męża. Lubiła je pakować, dla każdego znajdowała zawsze jakieś miejsce między butami i ubraniami.

Lała się rakija w gospodzie u Gawriła, a pod wieczór kompania do kobiet

zateśniła. Kto te dinary wziął tego nie pamięta nikt. Kobiety, wino, śpiew - i po cóż nam to było?

Mavra wsuwała właśnie golarkę do buta pułkownika, gdy skonstatowała z obrzydzeniem, że takie same rozczulające zabawki, które jedni mężczyźni wożą ze sobą w delegacje i podróże służbowe, aby nie zaniedbywać higieny, zarabiając na rodzinę i budując społeczeństwo, inni noszą w starannie zapakowanych przez żony i matki plecakach, kiedy wyruszają na wojnę. One także pachną domem i poczuciem bezpieczeństwa, spoczywają w idealnym porządku w swoich specjalnych futerałach. Zupełnie jak ich właściciele.

Zupełnie jak ich broń, ich karabiny maszynowe, granaty, pistolety oraz inne narzędzia zadawania śmierci, i choć ich zapach jest zupełnie inny, to przecież nie mniej męski. One także tkwią w specjalnie zaprojektowanych futerałach i skrzyniach, wyczyszczone, nasmarowane i sprawne, by ich właściciele mogli obrócić w pył dobrze zaprojektowane miasta innych, udomowionych mężczyzn, zburzyć im przytulne mieszkania w pięknych kamienicach, rozpędzić zamieszkujące je rodziny, by potem, w wolnej chwili, po zgwałceniu szczęśliwych matek i córek, z nabożeństwem przystąpić do zabiegów higienicznych.

Do mniejszej torby Mavra zapakowała laptopa, dyktafony i spięte w pliki dokumenty opisujące tę dawną wojnę na północy, o której najwyraźniej nie wolno było zapomnieć ani na chwilę. Przypomniała sobie swoją wojnę, która cuchnęła jeszcze świeżą krwią i o której na próżno starała się zapomnieć. I która na zawsze stała się wojną pułkownika. Może po to grzebał w wojnie swojego ojca, by zapomnieć o ich wojnie, jego i Mavry?

Kiedy więc pułkownik wszedł do pokoju, żeby sprawdzić, czy wszystkie niezbędne przedmioty zostały spakowane, Mavra zapytała, czy po to ryje w tej starej wojnie swojego ojca, aby zapomnieć o wojnie, której doświadczyli, ona i on, razem i z osobna? Po chwili zastanowienia pułkownik przyznał, że w istocie może tak być. Nie może, tylko jest! - warknęła Mavra, a pułkownik zaklął i

przyznał, że istotnie ma rację, tylko nie analizował sprawy z tego punktu widzenia i nie przyszło mu to nawet do głowy. Dodał jednak, że świadomość tego faktu niczego nie zmienia.

- Może nie dla ciebie, ale dla mnie na pewno - odpowiedziała Mavra. - Bo teraz lepiej rozumiem twoje pragnienie spisania tych wspomnień ojca i łatwiej mi to zaakceptować. I rozsądek mi podpowiada, że powinnam odczuwać ulgę i być szczęśliwa, że nie jedziesz, by walczyć w nowej wojnie, lecz by dowiedzieć się czegoś o starej.

- A zatem nie jesteś szczęśliwa? - zapytał pułkownik.

- Jestem. Jedź, skoro musisz.

- Nie zabawię długo.

- Co znaczy „nie zabawię długo”?

- To znaczy, że szybko wrócę.

- Jak szybko minie to długo? Jak długo potrwa to „szybko”?

- Trudno powiedzieć. W końcu jadę ryć w historii.

- Długo może potrwać takie rycie?

- Będę musiał zstąpić w czeluście petersburskiego oddziału Rosyjskiego Archiwum Wojennego, aby dotrzeć do pogrzebanych tam teczek. Muszę je przekopać.

- Długo może potrwać takie kopanie?

- Jeśli dopisze mi szczęście, szybko znajdę to, czego szukam. Jeśli nie i sprawa się skomplikuje, nasz pobyt w Petersburgu może się przeciągnąć do kilku tygodni.

- A nie możesz od czasu do czasu przyjechać do domu?

- Jeśli będę od czasu do czasu przyjeżdżał do domu, zgubię wątek - odparł pułkownik.

- Tak może się zdarzyć nawet, jeśli nie będziesz przyjeżdżał do domu - powiedziała Mavra. Pułkownik spojrzał na nią zupełnie tak, jak gdyby ją widział, roześmiał się i pokiwał głową.

- Obiecuję się streszczać. W każdym razie spróbuję - rzekł. - Ostatecznie dobrze wiem, jakich informacji szukam, z jakiego okresu, z którego odcinka frontu i tak dalej.

- To samo mówiłeś ostatnio, ale przypadkiem trafiłeś na coś interesującego i po prostu musiałeś się tym zająć.

- Odmówiłabyś sobie przyjemności zerwania jagód w przypadkowo odkrytym miejscu, choćbyś już miała pełne kosze? Albo gdybyś znalazła kolonię kurek? I ciebie ogarnęłaby nieprzewyciężona chciwość, zebrałabyś wszystko, co się da, i zanosła do domu w kapeluszu albo w płaszczu, choćby cię goniła chmara much!

Jakby na potwierdzenie tych słów zegar na ścianie wybił piątą, więc pułkownik uznał, że sprawa została ostatecznie zamknięta.

Gdy zegar wybił szóstą, Mavra weszła do pokoju z kolejną porcją ciemnego pieczywa, kwaszonych ogórków i miodu. Pułkownik i jego adiutant byli już w stanie wskazującym na spore spożycie alkoholu.

- Dlaczego pijecie te toasty tak często? - zapytała.

- Musimy się zabezpieczyć przed archiwalną stęchli-zną i kurzem - wyjaśnił pułkownik.

- Pozostały nam już tylko dwie godziny. - dodał Jo-van. - Co innego moglibyśmy robić?

- Rozumiem, że można spłukać gardło z kurzu po powrocie z archiwum. Ale przed faktem? - zdziwiła się Mavra.

- Stare przysłowie serbskie mówi, że niedobrze jest wyruszać w drogę o suchym pysku - wyjaśnił Jovan. - Gdy dziadek Momćilo miał jechać do Użica na wesele swojego najlepszego druha Dragutina, zaczął pić w domu już dwa dni naprzód, a potem pociągał jeszcze podczas drogi, tak że ledwie zdążył do kościoła. Wesele w Użicu trwało trzy dni, więc dziadek doprowadził się do takiego stanu, że ojciec musiał pojechać po niego z dwoma stryjami. Sami pili przez dwa dni, zanim wybrali się w drogę, a kiedy wreszcie dotarli do Użica,

dziadka już tam nie było. Nie było też Dragutina i panna młoda płakała drugi dzień. Okazało się, że pan młody postanowił odwiedzić dziadka z powrotem do domu swoją starą ciężarówką, ale po drodze przyjaciele utknęli na trzy dni w Tuzli. Musieli się więc minąć z ojcem gdzieś w okolicy Zvornika, bo znajomi widzieli ich tam mniej więcej w tym samym czasie, ale w różnych knajpach. Działo się to w roku trzydziestym czwartym, przed wojną światową, drugą znaczy się, i nim dziadek wreszcie wrócił do domu, król Aleksander zdążył wyjechać do Francji i zostać zamordowanym w Marsylii, a na regenta wyznaczono już księcia Pawła. Był to oczywiście zupełny zbieg okoliczności... Nie spieszy się nam.

- Umówiliśmy się z Kiljanderem, że zawiezie nas do Helsinek, prosto na nocny do Petersburga - dodał pułkownik. - Mercedesa zostawiamy tobie, żeby ci nie było smutno.

Pułkownik chwycił szklaneczkę, wstał i przez chwilę chwiał się sztywno, z surowym, skupionym wyrazem na twarzy. Był to nieomylny znak, że zamierza wznieść toast. Mavra stała przy oknie i patrzyła na rzekę. Bardzo daleko dostrzegła małą łódź, w której siedziała samotna postać.

Serce zabiło jej mocniej, przytknęła czoło do szyby i wyteżyła wzrok.

- Proszę obecnych mężczyzn o powstanie, a kobiety o zajęcie miejsc, zgodnie z wymogiem pradawnego zwyczaju - zaczął pułkownik.

Mavra niechętnie oderwała się od okna i usiadła. Zobaczyła grube krople potu na szerokim czole pułkownika i pokręciła głową, nie mogąc uwierzyć w taki splot okoliczności.

- Mavro moja, złotko moje, perło Bośni! Tęsknota już teraz gryzie me serce, choć nie wyruszyłem jeszcze na poszukiwania ziaren prawdy w nieprzebranych archiwach Mateczki Rassiji, tych maleńkich ziarenek, które być może pozwolą mi wyjaśnić, kto zimą trzydziestego dziewiątego przedarł się pod Kuhmo na naszą stronę, żeby stuknąć ojca, i już nigdy nie wrócił. Co to byli za ludzie, jak się nazywali, skąd pochodzili i co im się wtedy roilo w głowach? Ja z

kolei podam im oba imiona i nazwisko ojca, Jorma Kalevi Musk, zapiszę je na marginesie stosownych dokumentów razem ze stopniem i paroma innymi szczegółami, na wypadek gdyby ktoś chciał kiedyś wiedzieć, kto po drugiej stronie stawiał wtedy tak stanowczy opór. To oczywiście zabronione, myślę jednak, że nikt tam nie będzie zawracał sobie głowy pilnowaniem niewidomego. Nie wiem, czy to się komukolwiek na coś przyda, a najmniej pewnie ojcu, nawet gdyby patrzył z nieba na moje poczynania. Doszedłem do wniosku, że nie mam obowiązku przepisywać jego pamiętników, ponieważ nie jestem mu nic winien, a poza tym - niczego już od nikogo nie oczekuję ani nie wymagam. Ale dokończę tego dzieła, skoro się go raz podjąłem, bo i tak nie mam nic lepszego do roboty. I, jak zdążyłaś już błyskotliwie zauważyć, Mavro, może grzebanie w archiwach starej wojny jest dla mnie terapią. W najgorszym razie zajęciem zastępczym.

Gdybym bowiem był w pełni sił, pojechałbym do Bośni i wyjaśnił, co za ludzie szaleli w twojej wsi, co im się wtedy roilo w głowach i kto nimi dowodził, a następnie wyłapałbym ich wszystkich i albo postawił przed sądem w Hadze, Sarajewie lub Helsinkach, albo sam wymierzył im sprawiedliwość. Ale nie jestem już do tego zdolny. Musiałbym jak oślepiiony Edyp chodzić i kołatać w bramy Teb i krzyzczeć: „Czy wyście to zrobili? Ilu was było? Co wam się roilo w głowach? Zawstydzcie się i wyjdźcie z domów, okażcie publicznie skruchę, zapłaczcie i bijcie się w piersi, a daruję wam życie!”. Jeśli kiedyś urodzi się nam syn albo szalona córka, może gdy dorośnie, zrobi to za nas, pojedzie tam i będzie się domagać w twoim imieniu sprawiedliwości.

Jovan i ja przekazujemy teraz dom w twoje ręce. Możesz pozmieniać zasłony, jak ci się podoba, i poprzestawiać meble, i nie będę się gniewać, choćbym potknął się o nie, gdy wrócę. Zamykaj wieczorem drzwi na klucz, ale nie bój się, Maotse będzie przy tobie, a w szufladzie sekreta-rzyka leży mój stary pistolet. Bądź spokojna, lecz przygotowana na każdą ewentualność. *In omnia paratal A)&pa-ratus*. Uzbrajam się w twoją przychylność. Ty zaś otul się

moją miłością. Zdrowie kobiet! *Da pijemo za ženel* Wypijmy za naszą kobietę!
Za Mavrę! Do dna! *Žiwelil*

Uniósł swoją szklaneczkę, trącił się hałaśliwie z Jova-nem i obaj wypili do dna.

Mavra upiła łyczek ze swojego kieliszka i cicho wyślizgnęła się z pokoju. Spochmurniały Jovan odprowadził ją wzrokiem, po czym zachęcony przez pułkownika znów napełnił szklaneczki.

- A teraz wypijemy sześć toastów pod rząd - zakomenderował pułkownik, i dodał: - Jeśli nie masz nic przeciwko.

- Nie mam nic przeciwko - odparł Jovan. - Lecz będziemy je wznosić na przemian, a potem pić do dna, choćby nawet nie przypadły nam do gustu. Robiliśmy tak w dawnym wojsku jugosłowiańskim, kiedy ludzie tracili nerwy i zaczęli patrzeć na siebie krzywo, obrzucać przedstawicieli innych narodowości wyzwiskami, przedrzeźniać swoje gwary i szydzić z wyznania, obyczajów i kuchni. I oczywiście z kobiet. To działało. Gdy każdy mógł wypowiedzieć swój toast, a wszyscy pozostali musieli wypić, zaraz kończyły się kwasy i kosę spojrzenia, i znowu czuliśmy, że jesteśmy jednym narodem, takim, który potrafi się upić na wesoło! Panie pułkowniku! Pan zaczyna!

- Za starą, dobrą Jugosławię! - zaproponował pułkownik.

- Za wielką Serbię! - skontrował Jovan.

- Za wielką Chorwację! - przyciął pułkownik.

- Za wielką Bośnię! - ogłosił Jovan.

- Za wielką Finlandię! Za Mannerheima! - ryknął pułkownik.

- Za marszałka Tito! - odtrąbił uroczyście Jovan.

- Dawaj, posiłujemy się! - krzyknął pułkownik, waląc łokciem w blat stołu.

- Czy to konieczne? - zapytał Jovan.

- Tak! Łapa na stół! - zażądał pułkownik.

Jovan rozsiadł się naprzeciw niego, odsunął naczynia na bok i wyciągnął

rękę. Zaczęli się siłować, sapiąc i bluźniąc, twarze im poczerwieniały, drżenie ramion przeniosło się na stół i szkło zaczęło spadać na ziemię. W końcu pułkownik zwyciężył. Zaczął boksować powietrze niczym piłkarz po strzeleniu trzeciego gola w meczu i krzyczeć „Jesss!” tak głośno, że usłyszała go Mavra, która z fajką w zębach i lornetką przy oczach siedziała na werandzie.

- Za niewidomych! - zapalił się dumny ze zwycięstwa pułkownik.

- Alkohol się skończył - zakomunikował Jovan.

- W moim biurku stoi butelka absyntu - odpowiedział pułkownik. Jovan przyniósł ją i odkorkował po fińsku, uderzając łokciem w denko.

- Głód alkoholowy to okropna rzecz - odezwał się pułkownik, gdy Jovan nalewał do szklaneczek. - Niejeden przepił dom i cały majątek.

- Za to mój dom w Bośni zachował się właśnie dzięki niemu - zauważył Jovan.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

OSTRZYŻONA KAŻDA GŁOWA

Zdarzyło się to wtedy, gdy wróciłem ze wzgórz, gdzie zostawiłem resztę moich koni. Pożyczyłem od znajomego starą jawę, minąłem wieś Buśletić i jechałem do domu. Coś mnie zaniepokoiło dopiero, gdy zbliżałem się do Kukavicy. Zauważyłem wtedy na horyzoncie czerwoną łunę. Myślałem już, że zbliża się koniec świata, bo wyglądało to tak, jakby nagle w środku dnia zaczęło zachodzić słońce. Ale dostrzegłem unoszące się w różnych miejscach wsi słupy dymu i zrozumiałem, że to palą się domy. Pomyślałem wtedy, że w końcu ta cholerna wojna przysłała i do nas, do naszej wsi. A więc także tutaj górę wzięła głupota, pomyślałem i ogarnęło mnie przerażenie, bo zdałem sobie sprawę, że w naszej wsi, tak jak wcześniej w Krajinie i Sławonii, wyrównuje się właśnie pradawne krzywdy i od nowa wymierza sprawiedliwość, i tak jak tam na placu boju pozostaną tylko pokrzywdzeni. Nie wiedziałem, kto u nas obwołał się sędzią swoich bliźnich, dopóki nie znalazłem się na wzgórkach Musafira, skąd było już widać, że płoną domy po stronie muzułmańskiej. Musiała to być robota jakiejś paramilitarnej grupy Serbów. A i niektórym mieszkańcom naszej wsi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Powiem panu teraz, panie pułkowniku, i mam nadzieję, że mi pan uwierzy i mnie zrozumie: choć śmiertelnie się zląkłem i zdjęło mnie obrzydzenie, poczułem zarazem ulgę, że nie muszę się bać o swój dom, bo nasi Serbowie jednak mnie znali, wiedzieli, gdzie mieszkam, i uważali za swojego.

Sto razy wstydziałem się tych samolubnych myśli, ale nikt, nawet święty, nie byłby wtedy w stanie myśleć inaczej. Jeśli pan zapyta, czy mordowałbym i podpalał razem z innymi, gdybym był wtedy we wsi, odpowiem panu - nie wiem. Widziałem, jak ludzi ogarnia szaleństwo, które roznosi się jak zaraza, a kto się nim zainfekował, ten ślepl i nie rozpoznawał już sąsiada, kolegi z pracy

ani z podwórka, bo odurzony krwią widział w nim wyłącznie wroga.

Kiedy skręciłem w swoją ulicę, zobaczyłem dogasające zgliszcza domu Bajrama Imamovicia. Mój dom stał, cały i nienaruszony. Stał jak ten kolek w płocie i na całe szczęście pusty, bo żonę pochowałem rok wcześniej, a dzieci wysłałem do krewnych z Bosanskiego Brodu, skąd przez Sawę mieli się przeprawić do Chorwacji. Okna jednak nie były martwe, w szybach migotały płomienie dogasającego domu Imamoviciów. Ulica była pusta, nie było widać żywej duszy ani człowieka, który powiedziałby mi dokładnie, co się wydarzyło. Wszedłem do domu i od razu poczułem ostry smród gazu, pomyślałem więc, że puścił wąż w piecyku. Ale gdy wszedłem do kuchni, zobaczyłem, że kurki są odkręcone i sądząc po zapachu, na parter zdążyło już wyciec parę dobrych metrów sześciennych gazu. Zakręciłem kurki, otworzyłem wszystkie okna i drzwi w kuchni oraz na parterze, i wybiegłem na dwór. Zaczęło mi się kręcić w głowie, z trudem dowlókłem się do studni, opłukałem sobie twarz zimną wodą i usiadłem na ziemi. Chciało mi się rzygać, piekło mnie w gardle, a po głowie tłukła się jedna myśl: „Co za skurwiel odkręcił gaz?”.

A co robi mężczyzna, gdy świat lata mu przed oczami, gdy płoną domy sąsiadów i prześladują go straszliwe podejrzenia? Na to jest tylko jeden lek - porządny łyk gorzały! Wróciłem więc do domu i wszedłem na pięterko, gdzie miałem swój schowek, bo żona nie lubiła, kiedy piłem, i to bynajmniej nie dlatego że była Muzułmanką, ale tak zwyczajnie, jak to żona. Zastanowiło mnie, kto mógł zostawić na stole zapaloną świeczkę, ale nie miałem głowy do myślenia, więc tylko ją zgasilem, otworzyłem okna i poszedłem po gorzałkę. Znalazłem pół butelki raki i ćwiartkę śliwowicy. Zszedłem do sadu, opróżniłem duszkiem większą butelkę i zwymiotowałem.

Można by pomyśleć, że kiepskie samopoczucie powinno odebrać mi ochotę do picia, ale gdzie tam. Pojechałem prosto do knajpy Milana. Była zamknięta i w ciemnym wnętrzu nie mogłem nikogo zobaczyć. Zapukałem w okno. Po dłuższej chwili Milan otworzył i wpuścił mnie do środka. Powiedział,

że do Kukavicy zjechały czerwone berety Kapetana Dragana i kilku miejscowych pokazało im, gdzie mieszkają Muzułmanie. Wcześniej jednak jakiś litościwy Serb domyślił się, co się święci, i niezwłocznie ostrzegł Muzułmanów, więc prawie wszyscy zdążyli uciec. Rozgoryczeni czetnicy zastali prawie same puste domy. Musieli się więc zadowolić grabieżą i podkładaniem ognia. Później bohaterowie pogromu, z wypiekami emocji na twarzy i porządnie już wstawieni, wtargnęli do knajpy Milana i zażądali alkoholu. Wypili niemal wszystko, co się nadawało do spożycia, chełpiąc się przy tym, że kolejna wioska została ostatecznie oczyszczona z Muzułmanów. Gdy tak chlali i krzyczeli, gdzieś we wsi rozległ się wybuch - to zapalił się kolejny dom, więc czetnicy zaczęli wiwatować i wzniesli patriotyczny toast. Należność uregulowali zagrabionymi kosztownościami i innymi łupami, po czym robiąc dużo hałasu, wsiedli do swoich wozów terenowych, ciężarówek i busów i odjechali.

Kiedy mu powiedziałem, że mój dom ciągle stoi, na twarzy Milana pojawił się dziwny skurcz, zaraz jednak pogratulował mi szczęścia, a w jego głosie pobrzmiwała nutka szczerzej radości, której nie rozumiałem. Poszedł zaraz po butelkę rakii, którą wypiliśmy w całkowitym niemal milczeniu. Gdy wstałem i ruszyłem do wyjścia, Milan zatrzymał mnie i zaproponował, żebym został u niego na noc. Powiedział, że gdy czetnicy rozmawiali o wsi, wymieniali także moje imię. Odpowiedziałem, że nic mi nie grozi, że dom stoi cały i ostatecznie jestem przecież Serbem, tak jak i moje dzieci. „Jesteśmy Serbami, do kurwy nędzy, od narodzin do śmierci”, zakląłem buńczucznie, nie wiedząc za bardzo dlaczego. „Ale twoja żona nie - przypomniał mi. - Była Muzułmanką”. „Przecież dobra kobieta już nie żyje - odparłem mu. - Dawno ją pochowałem, niech spoczywa w pokoju. Wreszcie, nigdyśmy nie przykładali do wyznania wielkiej wagi”. „I tu jest pies pogrzebany - skwitował Milan. - Niektórzy mają ci to za złe. Nie chodzisz do kościoła, mówisz, że wszystkie religie są sobie równe, twoja żona się nie nawróciła, pokumałeś się z Muzułmanami... Niektórzy uważają to za zdradę” - powiedział Milan, po czym dodał, że on, oczywiście, tej

opinii nie podziela.

Przypomniałem Milanowi, że niemal połowa jego klienteli to Muzułmanie. Odparł, że zgodnie z odwiecznym, niepisany prawem właściciel knajpy nie musi i nie może wybierać sobie klienteli. Podobnie jak handlarz, wróżka, bukmacher, płatny morderca, dziwka, sędzia, policjant i szmugler.

Byłem już wtedy porządnie wstawiony, więc powiedziałem mu, że sram na to wszystko. Chciałem wrócić do domu i położyć się w swoim łóżku, chciałem się napić mojej własnej śliwownicy, podziękowałem więc Milanowi za wszystko i nie zważając na jego sprzeciwy, wyszedłem na ulicę.

Nie wiem, jak to zrobiłem, że nie spadłem z motocykla, a motocykl nie wypadł z drogi, dość, że dojechałem do domu i wtoczyłem się na podwórze. Pogorzelisko Imamo-vicia jeszcze się tliło. Gdy otwierałem drzwi, podbiegł do mnie mój serbski sąsiad, Branko Petranović, który mieszkał po drugiej stronie ulicy. Miał na sobie moro, a za pasem pistolet. Chwycił mnie za klapy i wciągnął za kamienny mur, zabraniając wchodzić do środka. Zapytałem, jakim prawem nie pozwala mi wejść do mojego własnego domu i odkąd to wiejscy nauczyciele chodzą pod bronią. Branko bardzo się zdenerwował i zaczął krzyczeć, że on jest teraz komendantem milicji w tej części miasta i odpowiada za porządek i bezpieczeństwo mieszkańców, i do mojego domu jest teraz zakaz wstępu. Roześmiałem mu się prosto w twarz i powiedziałem, że ja i tak wejdem, bo mam w środku schowaną butelczynę śliwownicy. Wtedy Petranović zaczął się macać po kaburze pistoletu. Tego mi już było za wiele, bo minęło zaledwie kilka dni, odkąd ten bandzior z rzeki zabrał mi konia, grożąc karabinem. Kopnąłem Branko w kolano, a kiedy upadł, odebrałem mu pistolet. Myślał chyba, że chcę go zastrzelić, bo zaczął jąkać, że zabraniając mi wchodzić do środka, chciał mnie tylko ocalić, bo dom może w każdej chwili wybuchnąć.

Wtedy do mnie dotarło, dopiero wtedy, że także mój dom miał zniknąć z obrazu naszej wsi, a ja razem z nim. Zrobiono z niego bombę zegarową, która miała wybuchnąć w chwili, gdy ulatniający się gaz po wypełnieniu parteru

podniesie się na piętro, gdzie stała zapalona świeczka.

Powiedziałem mu, że ten dom już nie wybuchnie, bo go przewietrzyłem i zgasilem świeczkę, po czym dodałem, że teraz nie będzie już mógł powtórzyć tej sztuczki, bo zaraz go zabiję. Wtedy zaczął skamleć, że to nie był jego pomysł, ale nie miał odwagi się przeciwstawić. Był tak przerażony, że zaraz mi wygadał, kto ze wsi brał udział w tej hecy. Zapalili świeczkę na piętrze, odkręcili kurki i poszli sobie, Branko zaś pobiegł do swojej piwnicy, spodziewając się w każdej chwili wybuchu. Dopiero co wyszedł, zdziwiony, że do tej pory nie usłyszał eksplozji. Wyjąłem mu z kieszeni wszystkie naboje, pistolet wsunąłem sobie do wewnętrznej kieszeni kurtki i odpaliłem jawę. Odjeżdżając, zapowiedziałem mu jeszcze, że na razie wyjeżdżam ze wsi, ale jeszcze wrócę i jeśli wtedy nie zastanę swojego domu, którejś nocy wysadzę w powietrze jego dom i domy tych wszystkich, których nazwiska przed chwilą wymienił, a następnie przybiję do drzwi kościoła papier, na którym będzie napisane, że to on, Branko Petranović, zdradził ich swoim gadulstwem.

Co powiedziawszy, wsiadłem na motor i odjechałem. Byłem już trzeźwy, przeszły mi też objawy zatrucia gazem. Nie zatrzymałem się po drodze i bez przygód dojechałem do Derventy. Tam skręciłem na Bosanski Bród, gdzie były moje dzieci. Zatrzymałem się dopiero we wsi Novo Selo, przy jakiejś bazie traktorowej, gdzie próbowałem kupić na lewo benzynę. Ale pech chciał, że wpadło tam nieoczekiwanie kilku uzbrojonych Chorwatów z HOS-U, no i zabrali mnie ze sobą, ponieważ jeden z nich był koniuszym i wiedział, że jestem Serbem. Kiedy znaleźli przy mnie pistolet Petranovicia, chcieli mnie z miejsca zastrzelić, ale gdy im opowiedziałem, co mnie spotkało w Kukavicy, darowali mi życie, jednak w imieniu nowo powstałego państwa chorwackiego skonfiskowali jawę i zabrali mnie na drugą stronę Sawy, do Slavonskiego Brodu. Niedługo potem wyleciał w powietrze ostatni most, przez który jechaliśmy, a Bosanski Bród wpadł w ręce Serbów. Po chorwackiej stronie przesłuchali mnie i pobili, ale dość delikatnie, po czym zamknęli najpierw w

policyjnym areszcie, a potem w regularnym więzieniu. Resztę pan zna.

- Znam tę historię - odezwał się pułkownik. - Już raz mi ją opowiadałeś, choć nieco inaczej. Teraz było w niej więcej akcji, zwłaszcza pod koniec. W tej wersji poradziłeś sobie z tym Petranoviciem dużo sprawniej.

- Dziękuję, starałem się, jak mogłem - odpowiedział Jovan.

- Opowieść musi przecież żyć, musi się rozwijać - podsumował pułkownik i pogrążył się we wspomnieniach. Potem wymamrotał coś, co brzmiało jak zaklęcie. Jovan wyteńczył słuch, ale nie rozróżnił słów.

- *Ki beleil szudad ar-moaw nidma ki beleil szudad kir-moaw nidma* - wymamrotał pułkownik niepewnie, po czym powtórzył zdanie wyraźniej i płynniej:

Ki beleil szudad ar-moaw nidma ki beleil szudad kir-moaw nidma!

- Chyba pana nie rozumiem - powiedział Jovan.

- Bo to po hebrajsku - odparł pułkownik.

- Mam zaparzyć jeszcze herbaty? - zapytał skonsternowany Jovan.

- To z Biblii - ciągnął pułkownik. - A znaczy tyle, co:

W nocy spustoszone, Ar-Moab zginęło! W nocy spustoszone, Kir-Moab zginęło!

- Ki Moab? - zdziwił się Jovan. Pułkownik wyjaśnił.

Tych słów nauczył go stary, prawie ślepy Żyd z Sarajewa, z którym los zetknął go, kiedy po wojnie krążył po całej Bośni w poszukiwaniu Mavry. To było wszystko, co pułkownik potrafi powiedzieć po hebrajsku. Mężczyźni zetknęli się ze sobą najzupełniej dosłownie, a ściślej mówiąc, wpadli na siebie przed sefardyjską synagogą w Skenderii. Staruszek był drobny, kruchy i brodaty, co pułkownik wyczuł w chwili zderzenia. Obaj zaczęli się przeproszać za swoją niezdarność, aż wreszcie starzec zapytał, co przybysz robi w tym przeklętym mieście. Pułkownik mu opowiedział. Starzec chwycił go za rękę, powiodł do synagogi i posadził na wypolerowanej ze starości ławie. Pułkownik poczuł w nozdrzach zapach stuleci, w synagodze śmierdziało zbutwiałym

drewnem, świecami, popiołem, machorką, ubraniami, skórą, ludzkim potem, pergaminem i zakurzonymi modlitewnikami. Starzec nazywał się Rafu Pardo i był stróżem w synagodze jeszcze przed wielką wojną. Przed Niemcami i ustaszami uratował go przyjaciel, hodźa Sefer Filipović, który ukrył go w najmroczniejszym kącie piwnicy w meczecie Gazi Husrev-Bega. Rafu Pardo ukrywał się tam przez prawie dwa lata i w *tej* ciemności stracił wzrok. Żeby nie zwariować, wymyślał palin-dromy i złośliwe wierszyki o wszystkich swoich krewnych i znajomych, z wyjątkiem hodźy, po czym następnie dla zachowania właściwych proporcji układał na ich cześć pieśni pochwalne. Jednak najbardziej zajmowało go recytowanie starotestamentowego Tanachu, znał bowiem na pamięć długie jego fragmenty. Kiedy później i to przestało mu wystarczać, komponował w myślach na nowo te opowieści z Biblii, z których pamiętał jedynie główne postaci, ogólny wątek i morał. Niektóre z owych historii umieścił w Bośni, bo nie pamiętał pierwotnych, biblijnych nazw. Zauważył wówczas, że wiele prorocत्व da się z łatwością przenieść z Judei i Izraela na ziemię bośniacką i prawdopodobnie dałoby się je umieścić w każdym innym kraju. Chcąc to pułkownikowi zobrazować, starzec wyrecytował prorocत्व Izajasza o zniszczeniu Moabu, zastępując pierwotną nazwę Bośnią. Wypowiedział je najpierw po hebrajsku, a potem po serb-sku i zasugerował, aby pułkownik zrobił to samo w swoim języku, kiedy już odnajdzie swoją ukochaną, co na pewno mu się uda, jeśli tylko Bóg nie odmówi mu pomocy, a on nie będzie odmawiał płacenia łapówek, a może nawet okupów. Następnie Rafu Pardo pobłogosławił go i zaczął lamentować, że nie może mu przekazać tej odrobiny światła, którą jeszcze posiada, ponieważ zrobiłby to z wielką radością. Widział już bowiem w życiu wszystko, czego teraz żałuje, bo większości z tych rzeczy wolałby nigdy nie oglądać.

Gdy pułkownik odnalazł Mavrc i wrócił do domu, odszukał w Biblii rzeczony fragment i nauczył się go na pamięć:

W nocy spustoszona, Bośnia zginęła!

W nocy spustoszona, Hercegowina zginęła!

Sarajewo i Bihać wstąpiły na wyżyny, by płakać.

Na lesistych połoninach Bośnia lamentuje;

Ostrzyżona każda głowa, Każda broda zgolona.

Na ulicach przywdziewają wór, na dachach jęczą, na placach wszystko zawodzi, we łzach się rozplywa.

Gorażde i Foća krzyknęły, aż do Prisztiny słyhać ich głos.

Dlatego zawodzą żołnierze Bośni, zalękała się jej dusza.

Moje serce nad Bośnią jęczy, jego uchodźcy idą aż do Zagrzebia, aż do Lubiany.

O tak, drogą pod górę do Trnova z płaczem wstępują!

O tak, na drodze do Wyszegradu podnoszą krzyk rozpaczy!

Wody Neretwy stają się pustkowiec, bo trawa wyschła, zniknęła murawa, zabrakło zieleni.

Dlatego robią zapasy, a swe zasoby przenoszą za Sawę.

Krzyk obiega granice Bośni, aż do Istrii brzmi jej biadanie, w Wojwodinie jej zawodzenie. Bo wody Driny są pełne krwi, bo lew czyha na ocalonych z Bośni i na pozostałych w kraju.

Pułkownik wydeklamował nowe proroctwo Izajasza z takim samym patosem, z jakim wypowiadał je w jego pamięci po hebrajsku Rafu Pardo. Jovan wysłuchał go wzruszony, po czym przetarłszy pięścią oczy, powiedział grubym głosem, że przepowiednia wypełniła się co do joty, jeśli nie brać pod uwagę tego, że powstała po fakcie.

Pułkownik powiedział, że biblijne proroctwa były zazwyczaj wypowiadane i spisywane po fakcie, lecz w nieco zmienionej formie mogą czasem trafnie przewidywać przyszłość.

- Przynajmniej w Bośni - dodał Jovan.

- Rozwalili porządną kraj - odezwał się sposepniały nagle pułkownik. - I po co? Bo byli pazerni i żądni łupów.

- Kto rozwalil? - zainteresował się Jovan.

- Wy. Wy wszyscy, mało was tam jest? Serbowie, Chorwaci, Bośniacy, Turcy, Albańczycy, Cyganie... Ilirowie, Trakowie, Wołosi, bogomiłowie, papiści, grekokatolicy, muzułmanie, żydzi, franciszkanie, sufiowie, ojcowie, naksi-bendowie, igumeni, rabini, pastorzy, imamowie, hodźowie, czetnicy, ustatze, mudżahedini... janczarzy, agowie, banowie, bejowie, paszowie, księżęta, królowie, carowie, cesarze, sułtani, pionierzy, stachanowcy, komisarze, ministrowie, sekretarze partii, marszałkowie, prezydenci...

- To prawda, myśmy to zrobili - przyznał zawstydzony Jovan. - Rozwaliliśmy porządną kraj. Chyba nie ma co szukać winnych po drugiej stronie. Samiśmy to zrobili. Zawsze byliśmy wrogami, ale na tym polu współpraca ułożyła się nam doskonale.

- Jeśli cię to pocieszy, nie wy pierwsi na tej ziemi zniszczyliście kraj, który był ojczyzną dla was i dla waszych sąsiadów jednocześnie - powiedział pułkownik.

- Czy coś takiego mogłoby się zdarzyć też tutaj, w Finlandii? - zapytał Jovan.

- Z całą pewnością - orzekł pułkownik. - Zresztą, już się zdarzyło! Co jednak nie zmienia faktu, że jesteście bandą idiotów!

- Kto?

- No wy... mało was tam jest? Serbowie, Chorwaci, Bośniacy, Turcy...

- Nie musi nas pan znów wyliczać - przerwał mu Jo-van. - To prawda, jesteśmy bandą idiotów, jakiej świat nie widział!

- Nie zadzieraj nosa - skarcił go pułkownik. - Historia zna pełno takich horrorów. Gdyby był tu z nami nasz młody historyk, podałby nam sporo przykładów na poparcie tej tezy.

- Ale historii Bośni to on nie zna - odezwał się Jovan.

- Mógłby zatem przyjrzeć się jej z bliska i wyciągnąć ze swoich obserwacji naukowe wnioski - odparł pułkownik, po czym wykrzyknął z

entuzjazmem: - Ależ on koniecznie musi pojechać do Bośni! Dobrze mu to zrobi.

- A jeśli wcale tego chce?

- Oczywiście, że chce. Tylko jeszcze o tym nie wie - zapewnił go pułkownik i nagle strzelił palcami, jak człowiek, który wpadł na genialną myśl.

- Mógłby wstąpić do oddziałów ONZ!

- Fakt, jest przecież podporucznikiem rezerwy! - przypomniał sobie Jovan.

- Mam w tych sferach dobre stosunki - zamyślił się pułkownik. - Mógłbym mu udzielić wspaniałej rekomendacji.

- A wtedy na pewno by go przyjęli - zauważył Jovan.

- Sprawia wrażenie człowieka obowiązkowego - dodał pułkownik.

- A obowiązkiem każdego obowiązkowego człowieka jest troska o pokój - oświadczył Jovan.

- Mógłby przejąć ode mnie pałeczkę i pójść dalej - powiedział wzruszony pułkownik i uniósł szklaneczkę do ust. Nie wypił jednak.

- Już mi ten sikacz nie wchodzi - powiedział. - Od początku coś mi nie wchodził.

- Więc może czas skończyć tę bibę - zasugerował Jovan.

- Gorzkie żale po gorzale - podsumował pułkownik i wychylił szklaneczkę do dna. - Ale wypić trzeba do końca - dodał.

- Jak nakazuje obyczaj - przytaknął Jovan.

- Gdzie się ten Kiljander podziewa? - zdziwił się pułkownik.

- Pójdę zobaczyć, może już przyjechał - powiedział Jovan.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

UCZ SIĘ, CHŁOPCZE, LICZEBNIKÓW

Henryk przycumował łódź do pala. Na pomoście czekał już na niego Maotse. Mavra lekkim krokiem weszła na deski, wsunęła fajkę do kieszeni i przywarła na chwilę do Henryka.

- Przyplłynęłaś rzeką - stwierdziła.

- Po raz ostatni - odpowiedział.

- Ostatni?

- Robi się już za zimno - wyjaśnił Henryk. - Nawet kiedy wiosłuję jak szalony, nie mogę się rozgrzać. A gdy ubiorę się za grubo, mocno się pocę.

Stali przez chwilę naprzeciw siebie, próbując odgadnąć nawzajem swoje myśli i nastrój.

- Przyplłynęłaś pożegnać się z pułkownikiem? - zapytała.

- To on jeszcze jest? - zdziwił się Henryk.

- Właśnie się zbierają - odparła Mavra i spojrzała na niego z rozpromienioną twarzą. - A więc przyplłynęłaś mnie odwiedzić!

- Prosiłaś mnie o to w swoim liście - powiedział Henryk i wyciągnął go z kieszeni.

- Tak, prosiłam, ale nie miałam na myśli dzisiejszego wieczoru - odpowiedziała Mavra.

Henryk raz jeszcze spojrzał na list, powtórzył sobie w myślach rosyjskie liczebniki porządkowe i stwierdził, że pomylił „dziewiąty” z „dziesiątym”.

- Diewiatyj... diesiatyj - mruknął pod nosem. - Czy to się w ogóle da zapamiętać? Zjawilem się dzień za wcześniej.

- Ale i tak się cieszę, że jesteś - powiedziała Mavra.

- Czyli co, przyjdzie mi chyba znów zawrócić? Bo się pogubiłem w liczebnikach?

- Dzisiaj jest zły dzień. Następnym razem nauczę cię wszystkich liczebników, imion apostołów, Romanowych i wszystkich świętych - obiecała mu Mavra z roziskrzonymi oczami.

- Już je znam - odpowiedział Henryk. - Ale nie rozumiem, dlaczego napisałaś do mnie po rosyjsku?

- Żebyś ruszył głową i czegoś się nauczył.

- Skąd wiedziałaś, że w ogóle zadam sobie trud przeczytania twojego listu?

- Nie wiedziałam. Pomyślałam sobie, że jeśli zadasz sobie tyle trudu, by przebrnąć przez niego ze słownikiem i gramatyką w rękę, to będzie znaczyć, że... że masz motywację do nauki. Ale to bez różnicy, choćby ci się nie chciało.

- A więc to był test?

- Gniewasz się? - zapytała Mavra.

- Nie zrozumiałem go nawet w połowie - odpowiedział Henryk.

- Nie dziwię się. Był w nim nawet Puszkina, w nieco zmienionej wersji.

- Tyle akurat zrozumiałem - powiedział. - Mogłaś jednak napisać po fińsku.

- Nie potrafię pisać po fińsku - przyznała się.

- Nie mam o to pretensji. Mało kto potrafi - odpowiedział, a Mavra się roześmiała, kiwając głową. Sam pozostał poważny.

- A zatem odczytałem twój list najlepiej, jak umiałem, no i jestem. Czego ode mnie chcesz?

Pytanie Henryka zmroziło ją.

- No, nie widziałam cię już tak długo - odpowiedziała pośpiesznie i bardzo cicho.

- Miałem dużo pracy - oświadczył Henryk.

- Straciłeś zainteresowanie? Już nie potrzebujesz przewodniczki? - zapytała.

- Żebym tylko wiedział, dokąd ty mnie właściwie prowadzisz - odparł i

słyszając własne słowa, poczuł smutek, który go rozzłościł.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - twarz Mavry pobladła.

- Dobrze wiesz - odparł ogólnikowo Henryk i pomyślał, że będzie musiał ciągnąć w ten deseń aż do końca, bo inaczej gotów jeszcze się rozplakać. Mavra to wyczuła, a poza tym miała świadomość, że spotkali się w nieodpowiednich okolicznościach i w nieodpowiedniej chwili, a w dodatku nawet ta chwila wymyka im się z rąk. Następnej może już nigdy nie być.

Coś się stało.

- Chcesz, żebym przetłumaczyła ci ten list? - zapytała, rzucając niespokojne spojrzenie w stronę domu. Henryk to zauważył.

- Nie trzeba - odparł. - Odpłynę, nim po ciebie przyjdą.

- Nie odchodź jeszcze - poprosiła Mavra. - W domu piją na umór. Nie potrzebują mnie. Piją i ryczą swoje pijackie piosenki, skręcają się ze śmiechu i klaszczą niczym tresowane pawiany.

- Może powinienem się do nich przyłączyć - powiedział Henryk. - Pawiany to odpowiednie towarzystwo dla mnie.

- Nie potrzebujesz już mojego towarzystwa? - spytała. Henryk nic nie odpowiedział. Mavra przysiadła na poręczy i przyciągnęła Henryka do siebie. Maotse łypał na nich podejrzliwie.

- Nie wiesz, że jesteś radością mojego życia i dzięki tobie cieszę się z tego, że... że jestem? - wyszeptowała Mavra. - Czekałam na ciebie długie lata, stałam na brzegu rzeki i czekałam, aż przybędziesz, aż dobijesz łodzią do mojego brzegu.

- Czekałaś na mnie? Dlaczego na mnie? - zdziwił się Henryk.

- Na ciebie, właśnie na ciebie - zapewniła go Mavra. - Nie wiedziałam po prostu, że to na ciebie czekam, dopóki nie dopłynąłeś tutaj i nie uderzyłeś w nasz pomost, bo tak się na mnie gapiłeś. Zaśmiałam się wtedy z czystej radości.

- Zaśmiałaś się, bo wyglądałem komicznie na tych beczkach - powiedział Henryk.

- Z tego też się śmiałam i odkąd się u nas zjawiłeś, rozpiera mnie radość i śmieję się. Choć nie zawsze mogę to robić otwarcie. Chciało mi się śmiać, kiedy spostrzegłam, że chodzisz za nami po mieście, po parkach i po sklepach.

Poszedłeś za nami nawet do kościoła, choć przedtem raczej cię tam nie widywano. Chodziłeś za nami w bezpiecznej odległości, aby nie budzić podejrzeń, ja jednak czułam, że chcesz mi coś powiedzieć, cokolwiek, choćby tylko przypomnieć o swoim istnieniu. Przypomnieć mi, ale i sobie o tym, że... jesteś. Po prostu jesteś. Bycie, czy można tak powiedzieć? *Postojanje*. To najpiękniejsze słowo w moim języku. I bardzo rzadki stan w moim kraju. Miałaś nadzieję, że cię zobaczę, lecz gdy spoglądałam w twoją stronę, rozpląwałeś się w powietrzu.

- Bo miałem przykrą świadomość, że mnie nie potrzebujecie. Nie wiedziałem, co miałbym wam powiedzieć.

- Ale nie przeszkodziło ci to poprosić mnie o lekcje rosyjskiego - przypomniała Mavra.

- Skorzystałem z okazji, potrzebuję rosyjskiego w pracy - odparł Henryk.

- Na pewno nie. Wymyśliłeś to na poczekaniu, wyssałeś z palca, powiedziałaś, co ci ślina na język przyniosła, aby tylko móc mnie bliżej poznać i spędzać ze mną czas.

I byłam szczęśliwa, że wymyśliłeś właśnie taki pretekst, że nie poprosiłeś o osobiste spotkanie w ustronnym miejscu i nie pomyślałeś sobie, tak jak tylu innych młodych mężczyzn przed tobą, że wystarczy jedno twoje słowo, a zostawię pułkownika i pójdę za tobą na koniec świata. Mimo to chciałeś się do mnie zbliżyć i teraz jesteś już bardzo blisko - powiedziała Mavra.

Przywarła do Henryka, czując, że doszła do kresu wytrzymałości, i nie mogąc już dłużej mówić po fińsku, trysnęła potokiem słów w swoim języku. Gdy później zaczerwieniona i nieco zawstydzona przypomniała sobie tę chwilę, musiała przyznać, że niemal dosłownie zacytowała historię miłosną Miljany Vlasenicy pod tytułem *Dzikie łabędzie*:

- A zatem chwytaj okazję, skoro za mną szalejesz, skoro marzysz, tęsknisz i pożadasz. I ja ciebie pragnę, pragnę twej skóry, zapachu, spojrzenia, pragnę, byś mnie pożądał. Oddychaj mną, a ja będę oddychać tobą, będę się upijać twoją młodością. Prawie już zapomniałam, że i ja jestem młoda, tak młoda jak ty. Spójrz na naszą skórę, na twoją i moją, spójrz, jaka jest gładka, jaka mocna i czysta, jeszcze przez jakiś czas, jeszcze trochę...

- Możesz mi to przetłumaczyć? - poprosił Henryk.

- Nie mogę, za nic na świecie - odpowiedziała i znów do niego przywarła. Henryk wyswobodził się z jej uścisku i stał z posępną miną.

- Dlaczego mnie ośmielasz i kusisz, skoro tak kurczowo trzymasz się pułkownika?

Mavra zbladła i spuściła głowę.

- Przemawia przez ciebie Jovan - szepnęła. - Co ci powiedział?

- Powiedział, że jesteś zajęta do końca życia. Swojego lub pułkownika. Łączy was podobno nierozzerwalna więź. Zrosliście się ze sobą, choć może to brzmieć dla mnie dziwnie. Potrzebujecie się nawzajem, tak jak rzeka potrzebuje koryta, a koryto rzeki. Jak krowa dojarki, a dojarka krowy. Jak niewidomy przewodnika, a przewodnik niewidomego. To ostatnie ja wymyśliłem.

- A ty nie dość, że we wszystko uwierzyłeś, to jeszcze musiałeś dorzucić swoje trzy grosze, co?! - wykrzyknęła Mavra.

- A więc to nieprawda?

Mavra odwróciła się do niego plecami.

- A co za różnica? - powiedziała to tak cicho, że Henryk ledwie rozróżniał słowa. - Co jeszcze ci powiedział?

- Opowiedział, dlaczego wyszłaś za pułkownika. Oczywiście sam się nad tym zastanawiałem, ale wyjaśnił mi to z własnej woli, nie musiałem pytać.

- Jasne, że nie musiałeś. A zatem powiedz teraz i mnie. Powiedz mi, dlaczego wyszłam za pułkownika - zażądała Mavra.

- Pułkownik uratował ci w Bośni życie i cześć. Miałaś wobec niego dług

wdzięczności. Nadal go zresztą masz i będziesz mieć do końca życia.

- W zasadzie to nie twoja rzecz, ale i tak ci powiem: już mu spłaciłam swój dług wdzięczności - powiedziała.

- Bez wątpienia. Najstarszym sposobem świata - Henryk usłyszał jakiś obcy głos i z przerażeniem stwierdził, że należy do niego.

- O, jak bardzo się mylisz - powiedziała cicho Mavra. - Mylisz się i uwłaczasz mi.

- Skoro nie wyszłaś za niego z wdzięczności, to dlaczego? - zapytał Henryk i owładnęła nim tak silna rozpacz, że aż go zemdliło.

- Będziesz mógł się nad tym głowić do końca swojego życia. Żegnaj, nauczycielu.

Oczy Mavry ciskały pioruny.

Henryk spuścił wzrok i powłókł się do swojej łodzi. Nieszczęśliwa Mavra patrzyła za nim z nadzieją, że się zatrzyma, odwoła złe słowa i poprosi, aby poszła z nim. Prosiłby na próżno, ale chciała, żeby ją prosił.

Lecz gdy się odwrócił, aby raz jeszcze na nią spojrzeć, z ust Mavry płynęło już monotonne bośniackie zaklęcie, które wydało się jej wtedy i stosowne, i jedynie możliwe:

Wietrze, ty mocno wiej, falo, ty podnieś się, czółnem straszliwie trzęś, w śniegach je srogich więź. Jeśli mój nie chce być, łódź jego wywróc w mig, zakop w głębokim dnie, skoro sam nie chciał mnie!

Po czym otworzyła oczy i krzyknęła:

- Idź do swej łodzi, a wydam cię na pastwę topieli! Płyn, wywróc się, utoń, niechaj cię ryby zjedzą!

Maotse zdenerwował krzyk Mavry, podszedł do Henryka i warcząc, odsłonił kły. Henryk odwrócił się do niego plecami i spojrzał w ciemne wody rzeki, zastępując w myślach zakończoną właśnie rozmowę nowym dialogiem:

- Myślałam, że mnie kochasz - mówi Mavra.

- Jeśli nawet kocham, to zabiję tę miłość - odpowiada Henryk i czuje, że

zaraz oszaleje.

- Myślałam, że mnie pragniesz - mówi Mavra.

- Stłumię to pragnienie. Rezygnuję z ciebie z własnej nieprzymuszonej woli - odpowiada Henryk chrapliwie przez ściśnięte gardło.

- Odwołaj złe słowa i przeproś - mówi Mavra.

- Odwołuję złe słowa i całkowicie zmieniam zdanie. Bardzo cię przepraszam - zapewnia Henryk.

- Zabierz mnie ze sobą! - prosi Mavra.

- Zabieram cię, zabieram z sobą! - mówi Henryk.

Lecz Mavra nie mogła słyszeć, co mu chodziło po głowie. Zagwizdała na psa, odwróciła się na pięcie i pobiegła do domu. Maotse raz jeszcze warknął na Henryka, po czym zamachał ogonem i popędził rażno za swoją panią.

Henryk stał na skraju pomostu i przyglądał się kaczmce, która co chwilę chowała głowę pod wodą, unosząc kupę. Kiedy się prostowała, wyciągała szyję i trzęsła energicznie głową. Wszystko miało być zupełnie inaczej.

Z zamyślenia wyrwały go zbliżające się kroki i donośny, nosowy głos Jovana:

- I któż to sterczy na pomoście sam jak ten kołek na miedzy? Przecież to pan Watra.

Rozdział siedemnasty

Touche!

Henryk bezwiednie zarejestrował, że Jovan jest mocno wstawiony i wykazuje objawy niebezpiecznego podekscytowania.

- Poluje Pan na ptaki_ No no! Chody Panu po głowie pieczone gołąbki.? Albo przepiórki? Żeby tylko Panu nie narobiły. A może dybie pan na bażanta? Będzie pan stał jak kamienny psąg, wyczeka go pan, i wtem skoczy na niego ze swoim kozikiem? Ma pan przy sobie ów obowiązkowy scyzoryk, który może uratować życie albo je skrócić?

Jovan szybko wyłuskał scyzoryk z kieszeni kurtki Henryka, otworzył go i wcisnął mu w dłoń.

- Jest w porządku także tym razem - stwierdził Jovan i wybuchnął skrzypliwym śmiechem. - To może ja też wyciągnę swój, co? Zobaczmy, czy i on spełnia wymogi.

Jovan dobył z kieszeni czerwony scyzoryk i rozłożył go.

- Szwjcarskiej produkcji, tak jak pański. Jakość gwarantowana. Szwajcarscy żołnierze wycinają nimi dziury w serze, kroją rybę na suchary, ryją tunele w lodowcach i kłują w tyłek bośniackich uciekinierów... Ale można je wykorzystywać także w innych celach. Pokażę panu bardzo starą serbską dyscyplinę sportową, to takie nasze zapasy. Sport bardzo widowiskowy i pożyteczny. Zasady są następujące: najpierw ja rozpinam swój pas, o tak, potem przewlekam go pod pańskim i łączę je ze sobą, po czym zapinam go z powrotem, mocno ściągając. W ten sposób jesteśmy ze sobą szczepieni i żaden z nas nie może się wyrwać. Teraz ja chwytam pana za rękę, w której trzyma pan nóż, a pan chwytą moją rękę z nożem. Czy to jasne? „I co teraz?“, zapyta pan. Już panu mówię: teraz zobaczymy, któremu z nas uda się pchnąć przeciwnika nożem! No, dawaj!

Henryk poddawał się tym zabiegom z bierną obojętnością. Był połączony z Jovanem, a skoro ten zaczął krążyć wkoło niego, on również zaczął się kręcić wokół własnej osi. Poczul na przegubie stalowy uścisk jego dłoni, więc sam zacisnął palce na nadgarstku Jovana, i wtedy dopiero dotarło do niego, że to nie żarty. Jovan szczyrzył zęby, lecz patrzył na Henryka nieobecny, drapieżnym wzrokiem.

Wirowali wokół siebie tak ciasno jak na wiejskiej potańcówce, co rusz zmieniając kierunek. Henryka zmroziła myśl, że Jovan naprawdę próbuje go zranić, więc wyteżył wszystkie siły, by odepchnąć ostrze jego noża jak najdalej od siebie. Nagle Jovan podłożył mu nogę i Henryk puścił jego rękę, by zamortyzować upadek. Wtedy Jovan ciął go w ramię.

- *Touche!* Dziabnąłem go! - wykrzyknął Jovan.

Henryk przycisnął dłoń do rany i nieprzytomnym wzrokiem patrzył na ciekącą spomiędzy palców krew.

Dlaczego wszystko wydarzyło się tak szybko? Pogubił się w tych harcach.

Biegła już do nich Mavra, krzycząc z daleka:

- Ojczy, przestań!

Jovan uwolnił Henryka i drżącymi rękami zaczął wsuwać pas z powrotem w szlufki, ciężko sapiąc i zwilżając językiem suche wargi.

Zdumiony Henryk popatrzył na Mavrę i Jovana.

- To twój ojciec?

- Dopiero teraz pan to pojął? - roześmiał się Jovan. - Niechaj to będzie dla pana nauczką i ostrzeżeniem, młody człowieku!

Mavra przyłożyła Henrykowi chusteczkę do rany.

- Ojczy, jesteś pijany!

- Tym bardziej - odparł Jovan niejasno, wytarł ostrze z krwi, złożył szczyryki i schował go z powrotem do kieszeni.

- Co niby chciałeś przez to powiedzieć?

- Nie wiem. Tak mi się powiedziało.

W sadzie pojawił się pułkownik, szedł niepewnie nieco chwiejnym krokiem, badając teren laską.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał. - Urządzacie potańcówkę? Dlaczego nie zostałem zaproszony?

- Uczyłem pana Watrę serbskich zapasów - zameldował Jovan. - Pomyślałem, że mogłoby mu się to przydać, gdyby przyszło mu do głowy wstąpić do stacjonujących w Bośni oddziałów ONZ.

- Dobra robota, Jovan - pochwalił go pułkownik. - I co pan powie, panie Watra?

- O czym?

- O wstąpieniu do oddziałów ONZ w Bośni?

- A niby dlaczego miałbym to robić?

- Na przykład dlatego że bardzo pana korci, aby stanąć twarzą w twarz z historią - zasugerował pułkownik.

- I to z własnej, zupełnie nieprzymuszonej woli! - dodał Jovan.

- Byłaby to odważna i męska decyzja, panie nauczycielu - powiedział pułkownik. - Ocenilibyśmy ją bardzo wysoko.

- Chcę panu już z góry podziękować w imieniu wszystkich narodów Bośni - powiedział Jovan, złapał Henryka za rękę i mocno nią potrząsnął. - Niech panu Bóg błogosławi. Wszyscy bogowie Bośni.

- A co na to Mavra? - zapytał pułkownik. Podeszedł do niej powoli i dotknął palcami jej twarzy.

- Ależ ty płaczesz z radości! - wykrzyknął pułkownik.

- Jovan dźgnął Henryka nożem w ramię! - zaszlochała Mavra.

- Zupełnie niechcący. Ale pan Watra przyjął to jak mężczyzna. Nawet nie pisnął - odezwał się Jovan.

- Panie Watra, pańska bohaterska postawa wywarła na mojej żonie

ogromne wrażenie - oświadczył uroczyście pułkownik. - To trzeba uczcić. Wrócimy teraz wszyscy do domu i wzniesiemy ostatni toast.

- Jutro mam lekcje w szkole - powiedział Henryk i zaraz poczuł śmieszność swej uwagi.

- A to pech - zmartwił się pułkownik. - Jest pan sumiennym pedagogiem. Uczniowie będą za panem tęsknić. Ale co zrobić? Jovan i ja wyjeżdżamy za chwilę do Petersburga i nie wyjeżdżamy tam trzeźwi. A zatem, do widzenia panu, panie poruczniku!

- Jestem podporucznikiem - sprostował Henryk.

- Żaden problem - powiedział pułkownik. - W Bośni automatycznie awansują pana na porucznika. A może nawet kapitana, kto ich tam wie.

Pod bramą zatrzymał się niebieski mikrobus. Henryk poznał taksówkę Kiljandera.

- A zatem nadszedł czas odjazdu - orzekł pułkownik i prowadzony przez Jovana udał się do domu. Kiljander otworzył bramę i podjechał pod drzwi. Wyszedł z samochodu i przyglądał się towarzystwu ze spokojnym rozbawieniem. Był to przysadzisty mężczyzna o rzednących włosach, który na każde niemal pytanie odpowiadał twierdząco, a jeśli nie pozwalały mu na to rozsądek lub sumienie, nie zabierał głosu w ogóle.

- Panie Kiljander, niechże pan zawiezie tego młodego człowieka do szpitala. Zranił się w ramię i trzeba mu założyć kilka szwów. Zostawi go pan tam i potem wróci tu po nas. Ja zapłacę. Maestro, pańska taksówka czeka. Transport ma pan zabezpieczony.

Henryk spojrzał na Mavrę, która stała obok ze zwieszonymi ramionami. Poszedł do taksówki i usiadł w środkowym rzędzie. Kiljander poprosił, aby przyłożył do rany chusteczkę, bo jeszcze krew pocieknie na siedzenie. No i w ogóle.

Pułkownik z Jovanem usiedli na schodach przy wejściu. Kiljander zasunął drzwi, usiadł za kierownicą i zapuścił silnik.

- To ja jadę do tego szpitala - powiedział, skinął głową i ruszył.

- Muzyka! - krzyknął pułkownik, unosząc obie dłonie w górę, podał tonację i jak na komendę obaj z Jova-nem zawyli:

Ze śpiewem na ustach, zbieramy się do drogi, bo do Petersburga kieruje nas los srogi. Więc jeszcze weźmiemy na zapas trochę dżinu, i ruskim zwyczajem krzykniemy - za rodzinu!

Bus Kiljandera wytoczył się na drogę. Pułkownik wstał i wszedł do domu. Jovan powlókł się zamknąć bramę. Mavra stała nieporuszona jak kamień i patrzyła za ojcem. Gdy Jovan zamknął bramę, rzucił córce przelotne spojrzenie i znów zobaczył małą dziewczynkę, która stoi ze zwieszonymi ramionami, pochyloną głową i buzią wygiętą w podkówkę, nadąsana na cały świat, bo zapomniała zjeść, i była zbyt zła, by cokolwiek przełknąć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

cyganie z koćan (scena z nienapisanej sztuki)

(Światła zapalają się po kolei, sygnalizując początek dnia. Scena jest pusta. W domu pułkownika słychać skrzypce, to Mavra gra *Mavrę* Strawińskiego, bez ślepego, przyciężkawego akompaniamentu pułkownika. Wtem muzyka się urywa. Po chwili na werandę wchodzi Mavra. Opiera się o poręcz, zapala swoją fajkę i pykając, spogląda na rzekę).

(W tle, gdzieś daleko, słychać muzykę do taktu macedońskiego oro w wykonaniu cygańskiej kapeli z Koćan).

(Od pomostu, od strony rzeki, idzie ku domowi Henryk z przewiązanym ramieniem i ręką na temblaku. Zatrzymuje się parę kroków przed werandą. Mavra powoli wyciąga fajkę z ust, odkłada ją na poręcz, podchodzi do niego. Stają naprzeciw siebie blisko, lecz się nie dotykają).

(Kapela w tle rozbrzmiewa nagle tak głośno, że całą czasoprzestrzeń sceniczną wypełnia dzika, polirytmiczna muzyka taneczna).

CZEŚĆ TRZECIA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

MAPA OLAUSA MAGNUSA

Była ciemna noc i Henryk szedł niespiesznie żwirową drogą, przyświecając sobie małą, kieszonkową latarką i planując szczegółowo chwilę, kiedy znów zobaczy się z Mavrą przed domem pułkownika. W myślach spotkanie to jawiło mu się jako surowa, dramatyczna scena ze sztuki zatytułowanej *Mavra*. Albo *Kobieta pułkownika*. Na oprawę muzyczną sceny wybrał melodię graną przez kapelę cygańską z Koćan, ponieważ słyszał ją na festiwalu folkowym w Kaustinen i bardzo mu się spodobało jej surowe brzmienie połączone z szaleńczym, ciężkim rytmem nie do końca zgranych ze sobą instrumentów. Mavrę umieścił na tle tej wyobrazonej dekoracji w odległości ramienia, ponieważ nic tak nie psuje efektu dramatycznego, jak scena, w której kochankowie łączą się wreszcie w upragnionym uścisku i zwierają w długim pocałunku. Cyganom dał wolną rękę, grali więc coraz głośniej i podkręcali tempo, w końcu znają się na tym, na zwiększaniu napięcia do granic możliwości. Kiedy światła zgasły i kurtyna opadła, ujął Mavrę za rękę i zaprowadził do domu, i choć miał założony temblak, bez trudu rozebrał siebie i ją, wystarczyła mu do tego jedna, zdrowa ręka...

Lecz nie będzie cygańskiej kapeli, świateł rampy ani kurtyny. Nie będzie czekającej Mavry. A on nie zejdzie na brzeg z pomostu, lecz wejdzie do domu przez furtkę. I nie przyplynie do Mavry łodzią, lecz przyjdzie pieszo, i będzie to jego droga przez mękę.

Przyjechał ze szpitala do domu taksówką, ramię miał zszyte i zabandażowane. Otworzył butelkę jałowcówki, żeby spróbować jakoś zrozumieć, co zaszło - i co się stało z jego sercem. Nie udało mu się jednak, jego dusza zmieniła się nie do poznania, zupełnie jak Finlandia na mapie Olaususa Magnusa, wiszącej na ścianie izby. Hałaśliwi myśliwi z dzidami biegali tam po

ponurych lasach, płosząc niedźwiedzie, rysie i Lapończyków, którzy uciekali przed nimi na saniach zaprzężonych w renifery coraz dalej na północ. Wreszcie zarzucił dalsze próby, bo alkohol odebrał mu wszelką zdolność analitycznego myślenia. Pod mostkiem, gdzie już dawno temu zlokalizował swój ośrodek życia emocjonalnego, kotłowały się szkaradne zmory: Zażenowanie, Smutek, Gniew, Wstyd i Bunt, jakby żywcem wyjęte ze średniowiecznego moralitetu, a nad nimi unosiła się pysznie anilinowa chmura Samoobrzydzenia. Gdy opróżnił butelkę, wszystko zniknęło w stęchłym oparze Obojętności.

Wlókł się właśnie po schodach do sypialni, gdy zadzwonił telefon. Roziskrzył się nagle nadzieją niczym pałeczka zimnych ogni w noc sylwestrową. Ale to była Sol-veig, która dowiedziała się jakimś cudem, że Henrykowi założono w szpitalu szwy na ramieniu, i chciała wiedzieć, co zaszło i jak się on w zaistniałej sytuacji czuje. Solveig dzwoniła z samochodu i Henryka przeraziła myśl, że jedzie do niego upomnieć się o swoje, jedzie zagarnąć to, co jeszcze z niego zostało. Za chwilę stanie na jego progu pełna wyrzutów współczucia, gotowa leczyć go okładami z ziół, naparów i piersi. Henryk szybko się rozłączył.

Nie szło mu się najlepiej, w szpitalu na prawą rękę założono mu temblak, bo każdy ruch ramieniem wywoływał ból. Znieczulenie przestawało działać, alkohol nie mógł się równać z lidokainą. Szedł więc sztywno, bolały go plecy i nogi.

Zatrzymał się na drewnianym moście, chciał popatrzeć w spokojne wody N, która mieściła się już w swoim normalnym korycie. Przypomniały mu się wtedy dywagacje pułkownika o rzece jako czynnika ograniczającym kontakty wewnątrz społeczności wiejskich oraz między dalekimi i bliskimi krewnymi, tudzież kochankami, szczególnie zaś w okolicach, gdzie nie ma zbyt wielu mostów. W czarnym nurcie ukazał mu się duch pułkownika.

Lecz Henryk się nie przestraszył, tylko splunął w dół i przeszedł na drugą stronę rzeki. Most się nie zawalił, nawet nie drgnął. Henryk szedł wytrwale

dalej, nie zważając na dotkliwy ból, bo nie tylko uciekał, lecz także szedł do swojej Canossy, do Mavry. Ostatni etap tej drogi, od furtki do domu pułkownika, był gotów przebyć na kolanach.

Ale Mavra, którą widział ostatnio zapłakaną w sadzie, z dziecinnie zwieszonymi ramionami, otarła łzy i zniknęła ze sceny. Dom był ciemny i zdawał się pusty. Może Mavra w przypiływie melancholii wzięła mercedesa pułkownika i pojechała do portu, wsiadła na prom i zatrzyma się dopiero w rodzinnej wsi, przed swoim domem lub tym, co z niego zostało? Henryk usiadł na schodach i postanowił, że przesiedzi tak do rana. Jeśli Mavra nie zjawi się do tego czasu, albo przyjdzie w towarzystwie innego mężczyzny, wyciągnie z tego oczywiste wnioski, takie albo inne. Postanowił sprawdzić, czy mercedes stoi w garażu, lecz brama była zamknięta, a okienko znajdowało się zbyt wysoko. Taszczył właśnie drewniany pień, aby na nim stanąć i zajrzeć do środka, gdy zza węgła wybiegł Maotse, zatrzymał się przed nim i obnażył kły. Henryk się zmieszał. Czyżby wilczur wyciągnął własne wnioski z jego kłótni z Mavrą na pomoście? A może dostał wyraźnie sformułowany po serbsku rozkaz, aby nie wpuszczać go więcej na teren posesji ani nie dopuszczać do swojej pani?

Henryk zaczął go uspokajać, powołując się na ich wcześniejszą znajomość, wspólne zabawy i smakołyki, które mu dawał. Maotse jednak nie ustępował, więc Henryk postanowił mu wyjaśnić, co spowodowało taki chaos w jego działaniach.

- Drogi Maotse - zaczął - wiem, że moje zniknięcie z pomostu przed tygodniem i dzisiejszy powrót po przeczytaniu listu Mavry mogą ci się wydać sprzeczne, tym bardziej że prawie nic z tego listu nie zrozumiałem. Pomyliłem nawet daty. Dziś na pomoście zachowałem się być może jak człowiek bez serca, ale postąpiłem tak tylko dlatego, że myślałem, iż tak będzie jej łatwiej. Doszedłem do wniosku, że nie mam prawa się do niej zbliżać. Bo czy mogę mieć jakąkolwiek nadzieję? Pułkownik jest dla niej zbyt ważny, a ona jest dla niego jak promyczek światła w ciemności.

- To po cholere wróciłeś? - warknął gniewnie wilczur.

- Chciałem ją przeprosić - odpowiedział Henryk.

- Daj spokój, to się kupy nie trzyma. Jeszcze bardziej wszystko pogmatwasz - ocenił pies. - A słów i czynów nie cofniesz.

- Ale ja ją Kocham! - wykrzyknął Henryk. - Muszę się z nią jeszcze raz spotkać. Choćby to miał być ostatni raz.

- Spadaj stąd! - burknął pies i nieco przesadnie nastroszył sierść, tak że wyglądał jak wypchany wilk z muzeum zoologicznego.

Henryk uznał, że jedyna nadzieja w dobrej, sprawdzonej metodzie, wetknął więc w usta cztery palce i podwórce przeciął słynny, mrozący krew w żyłach gwizd. Ma-otse położył uszy po sobie, cofnął się, ale tym razem nie zaczął gonić w piętę. Spod przymrużonych powiek śledził każdy ruch Henryka i choć już nie szczekał, dał mu wyraźnie do zrozumienia, że jeśli jeszcze raz zagwizdże, rzuci mu się do gardła.

Wtedy z domu dobiegła go dźwięczna, lecz zdecydowana komenda. Na werandzie pojawiła się Mavra i zawołała psa do siebie. Lecz Maotse nie posłuchał, tylko przywa-rował i najwidoczniej nie zamierzał dopuścić intruza bliżej domu. Czujnym wzrokiem wodził za Mavrą, która podeszła do Henryka, objęła go i pocałowała w policzek.

- To było dla psa - powiedziała. - Aby jeszcze raz cię zaakceptował.

Maotse rzeczywiście zerwał się na równe nogi, zaczął skakać wokół nich i wachać Henryka, jakby widział go po raz pierwszy. Mavra kazała psu wrócić na werandę i tym razem Maotse usłuchał.

Mavra cofnęła się o dwa kroki, zupełnie jak w sztuce Henryka. Powieki miała opuchnięte od płaczu i snu.

Obudzona gwizdem, założyła na piżamę gabardynową pelerynę i wsunawszy stopy w futrzane kaptcie, rzuciła się Henrykowi na pomoc. Nie wydawała się zaskoczona jego późną wizytą. Drżąc z zimna, czekała, aż Henryk coś powie, cokolwiek. Ona także milczała, jej również zabrakło już słów. Co ma

teraz zrobić?

Henryk nie przygotował sobie żadnej kwestii, a w głowie miał pustkę. Każda próba przeproszenia Mavry czy wytłumaczenia jej swojego zachowania zepsułaby nastrój i wywołała banalne nieporozumienia. Pomyślał z tęsknotą o cygańskiej kapeli z Koćan, lecz dokoła było zupełnie cicho. Stał więc przed nią jak Luter przed cesarzem i oboje przeczuwali cel jego późnej wizyty, a kiedy objawił się im wreszcie z porażającą jasnością, nie można go było zdradzić jednym słowem. Milczeli więc długo, dopóki Mavra, zmarznięta na kość, nie ujęła go za rękę i nie poprowadziła do domu.

Zaparzyła im herbaty ziołowej. Wypili w milczeniu. Widziała, że ramię bardzo Henrykowi dokucza, więc dała mu lek przeciwbólowy.

Siedzieli oparci o siebie na jej posłaniu, trzymając się za ręce niczym złężnione dzieci, bo duch pułkownika unosił się nad nimi. Wraz z nim po ścianach tłukł się cień Jo-vana, jego wiernego dzina.

Gdy zegar wybił pierwszą, Henryk wstał i zaczął szykować się do wyjścia. Powiedział, że bez trudu dojdzie na piechotę.

Mavra zaproponowała, że go odwiezie, była mu to winna. Ostatecznie jest jej uczniem, którego jej własny ojciec zranił w ramię, gdy alkohol uderzył mu do głowy.

- Rana nie była głęboka - powiedział Henryk.

- Mimo wszystko - nalegała Mavra, dodając, że nigdy tego ojcu nie wybaczy.

- Po pijaku różne rzeczy mogą się zdarzyć - rzekł Henryk. Był to niezawiniony wypadek, potknął się i doszło do zachwiania równowagi sił działających na nóż. Przecież Jo-van nie zranił go celowo.

- Nieprawda - powiedziała Mavra.

- Nieprawda - przyznał Henryk.

Mavra zdusiła w sobie płacz i powiedziała, że ma nadzieję, iż tę noc Henryk spędzi obok niej.

Leżeli przy sobie na niskim pościeliu Mavry. Henryk wdychał zapach jej włosów. Mavra obróciła się do niego plecami i zasnęła. Henryk przez jakiś czas przysłuchiwał się jej równemu oddechowi, po czym sam zapadł w sen.

Obudził go ból w zeszywniałym ramieniu, lecz bał się poruszyć, aby nie zakłócać snu Mavry. Nic to jednak nie dało, zbudzona jego cierpięciznym bezruchem powiedziała, że pójdzie spać gdzie indziej i zostawi mu całe łóżko. Wstała i na pożegnanie pocałowała go w usta.

Pójdzie do łóżka pułkownika i będzie spać z jego duchem, pomyślał Henryk. Był jednak tak zmęczony i obolały, że nie miało to dla niego znaczenia. Po jej pocałunku zrobiło mu się ciepło i usnął.

Nad ranem Mavra wsunęła mu się pod kołdrę, mruczając, że nie zmrużyła oka. Henryk poczuł, że nie tylko ramię ma sztywne, i ogarnęło go pożądanie. Przewrócił się na bok i pocałował ją. Był to ich pierwszy namiętny pocałunek, który powinien był otworzyć przed nimi bramy raj. Lecz drugiego nie było, gdyż Mavra odwróciła się do niego plecami. Jednak bijące od niej ciepło nie dawało Henrykowi spokoju. Mavra wymruczała coś do ściany w swoim języku, coś jak gdyby mówiła, że jest szczęśliwa. Czy to właśnie powiedziała? zapytał Henryk. Srećna, powtórzyła Mavra. Srećna sam. Właśnie to. Pytania Henryka rozplynęły się w niebycie. Bądźmy zatem szczęśliwi.

Rano Henryk zadzwonił do szkoły. Powiedział, że zranił się poważnie w ramię i nie pojawi się na lekcjach przez trzy dni. Potknął się po ciemku w drewnitni i nadział ramieniem na wiszący na ścianie sierp. Zażył silne środki przeciwbólowe i nie jest w stanie prowadzić zajęć. Zatrokanemu dyrektorowi przekazał plan zajęć. Dla pierwszej licealnej miał przygotowane ćwiczenia pisemne, które leżały w jego szafce w pokoju nauczycielskim. W klasach gimnazjalnych zamierzał pokazać kasetę wideo ze szwedzkim filmem dokumentalnym pod tytułem *Historia bez łez*. W rzeczywistości trzeba było mówić raczej o „Nauczaniu historii bez łez”, jak wyjaśnił w nagłym przypiywie szczerości. Historia bowiem nie może się obyć bez potu, łez i krwi, zacytował

jeszcze pułkownika Muska. Oczywiście źródło cytatu zachował dla siebie.

Henryk poinformował także dyrektora, że jego telefon stacjonarny tymczasowo nie działa. W razie czego można go złapać pod numerem komórki. Dyrektor nawet bał się myśleć, czym ten wypadek mógł się skończyć, i powiedział, że nauczyciel miał sporo szczęścia. Henryk spojrział na Mavrę, która przygotowywała właśnie kawę, i przyznał mu w duchu zupełną rację. Dyrektor życzył Henrykowi szybkiego powrotu do zdrowia.

- Potrafisz kłamać jak z nut - zauważyła Mavra.

- To był pierwszy raz w tej pracy - odparł Henryk.

- A może mnie też okłamujesz? - zapytała. Henryk przypomniał sobie Solveig, jej kłamstwa i jej ciało, domagające się natychmiastowej uwagi, i odpowiedział, że jej nigdy nie okłamie, a pewnego dnia nauczy się także mówić prawdę.

Koło południa Mavra pojechała do miasta na ćwiczenia. Henryk został sam w domu i czuł się z tym nieswojo.

W salonie macał niezgrabnie klawisze pianina, przerzucał leżące na pokrywie nuty i zazdrościł pułkownikowi, że może grać w duecie z Mavrą, mimo podeszłego wieku i inwalidztwa. Przez tę przeklętą muzykę ich dusze splotły się ze sobą jak dwie nici w podwójnej helisie DNA. Nie można ich teraz rozdzielić, nie wywołując nieodwracalnych mutacji. Mogłoby się wówczas narodzić przerażające monstrum, które zburzyłoby ten wrażliwy system, a potem unicestwiło swoich twórców i całą ludzkość.

W świętym pokoju pułkownika Henryk obejrzał portret ojca gospodarza w mundurze kapitańskim. Włączył stary gramofon. Z głośnika zaczęły się wydobywać niskie, nieartykułowane pomruki. Henryk przestawił obroty i czarny krążek przemówił ludzkim głosem: „Pozdrawiam was najgoręcej! Nie ma dnia, żebym o was nie myślał. Jestem pewien, że mały Tuure pójdzie w moje ślady i zdobędzie ostrogi w tej samej męskiej profesji...”. Głos ten z brzmienia przypominał głos pułkownika, lecz był bardziej surowy, a potoczność mowy

zdradzała arogancję. Po chwili kapitan z towarzyszeniem orkiestry zaczął śpiewać po angielsku *Piosenkę szczęśliwego waga-bundy*. Henryk się zamyślił. Dlaczego w głosie wszystkich wędrownych śpiewaków na świecie pobrzmiewa ta sama narcystyczna nuta? Po refrenie głośnik zaskrzeczał histerycznym śmiechem obieżyświata. Henryk spodziewał się czegoś takiego.

Miał po dziurki w nosie wszelkiej maści pułkowników i ich rozbijających się po świecie ojców, wycofał się więc na z góry upatrzone pozycje, położył na łóżku Mavry i zaczął wdychać zapach jej pościeli i pasiastej, czarno-białej piżamy. Ramię ciągle go bolało. Wziął dwie tabletki przeciwbólowe z mocnym postanowieniem, że nie ruszy się stąd na krok, choćby nawet usłyszał, że zbliża się pułkownik ze swym nieodłącznym adiutantem. Nie ruszy się, choćby poczuł na sobie badawcze dłonie pułkownika, które po chwili zamarłyby i zaraz zacisnęły mu się na gardle. Nie prosiłby o łaskę. „Niech mnie pan udusi, śmiało - wycharczałby. - Proszę wziąć sprawiedliwość w swoje ręce, przy okazji wyświadczy mi pan przysługę, zrobi pan ze mnie męczennika i Mavra nigdy mnie nie zapomni”.

Nie podnosząc się z łóżka, sięgnął do półki i wyciągnął pierwszą książkę, która wpadła mu w rękę. Był to *Most na Drinie* Ivo Andricia w oryginale, w ojczystym języku Mavry, a w każdym razie prawie ojczystym. Kiedy bowiem rozpadło się państwo Ojca Tito, Serbowie, Chorwaci i Bośniacy, którzy do tej pory sądzili, że mówią tym samym językiem, stwierdzili nagle, iż wcale tak nie jest, bo mówią po swojemu, wszyscy inaczej od pozostałych. Oczywiście nadal rozumieli się nawzajem nie gorzej niż wcześniej. Jednak druk w książce był łaciński, a zatem musiało to być wydanie chorwackie. Andrić urodził się w Bośni w katolickiej rodzinie chorwackiej, ale Serbowie go uwielbiali. Henryk zaczął czytać na głos, starając się, by jego słowa zabrzmiały jak zaklęcie, które sprawi, że Mavra znajdzie się z powrotem obok niego. Składał więc teatralnie usta i natęzał głos:

„...na mestugde Drina izbija u naglom zavoju iz dubokog i uskog tesnaca

koji stvaraju Butkove Slijene i Uzavničke planine”. Postanowił sprawdzić, co te słowa znaczą. I tak zasnął na pierwszej stronie kroniki Wyszegradu.

Obudziła go Mavra, był już wieczór. Pizamą starła mu z kącika ust cienką strużkę śliny i bardzo ją to wzruszyło.

Zjedli bułki z serem i szpinakiem, kielbasę z baraniny i lonicę - zapiekanekę mięsno-warzywną. Henryk nie był przyzwyczajony do tak tłustego jedzenia.

- Jedzenie w Bośni musi być tłuste - powiedziała mu Mavra. - Nie może być zresztą inaczej, skoro tłuste składniki co chwilę polewa się tłuszczem.

Henryk spojrzał na Mavrę i zaczął zachodzić w głowę, czy chciałby całować jej tłuste usta, patrzeć na nią pożądliwie i obrzucać ściany niedojedzonymi bułkami i kielbasami, jak tytułowy podrzutek Henry’ego Fieldinga, Tom Jones, który biesiadował z dorodną kobietą przy suto zastawionym stole, nie zdając sobie sprawy, że jest ona jego matką, a im więcej jedli, tym dziksza ogarniała ich pożądlivość.

Mavra jadła z apetytem i w spokojnym skupieniu, podczas posiłku nie była szczególnie rozmowna. W Bośni poznała, co to głód, traktowała więc jedzenie z nabożną powagą. Po skończeniu głównego dania sapnęła z zadowoleniem i powiedziała, że po małej przerwie będzie gotowa na lekcję rosyjskiego, jeśli oczywiście Henryk ma na nią ochotę. Henryk odpowiedział, że jest gotów na lekcję, kiedy tylko ona będzie miała ochotę. Mavra zdawała się go nie słyszeć i powiedziała, że bardzo się cieszy i jest szczęśliwa, że Henryk spędza z nią czas, lecz nie widzi żadnego powodu, by zapominać o nauce języka, skoro z tego powodu przyszedł się z nią spotkać po raz pierwszy. Henryk zastanawiał się w duchu, jak długo jeszcze będą rozmawiać z sobą tak oficjalnie, odpowiedział jednak, że bynajmniej nie zapomniał o nauce i że nadal jest to jeden z ważniejszych powodów jego wizyty, jakkolwiek nie jedyny. Przyznał, że zaczął odczuwać coraz większy pociąg do języka serbskiego i poprosił, by zamiast rosyjskiego Mavra uczyła go podstaw swojego języka

ojczystego.

- Dlaczego akurat serbskiego? - zapytała.

- No to niech będzie bośniacki, wszystko mi jedno - zapewnił Henryk.

- Nie wiem za dobrze, czym się właściwie od siebie różnią. A raczej, czym je od siebie odróżniono i po co. Dawno tam nie byłam. U nas mówiło się po prostu „po naszymu”.

- No to naucz mnie mówić „po waszemu” - zdecydował Henryk.

- Dlaczego chcesz się nauczyć właśnie naszego języka? - zapytała Mavra.

- Abym mógł cię lepiej poznać - odpowiedział. (Abym mógł cię łatwiej zjeść. Babci nie zjadłem, ale ciebie zjem. Za jakiś czas wróci z Petersburga twój mąż, stary gajowy, rozetnie mi brzuch, wyciągnie cię stamtąd, strawioną albo nie, i nakładzie mi do brzucha ciężkich kamieni, a wtedy ja poczuję pragnienie i kiedy pójdę do studni, by je ugasić, kamienie przeważą, wpadnę do środka i się utopię.) - Czuję się tak, jakbym miał kamienie w brzuchu - powiedział.

- Przejdźmy się kawałek, to się rozplyną - zaproponowała Mavra.

Gdy spacerowali wzdłuż brzegu, Mavra oparła głowę na jego ramieniu i opowiedziała mu w swoim języku o rzece, wodzie, piasku i kamieniach, o sirnicach, zelja-nicach i ćevapćicach, które właśnie zjedli. Szli pod ramię jak stare, dobre małżeństwo i Henryk pomyślał, że jeśli także to sprawia, iż Mavra czuje się szczęśliwa, on nie ma nic przeciwko. Bądźmy zatem szczęśliwi.

Na pomoście Mavra nagle o czymś sobie przypomniała i powiedziała, że chciałaby zostać na chwilę sama. Henryk poszedł na ławeczkę w sadzie. Mavra stała bez ruchu i wpatrywała się w jaśniejącą na niebie połówkę księżyca. A zatem jest półlunaticzką, pomyślał Henryk. Po pewnym czasie, który zdawał się mu nieskończonością, Mavra przysiadła obok niego z taką miną, jakby spełniła uciążliwy obowiązek, o którym znów może zapomnieć.

Późnym wieczorem, gdy Mavra, nadal nietknięta przez Henryka, podniosła się z posłania i pocałowałwszy go delikatnie, powiedziała, że znów pójdzie spędzić noc gdzie indziej, złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

Powiedział, że nie może już dłużej milczeć. Co powiedziawszy, zamilkł.

Po długiej chwili ciszy Mavra rzekła wreszcie:

- Rozumiem.

Rozebrała się do naga i położyła obok niego pod kołdrą. Leżała na plecach z zamkniętymi oczami i ramionami przyciśniętymi do tułowia.

Przecież to nie tak miało wyglądać. Leży obok mnie niczym Królewna Śnieżka w szklanym sarkofagu, pomyślał zdruzgotany Henryk, niezdolny ruszyć nawet palcem.

Po chwili Mavra wstała, założyła z powrotem pasiastą piżamę, pocałowała go i poszła spać z duchem pułkownika.

ROZDZIAŁ DRUGI

RZUT ZA TRZY PUNKTY

Rano Henryk wyszedł z domu, nie budząc Mavry. Dla zachowania pozorów pomaszerował na trzeci przystanek autobusowy od domu. W autobusie było wielu uczniów, także jego podopiecznych. Widząc, że ma rękę na temblaku, zaczęli się śmiać i coś między sobą szeptać. Mordercy Bizancjum! Z przodu autobusu siedział Söderholm, który robił kierowcy wykład na temat wpływu promieniowania przebiegających pod drogami cieków wodnych na czas reakcji kierowców, którzy codziennie nad nimi przejeżdżają. Söderholm wskazał Henrykowi miejsce obok siebie, lecz ten podziękował i przeszedł na koniec autobusu.

Dyrektor zdziwił się szybkim powrotem Henryka do pracy. On jednak wcisnął mu jedynie zwolnienie lekarskie w dłoń i odpowiedział, że wcale nie wraca do pracy, gdyż poprowadzi tylko jedną lekcję i wróci do domu.

Podzielił drugą licealną na grupy i każdej przydzielił zadanie, którego tematem była wojna w Bośni. Uczniowie mieli napisać wypracowanie o sytuacji w Jugosławii po śmierci Tito i rozpadzie państwa, o wzroście świadomości narodowej w republikach federacji, który doprowadził do proklamowania niepodległości przez Słowenię, Chorwację i wreszcie Bośnię, oraz o wojnach, które wybuchały po każdym z tych aktów, ze szczególnym uwzględnieniem wojny w Bośni. Głośne protesty uciszył zapowiedzią, że osoby, które zadania nie wykonają, nie dostaną stopnia na koniec roku. Nadeszła chwila, kiedy trzeba wejść na prawdziwe pole minowe historii. Zero tolerancji dla le-serstwa i mazgajstwa. Jako podporucznik rezerwy żąda stuprocentowego zaangażowania. Bumelanci zostaną surowo ukarani.

Klasa spoważniała i ucichła, uczniowie patrzyli na niego ze zdumieniem. Henryk podyktował jeszcze każdej grupie bibliografię, którą wcześniej zamówił

przezornie w bibliotece w N, życzył klasie przyjemnej pracy i zapowiedział, że pojawi się na zajęciach za dwa dni i wtedy udzieli im dalszych wskazówek. Przed wyjściem kazał klasie wstać. Przez głowę przemknęła mu myśl, że kierunek jest właściwy, ale posunął się chyba za daleko. Ta myśl mile go otrzeźwiła.

Po szkole Henryk spotkał się z Mavrą w markecie. Stała zamyślona przed łądą z owocami, Henryk zaszedł ją od tyłu i wyciągnął rękę w tej samej chwili, gdy ona sięgała po granat. Ich dłonie zetknęły się na owocu. Mavra była tak zaskoczona, że natychmiast cofnęła rękę i zaczęła mu mówić per pan.

- Znowu mnie pan śledzi? - zapytała.

- Proszę sobie za dużo nie wyobrażać - odpowiedział. Trzymał się blisko niej, lecz w przyzwoitym odstępnie, a kiedy Mavra zrobiła zakupy i zapłaciła, powiedział do niej cicho:

- Proszę mnie teraz stąd wyprowadzić w sposób subtelny i nierzucający się w oczy, tak jak tylko pani potrafi, a ja pójdę za panią, dopóki nie każe mi się pani zatrzymać i iść swoją drogą. Jeśli pani chce, może pani wziąć ode mnie jedną siatkę, gdyż jestem teraz przez panią jednoręki.

- Odwiozę cię do domu - powiedziała Mavra, gdy usiedli w białym mercedesie. - Twój pies za tobą tęskni.

- Powiem ci, jak jechać - odparł Henryk.

- Znam drogę, zatrzymałam się raz przy twoim domu, chciałam zobaczyć, jak mieszkasz - wyjaśniła Mavra.

- Wejdiesz do środka? - zapytał.

- Wejdę.

Jechali wąską drogą, Mavra śpiewała smutną balladę o Facie, córce Awdagi, która wolała rzucić się z mostu niż wyjść za syna Mustajbeja, Naila, któremu została przyrzeczona. Jedzie do mnie i śpiewa, ucieszył się w myślach Henryk. Na moim domu nie kładzie się cień pułkownika i jego duch nie straszy po kątach!

Henryk oprowadził Mavrę po swoim gospodarstwie, Tsuikka biegła obok, liżąc jej pieszczącą dłoń. Mavra bezbłędnie wypatrzyła w wystroju ślady kobiecej ręki i oceniła, co może być dziełem Henryka. Wypili kawę przy stole w izbie. Mavrze dom się podobał, uważała, że jest w nim przytulniej niż w domu pułkownika, z wyjątkiem jej pokoiku.

- Przeprowadź się do mnie - zaproponował Henryk ze śmiechem, ale nie był to tylko żart. - Zostań na noc - dodał. Oboje od razu pomyśleli o pułkowniku, którego duch unosił się za drzwiami.

- Muszę ćwiczyć przed koncertem w kościele. Skrzypce zostały w domu - próbowała się wykręcać Mavra.

- To pojedź po nie i wróć. Przyjedź wieczorem, przyjedź w nocy, rano, kiedy chcesz - powiedział jej. - Będę czekać. Nawet gdy będę spać, będę czekać. Będę się budzić i już będę na ciebie czekać. Aż zjawisz się obok mnie.

Wziął Mavrę za rękę i poprowadził na sofę. Całowali się niespiesznie. Mavra zamknęła oczy, jej myśli pędziły niczym burzowe chmury po niebie i nie mogła ich zatrzymać. Strząsnęła buty ze stóp i usiadła na sofie z podwiniętymi nogami.

W pracowni Henryka zaczął trzaskać i piszczeć faks. Henryk przysłonił dłońmi uszy Mavry.

- Nie zobaczysz od kogo? - zapytała.

- Nie oczekuję żadnej wiadomości - odpowiedział. Mavra poszła do jego pokoju i przyniosła kartkę papieru.

- Nie powiesz mi od kogo? - spytała.

- Czy to potrzebne? - odpowiedział pytaniem.

- Nie, widziałam już imię nadawcy.

Tekst składał się z nieskładnych rzędów liter. Tylko podpis był czytelny.

- Nie musisz mi mówić, co napisała - powiedziała Mavra.

- Sam nie wiem. To szyfrogram. Czasem je przysyła.

- Odczytaj go zatem w spokoju. Nie przeszkadzaj sobie - rzekła chłodno

Mavra i założyła buty.

- Nie chcę tej kartki nawet na oczy oglądać - warknął Henryk.

- Obiecałeś, że nigdy mnie nie okłamiesz - przypomniła mu.

- Obiecałem? - zdziwił się Henryk. Także tym, że zamierzał powiedzieć coś zupełnie innego.

- A więc wasz romans wcale się nie skończył?

- Tak miało być - odrzekł Henryk.

- Opowiedz mi, będzie ci łatwiej - poprosiła Mavra.

Henryk opowiedział o wizycie Solveig tego samego wieczoru, kiedy przypląnął w gniewie od Mavry. Opowiedział wszystko prosto i szczerze, bez wyrzutów sumienia. Gdy skończył, Mavra powiedziała, że to przeczuła, że coś ją tknęło, gdy po raz pierwszy od długiego czasu obudziła się rano przy boku męża.

- Że też mnie nie tknęło - zachmurzył się Henryk.

- No właśnie - powiedziała Mavra.

- Tak jakoś wyszło - stwierdził Henryk.

- Tak jakoś wyszło - przytaknęła. - Odczytaj teraz tę wiadomość od Solveig i albo się z nią przeproś, albo zerwij. Rób, co chcesz - powiedziała Mavra, pozbierała swoje rzeczy i wyszła.

Henryk poszedł do kancelarii adwokackiej wojewody i pokazał mu szyfrogram Solveig. Prawnik wpatrywał się w kartkę zdumiony.

- Ale o co chodzi? - zapytał.

- O pańską żonę - odpowiedział Henryk. - Otrzymałem to od niej faksem.

Na dole widnieje jej podpis.

- Co tu jest napisane? - zainteresował się wojewoda.

- Nie mam bladego pojęcia - poinformował go Henryk. - Sam pan musi ją o to spytać.

- Ja? - zdziwił się wojewoda. - Przecież to pan to dostał.

- Ale pomyślałem sobie, że może pan będzie umiał to odczytać. W końcu

to dzieło pańskiej żony.

- Abecadło z pieca spadło - podsumował wojewoda.

- Wygląda mi to na jakąś zakodowaną wiadomość - rzekł Henryk. - To szyfrogram.

- Ale po co wysyłałaby podpisany szyfrogram?

Henryk rozłożył ramiona. Wojewoda miał kartkę w dłoniach, próbując zrozumieć coś z długich rzędów liter. Pokręcił głową i oddał ją Henrykowi.

- Nie znajduję innego wyjaśnienia poza awarią faksu. Tak, to musi być to. Przecież pan poprawia rękopis jej powieści. Może chciała wysłać panu kolejną partię tekstu i wyszły z tego takie bazgroły.

- Już zrezygnowałem z tej pracy i nie poprawiam jej rękopisu - poinformował go Henryk. - Może zadzwonimy do niej i zapytamy?

- Teraz nie mam nawet chwili - odpowiedział rozdrażniony wojewoda. - Nie byłoby lepiej, gdybyście wy się zdzwonili i wyjaśnili to sobie? Ja i bez tego mam dość zmartwień.

- Ja tylko jedno - stwierdził Henryk. - I nie jest nim pańska żona.

Henryk wstał i wojewoda odprowadził go do drzwi.

- Niech pan sobie tym nie zaprzęta głowy, nie warto - poradził mu wojewoda. - Sprawa na pewno sama się wyjaśni. Solveig miewa czasem dziwne pomysły. Taka już jest. Nieobliczalna i spontaniczna. Sam pan wie, ci pisarze... Ja też nie rozumiem połowy jej wyskoków. Zapomnijmy o całej sprawie.

- Naprawdę ma pan tak ważne rzeczy na głowie, że nie znajduje czasu na to, by spróbować zrozumieć własną żonę? - zdziwił się Henryk.

- Przestałem próbować dawno temu - odpowiedział wojewoda. - I naprawdę mam ważniejsze rzeczy na głowie. Myślę, że pan również.

Henryk zmiął kartkę i rzucił kulkę do stojącego przy biurku kosza na śmieci.

- Rzut za trzy punkty - pochwalił wojewoda.

- Jeśli pan chce, proszę spróbować szyfru Vigenere'a - powiedział Henryk. - Często go używa, choć nie zawsze. Jeśli go pan nie zna, proszę spytać żonę.

Henryk wypożyczył z biblioteki *Most na Drinie*. Czytał go w domu i czekał na wiadomość od Mavry, lecz telefon milczał. Korciło go, by samemu zadzwonić. Postanowił jednak, że da Mavrze czas na złapanie oddechu. A jemu nie zaszkodzi zimny prysznic. Henryk nieźle grał w szachy, lecz na partie błyskawiczne był zbyt wolny. Przysnął w połowie książki i miał po niej koszmarne sen.

Henryk szedł ze szkoły w stronę dworca autobusowego, pokłóciwszy się konstruktywnie z opornymi drugoklasi-stami. Mavra czekała na niego w swoim mercedesie przed kościołem, gdzie ćwiczyła występ z pianistką, wiolonczelistą i alceistą. Przechyliła się i otworzyła mu od środka drzwi pasażera.

- Na mnie czekasz? - zapytał Henryk.

- A na kogo? Z Bogiem Ojcem widziałam się już w kościele - odparła.

Przejechała przez centrum i wyjechała z miasta, magnetofon odtwarzał kwartet fortepianowy c-moll Faurego. Mavra nuciła pod nosem motyw skrzypcowy.

- Zawieziesz mnie do domu? - spytał Henryk.

- Pojedziemy do mnie - odpowiedziała. - Dziś sobie uświadomiłam, że nic mnie nie obchodzi, czy odgrzewasz ciągle jakiś stary romans, czy nie. Liczy się tylko to, byś mnie kochał i nie próbował skrzywdzić.

- Kocham. Nie skrzywdzę. Nie odgrzewam - zapewnił Henryk.

- Powiedz, że za mną szalejesz!

- Śniłaś mi się - powiedział Henryk. - Przechodziłem przez rzekę po bardzo długim, kamiennym moście, to musiał być most na Drinie, bo wieczorem czytałem książkę Andricia. Ty jechałaś z drugiego końca na ośle. Mieliśmy się spotkać przy środkowym filarze, ale im bliżej byłem szczytu mostu, tym bardziej się ode mnie oddalałaś. Wtedy dostrzegłem, że w rzeczywistości

siedzisz na ośle plecami do przodu i oddalasz się ode mnie. Płakałaś i dawałaś mi jakieś znaki ostrzegawcze, ale ja nie rozumiałem, o co ci chodzi, i chciałem pobiec za tobą, lecz nie mogłem ruszyć się z miejsca, i nie wiedziałem dlaczego, póki nie zobaczyłem, że stoi za mną ten jednooki olbrzym, czarny Arab, który mieszka w mrocznym otworze w środkowym filarze, i jedną trzyma mnie za pas, a drugą wymachuje lśniącem mieczem.

- Piękny sen - powiedziała Mavra. - Okropny.

- Kiedy się obudziłem, myślałem, że będziesz leżeć obok mnie, ale cię nie było.

- A ty śniłeś się mnie - powiedziała Mavra. - A raczej mi się nie śniłeś, marzyłam o tobie - poprawiła się. Chwyliła jego dłoń i przycisnęła sobie do łona, lekko rozchylając uda.

- Rozgrzej mnie tu trochę - poprosiła. - Masz ciepłe dłonie.

Henryk poczuł, jak ciepło z jej podbrzusza zaczyna przepływać na jego palce, a stamtąd rozchodzi się po całym jego ciele. Kto tu kogo rozgrzewa, pomyślał sobie. Najwyraźniej emanowali całkowicie zgodnym korporalnym promieniowaniem cieplnym. Powiedział jej, że jeśli poruszy palcem, zjadą do rowu, lecz jeśli nie poruszy, zaraz wybuchnie.

Mavra odsunęła jego rękę.

- Nie sądzisz chyba, że się tobą bawię? - spytała go, gdy zjechali na starą szosę. - Po prostu nie wiem, jak mam się zachowywać. Wiem, czego chcę, lecz nie potrafię zachowywać się tak, jak bym chciała. Nie potrafię tego lepiej wyjaśnić.

Zatrzymała samochód przy wjeździe na teren posiadłości pułkownika.

- Myślę, że ma to związek z tym, przez co przeszłam w Bośni. Przez co przeszłam? Przez piekło. Może ci kiedyś opowiem. Może nigdy.

Henryk wysiadł i otworzył bramę. Podjechali pod dom, Mavra zgasła silnik, lecz nie wysiadła. Henryk widział, że chce coś powiedzieć, więc czekał w milczeniu. W końcu wzięła jego dłoń w swoje dłonie.

- Boję się młodych mężczyzn, boję się i czasem ich nienawidzę. Pułkownika się nie boję, był i jest moim obrońcą i moją podporą, nie boję się z nim być, lecz on ma tysiące problemów. I do tego sam się boi. Czasem robi się zgorzkniały i przepelnia go obrzydzenie do samego siebie, wówczas potrafi być naprawdę wstrętny. Nienawidzi siebie za to jeszcze bardziej i przenosi tę nienawiść na mnie, i wtedy chce mnie posiąść, chce mnie ustawiać i chce mną pomiatać. Ale mnie nie można posiąść, jeśli sama tego nie chcę.

Mavra spojrzała na Henryka badawczo.

- Nie będę cię okłamywać. Nie raz chciałam pójść do łóżka z młodym mężczyzną - powiedziała. - Ale nie poszłam. Wcześniej czy później miałam ochotę go poniżyć i zrobić mu coś złego. Wtedy się wycofywałam, a on znikał z mojego życia.

Wypuściła jego dłoń z rąk i rozsiadła się w fotelu.

- Nie potrafiłam być sobą także przy tobie. Bałam się, że zacznę cię nienawidzić. Nie ciebie, lecz mężczyzny, który w tobie siedzi. Ale mam nadzieję, że pobędziesz u mnie, o nic nie pytając. Mogłabym na ciebie patrzeć, przechodzić obok, a czasem przytulać się i zasypiać przy tobie. Mogłabym ci grać na skrzypcach i uczyć tego wszystkiego, co umiem, ty zaś uczyłbyś mnie tego, czego ja nie wiem. Zostaniesz, prawda? Będziemy chodzić do lasu i nad rzekę, będziemy jeść, kiedy tylko będziemy chcieli, choćby i w środku nocy. Będę cię masować. Jestem dobrą masażystką. Chcę się ubierać dla ciebie, choćby tylko w domu, skoro nie możemy się nigdzie razem pokazywać. Umiesz grać w szachy? Albo w warcaby? Mogę cię nauczyć. W domu na wsi wygrywałam z bratem i przyjaciółmi. Umiem blefować i oszukiwać w kartach. Chcę upić się z tobą do nieprzytomności, chcę źle się poczuć, żebyś się mną zajął. Chcę się zmienić w niemowlę i zmoczyć spodnie, abyś mnie przewinął i wziął na ręce. Chcę ssać twoje piersi. Tęsknię do matki. Czasem mam ochotę kogoś zabić. Trzeba mnie wtedy zamknąć w ciemnym pokoju i porządnie przegłodzić. Dopiero wówczas można mnie wypuścić, a potem umyć, wytrzeć,

nakarmić i zanieść do łóżka, ukołysać i ululać, otulić kołdrą i przeczytać Ojciec nasz i codzienną surę Koranu.

Ojciec mnie kocha, ale jest trudny i niedostępny. Obwinia się za wszystko, co się przydarzyło mnie, matce i mojemu rodzeństwu, choć nie ponosi za to żadnej winy. Czasem nie mogę go znieść i to go unieszczęśliwia. Mnie także.

Chciałabym mieć małego kotka, ale Maotse nie znosi kotów. Wniesiesz mnie do domu? Dasz radę? Stanę się dla ciebie lekka jak piórko.

Henryk wniósł Mavrę po schodach do drzwi, wtuliła się w niego jak mała dziewczynka.

W domu jej nastrój się zmienił, wyraźnie się ożywiła. Posadziła Henryka na sofie, zdjęła mu buty i przyniosła pantofle pułkownika, ale Henryk nie chciał ich włożyć. Powiedziała mu, że ma się czuć, jak u siebie w domu, i może pracować, jeżeli zabrał coś ze sobą. Henryk wyjął z torby podręczniki i plik papierów, które położył na stoliku przy sofie. Mavra zaczęła odkurzać i wycierać meble. Potem podlała kwiaty. Na koniec wygoniła psa z kuchni i zamknęła w komórce na podwórzu, aby nie węszył i nie wtykał mordy w sprawy, które nie powinny go obchodzić.

Bawi się w dom, pomyślał Henryk. Ona jest żoną, ale kim ja jestem? Czy stanowimy szczęśliwą parę?

Mavra poszła wziąć prysznic, wróciła bosą, w płaszczu kąpielowym i z mokrymi włosami.

- Dobrze ci? - zapytała i nie czekając odpowiedzi, znów zniknęła.

Po półgodzinie pojawiła się ponownie z wysuszonymi i ułożonymi włosami, pomalowała też usta i wytuszczyła rzęsy. Miała na sobie granatową, elegancką sukienkę bez rękawów, z głębokim dekoltem i paskiem o srebrnej klamrze. Na szyi zawiesiła złoty łańcuszek. Na przegubie dłoni miała złotą bransoletę.

Wyciągnęła z futerału skrzypce. Z początku grała wprawki, potem przez

godzinę ćwiczyła partię skrzypcową kwartetu fortepianowego Faurego, od czasu do czasu klnąc pod nosem po swojemu. Henryk słuchał tylko jednym uchem, bo musiał przygotować plan lekcji poświęconych wojnie w Bośni dla drugiej licealnej.

Mavra zagrała *Pieśń rosyjską* Strawińskiego. Znow wodziła oczami po całym pokoju, z twarzy Henryka przeskakiwała na sufit i z powrotem, ale nie zezowała. Grała tak, jak tamtego wieczoru, kiedy rzeka wyrzuciła go na ich brzeg. Brakowało tylko akompaniamentu pułkownika, ale ani Mavra, ani Henryk nie odczuwali tego szczególnie dotkliwie. Mavra wystukiwała jedną nogą główny rytm, drugą akcentując synkopy. Dzięki temu zachował się ów kulejący, smętny rytm, który tak ujął Henryka za pierwszym razem. Grając, zbliżała się do sofy. W końcu stanęła przed Henrykiem i pochyliła się nad nim. Ta kobieta mnie pograży! - pomyślał, wciskając się w sofę.

Mavra odłożyła skrzypce na papiery Henryka i stanęła przed nim z lekko uniesionymi ramionami, jak wzbijający się do lotu ptak. Zsunęła buty, ułożyła Henryka powoli na plecach i usiadła na nim. Rozchylonymi ustami przywarła do jego warg. Był to najdłuższy, najbardziej rozpaczliwy pocałunek w całym życiu Henryka. Gdy wreszcie się od niego odkleiła, wargi miała wilgotne, a po szmince nie było śladu. Zaczęła zdejmować sukienkę, wpatrując się w Henryka natężonym wzrokiem, jak gdyby chciała zatrzymać tę chwilę na zawsze, jak gdyby się bała, że coś się w niej zmieni.

- Rozebrać i ciebie? - zapytała. Henryk zaczął się rozpinać.

- Tutaj? - spytał.

- To dziewiczy teren - odpowiedziała.

Mavra przejęła ster. To ona nadawała kierunek i tempo, to ona dobierała miarę napiętności i czułości. Policzki miała rozpalone, oczy lśniące. Henryk nie był do tego przyzwyczajony, ale próbował się dostosować. Musiał zapomnieć o starych sztuczkach i rutynowych zagraniach. Mavra powtarzała szeptem co jakiś czas to samo zdanie w swoim języku. Czy wypowiadała jakieś sprośności, czy

wymawiała imiona świętych? A może przeklinała każde pchnięcie bioder swojego prześladowcy? Pewnego dnia zapytam ją o znaczenie tych słów, pomyślał Henryk, gdy wtem siedząca na nim Mavra zamarła, odchyliła się i spojrzała w sufit, jak wtedy, gdy grała. Jej ciałem wstrząsnął krótki dreszcz, Henryk poczuł w prawej dłoni jej walące młotem serce. Mavra wydała z siebie krótki okrzyk, który przeszedł w śmiech. Osunęła się na niego.

- Nie skończyłam za szybko? - zaśmiała się.

- Lepiej tak niż odwrotnie - odpowiedział Henryk, gładząc jej włosy.

- Potem rozpoczniemy od tego, na czym skończyliśmy - wysapała.

- Nie spieszmy się. Najpierw trzeba opanować podstawy - odpowiedział Henryk. - Pamiętasz, kto to powiedział?

- Ja! Święta prawda. Będziemy zatem powtarzać i powoli posuwać się do przodu - zgodziła się Mavra.

- Powoli i może trochę spokojniej - dodał Henryk.

- W pewnym sensie to był mój pierwszy raz - powiedziała Mavra. - Jeśli nie liczyć pułkownika.

Henryk uwierzył. Nie zapytał więc o tych wszystkich mężczyzn, których nie liczyła razem z pułkownikiem.

- Wszystko się ułoży, wierz mi - zapewnił ją.

- Wierzę ci, skoro tak mówisz.

Przeczuwała jednak, że spokój i równowaga nie są im pisane, ponieważ mogli być razem tylko dzięki widzialnym i niewidzialnym przeszkodom uniemożliwiającym osiągnięcie szczęścia, dzięki zastawionym na nich pułapkom oraz grożącym im dziś i jutro niebezpieczeństwom. Gdyby nie one, zaczęłyby się od siebie oddalać, aż w końcu ich drogi rozeszłyby się na dobre.

Mavra poszła po swoją fajkę i zaczęła ją nabijać słodką mieszanką szkocką.

ROZDZIAŁ TRZECI

„KTÓŻ TO WIE I KOGO TO OBCHODZI?”

Osiągnąwszy tym sposobem stan tantrycznej ekstazy, na czerwonym latającym dywanie unieśli się w powietrze i poszybowali nad N. Siedzieli obok siebie i spoglądali z wysokości na swoich maluczkich bliźnich, rozbawieni i zarazem pełni serdecznego dla nich współczucia. Przeszłość była dla nich prehistorią, a historia właściwa zaczęła się dopiero przed chwilą. Jej początek przypadł na dziesiąty dzień bieżącego miesiąca i miał się on stać pierwszym świętem ich własnej, dopiero co ustanowionej religii, hidżrą numer dwa, gdyż jak niegdyś Mahomet i jego wierny sługa Abu Bakr uciekli z Mekki do Medyny, tak pułkownik i Jo-van właśnie wtedy, przy dźwięku trąb i piszczałek wyjechali do Petersburga.

Spieszyło im się do siebie, by odnajdywać się wciąż na nowo w wielokrotnie ponawianych ekspedycjach naukowych w głąb dopiero co odkrytych interiorów - i w głąb własnego wnętrza, gdyż to wzajemne odkrywanie zapoczątkowało w nich samych proces ciągłej przemiany, otwarcia, odnowy i wzrostu. Podczas tych wypraw tak po mrocznych, jak i jasnych zakamarkach swoich dusz i ciał napotykali przedstawiciele wielu lepiej lub gorzej poznanych gatunków fauny, w parnych lasach deszczowych widywali wargacze, kolibry i ptaki bagienne, lęklive morbidy i zagadkowe repulsje, a w ciemnych jamach kłębiące się la-bile i połyskujące libidy. Przenosili się z jednego domu do drugiego, by nakarmić swoje psy, chcieli je nawet ze sobą połączyć, ale Maotse nie tylko nie uległ czarowi Tsuikki, lecz doskoczył do niej wściekle i próbował przegryźć jej gardło. Uratowali biedną suczkę w ostatniej chwili. Uciekła do lasu, gdzie odnaleźli ją mocno jeszcze wstrząśniętą dopiero po dwóch dniach.

Po pewnym czasie zatęsknili jednak za odmianą i towarzystwem ludzi.

Zaczęli wychodzić do miasta, a że nigdzie nie mogli pokazywać się otwarcie razem, uciekali się do przeróżnych sztuczek i forteli. Henryk nagle zrozumiał pociąg Solveig do gierek i sekretów.

Po mieście chodzili za sobą jak związani niewidzialną nicią, trochę tak jak pułkownik i Mavra w czasach prehistorycznych, lecz w znacznie większym odstępnie. Czasem, z pozoru zupełnie przypadkowo, wpadali na siebie na ulicach, rynkach i w sklepach. Potem ich trasy znów się rozchodziły jak dwa wykresy na oscyloskopie, wiły się nieregularnie, lecz w wyznaczonym zakresie, to oddalając się od siebie, to znów przybliżając, by po pewnym czasie ponownie się ze sobą złączyć z dala od przenikliwych spojrzeń ludzkich.

W jedynym miejskim kinie siadali kilka rzędów od siebie i podczas seansu próbowali przesyłać sobie telepatycznie wrażenia i nastroje. Prawie nigdy im się to nie udało.

Do restauracji „Astro” wchodzili osobno, w odstępnie kwadransa. Nie pozdrawiali się i nie zamieniali ani jednego słowa, lecz starali się usiąść stosunkowo blisko siebie. Musieli przecież zachować kontakt wzrokowy. Do perfekcji dopracowali milczącą grę spojrzeń, gdyż gestów i min używali oszczędnie i skrycie.

Czasem, gdy sala była prawie pusta, Henryk zaczynał czytać półgłosem fragment z *Mostu na Drinie* po bośniac-ku, a Mavra, nie wstając od swojego stolika, poprawiała jego wymowę. Dzień przed koncertem Mavry w kościele Henryk doszedł do rozdziału, w którym Abidaga, pełnomocnik tureckiego wezyra do spraw budowy mostu, kazał wbić na pal zbuntowanego serbskiego chłopca Radisa-va, oskarżonego o sabotaż. Dwa stoliki dalej Mavra jadła akurat krwiste chateaubriand. W połowie opowieści podeszła do stolika, przy którym siedział Henryk, i schylając się po tackę z przyprawami, poprosiła, aby do konsumpcji wybrał mniej drastyczny fragment. Zamknął więc książkę i ukradkiem pocałował Mavrę w usta.

Wchodząc do kościoła w grupie innych osób zmierzających na koncert,

Henryk zobaczył za sobą na schodach Sol-veig. Wojewody nie było. W obawie, że nieproszona usiądzie obok niego w ławce, przeszedł chyłkiem do drugiej nawy, wyszedł bocznymi drzwiami i odczekał na dworze aż do ostatniej minuty. Wślizgnął się do środka, gdy muzycy zaczęli już stroić instrumenty, wspiął się na chór i stanął tak, by widziała go tylko Mavra. Siedziała na podwyższeniu twarzą do publiczności i szukała go w ławkach spojrzeniem. Widząc to, wstał i jej pomachał. Gdy go dostrzegła, kiwnęła głową, unosząc mimowolnie smyczek.

Pianistka wzięła ten gest za sygnał do rozpoczęcia koncertu i wzniosła dłonie nad klawiaturę, co widząc, wiolonczelista i altista zaczęli w popłochu przewracać nuty. Kiedy więc nieświadoma całego zamieszania Mavra, kiwnąwszy Henrykowi, opuściła rękę, w kościele zupełnie nieoczekiwanie rozbrzmiały pierwsze takty kwartetu fortepianowego c-moll Faurego, niespecjalnie równo i bez skrzypiec. Kilka osób obróciło się, unosząc zaciekawione spojrzenia ku chórowi. Jedną z nich była Solveig.

Grając Adaggio, Mavra nie spuszczała wzroku z chóru. Gra dla mnie, pomyślał Henryk, właśnie tę część ćwiczyła w domu, zanim przeszła do *Mavry* i podeszła do sofy, a potem pochyliła się i usiadła na mnie!

Mavra kołysała się mocniej od pozostałych muzyków, kołysała się rytmicznie, lecz cokolwiek niesymetrycznie, jak łódź na nierównej fali. Jak fala obmywająca wapienne skały Krety.

Ona jest jak rozfalowane morze, pomyślał Henryk. A ja jestem łodzią, która się na nim unosi. Kołyszę się w jej ramionach jak łódź w objęciach fal. Daję jej wszystko, co mam, a to zaledwie kropla w morzu. Chcę ją osiąść, ale to ona posiada mnie, chwyta w objęcia i trzyma w sobie, jest pode mną i nade mną, jest wszędzie. Jest dla mnie ciepłem, wodą, morską falą, rozkołysaną taflą. Nie marzy mi się czasem powrót do łona matki?

Henryk wymknął się z kościoła jeszcze przed owacją, aby w przerwie nie wpaść gdzieś na Solveig.

W drugim tygodniu od hidzry przyszedł z Petersburga list z taśmą od

pułkownika. Mavra zaproponowała wielkodusznie, by posłuchali jej razem, nie chciała przed nim niczego ukrywać. Henryk jednak wyraził życzenie, by najpierw odsłuchała jej sama, bo nie ścierpiałby zbyt osobistych wynurzeń pułkownika, tym bardziej że nie były one przeznaczone dla jego uszu.

- Skąd mogę wiedzieć, co potrafisz ścierpieć, a czego nie? - odpowiedziała Mavra i poszła z taśmą do swojego pokoju. Po pewnym czasie wróciła z nią do Henryka.

- Niczego nie musiałam cenzurować. Posłuchaj sobie. Dozwolone nawet dla dzieci - odezwała się.

Pułkownik sprawiał wrażenie lekko wstawionego, po zdaniach następowały często długie przerwy, poza tym jednak wysławiał się całkiem wyraźnie. W zrozumieniu go trochę przeszkadzały słyszalne w tle hałasy ożywionego ruchu ulicznego.

„Droga Mavro, będę mówił po fińsku, nie dam rady mówić do mikrofonu po rosyjsku, przychodzi mi to z takim samym trudem, jak mówienie w tym języku przez telefon. Musiałbym widzieć twoją twarz. Prace idą powoli, czego się zresztą spodziewałem, biurokracja w ciągu tych dwóch lat wcale się nie zmniejszyła, raczej wręcz przeciwnie. Część materiałów przeniesiono tymczasowo w inne miejsca, i tak na przykład archiwa ukraińskiej czterdziestej czwartej dywizji z czasów wojny zimowej są w tej chwili nieosiągalne. Dywizja ta nie brała bezpośredniego udziału w walkach prowadzonych na odcinku ojca pod Kuhmo, ponieważ nacierała na Suomussalmi i dostała się w kocioł na drodze do Raate. Niemniej jednak, potrzebowałbym informacji także o niej... Ale nie będę ci więcej głądził o tych sprawach, w końcu co cię to może obchodzić? Hotel jest nowoczesny i nudny, tutejsze córki Koryntu dzwonią bezwstydnie w środku nocy i pytają o poprzedniego lokatora pokoju, a kiedy im mówię, że już tu nie mieszka, chcą wiedzieć, z kim mają przyjemność, i zaraz proponują spotkanie, i tak dalej.

Szukałem tej starej ormiańskiej restauracji, do której zachodziliśmy

często na kolację, kiedy tu studiowałaś, pamiętasz? Nazywała się „Ayastan”, ale już jej nie ma. Wydaje mi się, że zniknęła cała kamienica. Jovan słyszał, że jest tu gdzieś restauracja bałkańska, aleśmy jej nie znaleźli, nawet taksówkarz nie umiał do niej trafić, więc pojechaliśmy do restauracji gruzińskiej „Pirosmani”, gdzie zjedliśmy szaszłyki i napiliśmy się tsinandali. Było drogo, ale smacznie. Przy sąsiednim stoliku siedzieli jacyś oligarchowie albo mafiosi, kto ich tam zresztą odróżni. Ich stoły uginały się od jedzenia i picia, zachowywali się bardzo głośno, kłócili się i śmiali. Nagle, ni z gruszki, ni z pietruszki, wyszli, robiąc mnóstwo zamieszania, prawie nie tknąwszy jedzenia i trunków. Ale to tutaj w dobrym guście, zamawiasz najwystawniejsze dania, prawie ich nie ruszasz, ale bekasz za trzech. Tak rozdrażnili Jovana, że musiałem go uspokajać, inaczej powiedziałby im do słuchu. Tutaj to niezdrowe, a ja raczej nie mógłbym mu pomóc, gdyby wpadł w jakieś tarapaty.

Jovana nie ma tu ze mną w pokoju, zszedł do restauracji na wieczornego drinka. Oby pamiętał, że zabroniłem mu przesadzać z alkoholem. Za chwilę do niego dołączę. Muszę się postarać o szlafmycę, bo inaczej nie zasnę. Niewykluczone zresztą, że i w niej mi się to nie uda. Jeszcze nie przywykłem do zgiełku dużego miasta. Czasem przeklinam tę swoją nadwrażliwość słuchową. Jutro kupię sobie stopery.

Jak ci się udał koncert w kościele? Mam nadzieję, że zjawił się na nim ktoś jeszcze poza miejskimi urzędasami i innymi takimi, co tylko robią dobre wrażenie, takich nigdzie nie brakuje. Próbowałem sobie przypomnieć adagio z tego kwartetu Faurego, z powodzeniem, i teraz od czasu do czasu słyszę je w myślach. Może pójdę tutaj na jakiś koncert, a może do Opery albo Małego Teatru Dramatycznego? Jeśli tylko uda mi się namówić Jovana, aby mi towarzyszył. Poszedłbym bez niego, ale milicjant w hotelu ostrzegł mnie, że jeśli będę poruszał się sam, zwłaszcza wieczorem, niemal na pewno zostanę napadnięty. Nikt się tutaj z niewidomymi nie pieści. Diabelnie to upokarzające, nijak nie mogę się przyzwyczaić do tej mojej bezradności. Chyba zadzwonię do

znajomych oficerów, w ich towarzystwie nie będę musiał zważać na każdy krok.

Dziwne, jak stare wojny łączą ludzi, nawet jeśli przyszło im walczyć po przeciwnych stronach. Gdyby ojciec miał świadomość, że najlepiej rozumieją go jego dawni wrogowie, nie pojechałby pewnie za ocean zebrać janke-skiego współczucia. Co ich obchodzą nasze sprawy? Przecież oni nic o nas nie wiedzą. W Bośni kierują wielką operacją sił pokojowych, nie mając nawet bladego pojęcia, gdzie się znajdują.

Wczoraj przechodziłem obok tego hotelu, w którym spędziliśmy naszą zakichaną noc poślubną. Zmienili nazwę. Pewnie zdjęli też ze ściany tę miedzianą tablicę.

Odsłuchałem to, co do tej pory nagrałem, okropny ze mnie zrzęda. To przez ten mroczny wieczór. I klimat Petersburga. Wypiłem trochę, ale zbyt mało, a w takich sytuacjach bywam melancholijny i nieco sentymentalny. Chciałem do ciebie zadzwonić, ale się rozmyśliłem, bałem się, że przez telefon też będę ci marudzić. Więc nie przeszkadzałem. Dobranoc”.

Przez długi czas głośnik milczał. Wtem Henryk usłyszał świszczący oddech i pokasływanie, po czym w tle pojawiły się nowe odgłosy: pułkownik był teraz na dworze. Przez chwilę było słycać Jovana, który powtarzał coś w kółko. Pułkownik zaczął mówić dalej:

„Teraz jest rano. Jesteśmy z Jovanem na Krestowskim Ostrowie, przyszliśmy tu pooddychać trochę świeżym, rześkim powietrzem. Siedzimy na ławce przy skwerze. W jego centrum stoi kiczowaty pomnik Puszkina, wysoki filar z czerwonego granitu, na którym widnieje brązowy relief poety. Tu właśnie odbył się ów słynny pojedynek i tu przeszła go kula wystrzelona przez tego Francuza d Anthesa. Jestem w tym miejscu po raz pierwszy. Pomyślałem sobie, że tu zajrzę, w końcu Puszkina jest twoim ulubionym poetą. Albo przynajmniej był. Teraz już wiem, jak wyglądał ten pojedynek. Pewien raczej starszy jegomość bardzo chciał się z nami podzielić swoją wiedzą na ten temat. Powiedział, że pracował niegdyś jako wykładowca na uniwersytecie. Starowina

był bardzo żywy i gadał jak najęty. Żałuję, że nie przyszło mi do głowy, aby go nagrać. Starowina, dobre sobie! Nie więcej niż kilka lat ode mnie starszy. No, ale w końcu i ja jestem już dziadkiem. Jovan mi powiedział, że gość miał na głowie czarną ba-skijkę, całą w pajęczynach! Były wykładowca opowiedział nam jeszcze, co napisał o tym pojedynku Nabokov. Byłaby to wyborna historia, gdyby nie to, że postradał w niej życie sam Puszkina.

No, więc było to tak. Przyjechali tutaj saniami, Puszkina, d'Anthes i ich sekundanci. Brzegi Czarnej pokrywał wówczas gęsty bór sosnowy. Na skraju lasu wyznaczono dziesięciometrowy pas i dwa koguty stanęły twarzą w twarz.

Czy raczej, plecami do siebie. Naoczny świadek twierdził, że Puszkina odwrócił się po pięciu krokach, ale Francuz zrobił tylko cztery i strzelił pierwszy, trafiając Puszkina w brzuch! Przecież za taki numer powinien zostać od razu zdyskwalifikowany! To było zwyczajne morderstwo. Gdy Puszkina upadł, wstrząśnięty Francuz podbiegł do niego, lecz poeta był przytomny i kazał mu się cofnąć na skraj wyznaczonego pasa, ponieważ jeszcze nie skończył, tak mu podobno powiedział. I że w zasadzie, to jeszcze w ogóle nie zaczął. Jego pistolet zarył lufą w śnieg i nie można już było z niego strzelać, wobec czego podano mu drugi, nabity. Puszkina uniósł się trochę i rękę, w której trzymał pistolet, oparł na czymś, ale nie zrozumiałem na czym, wycelował i strzelił. Trafiony Francuz upadł na ziemię. Puszkina myślał, że faceta zabił. Wykrzyknął z radości i odrzucił pistolet, lecz okazało się, że trafił Francuza tylko w rękę. Twardy był z niego zawodnik jak na poetę! Puszkina zmarł dwa dni później, Francuzowi zaś kazano opuścić Rosję, co mu zresztą nie przeszkodziło w karierze, bo dochrapał się potem we Francji rangi senatora. Czyż to nie zabawna ironia losu?

Zdania są podzielone, czy żona Puszkina, Natalia, faktycznie uwiodła kawalera d'Anthesa, czy też nie. Dziadek Baskervillów przychylił się do opinii, że kobieta była tak piękna, iż nie musiała tego robić, bo i tak wszyscy mężczyźni szaleli na jej punkcie. Kto wie, może należało ją ukarać za tak

niezwykłą urodę i zabronić wychodzenia z domu bez głębokiego kaptura na głowie? Wy, piękne kobiety, nie macie łatwego życia. Jednego możesz być pewna: ja się za pięknymi kobietami nie oglądam.

Skoro o tym mowa, przyszło mi do głowy - nie wiem, skąd to skojarzenie - że gdybym czasem nie dożył powrotu do domu, na przykład wpadł pod samochód albo udławił się kotлетem po kijowsku, nie sprzedawaj lasu Gropiusowi. Nie sprzedawaj, choćby wojewoda błagał cię na kolanach. Postanowiłem, że nikt nie będzie robił z mojej ziemi żwirowni. Parę drzew możesz sprzedać, ale na karczowanie nie wyrażam zgody...”.

Pułkownik przeszedł na rosyjski i Henryk przestał go rozumieć. Domyślił się, że są to sprawy natury bardzo osobistej i nie powinien dalej słuchać, nawet jeśli nie rozumiał słów pułkownika. Zostawił zatem Mavrę samą, poszedł do kuchni i odkręcił kran z zimną wodą.

Pułkownik potrafił dobierać słowa. Niby przy okazji napomknął o znanych restauracjach i hotelach, no i nie zapomniał o Puszkynie. Żeby ona nie zapomniała ich wspólnej przeszłości. Cienie i blaski Petersburga. Zimny wiatr od morza rozwiewający jej czarne włosy na brzegu Mojki. Samotna śmierć w cieniu Pałacu Admiralicji.

Mavra przysłała po chwili i zaczęła się w milczeniu krzątać po kuchni.

- Sprawy się wyjaśniły? - zapytał Henryk.
- Nie musiałeś wychodzić - powiedziała.
- Ale wyszedłem. Kiedy zaczął mówić po rosyjsku.
- Wyjaśnił mi jeszcze raz tę sprawę z lasem, żebyś go na pewno zrozumiała.

-1 rozumiałaś?

- Nie wszystko. Był trochę wstawiony.
- Ale w bardzo czarujący sposób - zauważył Henryk.
- Nie możesz być o niego zazdrosny.
- Znieważyłbym go, gdybym nie był - odpowiedział. Tego wieczoru

Mavra była milcząca i nieobecna, ale nie próbowała udawać, że jest inaczej. Henryk chciał jej zaproponować, by spali osobno, ale zdążyła go ubiec. Nie próbowała nawet uzasadnić swojej prośby, a on nie nalegał. Poszła do sypialni pułkownika, nie pocałowawszy Henryka na dobranoc. Tak było lepiej. Może nad ranem duch pułkownika znów pomknie nad wodami ku brzegom Wielkiej Newy?

ROZDZIAŁ CZWARTY

PROBLEM Z LUSTRZANYM ODBICIEM

Męskie wystąpienie pułkownika sparaliżowało na pewien czas tantryczne możliwości Mavry i Henryka, i czerwony dywan za nic nie chciał oderwać się od ziemi. Nie pytali siebie o przyczynę tego stanu rzeczy i starali się o nim nie myśleć. Dwie noce spędzili oddzielnie, zgodnie bowiem postanowili, że nie będą spać razem, jeśli oboje nie będą tego chcieli.

Trzeciej nocy, gdy Mavra znów poszła do pokoju pułkownika, Henryk starannie okleił szkła i oprawki swoich okularów przeciwsłonecznych czarną taśmą izolacyjną, tak by do oczu nie przedostał się znikąd najmniejszy promień światła. Założywszy je na nos i odnalazłszy odtraconą białą laskę pułkownika, wyszedł po omacku na dwór.

Ruszył ścieżką przez sad, stukając laską po skostniałym od mrozu piasku. Mimo że teren na tym odcinku był w miarę płaski, poruszanie się w nim na ślepo nie było wcale łatwe. Wyobraził sobie pułkownika w stromych uliczkach małego abruzyjskiego miasteczka, wspinającego się po krętych stopniach w absolutnej, nieprzeniknionej ciemności.

Dzięki wielkiemu skupieniu udało mu się ominąć ławeczkę, lecz wpadł przy tym w krzak, z którego wycofał się prosto na niską jabłoń, zadrapując boleśnie wrażliwe jeszcze ramię. Stracił orientację, gdyż posuwał się wolno i drobnymi kroczkami. Zaczął sobie uzmysławiać, że szybkość ruchu wpływa na to, jak człowiek postrzega swoje otoczenie.

Drepcząc niepewnie, dotarł do żywopłotu na końcu ścieżki i mógł wreszcie ruszyć normalnym krokiem w stronę pomostu. Zatrzymywał się co jakiś czas, by posłuchać pluskających leniwie fal. Jeszcze nigdy tak dokładnie się im nie przysłuchiwał. Doszedł do pomostu, ustawił się po omacku mniej więcej pośrodku platformy i postanowił przejść bez laski do samego końca.

Lecz już w połowie drogi był przekonany, że nie idzie prosto, tylko zbliża się nieuchronnie do bocznej krawędzi i lada chwila postąpi w próżnię i wpadnie do wody. Zaczął stukać laską wokół siebie, skrócił krok i zwolnił. Zdawało mu się, że całą wieczność szukał ławeczki na końcu pomostu. Wyczerpany z napięcia przysiadł na niej, dziwiąc się, skąd u niego ten lęk i niezdarność. Położył się na plecach i wyteżył słuch, chciał posłuchać, co mają mu do powiedzenia ziemia, woda i powietrze. Ale nie usłyszał nic, żywioły zupełnie go zignorowały. A może po prostu nie potrafi ich należycie słuchać? Miał nadzieję, że za chwilę wyłowi w mroku lekkie kroki Mavry. Niemal poczuł już na czole jej dłoń, czekał, aż ujmie go za rękę i poprowadzi z powrotem, położy do łóżka i przytuli się do niego.

Poczuł chłód. Wrócił do domu tą samą drogą, ale powrót wcale nie był łatwiejszy, musiał bowiem odtworzyć w pamięci lustrzane odbicie całej trasy, a było to piekielnie trudne.

Wreszcie dotarł jakoś do schodów i dłuższą chwilę stał pod drzwiami. Dzwonek się zepsuł, lecz Henryk uznał, że naprawa nie leży w jego gestii, gdyż ma w tym domu status co najwyżej przygodnego gościa. Uniósł dłoń, żeby zapukać w okienko drzwi. Nie musiał tego robić, ponieważ wychodząc, zablokował zatrzask, pomyślał jednak, że jeżeli zapuka, może zbudzi Mavrę, która spała w sypialni pułkownika na piętrze. Wtedy ona zejdzie na dół, otworzy drzwi i zobaczy na progu mężczyznę w ciemnych okularach i z białą laską, a z tego mogłoby coś wyniknąć. Henryk nie miał wprawdzie zielonego pojęcia co, lecz byłby to krok w tę lub inną stronę, byłby to koniec pewnej epoki i być może początek nowej.

Nie zapukał jednak, pchnął drzwi i minął przedpokój, dotarł do schodów i zaczął powoli wchodzić na górę. Nie dotykając ścian, przeszedł długi korytarz, lecz w salonie obok kominka zwolnił i zaczął po omacku szukać drzwi do pokoiku Mavry, z którego wyruszył na wyprawę w głąb nieodgadnionej ciemni. Drzwi były uchylone. Dopiero gdy się rozebrał, przez głowę przebiegła mu

myśl, że przecież wychodząc, zamknął je za sobą. Zamarł i obrócił głowę w stronę łóżka, wstrzymał oddech i wyteżył słuch, niczego jednak nie usłyszał. Zaczął się zbliżać do posłania drobnymi kroczkami, z wyciągniętymi w przód rękoma, próbując sobie przypomnieć, czy nie zostawił czasem włączonego światła. Zdawało mu się, że usłyszał dobiegający z łóżka szmer, więc zerwał z oczu zaklejone okulary. W pokoju było ciemno, choć oko wykol, okna szczelnie zasłonięto. Henryk przysiadł na skraju niskiego łóżka, położył dłoń na kołdrze i wyczuł pod spodem ciało Mavry.

- Randka w ciemno? - zapytała zaspanym głosem, objęła go obiema rękami i przyciągnęła do siebie. Nie wiedział, czy zauważyła go paradującego w ciemnych okularach, czy też miała na myśli panujący w pokoju gęsty mrok.

Falując w objęciach Mavry, dostrzegał zarys jej twarzy i ciała. Zamknął oczy, lecz miał wrażenie, że widzi jej obraz nawet przez mocno zaciśnięte powieki. Nigdy nie uda mu się wczuć w położenie pułkownika.

Na lekcji historii w drugiej licealnej między grupami rozpętała się prawdziwa wojna. Henryk przeznaczył na szczegółową analizę sytuacji na Bałkanach dwie godziny lekcyjne, zjawił się jednak dopiero w połowie pierwszej, gdyż w szpitalu długo czekał na zdjęcie szwów z ramienia. Gdy przyszedł do szkoły, w klasie trwały już regularne walki. Grupa serbska za nic nie chciała zaakceptować proklamowanej przez promuzułmańską grupę bośniacką niezależnej, wielonarodowej federacji, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że będzie stanowić w niej mniejszość. Negocjacje Serbów z grupą chorwacką w sprawie podziału Bośni zostały zerwane, Chorwaci nie dowierzali serbskim zapewnieniom, bo ciągle pamiętali im proklamowanie niezależnej republiki serbskiej w Kraji-nie, która znalazła się w granicach nowo powstałej Chorwacji. Serbowie odwołali się do prawa pięści, przypierając bośniackich muzułmanów do ściany. Chorwaci początkowo sprzymierzyli się z Bośniakami przeciw Serbom, lecz rychło pokłócili się z nimi o Mostar. Wszyscy nawzajem miotali pod swoim adresem ciężkie oskarżenia, groźby i

przekleństwa. Dziewczęta uformowały ponad podziałami wspólny front pacyfistyczny, broniąc koleżanek przed atakami rozsierdzonych chłopców. Najbrutalniejsza jednak okazała się grupa przedstawicieli wojsk NATO, która ingerowała we wszystkie utarczki, pięścią i butem naginając pieprzonych śmierdzieli i zaprzańców do przyjęcia podyktowanego im przez Zachód pokoju.

Henryk patrzył na tę bratobójczą wojnę, stojąc w drzwiach klasy, ale nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Wyciągnął więc z kieszeni kurtki swoje zaklejone ciemne okulary, założył je na nos i stukając w podłogę wskaźnikiem do mapy, ruszył w stronę katedry. Szarpanina i krzyki zaczęły stopniowo zamierać, aż wreszcie w klasie zapanowała całkowita cisza. Nim ktokolwiek zdążył zapytać, co mu się stało, oświadczył, że przyszedł wysłuchać ich wystąpień jako ślepy wysłannik Temidy. Ponieważ jest niewidomy, nie dostrzega żadnych różnic między reprezentowanymi przez nich grupami etnicznymi. Co więcej, nie musiał ich wcale długo słuchać, by stwierdzić oczywiste podobieństwa. Wszyscy mówią tym samym językiem i zachowują się równie niedorzecznie. Nie chce ich zatem widzieć, by móc zachować całkowitą bezstronność. Jest gotów wysłuchać każdej grupy po kolei, nikogo nie faworyzując, pod warunkiem że wystąpienia będą spokojne i kulturalne. Dla uzasadnienia swoich roszczeń, pretensji i propozycji reprezentanci wszystkich stron mogą cofnąć się w czasie najwyżej o dwadzieścia lat. Powiedział, że z historii płynie wyłącznie jedna oczywista nauka, a mianowicie ta, że na jej tak zwane świadectwa powołują się ludzie, którzy nie mają o niej zielonego pojęcia, nie potrafią i nawet nie starają się spojrzeć na nią obiektywnie, wykorzystują ją jako narzędzie polityczne, nie pozwalając innym zapomnieć o zadawnionych krzywdach i przywilejach, zwycięstwach i klęskach, nienaruszalnych granicach, uświęconych krwią polach bitew oraz kolebkach i cmentarzach swoich narodów.

Słuchał ich cierpliwie, najpierw najliczniej reprezentowanych Bośniaków, potem Serbów, wreszcie Chorwatów. Prostował rażące błędy rzeczowe i przypominał, że nie są na wiecu politycznym ani w parlamencie. Na koniec

oddał głos przedstawicielom sił zbrojnych NATO. Potem dał klasie chwilę na swobodną wymianę poglądów i komentarzy do poszczególnych wystąpień. Uspokajał rozpalone emocje, ani na chwilę nie tracąc kontroli nad całością. Uważał, że było to możliwe tylko dzięki temu, że wystąpił w roli ślepego wysłannika Temidy.

Pod koniec drugiej lekcji Henryk zdjął okulary i zauważył, że z tyłu klasy siedzi dyrektor. Zrozumiał wtedy, że także jego obecność w jakimś stopniu wpłynęła na względny ład podczas zajęć. Dyrektor podziękował mu za interesującą lekcję i wyjaśnił, że przyszedł do klasy zobaczyć, co się dzieje, gdyż poskarżono się na dobiegające stąd hałasy i krzyki, lecz gdy wszedł do środka i stwierdził, że wszystko jest cacy, został, bo był ciekawy rozwoju wypadków. Ze stylem ślepego w nauczaniu historii wcześniej się nie zetknął, ale przyznaje, że metoda jest interesująca. Znał nauczycieli, którzy udawali głuchych, by jakoś przetrzymać do dzwonka, lecz jeszcze nikt w tej szkole nie próbował ślepnąć. Przyznał też, że kamień spadł mu z serca, bo gdy zobaczył nauczyciela historii w tych okularach, od razu pomyślał, że biedak na pewno upadł w ciemnej szopce twarzą na widły.

W weekend Henryk i Mavra pojechali do większego miasta z dala od wybrzeża, by móc chodzić razem po ulicach, zjeść obiad w restauracji przy tym samym stoliku i usiąść obok siebie w kinie. W recepcji hotelowej przedstawili się jako państwo Watra, a że Mavrze nie przyszło do głowy żadne inne imię, wpisała więc „Mavra Watra”, by zaraz potem, czerwieniąc się, pośpiesznie poprawić „v” na „u”.

Od razu też postanowili wypróbować szerokie, podwójne łóżko i zaczęli się kochać w środku dnia niczym turyści wyrwani z okowów powszedniości. Zjedli lunch w greckiej restauracji, gdzie usiedli obok siebie na ławie. Jedli dwie godziny, nie odzywając się do siebie, nie odczuwając nawet potrzeby utrzymywania kontaktu wzrokowego. Wystarczyło im, że dotykają się udami i ramionami i że od czasu do czasu mogą podkraść sobie z talerzy wybrane

smakołyki. Mavra powiedziała, że ona ureguluje rachunek, i Henryk nie oponował, mimo że kelner najwyraźniej tego oczekiwał. On jednak postanowił godzić się na wszystko, co tylko sprawi jej radość, chciał, aby czuła się szczęśliwa. Jeśli zatem chce mu zapłacić za ich hotelowy seks, nie ma nic przeciwko, bo los nie obszedł się z nią łaskawie, inaczej niż z nim. Henryk powiedział to na głos i Mavrze tak się to spodobało, że obiecała mu płacić za każde pójście z nią do łóżka. Co prawda cena będzie wyłącznie symboliczna, gdyż z powodu braku szerszego doświadczenia nie potrafi oszacować realnej wartości ich seksu. Henryk przystał na to, pod warunkiem że owa symboliczna zapłata będzie zawsze taka sama, bo nie chciał znać symbolicznej oceny swoich poszczególnych aktów płciowych. Powiedział, że zostanie jej żigolakiem, ale w zamian chciałby, żeby ona pomogła mu wczuć się w położenie człowieka, który niedawno stracił wzrok i znalazł się nagle w nieznanym sobie mieście. Oburzona Mavra odmówiła udziału w podobnym eksperymencie. Henryk odparł, że w takim razie wyjdzie na ulicę sam.

- Naprawdę chcesz się bawić w niewidomego? - zdziwiła się Mavra.

- To nie zabawa. Muszę wiedzieć, jak to jest - nalegał.

- W ten sposób się nie dowiesz.

- Innego sposobu nie znam.

- No to idź sobie na ulicę i wpadnij pod samochód - palnęła nieco rozdrażniona. - Nie idę z tobą.

W hotelu Henryk wyjął z torby składaną laskę pułkownika, założył swoje zaklejone okulary i ruszył do drzwi.

- Poprowadź mnie teraz tak, jak prowadzisz pułkownika - poprosił.

- Śmiesznie wyglądasz w tych okularach - oceniła.

- Nie wolno się śmiać z niewidomych - wytknął jej Henryk.

- Dokąd chcesz iść? - zapytała.

- Na skocznię narciarską - odpowiedział Henryk.

Do skoczni szło się przez centrum miasta. Był popołudniowy szczyt i gdy

przechodzili przez ruchliwe ulice, Henryk trzymał Mavrę mocno za ramię. Minęło trochę czasu, nim wreszcie się rozluźnił i pozwolił jej lekko się prowadzić. Powoli w zgiełku miasta zaczął po odgłosie odróżniać samochody zbliżające się od oddalających oraz oceniać, jak są daleko. Na widok niewidomego z przewodnikiem ludzie grzecznie schodzili im z drogi. Gdy Henryk to sobie uzmysłowił, przestał się obawiać, że ktoś na niego wpadnie.

Poczuł się swobodniej i wydłużył krok, i teraz inni musieli bardzo uważać, żeby to on nie wpadł na nich. Gdyby Mavra nie szarpnęła go mocno za ramię i nie pociągnęła w bok, zderzyłby się z wózkiem, kuśtykającą o lasce staruszką i psem przewodnikiem jakiegoś niewidomego.

Przy wieży na stoku skoczni Mavra zeszła z Henrykiem ze ścieżki i przez rzadki, sosnowy zagajnik poprowadziła go nad stromy skraj doliny. Zatrzymała się i zakręciła Henryka kilka razy w kółko, po czym puściła go i odeszła kilka kroków w bok.

- Gdzie zniknęłaś? - zapytał Henryk.

- Tutaj jestem - odpowiedziała. - Stoisz na skraju przepaści. Poniżej jest dolina. Nie powiem ci, z której strony. Jeszcze chcesz się bawić?

- Dopiero teraz zrobiło się interesująco - stwierdził Henryk i zrobił krok w stronę doliny.

- Nie potrzebujesz mi już niczego udowadniać - powiedziała Mavra.

- Co ty możesz wiedzieć o moich potrzebach?

- Zdejmij z oczu te okropne okulary! - krzyknęła.

- Boję się - odparł Henryk. - Mam lęk wysokości. Idę do ciebie.

Ruszył w kierunku, z którego dobiegał głos Mavry, potknął się o wystający korzeń, wstał, klnąc na czym świat stoi, i ruszył w przeciwną stronę, ale od razu wpakował się na drzewo. Ponownie zmienił kierunek i zaczął się zbliżać w stronę zbocza.

- Stój! - zawołała Mavra. Pomknęła ponad pniami i kamieniami niczym gazela, zatrzymała go i zerwawszy mu z twarzy okulary, cisnęła je w dół,

uderzyła go w twarz i pobiegła przez zagajnik ku ścieżce.

Henryk dogonił ją dopiero na dole, na ulicy, i do hotelu szli w milczeniu. Tam Mavra oświadczyła, że ma dość wrażeń jak na jeden dzień, że nie jest głodna i nie ma na nic ochoty, idzie spać i byłaby bardzo szczęśliwa, gdyby mogła spać sama. Henryk zszedł do baru się napić.

Kiedy wrócił, w pokoju było ciemno, a Mavra spała. Włączył lampkę nocną i położył się obok. Pogładził jej włosy i szyję w nadziei, że się obudzi. W końcu zgasił światło, położył się i w milczeniu przyglądał cieniom na suficie. Długo nie mógł zasnąć. W barze przemyślał sobie sporo spraw. W głowie kotłowały mu się najróżniejsze obrazy. Znow włączył lampkę.

- Skoro śpisz, to sobie śpij, ja muszę się wygadać. Jestem pijany, ale umysł mam rzecki jak mało kiedy. Myślałem nad tym naszym życiem, twoim i moim, razem i z osobna. Przez moje przeszedł huragan, i to tak potężny, że wszystko zostało wywrócone do góry nogami i już nigdy nie wróci na dawne miejsce. Za to twoje życie opiera się na solidnych podstawach i niewiele by się w nim zmieniło, nawet gdybym zniknął czy został usunięty. Jest to tak oczywiste, że w końcu sam na to wpadłem.

Nie doczekawszy się żadnej reakcji, Henryk ciągnął dalej spokojnym, monotonnym głosem:

- Myślę, że Jovan miał jednak rację - zrosłaś się z pułkownikiem, a on z tobą. Dał mi do zrozumienia, że nie dasz rady spłacić swojego długu wdzięczności wobec pułkownika do końca życia, choć nie pamiętam czyjego. To oczywiste, że gdy jeden człowiek ratuje drugiemu życie, a trzeciego wyciąga z więzienia, i na dodatek cała trójka mieszka pod jednym dachem, to rodzi się między nimi tak silna więź i zależność, że o podobnym długu głupio nawet mówić. To zresztą zbyteczne, gdyż nic go nie anuluje i nikt o nim nie zapomni, ani uratowani, ani ich wybawca. Pułkownik oczekuje, że po powrocie wszystko będzie tak, jak było, a w każdym razie ma taką nadzieję. A ty nie możesz jego nadziei zawieść, gdyż twój dług wobec niego jest niepomierny. Tak ja to widzę.

Chciałem ci to powiedzieć i powiedziałem. Nie miałem zamiaru nikogo o nic obwiniać, stwierdzam jedynie fakty, licząc, że albo przyznasz mi rację, albo wykażesz ponad wszelką wątpliwość, że jest inaczej.

Henryk umilkł w oczekiwaniu na jakąś odpowiedź czy reakcję ze strony Mavry, lecz ona nadal leżała z zamkniętymi oczyma.

- Sam diabeł by się nie połapał, czy ty śpisz, czy nie śpisz i wszystko słyszysz - odezwał się znowu Henryk. - Przemyślałem więc sobie twoje dotychczasowe życie, na tyle, na ile coś mi o nim wiadomo, i doszedłem do wniosku, że już czas, byś wyciągnęła głowę z piasku i przyznała, że zbliżasz się do jakiegoś rozdroża. Możesz żyć tak jak do tej pory jeszcze kilka lat, lecz w pewnym momencie poczujesz, że twoja droga staje się coraz bardziej stroma. Ale możesz też od razu, za jednym zamachem, zerwać z przeszłością i zamieszkać u mnie. Zacząć ze mną nowe życie. Czy można to uważać za oświadczyzny? Pewnie, czemu nie. No więc, oświadczam ci się.

Henryk szturchnął delikatnie Mavrę, lecz ona tylko mruknęła i nasunęła sobie kóldrę na oczy.

- Moja oferta jest ważna do rana - dodał Henryk i zgasił światło.

Gdy się obudził, stwierdził, że nie czuje się najlepiej i nie pamięta, gdzie jest. Stopniowo zaczął sobie uświadamiać własne położenie - leżał nago, na brzuchu, w niewygodnej pozycji, z rękoma na plecach. Uniósł głowę z poduszki, ale niczego nie zobaczył. Oczy miał zaklejone, dłonie skrępowane taśmą klejącą. Przekręcił się na plecy, spod taśmy sączyło się światło. Przetoczył się po łóżku z jednego końca na drugi, Mavry nie było. Usiadł i wyteżył słuch. W pokoju panowała cisza. Zaczął szarpać rękoma, ale taśma trzymała bardzo mocno. Zaklął i zawołał Mavrę. Przełożył nogi przez krawędź łóżka, wstał i ostrożnie podszedł do krzesła, na którym zostawił spodnie, odwrócił się do niego plecami i zaczął macać kieszenie w poszukiwaniu scyzoryka. Nie znalazł go. Wycofał się wolno w stronę łazienki, namacał klamkę i z trudem otworzył drzwi, podszedł do muszli klozetowej, usiadł i oddał

mocz.

Gdy wrócił do pokoju i usiadł na łóżku, żeby przemyśleć sytuację, usłyszał z rogu pokoju głos Mavry:

- Jeszcze chcesz się bawić?

- To ty mnie tak urządziłaś? - zapytał.

- Taśmę znalazłam w twojej torbie, okleiłeś nią okulary. Pomyślałam, że chciałbyś zobaczyć, jak to jest obudzić się niewidomym.

- Dlaczego związałaś mi ręce?

- Żebyś nie mógł zdjąć taśmy. Żebyś przez krótką chwilę miał pojęcie, co znaczy naprawdę nie widzieć, nieodwołalnie, bez nadziei, że kiedykolwiek odzyskasz wzrok.

- Musiałaś mnie w tym celu rozebrać do naga?

- Sam się po pijaku rozebrałeś i próbowałeś mnie posiąść. Nie słuchałeś, kiedy powtarzałam, że tego nie chcę.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zamierzałem cię zmusić?

- Byłeś na to za bardzo pijany, zasnąłeś w trakcie.

- Zgwałciłaś mnie w odwecie? - zapytał Henryk, bo przypomniał sobie powieść, w której autorka zastanawiała się poważnie, czy mężczyznę można zgwałcić. Nie pamiętał jednak, na czym stało. Mavra nie odpowiedziała. Henryk pożałował głupiego żartu i już otworzył usta, aby ją przeprosić, ale za późno. Mavra zakleiła mu usta i powaliła na łopatki.

- Pozwalasz sobie na żarty ze spraw, o których nic nie wiesz - powiedziała głosem głuchym od tłumionej wściekłości. - Twoje podręczniki historii nie mówią, jak gwałcono kobiety w Bośni? Jak przydatna do tego celu okazała się właśnie taśma izolacyjna? Jak zaklejano nią oczy i usta i wiązano ręce za plecami?

Henryk gwałtownym ruchem szczęki oswobodził usta, jednym kawałkiem taśmy nie można ich było zakleić.

- Do kogo ta mowa! - krzyknął. - Czy ci się nie oświadczyłem?

- A czy nie każdy mężczyzna mógłby być gwałcicielem? To tylko kwestia okoliczności, nawet ty byś zgwałcił. Czym niby różnisz się od innych? Tym, że po pijanemu oświadczyłeś się żonie innego mężczyzny? Że przypląnąłeś na mój pomost i spoliczkowałeś mnie stwierdzeniem, że spłacam swój dług wdzięczności wobec pułkownika własnym ciałem? Nadal tak uważasz, przywykłeś już do tej myśli i próbujesz jakoś ją obłaskawić, wspaniałomyślnie pochylając się nade mną z tą swoją miłością. Wydaje ci się, że jesteś taki szlachetny i tak dobrze znasz się na ludziach, ale bezustannie mnie obrażasz. Słyszałam ten twój monolog. Spójrz na mnie!

Mavra zerwała taśmę z oczu Henryka. Jej spojrzenie było głębokie, twarz blada i nieporuszona.

- Znudziła ci się zabawa? Już nie chcesz być moim nowym pułkownikiem? Cieszysz się, że jednak nie oślepieś?

- Uwolnisz mi ręce? - poprosił Henryk, ale Mavra ciągnęła bezlitośnie:

- Pułkownik widzi więcej niż ty. Nie chcę dwóch ślepców. Otwórz oczy i uszy, to cię oświecę. Mogłam powiedzieć ci to wszystko już wtedy, na pomoście, lecz byłam tak zawiedziona i zła, że nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa. Wiedz zatem, że mój dług wdzięczności wobec pułkownika został już spłacony. Ta sprawa, która tak bardzo cię nurtuje i dla której najpierw oszedłeś, a potem mi się oświadczyłeś, została raz na zawsze zamknięta. Nie ja ów dług spłaciłam, lecz Jovan, ratując pułkownikowi życie, gdy po wjechaniu na minę oślepiony i ciężko ranny znalazł się pod ostrzałem Serbów. Ojciec rzucił się między nich i tak długo przekonywał, aż wreszcie darowali mu życie. Potem zaniósł pułkownika na plecach w bezpieczne miejsce i załatwił mu szpital. Tak że to ojciec go uratował, ryzykując przy tym własne życie. A zatem żadnego długu wdzięczności nie ma i jesteśmy z pułkownikiem kwita. *Poniał*.

- Całkowicie - odpowiedział Henryk.

Mavra przecięła taśmę nożyczkami do paznokci. Henryk roztarł nadgarstki i spojrzał na Mavrę innymi oczami. Wtedy uderzył ją pięścią w

twarz. A potem podniósł się z łóżka, obrócił do niej plecami i zaczął się ubierać. Mavra pobiegła do łazienki, trzaskając za sobą drzwiami. Henryk usłyszał, jak puszcza wodę z kranu. A więc to koniec, zdechł pies? I tylko szum wody w łazience i drzwi, które stanęły między poniżonym adoratorem i jego pobitą kochanką? Coś się beznadziejnie popsuło. Henryk miał ochotę kopnąć w te drzwi, ale nie zrobił tego, bo wiedział z doświadczenia, że noga mogłaby przejść na wylot i ugrzęznąć w dziurze. Jeszcze mu tylko gagów w tym dramacie brakowało. Dosyć go już ośmieszono. Sam już dosyć się ośmieszył. Złapał za krawędź łóżka i cisnął nim o ścianę. Trochę mu ulżyło, więc ustawił łóżko z powrotem, włożył materac w ramę i zaczął pospiesznie układać pościel.

Mavra wyszła z łazienki, trzymając przy oku mokry ręcznik. Podeszła do szafy i zaczęła oglądać twarz w lustrze.

- Będę miała siniaka - powiedziała.

- Musiałem. Teraz jesteśmy kwita - stwierdził Henryk.

Mavra była zdumiona wyglądem łóżka, zaczęła poprawiać prześcieradła i kołdry i klepać poduszki.

- Co teraz z nami będzie? - zapytała.

Usiadła na pościeli z podkurczonymi nogami. Z ręcznika kapiała na prześcieradło krew. Henryk przełknął złość i upokorzenie i usiadł obok.

Mavra przytuliła się do niego. Po chwili wybuchnęła gorzkim płaczem. Henryk przycisnął ją mocno do siebie i zaczął dmuchać na jej policzek. Łzy Mavry spływały mu po twarzy i szyi na pierś. Głaskał ją po włosach i ramionach, aż się uspokoiła. Pochlipywała już tylko z rzadka, wreszcie westchnęła i zasnęła w jego ramionach.

Henryk obudził się po dwóch godzinach. Przykrył Mavrę, zebrał swoje rzeczy i na pretensjonalnym hotelowym papierze skreślił kilka słów.

Na dworcu autobusowym wszedł do baru i zapił kaca kuflem piwa.

W autokarze wciąż od nowa układał swój krótki list do Mavry, lecz jego treść zawsze była ta sama:

„Nie wiem, jaką krzywdę wyrządzono ci w twojej rodzinnej wsi, mogę się tylko domyślać. Jeśli nie powiesz, zabije cię to. Albo ty odbierzesz komuś życie”.

ROZDZIAŁ PIĄTY

PĘCHERZE CZASU

Padał zimny deszcz, Henryk jechał taksówką Kiljandera z dworca autobusowego w N do domu. Wybrał dłuższą trasę, drogą po drugiej stronie rzeki. Henryk zagaił rozmowę o sukcesach Finów w wyścigach Formuły i rajdach samochodowych, założył bowiem, że Kiljander interesuje się sportem. Taksówkarz starym zwyczajem cały czas potakiwał. Tuż przed rozjazdem Henryk poprosił go, żeby zjechał na starą szosę.

- Na starą szosę, się wie - przytaknął Kiljander, jakby stwierdzał rzecz oczywistą. Po pewnym czasie powiedział niespodziewanie, że nie ogląda wyścigów, bo w ogóle go nie interesują. Henryk przyznał, że i on jakoś zupełnie się nimi nie pasjonuje.

- Ja wręcz nie mogę na nie patrzeć - dodał Kiljander, który zasmakował już w tym negatywnym potakiwaniu, i zadowolony zatrzymał się przed bramą domu pułkownika. Henryk powiedział, żeby nie wjeżdżał na podwórze, bo on wstąpi tylko na chwilę nakarmić psa, gdyż jego pani wyjechała i chyba jeszcze nie wróciła.

- Nie wróciła. Nie wjeżdżał tu dziś żaden samochód - powiedział Kiljander, wskazując na zwirowy podjazd po drugiej stronie bramy. Jak Winnetou pokazujący ślady kopyt Old Surehandowi, pomyślał Henryk i spojrzał na mokry, czysty żwir. Nie potrafił jednak nic z niego wyczytać.

Maotse pobiegł w jego stronę na tyle, na ile pozwalała mu długa smycz, wspiął się na tylne łapy i zaszczekał, po trosze z radości, że ktoś jednak przyjechał, po trosze z żalu, że to nie Mavra. Henryk dał mu kanapkę z mięsem i zaczął uspokajać psa. Mavra niedługo wróci i nagrodzi go swoją cierpiętniczą miłością, a on będzie jadł z jej małych, mocnych dłoni sirnicę i ćevapíce. Wyobraził sobie Mavrę budzącą się w hotelu samą z ciężkiego snu i poczuł w

sercu uklucie tęsknoty.

- Zdaje się, że ma pan gości - zauważył Kiljander, gdy zajechali pod dom Henryka. Na podwórzu stał granatowy samochód, a w izbie paliło się światło.

- Moi starzy, dobrzy znajomi - powiedział Henryk i uderzył się pięścią w czoło. Przecież Myszka miała zabrać Tsuikkę. Umówili się, że przyjedzie w weekend, kiedy go nie będzie, aby oszczędzić jemu i psu bolesnego rozstania. Klucze zostawił w umówionym miejscu. Wszystko było z góry ustalone. Tylko że on o wszystkim zapomniał.

Gdy wszedł, Myszka właśnie z kimś rozmawiała. Tsuikka skomląc z radości, rzuciła mu się do nóg, a potem położyła na grzbiecie i zaczęła przebierać łapami w powietrzu. Myszka krzątała się przy kuchence, na stolku obok pieca siedziała jej matka i wpatrywała się w ogień.

- Nie miałeś wrócić dopiero jutro po szkole? - zapytała zdziwiona Myszka.

- Sprawy się pokomplikowały - odpowiedział Henryk i pocałował ją w policzek.

- Jak zawsze - burknęła matka, podsuwając gruzłowate dłonie bliżej ognia.

- Mama przyjechała w charakterze ciotki przyzwoitki - powiedziała Myszka i zaśmiała się, żeby rozładować gęstniejącą atmosferę.

- Za stara już na to jestem - odrzekła matka. - Zachciało mi się zobaczyć dom, w którym byłam nieszczęśliwa przez cały rok.

- Daj spokój. Tak naprawdę mama jutro wybiera się do lekarza - powiedziała Myszka.

- Jedyne felczer, który ma jakieś pojęcie o moich dolegliwościach - wtrąciła teściowa i wymieniła nazwisko ordynatora szpitala w N.

- Jutro? Zostajecie na noc? - zapytał Henryk.

- Tak zamierzałyśmy. Skoro ciebie miało nie być do jutra... - powiedziała Myszka.

- Ale możemy pojechać do hotelu - wtrąciła jej matka.
- Nie ma mowy, zostanieie tutaj - powiedział Henryk. - Co to za dolegliwości?
- Te same, co zawsze - odparła matka Myszkki. - Za-dyszka i powtarzające się ataki depresji;
- Lekarze uważają, że dolegliwości mamy są natury psychosomatycznej - wyjaśniła Myszka.
- Jak zwał, tak zwał, dolegliwości pozostają te same - skostatowała jej matka. - Zniknęły na długo, kiedyśmy się stąd wyprowadziły.
- I ja od tej pory czuję się dużo lepiej - powiedział uprzejmie Henryk.
- Ale ostatnio znów dały o sobie znać - dodała matka Myszkki.
- Nie dogaduje się mama z zięciem? - zapytał Henryk.
- Jak nie urok, to sraczka - odparła sentencjonalnie kobieta.
- Mam wrażenie, że w ogóle się stąd nie wyprowadziłyśmy - odezwała się Myszka. - Kłóćcie się zupełnie jak dawniej. Nie mogę już tego słuchać. Jedzenie gotowe. Wystarczy dla wszystkich.

Zjedli we trójkę, jak niegdyś. Rozmawiali o sprawach powszednich, unikając tematów zapalnych, i matka Myszkki w końcu zaczęła rozumieć, że w domu Henryka jest już tylko gościem, a nie teściową. Osso buco Myszkki było kruche i ostre. Henrykowi przypomniały się czasy, gdy po powrocie z pracy czekał na niego smaczny obiad, a wieczorem w łóżku żona. Życie było wówczas pod wieloma względami dużo prostsze. Czy ciągle jeszcze mieszkałby z Myszką, gdyby nie wepchnęła się do nich i między nich jej matka? Próbował sobie przypomnieć, z jakiego powodu zakochał się kiedyś w Myszce, ale nie mógł. Najwyraźniej coś ich złączyło na jakiś czas, ale co to było, tego również nie pamiętał. Może w rzeczywistości nigdy jej nie kochał? W końcu to zauważyła i stopniowo zaczęła w niej dojrzewać myśl o odejściu.

Henryk przyglądał się Myszce, gdy cierpliwie słuchała matki, opowiadającej ze wszystkimi szczegółami o swoim wyjeździe na zakupy do

Tallina. Gdyby się nie pobrali, mogliby zostać dobrymi przyjaciółmi. Czy byłoby to jeszcze możliwe? Czy można zaproponować przyjaźń byłej żonie? Tylko jak do podobnej propozycji odniósłby się jej obecny mąż?

- Nie znalazłam w Tallinie żadnych rzeczy dla siebie, ale ubranek dziecięcych było co niemiara, bardzo ładne i o połowę tańsze niż u nas - paplała matka Myszki. - I wózek trzeba koniecznie przywieźć stamtąd.

- Ubranka dziecięce? Dla kogo? - zdziwił się Henryk.

Myszka rzuciła matce mordercze spojrzenie. Kobieta łypnęła na córkę spod przekrzywionych okularów i wzruszyła ramionami.

- A co to, tajemnica jakaś? Przecież wszyscy to wiedzą. To i Henryk może, no nie?

Kobiety spały w sypialni Henryka. Matka Myszki chciała spędzić noc w swoim dawnym pokoju, ale zabrała stamtąd swoje łóżko, kiedy się wyprowadzały. Zgodziła się zatem na jego sypialnię, ale najpierw musiała ją wywietrzyć, wystawić na dwór pościel i odkurzyć materac.

Henryk zrobił sobie posłanie na sofie w izbie. Tsuikka leżała na dywanie i patrzyła na niego z głębokim smutkiem w oczach.

- Nie smuć się, teraz będziesz na garnuszku u swojej pani. Będzie ci lepiej niż ze mną. Żyję z dnia na dzień i nie wiem, co będzie jutro. Często nie ma mnie w domu i musisz sobie radzić sama. A na razie nie mógłbym ci obiecać niczego lepszego, bo sam nie wiem, co mnie czeka w najbliższej przyszłości. Przypadek to bóstwo roztargnione, jego wyroki są niepojęte i nieprzewidywalne. Ja w każdym razie nie potrafię ich przewidzieć, ty pewnie je przeczuwasz tą swoją psią intuicją, ale nie umiesz mówić.

Zaczął czytać zdanie po zdaniu *Most na Drinie*, w bośniackim oryginale i po fińsku jednocześnie, lecz nie mógł się skupić. Czekał na telefon od Mavry. Nerwowo obracał w palcach komórkę i zastanawiał się, jak zacząłby rozmowę, gdyby to on zadzwonił. Nie wymyślił jednak niczego odpowiedniego, więc zarzucił pomysł.

Okolo północy zaczęły go dręczyć wyrzuty sumienia, że zostawił w hotelu śpiącą Mavrę samą ze swoimi wspomnieniami. Gdyby się pohamował i nie wyjechał, teraz być może śmialiby się wspólnie z przygód minionego wieczoru, nocy i ranka, śmiali do rozpuku, pogodzeni i oczyszczeni.

Henryk pogłaskał Tsuikkę po jedwabistej sierści i zanucił: „Miłość ci wszystko wypaczy...”.

Myszka zeszła do izby, naląła sobie szklankę wody i wypila.

Przysiadła na skraju sofy.

- Jeszcze nic po tobie nie widać - stwierdził Henryk.

- Za wcześnie. Ale matka oczywiście od razu zaczęła mleć jęzorem na prawo i lewo - odpowiedziała Myszka.

- Mimo wszystko mogę chyba pogratulować?

- Nie wiem, czy jest czego.

- Jak to? Nie chcesz mieć dziecka? - zdziwił się Henryk.

- Chcę, ale to nie jest dobry moment - odpowiedziała ze smutkiem w głosie, nie wyjaśniła jednak, dlaczego moment nie jest dobry i dla kogo, dla niej czy dla dziecka.

- Kiedy tu mieszkałaś, nie chciałaś jeszcze dziecka - wspomniał Henryk.

- Ty też nie, jeśli mnie pamięć nie myli - odparła Myszka.

- Gdyby się nam wtedy urodziło, może mieszkałabyś tu nadal ze mną.

- Kto wie. Może kochałbyś mnie bardziej, gdybyśmy mieli dziecko.

- A co, niby cię nie kochałem?

- A kochałeś?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Może nie potrafiłem.

- Ja chyba też nie.

- Czy to w ogóle konieczne? Skoro ludziom dobrze ze sobą?

- Wtedy wydawało mi się, że tak. Teraz nie jestem pewna.

- W końcu przez jakiś czas byliśmy w sobie zakochani - powiedział Henryk.

- Szaleńczo. Powinno nam to było wystarczyć - odpowiedziała Myszka.

Tsuikka łypała to na niego, to na nią, wy wieszala jęzor i histerycznie machała ogonem.

- Chce nas znowu ze sobą zeswatać - zaśmiała się Myszka.

- Ktoś powiedział, że miłość jest jak choroba. Uderza, gdy człowiek jest osłabiony, i jeśli go nie zabije, to na pewno przejdzie. Tyle tylko, że zostawia blizny - powiedział Henryk.

- Czytasz czasopisma kobiece? - zdziwiła się Myszka. - Widzę, że masz ich trochę w kącie.

- To nie ja je czytam. Ktoś je tutaj przyniósł i potem zostawił.

- Żona wojewody? To jeszcze się z nią spotykasz? - zapytała Myszka.

- Już nie. A ty skąd o tym wiesz? - zdziwił się Henryk.

- Wiem o tobie wszystko. To małe miasteczko i mam tu jeszcze sporo znajomych - odpowiedziała.

- Wszystkiego na pewno nie wiesz - uśmiechnął się. - Pożyczyłabyś mi samochód do rana?

- Dokąd chcesz jechać w środku nocy? - zapytała.

- Nie mam siły ci wszystkiego tłumaczyć.

- Jeżeli nie powiesz, nie pożyczę - zażartowała.

- To długa i zawiła historia.

- W zasadzie nie mam ochoty jej słuchać. Ale wrócisz do rana? Muszę zawieźć matkę do lekarza.

- Wobec tego może dajmy sobie z tym spokój - wycofał się Henryk.

- Jednak nie jedziesz na siano?

- To nie ma sensu.

- W takich sprawach nikt nie pyta o sens.

- W końcu nawet nie wiem, gdzie ona jest.

- Takie buty. To rzeczywiście lepiej daj sobie spokój. Na szczycie

schodów pojawiła się matka Myszki.

- Nie widziałaś gdzieś mojego szala? - zapytała płaczącym głosem. - Tu na górze wieje, a ja nie mogę go znaleźć. Może został na dole? Wiesz, ten mój zielony turecki szal z wełny.

- Zupełnie jak kiedyś, pamiętasz? - Myszka zaśmiała się, życzyła mu dobrej nocy i ruszyła na poszukiwania szala swojej matki.

W szkole po dużej przerwie dyrektor poprosił Henryka na słówko do swojego gabinetu. Posadził go w fotelu, a sam zaczął kręcić się koło swojego biurka, przekładać papiery z miejsca na miejsce, co rusz go przeprasząc, potem odebrał jeszcze telefon. Wyraźnie nie wiedział, jak zagać rozmowę. Wziął ze stołu zszywacz i zaczął strzelać zszywkami do pustej dłoni. To dodało mu odwagi, więc powiadomił Henryka, że dowiedział się z zaufanego źródła, iż widziano go na ulicy miasta X, idącego pod rękę z panią Y w ciemnych okularach i z białą laską.

W zszywaczu skończyły się zszywki. Dyrektor przestał mówić. Do świadomości Henryka zaczęło powoli docierać, że opis jego poczynań był w istocie pytaniem i dyrektor czeka, aż Henryk odpowie na nie twierdząco lub kategorycznie wszystkiemu zaprzeczy. Przyznał więc grzecznie, że właśnie tak było.

- Tego też się spodziewałem - powiedział dyrektor z troską w głosie. - A zatem mogę panu powiedzieć, że źródło, na które się powoływałem, to prezes spółki Ammos, pan Gropius. Podobno o mało co nie wpadł pan na niego w domu towarowym. Nie mówię już o tym, że kobieta, na której ramieniu pan wisiał, jest żoną szanowanego w mieście oficera. To nie moja sprawa, podobnie jak to, gdzie i jak spędza pan swój wolny czas. Ale fakt, że udaje pan niewidomego, choćby w innym mieście, to już większy problem. Osobiście nie czepiałbym się i tego, ponieważ moim zdaniem nie może to zaszkodzić nikomu poza panem. Lecz tak się składa, że prezes Gropius jest w naszym mieście osobą wpływową, a do tego członkiem zarządu naszego liceum. I jego zdaniem

podobne wybryki nie przystoją nauczycielowi tej szkoły, który również poza jej murami powinien być dla młodzieży przykładem. Prezes Gropius powiedział, że poruszy tę sprawę na zebraniu zarządu. Próbowałem go uspokoić, przekonywałem, że przecież może istnieć najzupełniej sensowne wyjaśnienie owego wybryku, a przynajmniej jakiś zrozumiały motyw.

Dyrektor zamilkł, zgarnął zszywki z blatu i wrzucił je do kosza.

- Było to swoiste doświadczenie, powodowała mną ciekawość - odezwał się Henryk. - Miałem ku temu osobiste pobudki.

- Związane z panią Musk, jak sądzę?

- Była moim ekspertem. Ma duże doświadczenie w prowadzeniu ociemniałych.

- Rozumiem - rzekł dyrektor. - Jak powiedziałem, to nie moja sprawa. Sugeruję jednak, aby pan kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, gdyby Gropius rzeczywiście poruszył sprawę na zebraniu zarządu i zażądał wyjaśnień. W życiu tam pan nie był, cóż dopiero jako niewidomy, a już na pewno nie w towarzystwie pani Musk. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby poczuł się pan głęboko dotknięty podobnymi insynuacjami.

- Niczego nie obiecuję - odparł Henryk i wyszedł z gabinetu.

W sali drugiej licealnej było słycać hałasy, podniesione głosy i szydercze śmiechy. Pod tablicą chodził po omacku syn Solveig w zaklejonych czarną taśmą okularach. Opowiadał o wędrówkach południowosłowiańskich plemion, machając wskaźnikiem w lewo i prawo po nieistniejącej mapie, tak że Serbowie wylądowali ostatecznie w koszu na śmieci, a Chorwaci skończyli w umywalce. Klasa tarzała się ze śmiechu. Chłopak nie przestał błaznować, mimo że Henryk wszedł do klasy i hałasy ucichły. Gdy kazał mu natychmiast wrócić na swoje miejsce, chłopak z wyciągniętymi w przód rękoma zszedł z katedry i potrącając ławki, ruszył w głąb sali. Henryk powiedział, by zdjął okulary. Chłopak odparował, że nie może, gdyż nie chce widzieć swojego nauczyciela. Pragnie pozostać bezstronnym obserwatorem, aby móc lepiej ocenić jego słowa.

Gdy Henryk kazał mu wreszcie wyjść z klasy, chłopak posłusznie ruszył w stronę drzwi, lecz wpadł prosto na ścianę. Henryk mu pomógł, chwycił go za ucho, wyprowadził z klasy i zamknął za nim drzwi.

- Czy to oznacza, że co wolno nauczycielowi, uczniowi jest zabronione? - zapytała klasowa działaczka ruchu ekologicznego.

- Właśnie tak. Życie nie jest sprawiedliwe. Zilustruję to przykładem.

Zaciągnął zasłony, zgasił światła i w mrocznej sali zaczął snuć opowieść o bitwie, w której tysiąc lat wcześniej Bułgarzy starli się z Bizancjum i ponieśli klęskę. Nie święcili jednak swojej porażki, jak to mają w zwyczaju Serbowie, ponieważ cesarz Bazyli u kazał pojmanym Bułgarom wyłupić oczy. Miało to być przestrogą dla wszystkich poddanych Bizancjum, aby nie wazyli się nigdy buntować przeciwko swoim panom. I tak w drogę powrotną do Bułgarii ruszył upiorny pochód. Na jego czele szli woje, którym pozostawiono po jednym oku. Car Samuel, gdy to zobaczył, dostał ataku serca i skonał. Kraj zaroił się nagle od młodych ślepców. Żyli z żebractwa, układali ponure pieśni o swojej klęsce i mrocznym losie, który ich spotkał, a w międzyczasie płodzili dzieci. Z niewiadomego powodu wszystkim rodzili się tylko synowie. Wyrosło z nich nowe pokolenie wojowników, którzy pewnego dnia ruszyli na Konstantynopol, aby wyrzucić na Bizancjum krwawą zemstę za oślepienie ojców.

- Co z tego wynikło, opowiem wam kiedy indziej, gdy znajdę stosowną relację - zakończył Henryk i odsłonił okna.

- Czy ta baja ma jakiś morał? - zapytał klasowy mądrała.

- Na przykład taki, że nawet w nieprzeniknionych ciemnościach może się zrodzić straszliwa siła - odpowiedział Henryk i włączył światło.

- A potem historia się powtórzyła, tylko że w drugą stronę, i tak zaczęła się nakręcać spirala zemsty - powiedziała aktywistka Zielonych. - Przecież to czysty absurd!

- Zgadza się całkowicie - odparł Henryk.

Gdy po szkole wrócił do domu, Myszka z matką szykowały się właśnie

do wyjazdu.

- Co powiedział lekarz? - zapytał Henryk.

- Dolegliwości zniknęły już w poczekalni - odparła matka Myszki. - Zachodziliśmy z lekarzem w głowę, co też mogło być tego powodem, i doszliśmy do wniosku, iż to dlatego że zobaczyłam ciebie i ten dom. Odczułam głęboką ulgę, że nie muszę tu zostawać i zrozumiałam, że jednak nie mam w mieście tak źle.

- Miło mi, że się do czegoś przydałem. Możesz tu częściej przyjeżdżać dla poprawienia sobie nastroju - powiedział Henryk.

- Nie wierz jej - odezwała się Myszka, gdy matka poszła ze swoimi torbami do samochodu. - W domu często mi mówi, że bardzo tęskni za prowincją i za tym domem.

Myślę, że tęskni nawet za waszymi kłótniami. Lubi cię na swój sposób.

- A twojego męża? - zapytał Henryk. Nim Myszka odwróciła głowę, przez jej twarz przemknął szary cień. Po chwili podeszła do stołu i podała mu list.

- To do ciebie. Jak sam widzisz, na kopercie nie ma znaczka. Przyjechała tutaj białym mercedesem żona pułkownika. Już chciała wsunąć list do skrzynki, ale zobaczyła mnie i stanęła jak wryta. Podeszłam do niej i porozmawialiśmy sobie trochę. Zapytała, czy wróciłam. Najpierw chciałam skłamać, ale tak nagle pobladła, że powiedziałam jej prawdę. Wtedy uśmiechnęła się do mnie i poprosiła, abym oddała ci ten list do rąk własnych. Potem pocałowała mnie w policzek i odjechała.

Henryk zaczął obracać kopertę w dłoniach.

- Aż cię ręce świerzbią, co? - spytała. - Już za chwilę będziesz mógł go sobie w spokoju przeczytać.

- Jakoś wytrzymam - odpowiedział.

- Mam wrażenie, że zupełnie się w życiu pogubiłeś i w pewnym sensie to moja wina - rzekła Myszka. - Musiałeś się zadać z żoną pułkownika? Jeszcze

sobie jakiej biedy napytasz.

- Poznaliśmy się przez przypadek. Może czas pokaże, że był to mój wielki historyczny błąd, ale nie będę żałować - stwierdził Henryk.

- Nikt nie żałuje niczego z góry. Zwłaszcza gdy chodzi z głową w chmurach. Opamiętanie przychodzi później, kiedy człowiek siedzi na ziemi i masuje guza na czole - zauważyła Myszka.

- A jednak nie żałuję, że byliśmy ze sobą trzy lata - rzekł na to Henryk. - Czasami wspominam cię w mgliste wieczory. Nie mam nawet twojego zdjęcia. Zabrałaś mi wszystkie, gdy wyjeżdżałaś.

- Wyślę ci moje najpiękniejsze zdjęcia. I te najbardziej okropne. Będiesz miał co oglądać, kiedy ta wiedźma zamieni cię w żabę.

Henryk odprowadził ją do schodów. Myszka chwyciła go za uszy i pocałowała w usta. Widziała to z samochodu jej matka i bardzo się zdziwiła.

Mavra napisała list mieszaniną fińskiego, rosyjskiego i języków południowych Słowian. Henryk był jednak tak zmęczony, że nie chciało mu się zaglądać do słownika. Przeczytał tylko fińskie słowa i zdania, a reszty, w miarę możliwości, starał się domyślić.

Henryku!

Nie zdziwiłam się wcale, gdy rano zobaczyłam, że cię nie ma. Spodziewałam się tego. Nie zaniepokoiło mnie to ani nie -. Staram się ciebie zrozumieć. Przyznaję, że i ty -. Poszłam z powrotem na skocznię, wspierałam się na wieżę i spojrzałam w dół. Przyszło mi na myśl, że może byłoby lepiej dla wszystkich, gdybym zawiązała sobie oczy i skoczyła w dół, tak jak córka Awidagi, Fatima, która rzuciła się z mostu do Driny. Allach - i Najlitościwszy ze Wszystkich. Nie pomieszało mi się w głowie. Moje myśli były jasne, rzadko bywam tak. A jednak nie skoczyłam. Może Bóg mi -, choć nie jestem tego warta. Ale jestem taka, ponieważ On uznał, że musi mnie z góry ukarać za to, jaka jestem teraz. Dlaczego? Przecież jestem taka właśnie dlatego, że On mnie ukarał. Czy to nie bez sensu? Nie, to ma sens, bo Bóg jest mężczyzną! On mnie

nie lubi, a jeśli mówię prawdę (niech mi wybaczy), to i ja nie lubię Jego. Jezus” może by mnie zrozumiał i pocieszył. A zwłaszcza Panna Maria. Wcześniej umiałam rozmawiać z pułkownikiem i on próbował mnie zrozumieć. Ale już przestał.

Dostałam od niego kolejną taśmę. Chodzi wszędzie tam, gdzie byliśmy kiedyś razem, i zmusza mnie do wspomnień. Nie wiem, czego ode mnie chce. Był nawet w konserwatorium i rozmawiał z moim byłym nauczycielem. Mówili o mnie! Gada i gada, ale nie chce powiedzieć, kiedy wróci. Spotkał się z jakimś swoim znajomym, chirurgiem, ale nie powiedział po co. Czy on jest chory uchowaj? Dzwoniłam do niego wiele razy. Nie odbiera.

Tęsknię za tobą. Myślałam o tym, co mi napisałeś w hotelu, myślałam tak, że aż mi serce i głowa mi odpadnie i gdzieś uleci. Chyba muszę porozmawiać o tym, co mi zrobili, to mnie tak toczy od środka. Może poczułabym się choć na chwilę wolna i byłoby mi lżej. Ale to trudne, i tak bolesne jak albo wrywała sobie sama zęby. Nie powiedziałam nikomu. Nawet pułkownikowi. Podejrzewam, że on i tak wie. Ale o tym nie wspomina, to - człowiek. Dla niego ciągle byłam dziewicą, gdy się pobieraliśmy. Powiedziałam mu, że jestem, a on chciał mi wierzyć. Powinien wiedzieć, że to nieprawda. Ale nic nie mówi. Jego usta są On musi być świadomy, co się ze mną stało. Ale jemu nie mogę już powiedzieć. Może tobie. Przyjdiesz dzisiaj? Czekam na ciebie. Nie musisz przychodzić, jeśli nie chcesz. Będę czekać. Nawet gdy będę spać, będę czekać. Będę się budzić i już będę na ciebie czekać. Aż zjawisz się obok mnie.

Mam nadzieję, że nie potraktujesz mnie tak surowo, jak ja ciebie.

Mavra

Gdy Henryk wszedł do domu pułkownika, Mavra była pijana. Maotse dreptał zdenerwowany i przestraszony, jeszcze nigdy nie widział swojej pani w takim stanie.

- Zajmij się mną - poprosiła Mavra i rzuciła mu się na szyję.

Henryk zaniósł ją na sofę.

- I tyle? - wymamrotała.

Henryk zostawił ją tam i zszedł na dół włączyć saunę. Gdy wrócił, już spała. Usiadł obok niej i wytarł jej usta.

- W ten sposób się przygotowujesz? Nie musisz nic mówić, skoro to jest takie trudne - powiedział. - Nie miałem prawa naciskać. Nie powinienem był niczego ci proponować. Myślałem, że będzie lepiej, gdy powiesz, co ci leży na sercu, ale mogłem się przecież pomylić. Jaki ze mnie psycholog? Nie wiem, co jest dla ciebie dobre. Nic o tobie nie wiem. W ogóle nic nie wiem.

Mavra spała trzy godziny. Kiedy się obudziła, zemdlilo ją i zataczając się, poszła do łazienki wymiotować. Po półgodzinie Henryk postanowił do niej zajrzeć. Leżała bezwładnie na podłodze. Podniósł ją i zaniósł do przebieralni przy saunie. Tam ją rozebrał, umył pod prysznicem, wniósł do sauny i położył na ławie. Mavra oddychała ciężko, chciało się jej pić. Henryk nabrał wody z wiadra i splukał jej piersi, brzuch i uda. Potem sam usiadł na ławie i położył jej nogi na swoich kolanach, aby krew spłynęła do głowy. Powoli jej oddech zaczął się wyrównywać, spojrzała na niego i powiedziała, że jest gotowa wszystko mu opowiedzieć.

- Zastanów się jeszcze - powiedział Henryk. - Twoje wspomnienia gotują się teraz niczym lawa w Etnie i w każdej chwili może dojść do erupcji. Jeszcze się oboje poparzemy.

- Bądź cicho i słuchaj. Chciałeś wiedzieć, co mnie spotkało, a ja teraz chcę ci opowiedzieć. Pozwól mi mówić - powiedziała i zamknęła oczy.

- Ojca nie było, pojechał z końmi na wzgórze. Serbowie walczyli już wtedy z Chorwatami w Krajinie i Sławonii. W Bośni ludzie też już zaczęli krzywo na siebie patrzeć. We wsi jednak powtarzano, że niech się tam biją, do nas wojna nie przyjdzie. Przecież znaliśmy się od dziecka. Wierzyliśmy, że wszystko jakoś się ułoży, uspokoi, a ludzie się opamiętają. Szłam ścieżką wzdłuż brzegu i puszczałam kaczki, myśląc o ojcu. Wtedy zobaczyłam Pavlego. Podeszedł do mnie i przystanął. Był ubrany w panterkę, za nim szli inni.

Pozdrowił mnie, odpowiedziałam pozdrowieniem. Zapytałam, kiedy wrócił z Zenicy i czy długo tu zostanie. Odrzekł, że nie przyjechał po to, by zostać, lecz żeby wyjechać. Powiedział, że jest tu z kolegami i przyjaciółmi, i mężczyźni zaczęli się kłaniać i śmiać. Wielu z nich znałam, niektórzy byli nasi, inni pochodzili z sąsiednich wsi, jeszcze inni z dalszych stron. Idą się bić z Chorwatami, powiedział mi Pavle, razem z resztą chłopaków... Wymienił nazwę oddziału, ale jej nie pamiętam, to były jakieś paramilitarne bojówki. Potem zapytał, czy wiem, jaki dziś dzień. Powiedziałam mu. Wtedy Pavle pouczył mnie, że powinnam go dobrze zapamiętać, bo to pierwszy dzień nowej wojny, która zaczęła się na wschodzie, ale niedługo ogarnie całe Bałkany, nie omijając naszej wsi. A kiedy on i jego koledzy złożą skórę Chorwatom, wrócą tutaj i przepędzą wszystkich Muzułmanów. A kto się będzie opierał, gorzko pożałuje.

Strach ścisnął mi gardło. Czy to był naprawdę ten sam chłopak, któremu cztery lata wcześniej wyznałam miłość? Pavle odgadł moje myśli, wyczytał je z moich oczu, roześmiał się i powiedział, że on też nie zapomniał. Pamięta wszystko, moją łódkę, moje wyznanie miłości i ślady szminki na kartkach z wierszami. Nie zapomniał również, że moja matka była Muzułmanką. Powiedział o tym pozostałym. Powiedział im, że oto stoi przed nimi muzułmańska dziewczyna, w miłości hojna i nieposkromiona, która z miłą chęcią namaści wyruszających na wojnę serbskich bohaterów. Sam nie dotknie mnie palcem, lecz gorąco namawia pozostałych, by nie przegapili takiej okazji...

Mavra przerwała w pół zdania, wpatrywała się nieruchomo w sufit. Zaczęła drzeć i gwałtownie kaszleć, obróciła się i zwymiotowała na podłogę. Henryk zaczerpnął wody z wiadra i obmył jej twarz.

- Już więcej nic nie mów. Nie odzywaj się - powiedział, trzymając ją za ramiona.

- Daj mi skończyć. Zabierz mnie do basenu. Chcę do wody. Chcę to wszystko z siebie zmyć. I rozmyć się, rozplynać!

W basenie Mavra przyszła do siebie. Pływała pod wodą, nurkowała do

dna, miotając się jak foka. Pociągnęła Henryka na głębszą połowę basenu.

- Opowiem ci teraz, co mi zrobili.

- Nie ma potrzeby - powiedział Henryk.

- Co ty możesz wiedzieć o moich potrzebach?! - wykrzyknęła Mavra. -
Powiem, i nie zakrywaj uszu!

Wciągnęła Henryka pod wodę. Usadziła go na dnie, zbliżyła twarz do jego ucha, a z jej ust trysnął strumień grubych bąbli powietrza. Poprzez bulgot Henryk usłyszał przytłumiony głos i słabe echa dźwięków, z których ledwie składał sylaby i niepełne słowa. Wynurzyli się na chwilę, by łąpczywie zaczerpnąć powietrza, lecz po chwili z powrotem zanurkowali do samego dna i z przytkniętych do ucha Henryka ust Mavry zaczęły wypływać nowe bąble. Wynurzali się tak i zanurzali chyba z dziesięć razy. Wreszcie Mavra pociągnęła Henryka za sobą na płyciznę i przylgnęła do niego.

- Opowiedziałam! - wydyszała, parskając wodą.

- Nic nie słyszałem - wysapał Henryk.

- To nieważne. Ale opowiedziałam! Opowiedziałam, co mi zrobili, najpierw po kolei, a potem wszyscy razem, opowiedziałam tak, jak zapamiętałam, od pierwszego do ostatniego! Czy teraz jestem już wreszcie wolna?

ROZDZIAŁ SZÓSTY
ŚWIETLISTY SEN PUŁKOWNIKA (SCENA Z NIENAPISANEJ
SZTUKI)

(Półmrok. W tle cichnie trochę nieskładnie grany, nastrojowy rosyjski walc. Miejsce nieokreślone, może to być sala szpitalna albo pokój w hotelu. Pułkownik z przepaską na oczach leży w łóżku, wygodnie rozciągnięty na pościeli. Obok stoi Jovan ze szklanką wody w ręku).

PUŁKOWNIK

Długo jeszcze będę w tej ciemności?

JOVAN

Sądziłem, że się pan do niej przyzwyczał.

PUŁKOWNIK

Nie do takiej. Ta jest inna. Podwójna. Jakby ktoś zawiął jedną ciemność w drugą. Długo to potrwa?

JOVAN

Jeszcze dzień, dwa.

PUŁKOWNIK

I co będzie potem?

JOVAN

Wszystko w ręku Najwyższego.

PUŁKOWNIK

Wiedziałem, że to powiesz.

JOVAN

Cóż innego mógłbym powiedzieć?

PUŁKOWNIK

Mógłbyś mnie jakoś pocieszyć, dodać mi otuchy.

JOVAN

Czy ręka Najwyższego nie dodaje panu otuchy?

PULKOWNIK

Bynajmniej. Najwyższy może człowieka pogłaskać lub bezlitośnie zgładzić. Szanse są dokładnie takie same.

JOVAN

Proszę zażyć lekarstwo, a potem zasnąć. Życzę panu kolorowych snów!
(Pułkownik wzdycha, zażywa lekarstwo i popija wodą).

PULKOWNIK

Sprowadź mi tu skrzypka, choćby z dachu. Tęsknię za Mavrą.

JOVAN

Zrobię, co w mojej mocy.

PULKOWNIK

Jutro ściągam te okłady i spadam stąd. Bez względu na wynik.

JOVAN

Wszystko będzie dobrze. Jestem przy panu.

PULKOWNIK

Jutro chcę być sam. O wyniku powiadomię cię później.

JOVAN

Proszę dać znać, a przyjadę po pana.

PULKOWNIK

Nie musisz przyjeżdżać. Jeśli się nie odezwę, będziesz robić swoje.

JOVAN

Może pan na mnie polegać.

PULKOWNIK

Jeśli pojawią się problemy, usuń je.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

POJĘCIE WIECZNOŚCI W HISTORII

Pewnego wieczora w piątym tygodniu od hidżry Henryk zbierał się do wyjścia z domu Mavry. Wcześniej dała mu wyraźnie do zrozumienia, że wieczorami nie będzie już z nim wychodzić. Powiedziała to z uśmiechem, lecz stanowczo, i choć nie podała powodów swojej decyzji, nietrudno było je odgadnąć. Przestała również zapraszać Henryka do siebie. Przychodził zatem nieproszony. Mavra przyjmowała go tak, jak zawsze, lecz powietrze w domu pułkownika stało się ciężkie i nieporuszone jak przed burzą, pełne napięć i wyładowań. Oboje to wyczuwali, spodziewali się przecież, że wcześniej czy później ich szczęśliwe niebo zasnują czarne chmury. A jednak ogromnie ich to zdumiało i choć rozmawiali ze sobą rzadziej, byli dla siebie grzeczniejsi. Zniknęła gdzieś młodzieńcza bez troska Henryka i dziewczęca figlarność Mavry. Od czasu do czasu oboje pogrążali się w głębokiej zadumie i choć wiedzieli, że myślą o tym samym, nie poruszali tego tematu. Ale gdyby ktoś pociągnął ich za język, wyrzuciliby pewnie z siebie jednocześnie, co im tak bardzo ciąży: namacalna, nieustępliwa nieobecność pułkownika.

Henryk siedział na skraju niskiego posłania Mavry, pod ceglastoczerwonym irackim całunem i uważnie przyglądał się jej fletom, lalkom, książkom i nutom, jak gdyby patrzył na nie ostatni raz. Przeczucie mówiło mu, że już nigdy więcej nie zobaczy dziewczęcego pokoiku Mavry. A zatem - *Adieu. Goodbye. Do swidania. Zbogotn.*

Bosa Mavra siedziała w podomce na parapecie otwartego okna i paliła fajkę. Henryk spostrzegł, że ostatnimi czasy często przesiaduje w oknie i wygląda na drogę. Domyślał się, co jest tego przyczyną, lecz i tym razem nic nie powiedział. Położył się na plecach i wciągnął swoje najlepsze spodnie, po czym unosząc stopy w górę, oderwał biodra od materaca i wsunął spodnie do końca.

Mavra przypomniała sobie, że jej brat tak samo wkładał swoje przyciasne dżinsy, gdy miał dwanaście lat.

Henryk założył skarpetki i jeden but, drugi wypolerował odzianą w skarpetkę stopą. Wybierał się do ratusza na bal. Nie mógł pójść z Mavrą, ale nie chciał też odrzucić zaproszenia burmistrza. Nadszedł czas, by znów zacząć bywać w towarzystwie, zbyt długo już nigdzie go nie widziano. Tak przynajmniej wytłumaczył rzecz Mavrze, lecz ani ona nie była przekonana, ani on sam za bardzo w to nie wierzył. Mavra była zdania, że pojawiając się na balu, wzbudzi większą sensację, niż gdyby nie zjawił się wcale. Niemniej jednak przyjęła jego wyjaśnienia i nie poprosiła, by został.

- Lecz zanim wyjdiesz, zrobimy jeszcze powtórkę - powiedziała.

- Już nie mam siły - odpowiedział Henryk. - Daj mi odsapnąć.

- Nie dam - odparła. - Powtarzanie jest matką nauki. Powiedz: „Zakochałem się”.

- Zakochałem się - odpowiedział Henryk po ftńsku, ale Mavra wcale nie była ubawiona.

- Powiedz to w moim języku.

- *Zaljubio sam se* - powiedział Henryk, nie wiedząc, czy postawił czasownik posiłkowy we właściwym miejscu.

- Powiedz: „Jestem zakochany” - cisnęła dalej Mavra.

- *Zaljubljen sam’?* - odpowiedział niepewnie Henryk, ale i do tej odpowiedzi Mavra nie miała żadnych zastrzeżeń.

- A w czasie przyszłym? „Będę kochać na wieki”?

- Na wieki? Co to takiego? - zdziwił się.

- *Zauvek*.

- Ale co to takiego „wieczność”? - zapytał Henryk. Jednak Mavra nie dała się zbić z pantafyku.

- Więc nie chcesz powiedzieć? - rozgniewała się.

- Historia nie zna pojęcia wieczności - bronił się Henryk.

- Znowu zasłaniasz się historią - rzuciła. - Powiedz, że będziesz mnie kochać na wieki!

Henryk podszedł do niej, zamknął ją w ramionach i pocałował. Była to przemyślana i nieskrywana próba fizycznego stłumienia kobiecej uczuciowości.

- Przecież nie będziemy żyć wiecznie - rzekł. Mavra wyswobodziła się z jego ramion i powiedziała, że nigdy nic nie wiadomo, a choćby nawet, to miłość jest przecież w pewnym sensie wieczna. Z kosmologicznego punktu widzenia jest bowiem możliwe, że ślad ich pocałunku po wielu latach świetlnych kosmicznej podróży dotrze wreszcie do jakiejś gwiazdy, której czujny mieszkaniec dostrzeże go i uśmiechnie się przyjaźnie. Nie chciała przez to powiedzieć, że każdy czyn, słowo czy myśl będą istnieć wiecznie, choć można sobie wyobrazić, że one także promieniują we wszystkie strony przestrzeni kosmicznej. Kosmos i bez nich pełen jest śmieci i odpadów, dodała.

- Mówiłam o miłości, o przytuleniu, pocałunku. One są najważniejsze. A tylko to, co najważniejsze, może przeniknąć sfery niebieskie i kontynuować niekończącą się podróż ku wieczności, i gdzieś musi być ktoś, kto to zobaczy lub usłyszy, i wykrzyknie z radości, i opowie o tym ukochanej istocie. Czy to nierozsądne wytłumaczenie?

Była to przemyślana i nieskrywana próba uczuciowego zachwiania męską fizycznością.

Henryk chciał powiedzieć Mavrze, że jej kosmiczne wyobrażenie miłości jest wzniosłe, ciepłe i bez wątpienia prawdziwe i że będzie ją kochać na wieki. Lecz przed oczami stanął mu niespodziewanie obraz pułkownika, który pewnym krokiem, nie dotykając ścian, wtargnął do ich świątyni miłości, porwał Mavrę w ramiona i pomknął z nią ku pewnej słabo widocznej gwiazdzie w Warkoczu Bereniki obok północnego bieguna galaktyki. A jemu nie pozwolono nawet oglądać tego majestatycznego wzlotu ich osobliwego uczucia. I dlatego nie powiedział Mavrze o swojej wiecznotrwałej miłości, lecz zapytał, za ile lat świetlnych jej mąż wróci z Petersburga.

Mavra westchnęła. Spodziewała się tego pytania.

- Nie wiem - odparła. -1 sam dobrze wiesz, że nie wiem. Przecież powiedziałabym ci, gdybym tylko wiedziała. Mieli tam być tydzień, dwa, a mija już piąty, odkąd ich nie ma.

- Za co jestem im dozgonnie wdzięczny - powiedział Henryk. - Mówiąc „dozgonnie”, mam na myśli kres mojego życia.

- Jesteś pewien, że historia zna takie pojęcie, jak kres twojego życia? Czy mojego? - zapytała.

- I kto się tu zasłania historią?

- Uwierz mi wreszcie, że naprawdę nie poinformowałem mnie, kiedy wróci.

- A co się stanie, gdy wróci? - Henryk zadał jej to pytanie nie po raz pierwszy, wiedząc doskonale, że wypuszcza z klatki wilka, który nie zawaha się odgryźć ręki swojemu panu.

- Nie myśl o tym - odpowiedziała.

- Jakże mógłbym o tym nie myśleć?

- Jestem tutaj dla ciebie. -1 dla niego.

- Nie tak samo i z innego powodu.

- Ale ja nie chcę dzielić się tobą z nim.

- Nie dzielisz mnie. Jestem dla ciebie.

- Jemu też to powiesz? - Nie.

- No właśnie. Nawet wtedy, gdy będzie się skradać do twojej sypialni?

- To nieszczęśliwy, niewidomy żołnierz.

- Nie aż tak, by nie znaleźć drogi do twojego łóżka.

- Jeśli tu przyjdzie...

- Kiedy tu przyjdzie...

- Wtedy będę myśleć o tobie. Także wtedy. Tylko o tobie - powiedziała z przekonaniem.

- Ale ja i tak tego nie wytrzymam! - uniósł się Henryk.

- Mówisz tak, bo wydaje ci się, że właśnie w tym momencie powinienes

to powiedzieć. Skąd wiesz, że tego nie wytrzymasz? Nie możesz tego wiedzieć. Nie byłeś jeszcze w takiej sytuacji. Nikt nie wie z góry, gdzie jest granica jego wytrzymałości. Jeśli mnie kochasz, wytrzymasz - odparła Mavra i spojrzała na niego gniewnie.

- Jeśli mnie kochasz, wprowadzisz się do mnie - palnął Henryk i zdziwiony zaraz zadał sobie w duchu pytanie, czy rzeczywiście chce tego, czy też była to tylko jedna z figur w tym hiszpańskim pojedynku szermierczym, w którym przeciwnicy drobią w przód i w tył, pchając i zbijając szpadę przeciwnika ledwo dostrzegalnymi ruchami. Ciągnął jednak dalej:

- Proszę cię jeszcze raz. Jovan się nim zajmie. Ty już swoje zrobiłaś. Zostaw go.

- O to mnie nie proś. Nie mogę.

- Dlatego że nie widzi?

- Również dlatego.

- To i ja wylupię sobie oczy!

- Nie jesteś Edypem. A ja nie jestem twoją matką.

- Zostawiłabyś go, gdyby widział?

- Nie wiem. Nie pytaj.

Ich pokazowy towarzyski pojedynek szermierczy znów zakończył się remisem. Oboje odstępili od siebie, starli pot z czoła i wzięli głęboki oddech.

Czy ja się nie miotam na próżno? - zachodził w głowę Henryk. Czy rzeczywiście nie mógłbym dzielić się nią z pułkownikiem? Czyż nie zakochałem się w niej właśnie w jego towarzystwie? A ona we mnie? A jeśli może mnie kochać wyłącznie jako żona pułkownika? Przeniesie się do mnie, zostawi go i kiedy się pobierzemy, stwierdzi, że jednak nie potrafi mnie kochać?

I w nagłym olśnieniu, które rozjaśniło wszystkie zakamarki jego duszy, rozświetliło wszystkie jego myśli i rozproszyło wątpliwości, Henryk uświadomił sobie, że Mavra mimo wszystko kocha pułkownika. Po prostu kocha. Oczwistość tego olśnienia zupełnie zbiła go z tropu. Rozgoryczony i

zgnębiony, siedział długo w milczeniu, nie będąc w stanie myśleć o niczym innym.

- Co, nie możesz założyć buta? Powinieneś być już daleko stąd - odezwała się Mavra szorstko.

- Odwieszisz mnie?

- Już prawie wychodziłeś. Czemu się jeszcze nie zbierasz?

- Odwieszisz mnie?

- Mam okropne przeczucie, że oni lada chwila wrócą - powiedziała Mavra. Henryk poczuł nagle, że znów wzbiera w nim bunt.

- Proszę bardzo. Wyjaśnimy sobie wszystko raz na zawsze.

- Nie bądź dzieckiem. Zaraz musisz wyjść. Odprowadzę cię do furki.

- Ale ci się nagle spieszy!

- Nie mnie, tylko tobie. Ja zostaję.

- A ja znowu wychodzę bez ciebie.

- Ale przecież przyjdiesz tu jeszcze? - zapytała Mavra i dopiero wtedy dotarło do niej, co się z nimi dzieje. Zaczęła mówić szybko i nieskładnie:

- A może jeszcze nie wracają? A nawet gdy wrócą, będę przecież mogła nadal się z tobą spotykać, kiedy wszystko się tu unormuje i znów będę mogła swobodnie się poruszać.

Nie, to ty przychodź do mnie na lekcje rosyjskiego, jak dawniej. Jeżeli się nie pojawisz, pomyślą sobie, że bywałeś tutaj w zupełnie innym celu, a teraz boisz się przychodzić.

- Mam wrażenie, że nauczyłem się już wszystkiego - odparł Henryk. - Znam już chyba wszystkie twoje strony. Odmieniłem cię przez wszystkie przypadki.

- Wielu jeszcze nie znasz - powiedziała Mavra. - Wnieśmy toast na pożegnanie! Nie chciałabym, abyś znów wychodził stąd w gniewie.

Mavra wyjęła z barku butelkę koniaku i dwa kieliszki.

- Piję za to, byś wrócił tu jeszcze, o nic nie pytając i nie żądając rzeczy

niemożliwych.

- A ja za to, byś wyszła stąd ze mną, kiedy wrócę - rzekł Henryk.

- Trudno o bardziej niezgodne życzenia! - podsumowała Mavra i podniosła kieliszek do ust. Wypili za swoje niezgodne życzenia, zastanawiając się w duchu, czy to już początek końca.

- Wiatr się wzmaga. Będzie deszcz - odezwał się Henryk.

- Chcesz, abym odwiozła cię do miasta? - spytała.

- Nie trzeba. Pojadę taksówką.

- Ja też mogę cię zawieźć, wysiądziesz daleko od ratusza, nikt nie będzie widział, z kim przyjechałeś.

- Ponaglasz mnie do wyjścia, a tak naprawdę nie chcesz mnie puścić - stwierdził Henryk.

- Chcę, żebyś poszedł, bo wtedy będę mogła czekać twojego powrotu - odrzekła.

- To ja jakieś jojo jestem, czy co? Idź... przyjdź... idź. Idę sobie.

Henryk włożył płaszcz i wyszedł na schody. Mavra odprowadziła go do drzwi.

- Jeszcze jedna sprawa... - odezwała się, po czym zamilkła na długą chwilę.

- No, dalej - zniecierpliwił się.

- Chyba jestem w ciąży - dokończyła Mavra.

ROZDZIAŁ ÓSMY

CZERWONA SUKNIA

Wskazówki barometrów spadły tego wieczoru bardzo nisko i rozpętała się burza. Wtedy też nieoczekiwanie dobiegła końca namacalna, nieobecność pułkownika, którą stale można było odczuć. Do ratusza zaczęli przybywać zaproszeni goście, kobiety zmieniały buty w auli na parterze, mężczyźni czesali się przed lustrem w toalecie. Burmistrz sprawdził, czy ma w wewnętrznej kieszeni marynarki kartkę z przemówieniem powitalnym, po czym wraz z małżonką przeszedł na z góry upatrzoną pozycję u szczytu schodów. W tym momencie Henryk powinien był już dojeżdżać do ratusza, lecz ciągle jeszcze stał jak wryty w otwartych drzwiach domu pułkownika i wpatrywał się w Mavrę, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. Powinien był zbiec po schodach i pędzić do taksówki, ignorując zwięzłe oświadczenie Mavry, powinien był zostawić tę rozmowę na jutro - gdyby było mu dane dożyć rana. Mavra powinna była wybrać lepszy moment na przekazanie mu tej wiadomości, lecz bardzo chciała, by pierwszy się o tym dowiedział, bo sama przeczuwała, że drugiej okazji już nie będzie.

- Jak to, w ciąży? - zdziwił się Henryk i zaczął przywoływać w pamięci pewne fakty z historii ich krótkiej, lecz nadzwyczaj intensywnej zażyłości, szybko się jednak pogubił.

- Chyba jesteś w ciąży? Sądysz, że jesteś w ciąży? A więc nie jesteś pewna? - wyrzucił z siebie, jakby to właśnie były najważniejsze pytania, które kotłowały mu się w głowie.

- Jestem tego pewna - powiedziała Mavra.

- Jezus, Mavra! - wykrzyknął Henryk. Pocałował ją, chwycił za ramię, odsunął od siebie i zajrzał głęboko w oczy.

- Ze mną czy z nim? - zapytał.

- A który z was przychodził tutaj uczyć się języka? - odpowiedziała pytaniem Mavra i było to oczywiście pytanie retoryczne w przebraniu odpowiedzi retorycznej, która przeszła go na wylot, choć jej ostrze było wyraźnie krótsze od szerokości dłoni, a poza tym zostało wypowiedziane z nutą lekkiej przygany, czego Henryk z początku nie spostrzegł. Znow się pocałowali, nabrali bowiem takiego zwyczaju, że całowali się, gdy odczuwali radość, zatroskanie, głód, nudę, zimno, rozczarowanie, zdumienie, zmieszanie i oczywiście zawsze wówczas, kiedy doświadczali nieoczekiwanego przyływu miłości i pożądania. Całowali się, choć czuli już na skórze chłód nadciągającego ze wschodu niebezpieczeństwa.

Potem Henryk raz jeszcze pocałował Mavrę, nagle znow się od niej oderwał i cofnął pół kroku.

- A zanim się tu zjawiłem? I potem? Zanim pułkownik wyjechał do Petersburga? Z kim byłaś wtedy w łóżku?

Mavra zakryła mu usta dłonią i przytuliła się do niego. Przez chwilę stali bez ruchu.

Henryk odsunął się wreszcie i usiadł na krześle w przedpokoju.

- Więc jednak nie jedziesz? - zapytała.

- Przecież teraz nie mogę - odpowiedział, lecz Mavra chwyciła go za rękę i pociągnęła z powrotem do drzwi.

- Idź już, idź i nie myśl o tym - rozkazała mu. - Przepraszam, że ci powiedziałam! - dodała i zdumiony Henryk usłyszał w jej głosie gniew.

(Dlaczego się obraziła? To ta kobieca logika? Obwieszcza mi wielką nowinę w drzwiach, więc okazuję radość, a potem pytam, czy jest tego pewna i jeszcze, bynajmniej nie od rzeczy, kto jest ojcem dziecka. Jak inaczej mogłem zareagować?)

- To ty jesteś ojcem, czy tego chcesz, czy nie - powiedziała Mavra, która nic sobie nie robiąc z męskiej logiki, uznała, że ma prawo poczuć się urażona. Otworzyła drzwi i próbowała wypchnąć Henryka na zewnątrz. Lecz Henryk je

zamknął i przeszedł do salonu, wyciągnął z barku pułkownika butelkę koniaku i nalał sobie kieliszek. Mavra przyglądała mu się czujnie, gryząc wargę.

- Idź już - powiedziała wreszcie. - Zawiozę cię do ratusza.

- A nie powinniśmy najpierw wyjaśnić tej sprawy? - zapytał.

- Nie mamy nic do wyjaśnienia - odparła.

- Jak możesz tak mówić? - zdziwił się Henryk. - Przecież tak nie wolno.

Nie ma nic do wyjaśnienia? Ja zwariuję. Wież mnie do wariatkowa! Co ja mówię, prosto do kostnicy!

- Przecież już ci powiedziałam, że to ty jesteś ojcem.

- Pułkownikowi też to powiesz? - zapytał.

Mavra umilkła i spuściła wzrok. Długo wpatrywała się w palce swoich stóp, po czym powiedziała cicho:

- To moja sprawa.

Jej konsekwentna nielogiczność zaczyna zawodzić i zaraz się rozpłacze - pomyślał Henryk i poczuł nagle przyływ wielkiej czułości. Objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Ale Mavra nie wybuchnęła płaczem, tylko nieruchomym wzrokiem wpatrywała się zza barku Henryka w drzwi, gdyż leżący w kuchni Maotse zaczął piszczeć, skomleć i pytająco poszczekiwać.

W ratuszu rozpoczęto serdeczne powitania. Burmistrz nie ograniczał się do podawania dłoni, lecz wypowiadał pod adresem każdego z gości to jakąś uprzejmość, to oczywistość, to słowa szacunku, to znów zachęty, nie zapominając nigdy, do kogo zwrócić się po fińsku, a do kogo po szwedzku. Gdy na salę weszli pierwsi goście, miejski big-band zaczął grać walca o N i jego królewskiej założycielce, pod tytułem *Walc Królowej N*. Skomponował go muzyk rozrywkowy, który niepojętym zrządzeniem losu urodził się właśnie w N. On też dyrygował orkiestrą.

W tym momencie ktoś zapukał w przydymioną szybkę w drzwiach.

Henryk i Mavra znieruchomieli w objęciu. Maotse zaczął wściekle ujadać.

- Kto tam?! - Mavra musiała zawołać, żeby przekrzyczeć szczekanie psa.

- To ja, Kiwaczek! - usłyszeli za drzwiami bohaterski baryton pułkownika, który starał się zabrzmieć jak Kiwaczek. - *Prinios wam żurnal „Wiesiołyje kartinki”!*

- Co on powiedział? - zapytał szeptem Henryk.

- Przyniosłem wam „Świerszczyka” - przetłumaczyła mu cicho Mavra i zaśmiała się nerwowo, choć wcale nie było jej do śmiechu.

- Otworzysz mi? Zapomniałem swojego klucza! - krzyczał dalej pułkownik.

- Już idę! - odkrzyknęła Mavra i zdezorientowana zaczęła biegać w kółko, mocniej ściągając pasek podomki. Henryk złapał w biegu butelkę koniaku, na palcach prze-kradł się przez przedpokój na schody i zniknął w drzwiach piwnicy. Mavra odczekała chwilę. Po chwili wypuściła z kuchni Maotsego, który szczekał tak histerycznie, że obudziłby umarłego, i otworzyła drzwi. Pułkownik miał na nosie czarne okulary, w jednej dłoni bambusowy kij, w drugiej większą ze swoich dwóch toreb. Oszalały z radości Maotse rzucił się na pana. Pułkownik spodziewał się tego, więc zdążył mocniej zaprzeć się nogami w ziemię. Ujął psa za przednie łapy i przez chwilę tańczył z nim w miejscu, przycisnął go do siebie i mocno poklepał po bokach, odwracając twarz od jego zachłannego jęzora. Mavra stała przez chwilę w progu, lustrując ze zdumieniem puste podwórze domu, po czym zamknęła drzwi. Pułkownik kazał psu leżeć i zdjął płaszcz.

- Cholerny wiatr - odezwał się. - Kapelusz mi z głowy zwiało. Na pewno potoczył się do wody.

- Tak wieje, że nie słyszałam taksówki - powiedziała Mavra, odbierając od pułkownika płaszcz i torbę.

- Bo też wysiadłem na szosie - wyjaśnił pułkownik. - Przeszedłem stamtąd na piechotę. Po tym miejskim, petersburskim jazgocie tęskniłem za odgłosami przyrody. Za szumem wiatru w koronach drzew. Za chrzęstem piasku

pod butami. Za pohukiwaniem sowy, przy odrobinie szczęścia. No, ale tu mi go zabrakło. Jakiś duży kurak zerwał się do lotu gdzieś bardzo blisko, prawdopodobnie cietrzew. Jovan by go rozpoznał nawet bez patrzenia.

- A Jovan nie miał kluczy? - zapytała Mavra ni z gruszki, ni z pietruszki.

- Został jeszcze w Petersburgu na parę dni, żeby skopiować dokumenty. Uciekłem stamtąd, porzucając go bezlitośnie na pastwę losu. Przyjechałem sam, jak widzisz. Stęskniłem się za tobą.

- A ja nawet cię nie przywitałam! - wykrzyknęła Mavra, postawiła torbę na ziemi i przytuliła się do pułkownika. Maotse zaczął wpychać się między nich, jak zazdrosne dziecko. Pułkownik ze śmiechem kazał mu iść do kuchni, sam zaś przeszedł do salonu i usiadł na sofie. Mavra przyniosła mu pantofle i uklękła przed nim. Pułkownik uniósł ją lekko na kolana.

- Przerwał nam w najważniejszym - powiedział i pocałował ją.

Henryk przyglądał się im z cienia i dziwił, że wcale nie czuje się tak źle.

- Lepiej smakujesz bez psa - rzekł pułkownik. Mavra wyślizgnęła się z jego objęć i zaczęła zdejmować mu buty.

- Masz na sobie podomkę, tak długo spałaś? - zapytał.

- Byłam pod prysznicem. Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, włożyłabym najlepsze rzeczy - odparła.

- Przepraszam, że cię nie zawiadomiłem - powiedział pułkownik. - Sam nie wiedziałem, kiedy uda mi się wyjechać. Ale w podomce też mi się podobasz.

Pułkownik wyprostował nogi i zaczął się przeciągać. Kręcił przy tym głową na wszystkie strony, aby rozluźnić zdrętwiałą szyję. Wyglądał jak domownik, który po powrocie z długiej podróży rozgląda się ciekawie dookoła, chcąc zajrzeć w każdy kąt swojego ulubionego pokoju. Przez chwilę stojący w drzwiach za progiem Henryk miał wrażenie, że pułkownik patrzy na niego. Ale jego czarne spojrzenie zaraz powędrowało dalej.

- Możesz to zdjąć? - zapytał pułkownik.

- Co? - nie zrozumiała Mavra.

- Podomkę.

- Teraz? - Mavra zdziwiła się i zaraz pomyślała o bezładnym posłaniu w swoim pokoiku.

Teraz? - pomyślał przerażony Henryk.

- Dlaczegożby nie? - odpowiedział pytaniem pułkownik.

- Tutaj?

- Dlaczegożby nie? - nie ustępował pułkownik i Mavra zdała sobie sprawę, że jeśli pułkownik zechce kochać się z nią teraz na sofie, nie będzie się mogła niczym wymówić.

Henryk słyszał każde ich słowo. Tylko nie na sofie! - wydobył z siebie niemy krzyk i chciał się po cichutku wycofać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Za chwilę Mavra zdejmie podomkę, położy się na sofie na brzuchu, pod który wsunie sobie od razu poduszkę, i posłusznie wypnie pupę. A pułkownik poradzi sobie i bez patrzenia, wystarczą mu do tego te jego cztery zdrowe, wyostrzone zmysły... Dlaczego nie pójdą po sypialni pułkownika? Cokolwiek by tam robili, nie bolałoby go to tak bardzo.

Ale Mavra wcale nie miała zamiaru się rozbierać.

- Co ci chodzi po głowie? - zapytała.

- Najpierw się rozbierz, a wtedy ci powiem - droczył się z nią pułkownik.

- Najpierw powiedz, a wtedy może się rozbiorę.

- Przywiozłem ci prezent.

Pułkownik otworzył torbę, wyciągnął z plastikowej siatki czerwoną materię i podał ją Mavrze.

- Teraz się rozbierzesz?

Mavra chwyciła materiał w obie dłonie i uniosła je w górę, pozwalając mu całkowicie się rozwinąć. Gładziła go dłonią, przyciskając do ciała.

- Kupiłeś mi suknię wieczorową? - zdziwiła się.

- Możesz od razu przymierzyć? - poprosił pułkownik.

Mavra zdjęła podomkę i zaczęła wkładać suknię.

- Wcześniej nie kupowałeś mi niczego sam, musiałam być zawsze z tobą - odezwała się.

- Ale teraz, jak widzisz, kupilem - powiedział pułkownik. - Ta suknia bardzo mi się spodobała, bo materiał był przyjemny w dotyku. Wyobraziłem sobie w myślach, że cię w nią ubieram. Na tym materiale pięknie załamuje się światło, powierzchnia ślicznie się błyszczy, ale bez cienia przesady, tak mi powiedziano. Aksamit albo satyna, nieważne, nie pamiętam, na materiałach się nie znam. Podobno ma kolor burgundu, który doskonale pamiętam i który potrafię przywołać w myślach także jako smak wina na języku, synestetycznie, wielozmysłowo. Często tak ciebie postrzegam, jako połączenie smaku i zapachu.

- Jaki mam smak? - zapytała Mavra.

- Pachniesz dziką miętą i konwalia, a smakujesz plackami ziemniaczanymi - odpowiedział pułkownik.

- Czy mnie także postrzegasz synestetycznie? W formie ziemniaczanego placka?

- Nie potrafię postrzegać kształtów poprzez smak - odparł pułkownik. - Odróżniam za to miękkość od twardości. Kształty składam poprzez dotyk. I moje dłonie doskonale pamiętają kształt twojego ciała.

Mavra podeszła w sukni do lustra i zaczęła się przeglądać. Okręcała się i odwracała, i ze zdumieniem stwierdziła, że pięknie wygląda w burgundowej czerwieni, gdy jej czarne włosy okalają bladą, nieumalowaną twarz i spływają na ramiączka sukni. Kontrastująca z lśniąca czerwienią bladość cery przypominała jej o ciąży. Za trzy miesiące może się już w tę suknię nie zmieścić.

- I jak, ubrana? - zapytał pułkownik.

- Ubrana - odpowiedziała Mavra. Spojrzała na siebie innymi oczami i przyszło jej do głowy, że przypomina Avę Gardner w filmie *Bosonoga Contessa*, z tym że patrzy na świat poważnie, a nie, jak hrabina, otwarcie i

pryzwalająco.

- No i jak ci się podoba? - zapytał zniecierpliwiony pułkownik.

- Niewymownie piękna. Nigdy nie miałam niczego równie pięknego - odpowiedziała Mavra. Ostatnią sylabę wykrzyknęła, bo zobaczyła w lustrze twarz Henryka za progiem salonu.

- Co się stało? Nie pasuje ci? Nie ten rozmiar? - zatroskał się pułkownik.

- Wypełniam ją całkowicie, ale bez cienia przesady - odpowiedziała Mavra, wpatrując się intensywnie w Henryka. Pułkownik wstał i obrócił się w stronę lustra. Mavra pokazała Henrykowi, żeby zniknął, lecz ten stał jak słup soli.

- Mogę spróbować? - zapytał pułkownik. Mavra podeszła do niego, cały czas rzucając Henrykowi groźne spojrzenia. Pułkownik zaczął badać jej ciało, jego duże dłonie przesuwały się w dół, muskając delikatnie ramiona, piersi i pas, biodra i podbrzusze Mavry, na koniec zsunęły się do kolan i zatrzymały na bosych stopach.

- A zatem tak wyglądasz w tej sukni - odezwał się po chwili urzeczony. - Załóż jeszcze buty.

- Przyniosę je z przedpokoju - powiedziała.

Mavra podeszła do drzwi, chwyciła Henryka za rękę i pociągnęła za sobą. Ze złości ugryzła go z całej siły w ucho i prawie zepchnęła ze schodów prowadzących do piwnicy, sama zaś weszła do garderoby i zaczęła szukać butów, umyślnie robiąc dużo hałasu. Henryk wymamrotał jakieś niewyraźne przeprosiny, uklonił się nisko w stronę jej odwróconych pleców i zszedł cicho do piwnicy.

Pułkownik położył się w tym czasie wygodnie na sofie, chwycił poduszkę i zaczął ją podrzucać, łapiąc w powietrzu.

- Ciężki to był wyjazd - przemówił do sufitu. - Trzeba było wziąć ciebie, a Jovana zostawić w domu. Nie miałem pojęcia, że Serb może tak kiepsko czytać cyrylicę. Przekopywanie dokumentów zajęło nam cholernie dużo czasu. Myślałem już, że nic tam nie zwojujemy.

Mavra przestała hałasować.

- Co mówiłeś? - zawołała z przedpokoju.

- Mówiłem, że zapomniałaś mi powiedzieć, że Jovan kiepsko czyta rosyjski, bo chodził do chorwackiej szkoły i uczył się alfabetu łacińskiego.

- Nawet mi to do głowy nie przyszło - odparła Mavra, podchodząc do schodów, aby się upewnić, że Henryk zniknął.

- Albo akurat ci się zapomniało - poddał pułkownik. Mavra wróciła do salonu w wysokich obcasach. Pułkownik usiadł na sofie i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Cóż za boskie zjawisko! - wykrzyknął.

- Masz bujną wyobraźnię. Ale mimo wszystko dziękuję - powiedziała Mavra.

- To nie wyobraźnia, widzę cię uszami mej duszy. Ten dumny stukot twoich kopytek.

Mavra przejrzała się w lustrze, starała się prezentować dumnie i szlachetnie. Obcasy dodawały jej ze trzy cale wzrostu, lecz bez butów była piękniejsza i wyglądała zupełnie jak Kopciuszek w nowej sukni, nim jeszcze dobra wróżka nie wyczarowała dla niego cudownych szklanych trzewików. Jakaż wróżka wyczarowała dla niej tę suknię?

- Jak ci się udało wybrać tak doskonale dopasowaną i skrojoną suknię? - zapytała. - Zupełnie jakby była szyta na miarę.

- Mam przecież twoje wymiary zakodowane w palcach - odparł pułkownik.

- To nie wystarczy - stwierdziła Mavra. - Ktoś ci pomógł wybrać właśnie tę suknię?

- A co to za różnica?

- Chcę wiedzieć kto - upierała się Mavra.

- Pewna młoda dama - rzekł pułkownik.

- Domyślałam się, że kobieta - zaśmiała się Mavra. - Ale kim była? Miała

chyba jakieś imię?

- Nazywała się Dunja Łopatowa, skoro koniecznie musisz wiedzieć - odpowiedział pułkownik.

- Jak ją spotkałeś? - Mavra spostrzegła, że podoba jej się to przesłuchanie.

- Był to rzeczywiście osobliwy zbieg okoliczności - rzekł pułkownik. - Usłyszałem, że pod arkadami Sztabu Generalnego ktoś gra *Pulcinellę* Strawińskiego. Podeszedłem bliżej. Była to młoda kobieta. Zapytałem, czy potrafi zagrać również *Mavrę* Strawińskiego. Zagrała, i to całkiem nieźle, choć oczywiście nie tak dobrze jak ty. Oczarowała mnie, więc poprosiłem ją, by poszła ze mną. Poszła. A potem spotykaliśmy się codziennie.

- Spotykałeś się codziennie z jakąś nieznaną kobietą? - Mavra była zdumiona.

- Oczywiście nie za darmo - dodał pułkownik.

- Płaciłeś jej?!

- Wynająłem ją za przewodnika.

- I co, chodziła z tobą wszędzie, jak pies? Po Newskim Prospekcie? Bałeś się pewnie, że nie trafisz sam do hotelu? I do łóżka?

Mavra zauważyła, że jej głos zrobił się nieprzyjemnie wysoki.

- Chodziła ze mną zamiast Jovana do archiwum wojny i czytała mi rosyjskie dokumenty - powiedział pułkownik, nie tracąc ani krzty dobrego humoru. - Miała bardzo czysty i melodyjny głos. Co prawda „r” wymawiała z pewną leniwą niedbałością, jak niegdyś przedstawiciele rosyjskiej szlachty, lecz z czasem przywykłem do tego.

- Jak słodko! - zachnęła się Mavra. - A więc to ona pomogła ci wybrać tę suknię?

- Tak, właśnie ona. Nawet ją przymierzyła. Była niemal dokładnie twojego wzrostu i figury.

- Skąd wiesz? - zapytała. - Badałeś każdy kawałek jej ciała? Tymi swoimi superwrażliwymi opuszkami?

- Czyż nie jest to jeden z owych nielicznych przywilejów osób niewidomych? - zapytał pułkownik, któremu coraz bardziej podobało się to przekomarzanie z Mavrą. Ona z kolei zdała sobie sprawę, że rozmowa przyjęła niewłaściwy obrót, że powinna się teraz roześmiać i obrócić wszystko w żart, lecz nie potrafiła już zapanować nad wzrastającym oburzeniem i zaczęła pospiesznie ściągać z siebie suknię.

- Zatrzymaj ją sobie, nie chcę jej! - wykrzyknęła. Pułkownik nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji. Odszukał dłonie Mavry i zamknął je w swoich.

- Żartowałem - powiedział. - Nie przymierzyła tej sukni. Miała zupełnie inną figurę niż ty.

- A niby skąd wiesz? - warknęła.

- Wyczytałem to z jej kroków, z jej głosu i oddechu - odparł pułkownik. - Nie musiałem jej obmacywać.

- Czasem nie chce mi się wierzyć w ponadnaturalny rozwój twoich zmysłów po utracie wzroku - powiedziała Mavra z pełną świadomością, że wchodzi na niepewny grunt. Pułkownik spochmurniał.

- To nie wierz. Sam nie zawsze mogę im wierzyć. Ale muszą mi wystarczyć. Nauczyłem się również doskonale blefować.

Pułkownik podszedł do barku i zaczął po kolei dotykać butelek, najwyraźniej czegoś szukając. Mavra spojrzała na stojące na barku kieliszki po koniaku.

- Nalać ci whisky? - zapytała.

- Gdybyś mogła. Miałem ochotę na koniak, ale whisky też może być - powiedział pułkownik, podszedł do stołu i wlepił wzrok w ścianę. Mavra naląła whisky i wrzuciła do szklaneczki kilka kostek lodu. Spojrzała na siwe włosy pułkownika, na jego sztywną, mocną szyję i duże uszy, i przypomniała sobie, że dzieci dziedziczą po rodzicach takie długie, zwisające płatki uszne.

- Jeżeli zajrzysz do mojej torby, zobaczysz, że wziąłem ze sobą twoją

suknię ślubną na wzór - odezwał się pułkownik. - Zapakowałem ją w wieczór wyjazdu, kiedy ty poczułaś nagłą potrzebę wyjścia na dwór. Brakowało ci jej?

- Nie. Mogłeś ją od razu podarować tej Dunji. Na pewno marzyła o tym, żeby za ciebie wyjść - odparła ciągle wzburzona Mavra.

- Szarżujesz jak polska kawaleria, choć ja już dawno temu wywiesiłem białą flagę - rzekł pułkownik. - Zupełnie, jakbyś była zazdrosna.

- Zdziwiłoby cię to?

- Byłoby to w każdym razie coś nowego.

- O ile mi wiadomo, wcześniej nie miałam powodów.

- Teraz też nie masz. Nie znasz się na żartach? Co cię gryzie? Masz jakieś problemy?

Mavra włożyła pułkownikowi szklaneczkę w dłoń. Zaczęła mu masować szyję i zastanawiać się nad jego pytaniem. Znów sobie przypomniała, że w jej brzuchu rośnie dziecko, i zdziwiła się, jak mogła o tym choćby na chwilę zapomnieć. Opanowało ją pragnienie, by mu o wszystkim powiedzieć. „Siwku ty mój kochany, spodziewam się dziecka. Dziecko nie jest problemem, lecz błogosławieństwem. A ponieważ nie jest problemem dla mnie, nie będzie również dla dziecka. Jeśli miałyby być problemem dla ciebie i może dla kogoś jeszcze, to już wasza sprawa, będziecie musieli jakoś sobie z tym poradzić”.

Postanowiła jednak nic mu jeszcze nie mówić, póki jej małe błogosławieństwo nie osiągnie rozmiarów pomarańczy. Dopiero wtedy mu powie.

- Czas ci się nie dłużył beze mnie? - zapytał pułkownik.

- Nie.

- Wróciłem za wcześnie?

- Nie wróciłeś za wcześnie.

- Za późno?

- W sam raz - odpowiedziała Mavra.

- Skoro prezent ci się nie podoba, możesz go zdjąć - zaproponował

pułkownik.

- Nie powiedziałam, że mi się nie podoba. I nie zamierzam go zdejmować

- rzekła Mavra.

- A zatem przyjmujesz go? - zapytał pułkownik.

- Jak najbardziej - odpowiedziała Mavra. - Serdecznie ci dziękuję.

- Proszę bardzo. Twoje zadowolenie jest moją nagrodą - rzekł pułkownik i pocałował Mavrę w rękę. - Nie jest to pierwsza lepsza suknia wieczorowa. Uszyto ją na wzór sukni balowej księżnej Gali Rumiancewej. Tańczyła w niej na balu w pałacu Mienszykowa, gdy rewolucja już pukała do bram Petersburga. Księżna przeżyła wichry wojny domowej, by umrzeć z głodu podczas oblężenia Leningradu. Gdy konała, miała na sobie tę suknię, a raczej to, co z niej zostało. Natomiast jej krawcowa przeżyła, a wraz z nią jej kroje. Po wojnie szła dla żon grubych ryb z nomenklatury. Słyszałem nawet, że Swietłana Stalin miała na sobie taką suknię na jednym z przyjęć na Kremlu, ale to z pewnością legenda. Widziałem zdjęcia tej kobiety i na wszystkich była ubrana bardzo wulgarnie. Natomiast Walentina Tierieszkowa ubierała się w aksamity, mogła więc mieć podobną, choć oczywiście nie w kosmosie. Bez wątpienia jednak suknia ta ma w sobie jakieś kosmiczne, uniwersalne piękno i bardzo się cieszę, że ci się podoba. Dziś przysłała twoja kolej, by w niej zatańczyć.

- Chcesz, bym zatańczyła? Teraz? - zapytała Mavra, która koniuszkami palców wyczytała synestetycznie z mięśni szyi pułkownika, że gdzieś głęboko w jego ciele faluje stłumiony smutek, i chciała mu zrobić przyjemność.

Wyszła na środek podłogi i zawirowała niczym turecki derwisz.

- Chcę, byś zatańczyła w tej sukni w ratuszu na balu burmistrza - powiedział pułkownik.

- Ale przecież to dziś. I bal już się zaczął.

- Wiem - odparł pułkownik. - Spóźnimy się na początek, ale bal nie trwa przecież godzinę. Jeszcze z Petersburga zadzwoniłem do przewodniczącego rady miejskiej, że zjawimy się później. Ty będziesz miała fenomenalne *en-tree*

w trakcie kotyliona, który oczywiście zostanie przerwany w chwili, gdy przystojni i asymetrycznie piękni wejdziemy na salę, a wtedy będę mógł się upajać szeptami miejskiej śmietanki, wyrażającymi zachwyt nad twoją promienną osobą i zainteresowanie moją żołnierską, reprezentacyjną jeszcze sylwetką. I jestem przekonany, że komuś znowu przyjdzie do głowy przyrównać nas w rozmyślnie głośnym szepcie do Pięknej i Bestii!

Na tylnym siedzeniu mercedesa, w ciemnym garażu przy domu pułkownika, siedział Henryk, popijając z butelki jego francuski koniak i próbując zagłuszyć nachalne wspomnienia i fantazje. Nie przyszło mu do głowy, żeby pójść do domu. O balu u burmistrza zapomniał. W myślach wciąż na nowo przewijał mu się uparcie obraz, który zobaczył przez uchylone drzwi salonu, i starał się nie myśleć o tym, czego zobaczyć mu się nie udało.

Opróżniwszy butelkę, wyciągnął się jak długi na wygodnym siedzeniu i zasnął.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

BAL BURŻUAZJI

Obudził się z zimna w centrum N, z zastygłą w kąciku ust strużką śliny, na tylnym siedzeniu mercedesa pułkownika. Samochód stał na rynku w długim szeregu aut pod ratuszem. Henryk czuł w ustach słodki, zepsuty posmak koniaku. Nie potrafił wyjaśnić, jakim sposobem znalazł się na samym środku rynku, i nie miał czasu się nad tym zastanowić, ponieważ poczuł nudności. Otworzył drzwi samochodu, pobiegł w stronę otaczającego ceglany kościół parku i zwymiotował pod lipę. Poczł się jak profanator, mimo że w kościele bywał rzadko, a i wtedy wyłącznie zawodowo. Miał nadzieję, że Bóg, jeśli rzeczywiście istnieje i wszystko widzi, patrzył w tej chwili w inną stronę. Przeprził także lipę, usprawiedliwiając się tym, że ostatnio nie jest w najlepszej formie.

Park i rynek okręwały z piskiem opon trzy dudniące od głośnej muzyki samochody. W środku siedzieli z pewnością także jego uczniowie i choć było już ciemno, któryś z nich musiał go zobaczyć i rozpoznać, kiedy wspierał się czołem o drzewo. Wkrótce wśród chłopaków w szkole gruchnie wesoła nowina. Zaczną patrzeć na niego łaskawszym okiem.

Garnitur miał pomięty, plecy bolały go od spania w niewygodnej pozycji. Podeszedł z powrotem do samochodu i przejrzał się w bocznym lusterku. Ucho miał sinoczer-wone, na opuchniętej małżowinie skrzep krwi, włosy były potargane i przepocone, w oczach czaiło się nieme pytanie.

Kto go tutaj przywiózł? Jovan jest w Petersburgu, pułkownik nie widzi. Czy to Mavra go tutaj porzuciła? I to akurat dziś? I nawet go nie wybudziła z tego koszmaru?

Przy wejściu do ratusza paliły się pochodnie, neogotycka fasada była skąpana w świetle reflektorów. Przy wejściu ogłuszyła go ciężka, taneczna

muzyka i gwar rozbawionych gości. Nikt już nie pilnował wejścia i nie sprawdzał zaproszeń, w N nie trzeba się było obawiać, że po północy plebs będzie próbował wcisnąć się na pańską zabawę. W N każdy znał swoje miejsce.

W ubikacji Henryk umył twarz i rozczesał włosy. Pociągnął z kranu kilka łyków zimnej wody i przepłukał gardło, by oczyścić oddech ze słodkawego smrodu przetrawionego koniaku. Papierowym ręcznikiem starł z ucha skrzepę, lecz rany zaraz zaczęły broczyć krwią.

Z kabiny wyszedł komendant miejskiej straży pożarnej, zapiał pas i poklepał Henryka przyjacielsko po plecach. Powodem jego sympatii dla nauczyciela był fakt, że nazwisko komendanta również wywodziło się etymologicznie od ognia.

- A co się panu Watrze stało w ucho? - zapytał komendant Bloss.

- Pogryzł mnie własny pies - odpowiedział Henryk, przykładając do ucha kawałek papieru.

- Ranę po ugryzieniu trzeba odkazić - powiedział Bloss i wyciągnął z kieszeni srebrną piersiówkę. - Najlepiej prawdziwą wodą ognistą.

Henryk wylał kilka kropel smirnoffa na chusteczkę i oczyścił ucho. Bloss poddał mu myśl, by zaaplikował także trochę wewnętrznie, gdyż zmniejsza to ryzyko wystąpienia zakażenia krwi. Ale Henrykowi żołądek podszedł do gardła od samego zapachu wódki.

Przed olbrzymim lustrem w auli wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki krawat i zawiązał pod szyją. Kołnierzyk miał zabrudzony od krwi, na klapie widać było plamy po koniaku. Złe samopoczucie nadało jego twarzy pewną eteryczną bladość. Na tym etapie zabawy nikt nie będzie chyba zwracał uwagi na jego ubiór. Henryk obciągnął marynarkę i wszedł po schodach na pusty balkon sali balowej.

Z góry można było bez przeszkód studiować fluktuacyjną socjologię balu. Impreza weszła w fazę, w której początkowo sztywno złączone pary zaczęły się rozpadać, mieszać ze sobą i spontanicznie formować nowe układy.

Gdy te efemeryczne skupiska się rozpraszały, kobiety znowu szukały towarzystwa kobiet, a mężczyźni mężczyzn. Natomiast gdy orkiestra rozpoczynała kolejny utwór, te homogeniczne grupki mieszały się ponownie, tworząc nowe pary, które zaczynały zabawnie wirować wokół własnej osi i wokół innych par. Po dwóch kawałkach pary się rozłączały i znowu rozpadały na niewielkie grupki. Wyobrażając sobie to ciągle łączenie się i rozłączanie ludzi w znacznym przyspieszeniu, Henryk przypominał sobie wiecznie żywe kawałki barwnego szkła w swoim dziecięcym kalejdoskopie, choć zauważył, że tory cząstek ludzkich były bardziej chaotyczne, a ich ruchy sztywne i pozbawione wdzięku. Nie dostrzegł też nigdzie Mavry, ani samej, ani w towarzystwie pułkownika.

Zobaczył za to Solveig, stojącą przed popiersiem pierwszego burmistrza miasta, obok wojewody, którego szybko zostawiła i skierowała się energicznie ku stolikowi z napojami. Wojewoda rozmawiał z potentatem zwirowym Gropiusem, którego miał bronić w kolejnej sprawie sądowej. Ogólnie szanowanemu przedsiębiorcy i niszczycielowi przyrody ponownie zarzucono, że zbyt głęboko eksploatuje wyrobisko. Gdy Gropius się już naśmiał, powiedział, że skoro wszystkie okoliczne złoża należą do niego, to do niego należą również płynące pod nimi wody gruntowe. Ale dla świętego spokoju jest gotów zapłacić zasądzone kary, zdążył się już przyzwyczaić do tej dziesięciny. Zresztą, te pieniądze w końcu i tak lądują w kieszeni ekologów, więc wilk jest syty i owca cała. Teraz roześmiali się także wojewoda i grupka mężczyzn z biznesklubu. Śmiech prezesa był zaraźliwy, bo Gropius miał wszystkich w kieszeni. Śmiech zwycięzcy, któremu nikt i nic nie może zagrozić.

Orkiestra raz jeszcze zagrała walca Królowej, do mikrofonu podszedł kompozytor i dyrygent w jednej osobie, który na prośbę publiczności zgodził się osobiście zaśpiewać swoją kompozycję.

Bo to jest miasto naszej królowej, a zwali ją wszyscy zwyczajnie N. Ona miast berła dźmierzyła kotew, i wiecznie sławić ją będzie pieśń - zaintonował

muzyczny wychowanek miasta i parkiet wypełnił się wirującymi parami. Henryk zobaczył, że do śpiewu przyłączyli się żywo dyrektor i dwie nauczycielki. Obciążona na pazia katechetka zaczęła nawet kołysać się przed dyrektorem i przestępować z nogi na nogę w rytm walca, jemu nie przyszło jednak do głowy, by poprosić ją do tańca. Badacz promieniowania cieków wodnych Söderholm plątał się nieporadnie między tańczącymi, pociągając z własnej butelki niczym Jergen Puckel w liście poety Bellmana.

Jaki był naszej N początek?

Kiedy się w porcie odbył jej chrzest?

W tysiąc siedemset czterdziestym piątym, co będziem pamiętać po czasie kres.

W tym momencie otwarły się drzwi gabinetu burmistrza i do sali weszła Mavra w towarzystwie pułkownika, a za nimi burmistrz z małżonką. A więc jednak są tutaj! Mavra ich przywiozła, a przy okazji nieświadomie przeszmuglowała na tylnym siedzeniu samochodu także Henryka. I nie zauważyli go! Tak to musiało być.

Mavra kroczyła przez salę bez pośpiechu, pułkownik szedł obok i nieco z tyłu, tak że dzielił ich taktowny, niewyczuwalny niemal dystans. Tańczący spoglądali się na pysznie asymetryczną parę i podziwiali, jak swobodnie, niezauważalnie wręcz Mavra prowadzi pułkownika, będąc jego towarzyszką i przewodnikiem zarazem. Włosy miała upięte w luźny kok, na szyi mienił się srebrny, arabski naszyjnik. Światło załamywało się pięknie w burgundowym aksamicie jej sukni, który lśnił wprost cudnie.

Granatowo-czarne buty dodawały jej ze trzy cale wzrostu, ale ciągle była niższa od pułkownika o głowę. Gdy stała w tych butach obok Henryka, wystarczyło jej unieść ku niemu twarz, a mógł ją pocałować, nie pochylając się.

Henryk poczuł szarpiący ból ucha. Dotknął palcami rany po zębach Mavry.

A teraz pochylę przed nią głowę, nie całując jej! - pomyślał. Jak

Eugeniusz Oniegin w końcu ósmego rozdziału.

Wyszeptał po rosyjsku początek czternastego wiersza:

Poszła po sali szmerów gama I zakolysał się tłum rojny... Przed panią domu stała dama, Za nią generał stał dostojny.

Pamiętam! Wyrecytuję jej to jeszcze dziś. Wyrecytuję jej to tutaj. Będzie zachwycona postępami, jakie poczyniłem.

Ale dlaczego czaję się tak na tym balkonie? Czyż nie zostałem zaproszony na bal tak jak pozostali goście? Czego niby miałem się wstydzić? Spałem z żoną pułkownika. Pułkownik też z nią spał. Upiłem się koniakiem pułkownika i zasnąłem. Pułkownik ma trunków pod dostatkiem. Jego żona ugryzła mnie w ucho. Będę je nosił dumnie obnażone.

Ktoś dotknął jego dłoni. W ogóle nie spostrzegł, że podeszła do niego Solveig.

- Więc jednak przyszedłeś - powiedziała. - Już myślałam, że się nie zjawisz. Aż wtem dostrzegłam cię na balkonie.

- Mnie tu nie ma - wymamrotał Henryk.

- Rzeczywiście, nie ma cię tu. Jesteś tam na dole - powiedziała Solveig.

Stali w milczeniu i patrzyli na salę balową. Muzycy mieli przerwę. Pułkownik rozmawiał szeptem z dyrygentem i burmistrzem, Mavra stała sama z boku ze spuszczonym wzrokiem i w zamyśleniu gładziła delikatnie palcami materiał swojej sukni.

- Ma piękne dłonie - odezwała się Solveig. - Nie wie, co z nimi zrobić. Po to właśnie kobiety zabierają na podobne imprezy małe torebki, żeby móc się czymś bawić. Ja nie potrzebuję, ja mam zawsze w jednej ręce kieliszek, a w drugiej papierosa.

- Po co tu przyszłaś? - zapytał Henryk.

- Przyszłam cię przeprosić.

- Za co?

- Za wszystko. Za cokolwiek. Przepraszam tak w ogóle - powiedziała,

lecz Henryk nie dostrzegł w niej żalu czy skruchy.

- Nie ma sprawy. Lepiej już idź, bo wojewoda wścieknie się na dobre i przyjdzie tu publicznie nas wychłostać - warknął Henryk.

- Nie unos się. Nie biegam za tobą. A Rauno nie obchodzi, gdzie się szwendam. Od dawna. Wszystko wtedy zmyśliłam. To jest wyznanie.

- Skłamałaś? - spytał Henryk i przypomniał sobie Kre-teńczyka i jego ambiwalentny stosunek do owiec.

- Konfabulowałam. Na użytek nowej powieści. Myślałam, że się domyślisz. Taka jestem, *fabuła rasa*. Święte prawo i obowiązek pisarza. Ciebie również umieściłam w tej powieści.

- Jakże by inaczej - Henryk nie był zdziwiony.

- Ja też w niej oczywiście występuję, i Rauno. Są w niej pułkownik i jego żona.

- Co ty o niej wiesz?

- Wiem choćby, gdzie popłynąłeś w tamten wieczór, kiedy była ta cholerna burza.

- Nie popłynąłem, prąd mnie tam zniósł.

- Drewno spławne się znalazło! Ile razy jeden pień może dać się znieść na ten sam brzeg?

- Dawała mi lekcje rosyjskiego.

- Ale jest chyba twoją kochanką? - spytała Solveig.

- Już nie jest - odparł Henryk. - Tak właśnie napisz: Już nie jest.

Znów gruchnęła muzyka i kompozytor zaintonował krzykliwie kolejną własną kompozycję *Dzieli nas rzeka*, tym razem jednak do słów pułkownika, które odczytywał z kartki.

Tęsknota wzięła starego wojaka, więc kupił prezent nie byle jaki, dla żony suknię z czerwonej nici, aby okryła jej piękną kibić. Był to miłości dowód i wyraz, lecz żona prezentem męża wzgardziła, ponieważ nosiła suknię na sobie wcześniej już inna, piękna kobieta.

- śpiewał dyrygent, a tańczący rozsunęli się na boki, robiąc miejsce

państwu Musk. Pułkownik z wdziękiem obracał Mavrę, teraz on mógł prowadzić i robił to, mimo braku jednego zmysłu, doskonale, ani przez chwilę nie znalazł się w niebezpiecznej bliskości ściany, publiczności ani orkiestry.

- Burmistrz powiedział, że dziś wypada trzecia rocznica ślubu pułkownika i Mavry - rzekła Solveig. - Czyż nie są wzruszającą parą?

- Napisz w swojej książce, że ona spodziewa się mojego dziecka - powiedział Henryk i poszedł.

W drzwiach sali zatrzymał się jeszcze, odwrócił i spojrzał na tańczących jubilatów. Przez chwilę miał wrażenie, że Mavra go dostrzegła. Lecz gdy wirując po parkiecie, ponownie znalazła się tuż obok niego, nawet na niego nie spojrzała.

Henryk stapał po wysłanych czerwonym dywanem schodach, odprowadzany do drzwi poświęconym Newie walcem.

Dla ciebie w każdy mglisty wieczór stałem samotnie na moście Kirowa, wpatrując się w Newy szary przestwór i marząc naiwnie, wciąż od nowa, że spotkam cię rano może przypadkiem gdzieś w Ermitażu lub na statku. Tak to przeżywał twój *mużczina* samotnie cierpienia młodego Puszkina.

Pułkownik wirował z Mavrą odurzony szczęściem i przestał się nawet martwić tym, że obecnie most Kirowa nosi imię Świętej Trójcy, której przecież i tak w żaden sposób nie dałoby się umieścić w jednej linijce.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

LEPSZE OKO KRÓLA GRUZJI

Następnego dnia po balu Henryk postanowił wejść do jaskini lwa. Miał nadzieję, że zdąży zobaczyć się z Mavrą, nim pułkownik odgryzie mu głowę.

Gdy zapukał w okienko w drzwiach wejściowych, Mav-ra i pułkownik ćwiczyli sonatę Cesara Francka na skrzypce i fortepian. Mavra była w swej czerwonej sukni, w której miała grać na koncercie. Pułkownik natomiast miał na sobie dres. Właśnie przed chwilą powiedział żonie, że nigdy się nie nauczy swojej partii w tym utworze, a poza tym nie znosi tonacji A-dur, bo jest niebieska, a on nie należy do wielbicieli tego koloru. Mavra uznała, że nie jest bardziej niebieska od innych, lecz pułkownik nie ustępował, powołując się na swoją wybitną zdolność postrzegania kolorów za pośrednictwem słuchu i na Sibeliusa, który również widział A-dur na niebiesko.

- Kto to może być? - zdziwił się pułkownik, słysząc pukanie.

- Nie mam pojęcia - odparła Mavra i pełna najgorszych przeczuć opuściła skrzypce i podeszła do okna.

Ile jeszcze odbijanych będzie w tym tańcu? Przecież się nie rozerwę! - pomyślała Mavra, rozpoznawszy sylwetkę mężczyzny, który stał w półcieniu za drzwiami.

- Nie otworzysz? - zapytał pułkownik, słysząc, że nic się nie dzieje.

- To Henryk Watra - wyszeptała Mavra.

- A to dopiero - powiedział rozbawiony pułkownik.

- Przyszedł na lekcję. Zapomniałam o niej. Poproszę go, żeby zjawił się kiedy indziej.

- Ależ dlaczego, zaproszę go do środka - ponaglił ją pułkownik.

- Nie mam najmniejszej ochoty - odparła Mavra. - A poza tym musimy ćwiczyć.

- Jeszcze zdążymy, bez obawy - uspokajał pułkownik. -
Przetransponujemy tę sonatę na C-dur. C-dur jest czerwony, tak jak twoja
suknia. Wtedy się nauczę. No, otwórz już. Jeszcze się biedak przeziębii na tym
zimnie.

Mavra otworzyła drzwi, za progiem stał Henryk z kapeluszem w ręku.

- Dzień dobry wszystkim - odezwał się.

- Pan miał przyjść dzisiaj? - zdziwiła się Mavra. - Myślałam, że dopiero
jutro.

- Naprawdę? Przepraszam. Straciłem rachubę czasu - Henryk był zbity z
tropu i nie wiedział, co myśleć o tej jej chłodnej oficjalności. - Ależ ma pani
piękną suknię! - wydusił po chwili.

- Mąż mi przywiózł z Petersburga. Jest w tonacji C-dur - wyjaśniła
Mavra. - To spuścizna po księżnej. Była do mnie bardzo podobna. Miała nawet
podobną figurę, choć próbowano mi wmówić co innego. Czy to może być zbieg
okoliczności? Niech się pan wypowie. Jest pan przecież specjalistą od
przypadków i zrządeń losu.

Henryk tak się zmieszał, że zaczął rozważać odwrót.

- Nie dręcz gościa - odezwał się pułkownik.

- Nie chciałbym przeszkadzać - bąknął Henryk. - To może ja przyjdę
kiedy indziej. Widzę, że państwo ćwiczycie.

- Tak będzie lepiej - podsumowała Mavra.

- Dajemy koncert na opłatku w biznesklubie - powiedział pułkownik. -
Ale mamy jeszcze sporo czasu. Wcale pan nie przeszkadza.

Henryk wyprostował się, ominął Mavrę i wszedł do środka. Wtedy zdał
sobie sprawę, że nie ma pojęcia, czy gospodarze spodziewają się, iż wie o
powrocie pułkownika, czy też powinien udać zdziwienie.

- A więc pan pułkownik wrócił - skonstatował ogólnikowo.

- Wróciłem wczoraj - przytaknął pułkownik. - Pozdrowienia z
Petersburga. Sobór Świętego Izaaka jeszcze stoi, a cerkiew Zmartwychwstania

ciągle w remoncie. Albo na odwrót.

- Znalazłem na trawniku kapelusz - powiedział Henryk. - Okrągły, z niedużym rondem.

- To pewnikiem mój - orzekł pułkownik. - Zwiało mi go wczoraj z głowy.

- Wiatr gnał go w stronę rzeki.

- Dziękuję, że go pan uratował. Przedstawia dla mnie pewną wartość emocjonalną. To stary eden mojego ojca.

- Trochę się zmoczył i odkształcił - powiedział Henryk, wsuwając rondo w wyciągniętą dłoń pułkownika. - Goniąc go, musiałem na niego nadepnąć, inaczej wpadłby do rzeki.

- Nic nie szkodzi. Wyprostuje się nad parą. Niechże pan siada. Mavra z pewnością zaparzy nam herbaty.

- I tak zmieniają się role na scenie życia: wczoraj księżna, dziś służąca - skonstatowała cierpko Mavra i wyszła do kuchni.

- Ależ nie trzeba... - sumitował się Henryk.

- Proszę nie zwracać na nią uwagi - uspokoił go pułkownik. - Kobiety czasem trudno zrozumieć. Próbuje już od kilkudziesięciu lat i nadal się gubię w świecie ich myśli i uczuć. A pan, czy pan rozumie kobiety?

- Niezbyt dobrze - przyznał Henryk.

- Może się pan jeszcze nauczy - powiedział pułkownik. - Jest pan wystarczająco młody. Dla mnie pozostaną zagadką już na zawsze. Ta suknia, na przykład... Sporo się natrudziłem, żeby ją zdobyć, leży na niej jak ulał, a ona jak ją przyjmuje? Dobrze, że nie cisnęła mi jej w twarz... Po chwili, co prawda, dała się udobruchać, ale dzisiaj znowu jest zgryźliwa. Przywiozłem jej tę suknię na wczorajszy bal w ratuszu. Pan też tam był?

- Nie mogłem przyjść. Wystąpiły pewne przeszkody - Henryk postanowił zagrać brawurowo.

- Wielka szkoda - zmartwił się pułkownik. - Trzeba było panu widzieć *entree* Mavry w tej sukni. Sam oczywiście mogłem je wyłącznie słyszeć.

Najpierw na sali zapanowała cisza, a zaraz potem zaczęły się podnosić pełne zachwyty szeptu. Muszę przyznać, że rozpierała mnie duma.

- Miał pan ku temu wszelkie powody - stwierdził Henryk.

- Miło mi, że podziela pan moje zdanie - powiedział pułkownik. - Jakie postępy poczynił pan w nauce rosyjskiego? Pan pozwoli, że zgadnę. Zrobił pan krok milowy. Z pewnością potrafi pan już rozmawiać na każdy temat. Interesuje pana historia Petersburga? Moglibyśmy kiedyś wybrać się tam razem, mam w mieście trochę wysokich rangą znajomych, byłych oficerów, i kilku z nich interesuje się poważnie historią wojny. Są to niezrównani przewodnicy po Petersburgu. A jak tam pańskie ramię?

- Już prawie w porządku - odpowiedział Henryk i zakręcił nim kilka razy, zupełnie jakby pułkownik mógł to zobaczyć. - Jest jeszcze trochę sztywne. Próbuję je rozćwi-czyć, grając w badmintona.

- I tak trzymać - pochwalił go pułkownik. - Oficer rezerwy nie leży beczynnym, kiedy liże rany. Powinienem był pana przeprosić za ten nieodpowiedzialny wybryk Jo-vana, lecz w dniu wyjazdu byłem tak ululany, że jakoś nie przyszło mi to do głowy. Jovan zresztą też. Sam pana przeprosi, gdy wróci. Inna rzecz, że Serbowi słowa przeprosin niezbyt łatwo przechodzą przez gardło, może mi pan wierzyć. Palić i niszczyć to oni potrafią, ale godzić się, przyznać do błędu czy wyrazić samokrytykę już nie za bardzo. Bez względu na to, co robią, są święcie przekonani o swojej racji, bo kiedyś ich gnębiono i prześladowano. Z tego powodu uważają się za naród wybrany. Tak samo jak Rosjanie. No i oczywiście Żydzi. I pewnie wszystkie inne narody. Czy już pan postanowił wnieść przeciw niemu sprawę w sądzie?

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło - odpowiedział Henryk. - Dajmy temu spokój.

- Bardzo rozsądnie - podsumował pułkownik. - Oczywiście może się pan domagać rewanzu, aby wyrównać rachunek i w ten sposób uzyskać zadośćuczynienie.

- Nie ma takiej potrzeby - zapewnił go Henryk.
- Czyli tę sprawę możemy uznać za zamkniętą? - spytał pułkownik.
- Za zamkniętą i puszczoną w niepamięć. Przestałem już o niej myśleć.
- A zatem i ja przestaję.

Z kuchni dobiegał brzęk naczyń. Do pokoju przydreptał Maotse, usiadł przed pułkownikiem i położył mu pysk na kolanach. Nie spuszczał czujnego oka z Henryka i cichutko pomrukiwał. Henryk był z tego zadowolony.

- Nie może się jeszcze do mnie przyzwyczaić - stwierdził.
- Robi się przy mnie nieco nadopiekuńczy - powiedział pułkownik. - Broni mnie wtedy i pilnuje innych.

Pułkownik wytargał Maotse serdecznie za uszy, wypowiadając pieszczotliwe słowa.

- Przestań już pomrukiwać. Pan Watra jest u nas mile widzianym gościem, to przyjaciel rodziny i pilny uczeń twojej pani...

- Jeszcze pan pływa po rzece? - pułkownik zwrócił się do Henryka. - Gdy przechodziłem wczoraj obok pomostu, zdawało mi się, że uderza weń burta łodzi. Domyśliłem się, że to pańska, bo moją kazałem już wyciągnąć z wody.

- Stoi tam od tego czasu, gdy... od tamtych zapasów z Jovanem - odpowiedział Henryk. - Najpierw nie byłem w stanie wiosłować, a potem, kiedy już od biedy dałbym sobie radę, pogorszyła się pogoda. Przyjechałem rowerem.

- I słusznie pan postąpił, w taki wietrzny i chłodny dzień - orzekł pułkownik. - Nie warto ryzykować w młodym wieku. Gdybym sam był ostrożniejszy, teraz widziałbym zdecydowanie lepiej. Co prawda, nie byłem już młody, kiedy straciłem wzrok. Ale za to głupi. Przecież oficjalnie byłem już na emeryturze. Mogłem sobie spokojnie leżeć w domu do góry brzuchem. Ale nie, zachciało mi się bawić w strażaka w płonącej prochowni. Nie było to zbyt rozsądne. Z drugiej strony, gdybym nie pojechał, nie spotkałbym Mavry. Ani pan.

- Ani ja - przyznał Henryk. - Mimo wszystko, aż się wzdragam na myśl,

że o mały włos pan wtedy nie zginął.

- Taki zawód. Pan również mógł utonąć w czasie tej wichury, kiedy wyrzuciło pana na nasz pomost, a nie zna się pan przecież na flisactwie - powiedział pułkownik. - No, ale jesteśmy teraz tutaj, cali i zdrowi, przynajmniej na razie.

- Słyszałem... Jovan mi powiedział, że w pierwszym roku wojny uratował go pan i wyciągnął Mavrę z rąk Serbów - zagadnął pułkownika Henryk.

- Z technicznego punktu widzenia przyszło mi ratować Jovana z rąk Chorwatów, ponieważ sam jest Serbem, a Mavrę z rąk Serbów, ponieważ jej matka była Muzuł-manką. Rzeczywiście, uratowałem ich. Prawdopodobnie przekroczyłem tym samym zakres swoich uprawnień, ale pał sześc. Każdy zrobiłby to samo na moim miejscu - rzekł pułkownik.

- A potem, gdy wjechał pan na minę, Jovan ocalił pana przed Serbami?

- Tak rzeczywiście było. To Jovan prowadził wtedy dzipa. Po tym, jak odnalazłem Mavrę i jej rodzeństwo oraz uwolniłem Jovana z chorwackiego więzienia, wynająłem go jako kierowcę, miał wozić mnie po masywie Trebovaca, bo zamierzałem rozeznac się w tamtejszej sytuacji. Jovan był przekonany, że wie, które drogi są bezpieczne. Ale sytuacja zmieniała się z dnia na dzień, Serbowie zdążyli dojść w góry i zaminować drogę do Zelinji. Jovan zahaczył minę tylnym kołem. Siedziałem wtedy z tyłu, wyrzuciło nas obu z samochodu. Jovanowi nic się nie stało. Wpadliśmy w zasadzkę, zaczęli do nas strzelać. Jovan krzyczał, że jest Serbem i wiezie bezstronnego fińskiego oficera, obserwatora wojskowego ONZ. Wtedy Serbowie wstrzymali ogień i otoczyli go kołem. Jovan skłamał, że ma przepustkę sztabu armii federalnej i może mnie wozić, gdzie tylko zechce. Jeśli zginę w tych okolicznościach, będzie to dla Serbów poważny cios polityczny, bo w obecnej sytuacji wszyscy próbują zrobić z Serbii kozła ofiarnego i obciążyć ją odpowiedzialnością za wszystkie okropności tej wojny, co, między nami mówiąc, mocno się z prawdą nie mija. Tak ich zagadał, że w końcu przegadał, i ustąpili. Pozbierali mnie z drogi,

zanieśli do swojego obozu, udzielili nawet czegoś w rodzaju pierwszej pomocy i odwieźli do najbliższego szpitala w Gradaćacu. Niewiele brakło, a kopnąłbym tam w kalendarz, najpierw z powodu upływu krwi, a potem zakażeń. Ale przeżyłem. Przenieśli mnie potem do lepszego szpitala do Tuzli, a na koniec przetransportowali samolotem do szpitala wojskowego we Włoszech. Tak to było. Ratowaliśmy się nawzajem, po kolei. Takie są te zabawne przypadki na wojnie.

- Mówi pan, że zabawne? - zdziwił się Henryk.

- Zabawne, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy czasu, przez pryzmat historii - odpowiedział pułkownik.

- Zresztą pan jako nauczyciel historii powinien dobrze to rozumieć.

Henryk umilkł i zamyślił się nad tym osobliwym splotem przypadków. A więc przypadki rzeczywiście chodzą po ludziach. Po nich też przeszły.

- Coś bardzo pan spoważniał - zauważył pułkownik.

- Tak wielkie bohaterstwo nastraja człowieka bardzo poważnie - odpowiedział Henryk bez cienia ironii w głosie.

- Wojna lepi z ludzi bohaterów i tchórzy jak popadnie. Dowodów dostarcza historia wszystkich możliwych konfliktów, od pierwszych rąbanek jaskiniowców po ostatnią masakrę w Bośni. Mój ojciec, na przykład... Doszedłem do wniosku, że w dwóch wojnach był w pewnym sensie bohaterem, lecz w życiu prywatnym daleko mu było do bohaterstwa. Miał bardzo słaby kręgosłup moralny. Zginał mu się na wszystkie strony. Poza rodzinnymi. Ale proszę mi wybaczyć, pana to z pewnością ani trochę nie interesuje. Wspomniałem o tym tylko dla przykładu. Jeśli zaś chodzi o mój bohaterski wyczyn, on również był dziełem czystego przypadku. Miałem po prostu sporo szczęścia. Koniec końców, zrobiłem tylko to, o czym marzą wszyscy chłopcy. Pan zapewne nie był wyjątkiem - powiedział pułkownik.

- A o czym to marzyłem jako chłopiec?

- Aby wydostać dziewczicę z jaskini smoka. Mnie się udało. Przez

przypadek znalazłem się we właściwym czasie i na właściwym miejscu. Uratowałem dziewicę i wziąłem ze sobą. Potem ojciec dziewicy uratował mi życie. Dlatego naszą trójkę, Mavrę, jej ojca i mnie, łączą bardzo mocne więzy. Jesteśmy jak cząsteczka wody. Dwa atomy wodoru i jeden atom tlenu.

- Prawdziwa rodzina atomowa - podsumował Henryk. Postanowił postawić wszystko na jedną kartę, choć nie miał nic do wygrania. - Mogę panu tylko pogratulować. Wam wszystkim. Mam nadzieję, że będziecie żyć długo i doczekacie się liczego potomstwa.

Pułkownik zadumał się przez chwilę nad życzeniami Henryka.

- Czy i pan chciałby się przyłączyć do naszej rodziny molekularnej? - zapytał wreszcie. - Sprawia pan czasem wrażenie samotnego i zagubionego. Pańscy rodzice żyją?

- Już nie - odparł Henryk.

- Współczuję - powiedział pułkownik. - Wobec tego mógłbym pana adoptować. Mavra zostałaby wtedy pańską macochą, a Jovan dziadkiem. Prawdziwa sielanka. Lecz wówczas musiałby pan pilnie baczyć, by nie podzielić losu króla Edypa. Zna pan tę opowieść, prawda?

- Jeżeli mnie pamięć nie myli, Edyp wyłupił sobie oczy, gdy zdał sobie sprawę, że zabił własnego ojca i poślubił swoją matkę.

- To dopiero byłaby ironia losu, nieprawdaż? Zajaw-szy miejsce ślepeca, sam by pan oślepl! Ale i tak nie miałby pan najgorzej. Mavra bardzo się troszczy o swoich ociemniałych.

- Rozważę pańską propozycję - odpowiedział Henryk. - Wydaje mi się jednak, z całym szacunkiem, że wolę zachować wzrok.

Mavra ukazała się w drzwiach, bezszelestnie niczym bo-sonoga contessa, i stała z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Pułkownik sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy z jej obecności.

- Rozumiem pana - odezwał się. - Sam dałbym wiele, aby odzyskać wzrok. Choćby po to, żeby zobaczyć Mavrc w tej sukni. Jak się w niej

prezentowała?

Henryk rzucił na nią przelotne spojrzenie. Mavra położyła obie dłonie na brzuchu i wypięła go.

- Nie znam się tak bardzo na ubiorach ani figurach - odpowiedział Henryk. - Powiedziałbym jednak, że strój Mavry łączy w sobie ponadczasowy klasycyzm, naturalną godność i kobiece ciepło. Podobnie jak ona sama, jeśli pozwoli mi pan wyrazić swoją opinię na jej temat.

- Pozwalam. Proszę chwalić śmiało, zarówno suknię, jak i Mavrę - rzekł pułkownik. - Nie mamy tego panu za złe, jakby powiedział Jovan, który bardzo lubi pierwszą osobę liczby mnogiej. Zechciałby mi pan jeszcze opisać odcień tej czerwieni? - poprosił pułkownik.

- Przychodzi mi na myśl pełne, bardzo dojrzałe borde-aux, powiedzmy co najmniej ośmioletnie sauternes.

- A nie bourgogne?

- Nie, właśnie bordeaux.

- Ufam pańskiej ocenie - rzekł pułkownik i Henrykowi zdawało się, że lekko się skłonił. - Ma pan dobry gust i bystre oko.

- W rzeczywistości nie znam się na winach ani trochę - przyznał Henryk.

- Zauważyłem. Ale blefuje pan wybornie.

- W jadalni podano herbatę - odezwała się Mavra.

- Mavra? - zdziwił się pułkownik i obrócił głowę w stronę drzwi. - Nie słyszałem twoich kroków.

- Oczywiście, że słyszałeś - powiedziała Mavra. - Ty wszystko słyszysz. A resztę sobie dopowiadasz.

- To się nazywa twórcza wyobraźnia - rzekł pułkownik. - Czasem trafiam w dziesiątkę, czasem jak kulą w płot. Idę się przebrać. Kiedy jestem w dresie, herbata zupełnie mi nie smakuje. Ale możecie śmiało zacząć beze mnie.

- Kiedy chcesz mu powiedzieć? - spytał Henryk po wyjściu pułkownika.

- W swoim czasie - odparła Mavra.

- Co mu wtedy, w tym swoim czasie, powiesz?
- To tylko i wyłącznie moja sprawa.
- Także moja. W końcu to moje dziecko.
- Nie wyobrażaj sobie za wiele - ucięła Mavra.
- Sama tak powiedziałaś.
- Może wczoraj. Dziś jest dziś.
- Co się mogło zmienić przez jeden dzień?
- Ty - odpowiedziała. - Pij swoją herbatę, bo ci wystygnie.

Mavra wstała, wzięła z pianina skrzypce i wyszła.

Henryk siedział sam i pił gorzkie zioła, nie mogąc pojąć, dlaczego również nie wstał i nie wyszedł. Mavra nie wróci, dopóki on nie pójdzie. Zamknęła się w pokoiku, który teraz tymi swoimi serbskimi zaśpiewami przemieni z powrotem w świątynię dziewictwa, mężczyzna przestał już być jej potrzebny. A gdyby tak teraz zszedł na dół i wdarł się tam spieniony jak jej Puszkowski rycerz i wydobył z niej jakieś wyjaśnienie, wyznanie, wyrok? Niczego tak nie pragnął, jak szczerego słowa, przynajmniej tyle jest mu winna. Był pewien, że cokolwiek by mu powiedziała, dostałby to, na co sobie zasłużył. Jeśli nie zrozumiałby od razu, miałby nad czym rozmyślać do końca życia. Albo wszedłby do jej pokoju spokojnie, lecz zdecydowanie i uprzejmie poprosił o jakieś wyjaśnienie. Że niby dlaczego tak to się wszystko ułożyło? I co z nim teraz będzie, skoro już go nie kocha? Jego, który przecież jako jedyny tchnął w jej życie powiew wiosny. Sama tak powiedziała. Zapożyczyła to z jakiejś pieśni Czajkowskiego, ale mimo wszystko tak właśnie powiedziała, a takich rzeczy nie mówi się po to, by odwrócić się zaraz plecami i milczeć z groźnym błyskiem w oku.

Pułkownika też nie było widać. Gdy Henryk wbrew zdrowemu rozsądkowi zstąpił do jaskini lwów, bestie ledwo na niego spojrzały, nie wspominając nawet o odgryzieniu mu głowy. Wycofały się do swoich kątów, pozostawiając go samego na pastwę własnych, chaotycznych myśli.

Henryk postanowił machnąć ręką na etykietę i wyjść bez pożegnania. W końcu zwrócił pułkownikowi jego kapelusz, a Mavra nie da mu lekcji rosyjskiego i nie udzieli odpowiedzi na jego rozpaczliwe pytania, nie przeprosi ani nie wybaczy, nie okaże miłości ani współczucia i nawet nie pocieszy, głaszcząc delikatnie po głowie.

Wtem do pokoju wszedł pułkownik w czerwono-brązowej bonzurce z szamerowanym zapięciem i szerokimi kieszeniami.

- Przepraszam, że tak długo mnie nie było - odezwał się pułkownik i zaczął kręcić głową na wszystkie strony niczym nasłuchujący pies. Henryk mógłby przysiąc, że strzygł przy tym uszami. - Mavra nie została na herbacie?

- Wróciła do swojego pokoju - odpowiedział Henryk. - Może znowu męczy ją migrena.

- Nie zdziwiłoby mnie to wcale - rzekł pułkownik. - Wczoraj siedzieliśmy do późna. A zatem zostaliśmy we dwóch, pan i ja. Czy byłby pan tak uprzejmy i nalał mi herbaty?

Henryk nalał herbaty do rosyjskiego stakana, po czym postawił przed pułkownikiem słoik z konfiturą z malin i spodeczek z kawałkami cytryny. Pułkownik obsłużył się sam.

- Łebski z pana gość i oko ma pan bystre, zapytam więc, czy potrafi pan zgadnąć, co tak rozpycha mi kieszeń - odezwał się nieoczekiwanie pułkownik.

- Czy to aby nie pistolet? - zaryzykował Henryk.

- Strzał w dziesiątkę! Pan jeszcze daleko zajdzie, byle tylko zdrowie dopisało - pochwalił pułkownik, po czym wyciągnął z kieszeni stalowoszary pistolet i zaczął go obracać w dłoniach.

- To pistolet oficera Armii Czerwonej, stary TT 7,62 mm, słynna „tetetka”, broń szybka o stosunkowo przyzwoitej skuteczności. Kupiłem go od znajomego Rosjanina, byłego oficera, i przywiozłem ze sobą, oczywiście bez licencji i pozwolenia na wwóz broni do kraju. Ale przecież niewidomych nikt nie sprawdza. Przywiozłem go z myślą o mojej kolekcji. Tylko po co ma leżeć w

szafie i zbierać kurz, skoro może się jeszcze do czegoś przydać?

Pułkownik zaczął się rozwodzić na temat danych technicznych pistoletu i opowiadać o rusznikarzu kozackiego regimentu Fiodorze Wasiliewiczu Tokariewie, który go skonstruował, a następnie o udoskonaleniach stawiających ten model ponad brownie. Opowiadając, niedbale obracał pistolet w dłoniach, od czasu do czasu celując w Henryka.

- Do czego pan myślał go wykorzystać? - zapytał Henryk.

- Już panu mówię - odrzekł pułkownik. - Ale proszę mi wybaczyć! Przecież tak nie wolno robić. Nie wolno celować do człowieka, chyba że zamierza się do niego strzelić. Z drugiej strony, ja pana nie widzę, więc nie wiem, czy wycelowałem w pana.

- We mnie również, zdaje się, tak - przyznał Henryk.

- Ależ to niewybaczalne! - wykrzyknął pułkownik. - Mógłby pan podać mnie do sądu za grożenie nielegalną bronią. Co też pan sobie o nas pomyśli? Najpierw pana pocięli nożem, teraz grożą pistoletem!

- Powoli zaczynam się przyzwyczajać - powiedział Henryk.

- Pan ma jaja i poczucie humoru - stwierdził z uznaniem pułkownik. - Jestem przekonany, że potrafiłby pan zachować zimną krew w najgorętszych sytuacjach. To mi się podoba. Dlatego też chciałbym opowiedzieć panu historię, która w pewnym sensie nawiązuje do tego, o czym rozmawialiśmy. Do czego i w jakim sensie, tego nie pamiętam, ale może oświeci nas obu, kiedy już opowiem.

W Gruzji żył kiedyś król, który zupełnie jak ja miał problemy ze wzrokiem. Inna rzecz, że nie widział tylko na jedno oko. Miał ów król na swoim dworze utalentowanego malarza, ale pewnego razu stracił do niego serce. Zaczął bowiem podejrzewać, że artysta romansuje z jego ulubioną żoną. Nie mógł jednak tego dowieść. Oczywiście, nie musiałby wcale tego robić, w końcu był królem. Lecz monarcha uważał się za władcę oświeconego i łagodnego, i nie chciał wykorzystywać przysługującego mu nieograniczonego prawa oskarżania i

skazywania swoich poddanych. Zaczął więc szukać pretekstu, by pozbyć się malarza w bardziej delikatny sposób. „Chcę, abyś namalował mój portret - powiedział artyście. - Na mój obraz i podobieństwo. Ponieważ prawda jest mi droższa ponad wszystko, nie będę tolerował żadnych upiększeń”.

Przerażony artysta pomyślał: No to wdepnąłem w niezły pasztet. Jeżeli pokażę na obrazie jego kalectwo, wykrzyknie: „Jak śmiesz!”, i każe mnie ściąć. Jeśli znów namaluję go z dwojgiem zdrowych oczu, stwierdzi: „To nie jest portret stworzony na mój obraz i podobieństwo” - i skróci mnie o głowę. Jeśli namaluję go tak małego, że oczu nie będzie widać, też się rozgniewa. I nie mogę przecież namalować go podczas snu, z zamkniętymi oczami, ponieważ król musi być czujny i bardzo zajęty - nawet gdy śpi.

Myślał i myślał, ale niczego nie wymyślił. W końcu jednak musiał przystąpić do pracy. Zaczynał malować króla od nóg, twarz zostawiając na koniec, zawsze jednak napotykał ten sam problem: co zrobić z oczami. Termin ukończenia dzieła się zbliżał, a on co rusz musiał zaczynać wszystko od nowa.

Aż wreszcie ulubiona żona króla, przez którą artysta znalazł się w tarapatach, wpadła na genialny pomysł i poleciła swojemu głuchoniememu niewolnikowi, aby przekazał go malarzowi. Ten raz jeszcze przystąpił do malowania podobizny króla, a ponieważ ćwiczył ją już tyle razy, ukończył dzieło raz dwa. Gdy odsłonięto obraz, król był zaskoczony - i zachwycony.

Malarz bowiem przedstawił go podczas polowania, jak składa się do strzału, mierząc w kozicę - ślepe oko miał zamknięte, zdrowe otwarte! Artysta powrócił do łask i król podarował mu swoją ulubioną żonę, sam zaś wziął sobie inną, jeszcze lepszą.

- I jak się panu podoba? - zapytał pułkownik. - W rzeczywistości historia była dużo bardziej skomplikowana, musiałem ją trochę uprościć.

- Bardzo dowcipna - odparł Henryk. - A teraz może pan już odłożyć pistolet. W czasie opowiadania znowu pan nim wywijał.

- Doprawdy? Jestem niepoprawny - stropił się pułkownik. - Już odkładam.

Tak w ogóle, to chciałbym go panu podarować.

Pułkownik chwycił pistolet za lufę i wyciągnął dłoń w stronę Henryka.

- Nie mogę go przyjąć - powiedział Henryk.

- Dlaczego? - zdziwił się pułkownik. - Przecież jest pan oficerem rezerwy.

- Jeszcze nigdy nie potrzebowałem broni - odparł Henryk.

- Ale pewnego dnia może pan potrzebować. Kto wie, może przyjdzie panu wyciągać dziewicę z paszczy smoka. Tym swoim scyzorykiem nic pan wtedy nie zwojuje. Niechże pan weźmie. Proszę się nie krygować. Ja żądam. Nie, ja proszę - powiedział pułkownik i wsunął Henrykowi pistolet w kieszeń kurtki. - Przecież nie może pan odmówić przyjęcia małego souveniru.

- Ależ nie musiał mi pan niczego przywozić - bronił się Henryk.

- Ale chciałem - upierał się pułkownik. - Bo tak wiernie dotrzymywał pan towarzystwa Mavrze.

- Przychodziłem na lekcje, kiedy tylko mogłem. Starłem się być aktywnym uczniem - powiedział Henryk.

- Buzie się wam nie zamykały? Tak trzeba. Aktywność to droga do sukcesu również w nauce języka. Zapewne posunął się pan już daleko?

- Zaledwie liznąłem podstaw.

- Dobre podstawy to już połowa sukcesu - oświadczył pułkownik. - Jeśli dalej będzie pan taki wytrwały, dopnie pan swego.

Przed wyjściem Henryk zapytał jeszcze pułkownika, który odprowadził go do drzwi:

- Wie pan może, panie pułkowniku, czy most na Dri-nie ciągle stoi?

- Pan to lubi zadawać trudne pytania - odparł pułkownik. - Muszę przyznać, że nie wiem. Bardzo to dla pana ważne?

- Tak mi jakoś przyszło do głowy - odpowiedział Henryk. - Ciekaw byłem, czy przetrwał i tę wojnę.

- Zorientuję się - obiecał pułkownik. - Jeśli przyjdzie pan jutro, dam panu odpowiedź. Przy okazji zapoznam pana z niuansami tokariewa. Wyciągnę też

parę naboí. Pójdziemy do lasu i postrzelamy sobie, ile dusza zapragnie!

Na dole Mavra grała w swoim pokoiku partitę Bacha, grała ze szczęścia i z rozpaczý. Henryk słyshał ją, gdy szedł do roweru z kurtką ciężącą mu dziwnie od pistoletu. Ogarnęła go chęć zajrzenia do środka i popatrzenia na jej dłoń, skaczącą po strunach skrzypiec niczym wielki bielinek, ale się rozmyślił. Podglądał już w tym domu dosyć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Z PITRA PO ŻELAZNEJ DRODZE

Następnego dnia przed dom pułkownika zajęchała taksówka Kiljandera i wysiadł z niej Jovan. Maotse był uwiązany na łańcuchu i kiedy Jovan płacił za kurs, wilczur biegał dookoła jak wściekły, wyskakiwał w górę, robił pętle, immelmany i o mały włos udusiłby się własnym łańcuchem.

- Co, zostawili cię samego na podwórzu, stary przyjacielu? - Jovan zagadał do psa i zaczął się z nim droczyć. - Gdzie są wszyscy?

W przedpokoju postawił na podłodze dwie torby, jedną swoją i drugą pułkownika. Przeszedł do salonu w poszukiwaniu domowników, lecz nikogo nie znalazł. Z parteru dobiegał przytłumiony dźwięk skrzypiec. Na dworze czekał rozczarowany Maotse.

- Jest tu kto? - krzyknął Jovan. Muzyka grała coraz głośniejsze. Mavra naśladowała rumuńskiego *Skowronka*. Albo ćwiczy przed koncertem w kawiarni, albo ma migrenę, pomyślał Jovan. Zdjął z pleców przewieszoną na sznurku bałałajkę i zaczął brzdąkać, podśpiewując nosowym głosem *Drogę z Petersburga*. Gdy Mavra go usłyszała, przybiegła ze skrzypcami w rękę i zaczęła grać razem z nim. Jovan śpiewał po fińsku starą rosyjską piosenkę ludową, której nauczył się w drodze powrotnej od pewnego Fina, sprzedawcy mebli:

Z Pitra po żelaznej drodze przez Karelię tłucze się pojazd, do domu, do dziewczeczki mej, hej, heej!

- Co tak hałasujesz, tato? - odezwała się Mavra, gdy skończył, i przytuliła się do Jovana.

- Bo inaczej byś mnie nie usłyszała. Jesteś sama w domu? - zapytał Jovan.

- Tak. Pułkownik ma wychodne - odparła krótko.

- Nie zabrałaś się z nim? A Maotse sam na dworze w taki ziąb? - zdziwił

się Jovan.

- Nie zabrałam się. Chcesz herbaty?

- Dosyć się jej tam opilem - odpowiedział. - Zaparz mi porządnej kawy.

Ja w tym czasie zmyję z siebie petersburski kurz.

Przy stole Jovan obserwował córkę. Mavra cieszyła się z jego powrotu, lecz była trochę zamyślona i czasem się wzdragła, kiedy zaczynał o czymś mówić. Zrobiła się podobna do matki, ona też była piękna i drobna, i równie nieodgadniona. Gdyby odziedziczyła po ojcu chociaż charakter, byłoby im łatwiej się zrozumieć. Spokojnie piła kawę, słowem nie wspominając o pułkowniku, nie wyrażając ani radości, ani zaskoczenia, o niczym nie mówiąc i o nic nie pytając.

Może tak się umówili. Może miała swoje powody, pomyślał Jovan i postanowił o nic jej nie pytać.

- Jeszcze jesteś na mnie zła? - zapytał Mavrę.

- O co? - zdziwiła się.

- No, o tę zabawę z nożem, o cóż by innego? - odpowiedział Jovan, zdumiony jej kiepską pamięcią.

- Wszyscy już o tym zapomnieli - odrzekła Mavra. - Różne rzeczy się zdarzają, jak się ludzie napiją. Henryk powiedział, że to był nieszczęśliwy wypadek, że na chwilę stracił równowagę i sam nadział się na nóż. Powiedział, że nie ciąłeś go rozmyślnie.

- A ty co mówisz?

- Że ciąłeś rozmyślnie - odpowiedziała.

- Masz rację. Głupio zrobiłem. Bardzo tego żałuję.

- Jemu to powiedz.

- Zamierza podać mnie do sądu?

- Zdaje się, że on też o wszystkim zapomniał - powiedziała Mavra.

Jovan pocałował córkę w dłoń. Otworzył swoją torbę.

- Przywiozłem ci te nuty - rzekł. - I rosyjski szal, taki sam, jaki miała

matka. Pamiętasz? Ten, co go pożarł pies Imamovićów? Jest bardzo ciepły, będziesz mogła owijać się nim w zimie.

Mavra zarzuciła na ramiona duży, barwny szal. Wyobraziła sobie, że owija weń dziecko, tak że widać mu tylko małą buzię, nosek, poważne, niebieskie oczka i zakryte smoczkiem usteczka, i ogarnęła ją ochota, aby powiedzieć ojcu, że będzie miała dziecko i że on zostanie dziadkiem. Co za radość! Lecz Jovan, nacieszywszy się, zacząłby ją zaraz odpytywać, bo sam dostał w spadku po przodkach ciężki tobół zasad, zakazów i ponurych podejrzeń, które miast chronić kobiety, tylko je poniżały. Była niemal pewna, że w przerażeniu zrzuciłby na nią cały ten odziedziczony majdan, przysypał ją kamiennymi tablicami dziesięciu przykazań i zakazów, zarzucił niepisanyymi prawami tysiącletnich kodeksów obyczajowych, zalał przelaną w zemście krwią i zakopał pod ciałami ukamienowanych kobiet.

Prawdy nie mogła ojcu wyjawiać, a na kłamstwa nie była jeszcze gotowa.

- Przywiozłem ci też coś takiego - powiedział Jovan i pokazał jej małą, granatową torebkę z dekorowanego perłami jedwabiu. Mavra porzuciła surowe myśli i pocałowała ojca.

- Zobacz, czy ci pasuje do tej sukni - zaproponował Jovan, przetykając ślinę, bo ostatnimi czasy córka nie całowała go zbyt często.

- Bal był wczoraj - powiedziała Mavra i zaczęła oglądać torebkę. Jeszcze nigdy takiej nie miała. Co kobiety w niej noszą? Kosmetyki, pieniądze, długopis i kartkę papieru, chusteczki, tabletki przeciwbólowe, prezerwatywy? Ona trzymałaby w niej pewnie kamerton, kalafonię i rolki zapasowych strun.

- Już był? Że też nie kupiłem jej wcześniej i nie dałem pułkownikowi - zmartwił się Jovan.

- Nie zaprzątaj sobie tym głowy, miałeś tam przecież co innego do roboty - powiedziała Mavra.

- To prawda. Przydałabyś mi się w Petersburgu, szczególnie przez te dwa ostatnie dni, kiedy pułkownik zostawił mnie własnemu losowi. Ale pewnie

musiał jechać, bo bardzo za tobą tęsknił. Zwyczajnie się zmył. Mój rosyjski okazał się za słaby w tej biurokratycznej dżungli. Wszędzie na mnie warczeli, brali mnie tam pewnie za jakiegoś Czeczena. Przetrwiałem dzięki łapówkom. Sto dolarów tutaj, pięćdziesiąt tam. Zupełnie jak u nas w Bośni.

- To ta Dunja nic ci nie pomogła? - zapytała Mavra.

- Jaka Dunja? - zdziwił się Jovan.

- Ta, która niedbale wymawiała „r”. Którą pułkownik wynajął, żeby mu czytała dokumenty w archiwum - przypominała mu Mavra. - Łopuchina? Łochutina?

- Jakąś Dunję pamiętam - rzekł Jovan. - Jedna siostra w szpitalu, przychodziła na nocną zmianę. Usypiała pułkownika, grając mu na skrzypcach.

- W szpitalu? - Mavra była zdumiona.

- Było to oczywiście zabronione, ale wiadomo, pułkownik zawsze postawi na swoim. A za pieniądze w Rosji człowiek może mieć wszystko.

- Ale dlaczego pułkownik był w szpitalu?

- Nie mówił ci? - zdziwił się Jovan.

- Co mi miał mówić?

- A więc ci nie powiedział... - wymruczał zaskoczony Jovan. Nie pojmował zamiarów pułkownika. Oczywiście, mógł mieć swoje powody, lecz z tą tajemniczością posunął się już chyba trochę za daleko.

- Dlaczego nic nie mówisz? - nalegała Mavra.

- To niby nie spostrzegłaś w nim niczego osobliwego, kiedy wrócił? - zapytał Jovan, zastanawiając się, czy wolno mu zdradzić coś, co pułkownik powinien był jej powiedzieć sam.

- Był bardziej zadowolony i rozmowny niż zwykle - zaczęła sobie przypominać Mavra. - Tańczył z Maotse i dał mi w prezencie suknię wieczorową.

- Przyjechał taksówką? - spytał Jovan.

- Wysiadł przy skrzyżowaniu i szedł drogą przez las, zapukał do drzwi i

podał się za Kiwaczka. Zresztą nie pierwszy i nie ostatni raz. Czasem jest okropnie dziecinny.

- Dlaczego zapukał do drzwi?

- Zapomniał kluczy.

- To niemożliwe - powiedział Jovan. - Klucze miał przez cały czas w swojej torbie.

- No, w każdym razie zapukał, a ja mu otworzyłam - stwierdziła Mavra. - Gdy tylko wszedł, powiedział, że wiatr zwał mu kapelusz. Znalazł go następnego dnia Henryk Watra i przyniósł tutaj.

- Harcerzyk przychodził tutaj na lekcje rosyjskiego, kiedy nas nie było? - spytał Jovan.

- Dlaczego miałby nie przychodzić?

W Jovanie zagotowała się krew, ale jakoś się opanował. Już raz w gniewie przeholował. Przeprosił więc córkę, a ona mu wybaczyła. Ale nauczyciela nie przeprosi, dostał to, na co sobie zasłużył. Czy to go jednak czegokolwiek nauczyło? Jovan nabrał ponurych podejrzeń.

- Byłaś sama, gdy pułkownik wrócił do domu? - zapytał ostro.

- A ty co mi zadajesz takie pytania?

Jovan przekręcił twarz Mavry w górę i spojrzał jej surowo w oczy.

- Byłaś sama, gdy pułkownik przyjechał? - zapytał znowu.

Mavra nie spuszczała wzroku i milczała.

- Mavreńko moja, kwiatuszku mój złoty, chyba nie skłamiesz własnemu ojcu? - naciskał Jovan miękko. - Był u ciebie, kiedy pułkownik wrócił, prawda?

- Był - odparła Mavra głuchym głosem.

- I rozbieraliście nie tylko zdania?

- Nie tylko.

Jovan opadł ciężko na krzesło i chwycił się za głowę.

- Nie osądzaj mnie, tato. Ja go kocham.

- Chcesz zostawić pułkownika? - zapytał Jovan.

- Nie wiem.

- Co zamierzasz?

- Nie wiem.

Jovan powoli uniósł rękę i uderzył Mavrę w twarz.

- Na co czekasz, zabij mnie! - krzyknęła Mavra. - Zabij mnie i będzie po kłopotach!

- Trzymaj buzię na kłódkę - powiedział Jovan spokojnym głosem. - Co robiliście, kiedy wrócił pułkownik? - zapytał rzeczowo.

- Żegnaliśmy się. Już wychodził - powiedziała Mavra.

- Zdążył wyjść?

- Zdążyłby, gdyby w porę wyszedł. Został z ciekawości. Z zazdrości. Zobaczyłam go nagle za progiem. Stał cicho i zupełnie bez ruchu.

- I pułkownik go nie zobaczył?

- Pytasz chyba, czy go nie usłyszał?

- Nie, nie o to pytam - odpowiedział Jovan.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

DZIESIĘĆ KROKÓW ŚLADAMI POETY

W starej żwirowni, w której prezes Gropius trudnił się kiedyś rabunkową eksploatacją złóż naturalnych, pułkownik i Henryk strzelali z pistoletów do kanistrów. Wyrobisko przylegało do działki pułkownika, który miał w zwyczaju ćwiczyć tu z pomocą Jovana strzelanie, aby nie wyjść z wprawy. Kanistry stały co dwadzieścia metrów przed wałem piasku, wszystkie były umieszczone na stalowych sprężynach, na których mogły swobodnie się wychylać. W każdym znajdowało się kilka kamieni, które zaczynały dzwonić o blachę po pociągnięciu przyczepionej do kanistra długiej linki. Pułkownik celował na słuch i strzelał. Trafienia słyszał sam, przestrzelenia uderzały zazwyczaj w umieszczone za kanistrami grube płyty. Podobnie jak tarcza do gry w lotki, były one podzielone na dwanaście sektorów godzinowych i przecinające je koncentryczne kręgi. Jovan przez lornetkę odczytywał współrzędne dziury po kuli i jej odległość od środka kanistra, dzięki czemu pułkownik mógł dokonać korekty. Do tego celu służyły mu grabie. Trzymał je trzonkiem do góry, mniej więcej prostopadle do podłoża, i w razie potrzeby przesuwiał je nieznacznie w poziomie, a przyłożoną do trzonka dłoń z pistoletem w pionie.

Pułkownik strzelał do kanistrów z parabellum, do którego kazał sobie dorobić piccioipółcalową lufę znanej fińskiej firmy. Henryk natomiast celował do dużo mniejszych puszek ze swojego nowego tokariewa.

- Jakies fory niewidomemu jednak się należą - stwierdził pułkownik.

Henryk obsługiwał także kanistry i lornetkę. Celność pułkownika była zdumiewająca. Trafiał raz na trzy strzały, podobnie jak Henryk.

- Jak na pracownika placówki oświatowej strzela pan całkiem nieźle, panie Watra - odezwał się pułkownik. - Trafiał pan już trzeci raz.

- Ale sześć razy spudłowałem, a przecież widzę - jęknął Henryk.

- A ja słyszę i kojarzę - rzekł pułkownik.

Kiedy w następnej kolejce Henryk znowu spudłował, pułkownik powiedział:

- Proszę się nie martwić. Trzeba sobie jasno powiedzieć, że tokariew to nie szwajcarski zegarek. Miał służyć nie snajperom, lecz oficerom do likwidowania ludzi z bliskiej odległości. I na pewno służył. Najpierw likwidowano z niego Finów, potem Rosjan.

- W tej kolejności? - zdziwił się Henryk.

- Muszę panu wyznać, że nie przywiozłem go z Rosji - powiedział pułkownik. - Mam go już od kilkadziesiąt lat. Przywiózł go z frontu mój ojciec. Należał do niejakiego pułkownika Gawriłowa, który poległ w walkach pod Kuhmo. Tam pistolet wpadł w ręce ojca, który, jak to się mówi, wziął go na przechowanie. Wszyscy tak wtedy robili. Ale pan się nie gniewa, że nie przywiozłem go panu w prezencie? Zamierzałem coś panu kupić w Petersburgu, ale potem zaczął mnie gonić czas. Więc wczoraj wpadłem na pomysł z tym tokariewem. Pomyślałem, że mimo wszystko potrafi pan docenić ten prezent, w końcu to pistolet ojca i ma dla mnie dużą wartość emocjonalną.

- Oczywiście, że doceniam, ale bardzo proszę, niechże go pan nie wydaje. Proszę go zatrzymać jako pamiątkę po ojcu.

Henryk wyciągnął pistolet z kieszeni i próbował wcisnąć go pułkownikowi w dłoń. Ten jednak nie chciał i siłą wepchnął broń z powrotem do kieszeni Henryka.

- Stało się - powiedział pułkownik. - Prezentu przywiezionego z zagranicy nie można przyjąć z powrotem, choćby był to prezent z samych zaświatów. Może się panu jeszcze przydać. Kto wie, czy nie w najbliższej przyszłości.

- A to niby do czego? - zdziwił się Henryk.

- Mógłby panu służyć jako dodatkowa broń osobista w Bośni - odpowiedział pułkownik.

- Znów mnie pan wysyła do Bośni? - zaśmiał się Henryk.

- Przeczucie mi mówi, że zgłosi się pan jako ochotnik - rzekł pułkownik. - Jest pan stworzony do służby w siłach pokojowych. Ma pan głowę pełną szlachetnych zasad i pewne pojęcie o historii, choć trzeba przyznać, że bardzo teoretyczne. Ma pan talent do języków i liźnął pan nawet trochę rosyjskiego. Ma pan niezbędne przeszkolenie wojskowe, jest pan odważny, by nie powiedzieć zuchwały, a poza tym brakuje panu jasno wytyczonego celu działania i przeżywa pan właśnie głębokie rozczarowanie sobą.

- Skąd to panu przyszło na myśl? - spytał Henryk.

- Nawet ślepy by to zobaczył - odparł pułkownik. - Cóż jeszcze tu pana trzyma?

- Mam psa - odpowiedział Henryk, próbując obrócić wszystko w żart.

- Psa oddał pan swojej byłej żonie - sprostował pułkownik, a Henryk wzdrygnął się, że wie również o tym.

- To rozwiązanie tymczasowe - wymruczał.

- A cóż w życiu człowieka nie jest tymczasowe? - spytał retorycznie pułkownik. - Albo w życiu psa? Nic nie jest szczególnie trwałe, ani szczęście, ani smutek, ani miłość, ani pies, ani nawet most na Drinie. Pańska służba w SFOR też nie będzie wieczna. Pobędzie pan tam jakiś czas, wróci trochę starszy i mądrzejszy, może zobaczy pan nawet na własne oczy ten swój most. Bo muszę panu powiedzieć, że oparł się wojnie i stoi twardo tam, gdzie stał, taką informację dostałem, gdy zadzwoniłem do Camp Jussi w Do-boju. Proszę to przemyśleć. Niech pan sobie ten most weźmie. Niechaj się pan też nie wzbrania przyjąć tego pistoletu i spróbuje raz jeszcze. Widzi pan tę butelkę po koniaku tam, pod słupem elektrycznym? Oczywiście, że pan widzi. Dziwna rzecz, ale znalazłem ją w moim samochodzie, na podłodze za przednim siedzeniem. To był mój ulubiony koniak, Monnet xo. Czułem jego zapach, kiedy jechaliśmy na bal, ale nie miałem pojęcia, skąd się wziął w moim samochodzie. Ja tego koniaku nie wypilem. Mavra też z pewnością nie. Proszę celować w nią.

- A muszę? - spytał Henryk, ociągając się.

- Proszę strzelać bez litości. W końcu butelka jest pusta. Odłamki pozbieramy potem - powiedział pułkownik.

Henryk wycelował niedbale i wystrzelił.

- Nie trafiłem - stwierdził.

- Słyszałem - potwierdził pułkownik. - Spudłował pan. Może skończymy na dziś. Wstąpi pan jeszcze na herbatę? Mavra się ucieszy.

Henrykowi przyszło na myśl, aby wymknąć się niepostrzeżenie ze zwirowni, zostawiwszy pułkownika samego, ale zaraz zawstydził się swoich myśli. Skoro pułkownik chce się z nim bawić w kotka i myszkę, będzie tą myszką do końca. Ale do domu pułkownika już więcej nie pójdzie.

- Niestety, teraz nie mogę - powiedział.

- Mavra chyba się panu nie znudziła? - zapytał zdziwiony pułkownik.

- W żadnym wypadku - zapewnił go Henryk. - Jest wyśmienitą nauczycielką.

- Nieprawdaż? - w głosie pułkownika zabrzmiała duma. - Całkowicie oddana i bardzo sumienna. Poinformowano mnie, że wasze zajęcia lingwistyczne ciągnęły się często całą noc, aż do rana. Nie dowiedziałem się o tym od Mavry, proszę sobie nie myśleć. Söderholm mi o tym powiedział. Nie wiem, jak starowina to wysledził, w końcu sam ledwo widzi. Może wyczytał to ze swoich instrumentów. Ostatecznie mieszka po drugiej stronie drogi. Być może mierzył pańskie promieniowanie korporalne, kiedy pan przychodził i kiedy wychodził, porównał i wyciągnął wnioski. Ja zresztą również. Jak mam to powiedzieć? Wprost czy oględnie? Chyba jednak powiem wprost: doszedłem do wniosku, że ma pan bujny, językowo-erotyczny romans z moją żoną. Chyba nie zerwie go pan tylko dlatego, że wróciłem do domu?

Henryk patrzył na kanistry. Poruszone wiatrem pobrzękiwały głucho, choć były podziurawione jak sita. Otwór wlotowy po kuli w ciele człowieka też wygląda niewinnie, ale wychodząc z drugiej strony, pozostawia paskudne ślady.

- Coś dziwnie pan zamilkł - zauważył pułkownik. - Czy mam przez to

rozumieć, że pan potwierdza? Czy pan zaprzecza?

- Nie zaprzeczam - rzekł Henryk.

- Tak też myślałem - powiedział pułkownik. - Jest pan szczerym człowiekiem. I bardzo sprawnym. Przemieszcza się pan z miejsca na miejsce z taką prędkością, że własny cień za panem nie nadąży. Potrafi pan przychodzić i wychodzić jednocześnie. Nie wychodząc przy tym od mojej żony. Mało kto to potrafi. Ale miłość działa na człowieka twórczo. Bo, jak mniemam, kocha ją pan z całego serca, chce pan jej dla siebie i tak dalej?

- Nie zaprzeczam i tym razem.

- No, a ja jej panu nie oddam. I co my teraz zrobimy?

- Może pozwolimy jej wybrać? - zaproponował Henryk.

- No, nie wiem. Mogłaby wybrać pana - odpowiedział pułkownik.

- Nie sądzę - stwierdził Henryk. - Próbowałem ją przekonać.

- W to nie wątpię - odparł pułkownik. - No to klops. I co dalej? Ma pan jakieś propozycje?

- To może ja z niej zrezygnuję? - zasugerował Henryk.

- Tak byłoby najprościej, lecz mam poważne obawy, że to się panu nie uda - odpowiedział pułkownik. - Z Mavry nie można zrezygnować. Kto jak kto, ale ja wiem coś na ten temat.

Pułkownik podszedł do zwałonej sosny i usiadł na pniu. Pewność jego kroków zdumiała Henryka.

- Niech pan sobie nie myśli, że jest pan pierwszym młodym człowiekiem, na którego Mavra zwróciła uwagę - odezwał się pułkownik. - Było ich kilku. Może sama panu o nich powiedziała. Nie robiłem jej wyrzutów, w końcu dobrze wiem, jak zawikłany jest nasz układ. Mam już swoje lata, a ona dopiero zaczyna rozkwitać, po tym całym piekle, przez które przeszła w Bośni. Zdałem sobie sprawę, że jeżeli będę ją trzymać krótko, przestanie mnie kochać. Ośmielę się bowiem twierdzić, że na początku byliśmy w sobie naprawdę zakochani. To się czuje. Jeśli trudno to panu pojąć, wynika to wyłącznie z młodzieńczego braku

wyobraźni. Liczyłem, że jeśli dam jej swobodę, być może zostanie ze mną i z czasem się uspokoi. I powiem panu jeszcze coś, choć może się panu po tym zrobić niedobrze: nie zakochałem się w Mavrze, dlatego że była młoda i piękna. Nie raz żalowałem, że nie jest starsza. Oczywiście częściej żalowałem, że to ja nie jestem młodszy. Życie z nią było pasmem wzlotów i upadków. W jednej chwili czułem się młodym samcem, w drugiej nikomu niepotrzebnym, odrażającym starcem. Bez stanów pośrednich. To nie była jej wina. Ona tego nie chciała. Nie mam do niej pretensji. Sam siebie dręczyłem i karałem jak biczownik. Wszystkie te rojenia brały się z egocentrycznej nienawiści do samego siebie. Przecież nie wiedziałem nawet, czy wyglądam bardzo staro, bo nie mogłem zobaczyć się w lustrze. Ostatecznie jednak byłem jej bezpieczną przystanią, a ona moją pociechą. Taka obopólna zależność wyczerpuje. Obie strony. Jednak nie zamierzam panu opowiadać o naszym pożyciu małżeńskim. Tyle mogę panu wyjawić - tym bardziej że coś mi mówi, iż więcej się nie zobaczymy - że mam określone niedomagania, zaburzenia i niesprawności. I wynikające z nich problemy natury psychologicznej. Na dodatek coraz częściej wyrzucam sobie, że do tej pory nie zaszła w ciążę. Z czego to wynika, nie powiem, a zresztą sam nie jestem tego całkiem pewny. Dziecko niewątpliwie by ją uspokoiło i wypełniło nasze życie, jej i moje, i nie musielibyśmy już wieszać się na sobie niczym szczone porożem jelenie.

Pułkownik zamilkł i wyciągnął z kieszeni płaską butelkę koniaku.

- O takim bigosie nie da się mówić na sucho. Wywnę-trzam się przed panem jak, nie przymierzając, stary książę Gremin przed Onieginem - powiedział i pociągnął łyk. - Co prawda Gremin się nie skarżył, lecz upajał swoją miłością do Tatiany, stary dureń. Niechże i pan się napije. Niestety, nie mogę pana poczęstować lepszym, bo mojego monneta ktoś wypił.

- To ja go wypilem - przyznał się Henryk i pociągnął z butelki.

- Tak też nieśmiało przypuszczałem - odparł pułkownik.

- Odkupię go panu - powiedział Henryk.

- Pies go drapał - rzekł pułkownik i głęboko westchnął.

W Henryku wezbrało współczucie, zwiększając ciśnienie na wszystkie otwory jego ciała. Chciał powiedzieć pułkownikowi, że wszystko się jeszcze ułoży, bo Mavra spodziewa się dziecka, które ją uspokoi i uwolni z poroża pułkownika, i z jego też, a wtedy zacznie żyć swoim życiem, podobnie jak dziecko, które pułkownik będzie mógł rozpieszczać i kochać bez żadnych ograniczeń, do tego przecież nie musi być ojcem... Lecz współczucie podeszło mu z brzucha do gardła i zablokowało narządy mowy.

- Skoro więc zeszedliśmy na fascynacje Mavry, mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że wykazałem się anielską cierpliwością - stwierdził pułkownik, wsunął sobie butelkę do kieszeni i stanął zupełnie wyprostowany. - Jovan za to od samego początku był dużo bardziej stanowczy. To zasadniczy, bałkański ojciec, małomówny i surowy. To on robił porządek z adoratorami Mavry. Oczywiście nie odbierał im życia. Sami znikali, jeden po drugim, i żaden się tu więcej nie pojawił. Ale pan nie zniknął. Pan jest uparty. Pan jest śmiertelnie zakochany. Przyglądałem się z boku pańskim rozpalonym uczuciom, widziałem, jak mały, ciepły płomyczek rozbuchał się w wielką watrę, w której można by spalić wszystkich nadętych hipokrytów i wszystkie złotousty wiedźmy N. Pan nie może z Mavry zrezygnować. Pan może już nawet próbował, lecz nie udało się panu. I ja to rozumiem. Potrafię się wczuć w pańskie położenie, ba, odczuwam nawet wobec pana odrobinę współczucia. Panu również nie było łatwo. A będzie coraz trudniej. Będziemy ją bowiem ciągnąć obaj, każdy w swoją stronę, póki życia starczy. Będziemy o nią walczyć do ostatniej kropli krwi. A zatem jednemu z nas trzeba ją będzie jak najszybciej utoczyć.

- Osobiście mam już dosyć przykładania pijawek - mruknął Henryk, ale pułkownik go zignorował, bo oto w jego głowie rozbłysła genialna myśl.

- Wiem! Rozwiążmy tę sprawę w pojedynku! Tak robiono za czasów Puszkina. To przecież pana ulubiony poeta. Pójdźmy zatem jego przykładem. Pójdźmy radośnie w ślady wielkiego poety!

- Pan chyba żartuje - powiedział Henryk, czuł jednak, że pułkownik mówi najzupełniej poważnie.

- Rozumiem pańskie zastrzeżenia. Pan nie zgodziłby się nigdy strzelać do niewidomego. To może obaj będziemy strzelać na ślepo? Pan zawiąże sobie oczy moim szalem.

- Chyba się na to nie piszę, z całym szacunkiem - odpowiedział Henryk.

- Czy może zrobimy tak, że będzie pan śpiewał głośno przez dziesięć sekund, abym usłyszał, gdzie pan stoi? Na przykład jakąś harcerską piosenkę. „Jak dobrze nam zdobywać góry i młodą pierśią chłonać wiatr!” I da pan słowo honoru, że się pan nie ruszy. Wtedy odliczymy do dziesięciu i wystrzelimy. Została panu jeszcze jedna kula. To wystarczy. Ja też wyjmę naboje z pistoletu, zostawiając tylko jeden w lufie.

Pułkownik wyciągnął magazynek z parabellum.

- Nie będę strzelał. Ani strzelał, ani śpiewał - oświadczył Henryk ściśniętym z napięcia głosem. Wyciągnął z kieszeni swoją czerwonoarmijną tetetkę i wystrzelił w powietrze.

- Teraz już nie mam ani jednej kuli - powiedział.

- Wobec tego nie widzę innego wyjścia, jak zastrzelić pana na miejscu, tak jak pan tu stoi. No, może trochę dalej. Dam panu fory. Proszę odejść na dziesięć kroków, ja zrobię to samo. Potem strzelam!

Pułkownik postąpił dziesięć kroków i odwrócił się. Henryk ani drgnął.

- Nie słyszałem pańskich kroków - odezwał się pułkownik. - Zakłada pan, że jednak nie trafię. Być może ma pan rację. Ale niewykluczone, że jednak trafię. Zapomniałem panu powiedzieć, że w Petersburgu poddałem się operacji oczu. Przeprowadzono ją w klinice profesora Aleksieja Ku-lygina, który za pieniądze spekulanta Sorosa wyprowadza niewidomych milionerów z mroku na światło. Poszła na to połowa moich oszczędności, ale teraz mam nowe oczy, które wydlubano pewnie z ciepłego jeszcze ciała jakiegoś czeczeńskiego fanatyka świętej wojny. W Rosji potrafią wstawić człowiekowi nowe oczy, ale

nawet w klinice Ku-lygina toalety nie działały tak, jak powinny. Dziwny jest ten świat. Myślę, że jeśli mój organizm nie postanowi ni stąd, ni zowąd odrzucić przeszczepu i nowe gały nie wyskoczą mi zaraz z orbit, mam duże szanse trafić.

Pułkownik uniósł parabellum, przesuwając lufę to na lewo, to na prawo od Henryka. Gdy znieruchomiała, pistolet był wycelowany prosto w Henryka. Po chwili pułkownik opuścił broń.

- Chce pan jeszcze coś powiedzieć? Nie myślę tutaj o mowie obronnej czy przeprosinach. Nie musi się pan usprawiedliwiać, ponieważ całkowicie rozumiem pańskie motywy, przeprosiny natomiast byłyby policzkiem dla wszystkich zainteresowanych, a Mavry w szczególności. Zatem, ma pan jakieś ostatnie życzenie, jakieś słowo na pożegnanie, jakiś przedśmiertny aforyzm dla potomności?

- Gratuluję udanej operacji - powiedział Henryk, myśląc jednocześnie, czy pułkownik widzi z dziesięciu kroków rysy jego pobladłej twarzy, czy tylko niewyraźny zarys postaci.

- Dziękuję - odpowiedział pułkownik. - Nie traci pan zimnej krwi. Nasz niespokojny świat poniesie niepowetowaną stratę, byłby pan bowiem wybornym oficerem sił zbrojnych ONZ! Pamięta pan jeszcze tę historię malarza gruzińskiego króla? Opowiedział mi ją tuż przed operacją profesor Kułygin. Zapamiętałem ją sobie i postanowiłem, że ją panu opowiem, jeśli da mi pan powód. I dał pan. Mam nadzieję, że przyjdzie panu teraz do głowy równie pomysłowy sposób wybrnięcia z tego pasztetu. Pańskie odejście zasmuciłoby mnie nie mniej niż pana.

- Mogę się namyślić? - spytał Henryk.

- Może pan. Daję panu równą minutę. Czas start. Henryk obrócił się plecami do pułkownika. Wsunął ręce do kieszeni i spojrzał na pustą butelkę monneta. Wspomnienie jego smaku aż go zemdliło. Przecież to się nie może tak skończyć, myślał. Czyżby miał umrzeć w tak idiotyczny sposób i do tego jeszcze z tym obrzydliwym posmakiem w ustach? Zawsze sądził, że śmierć

pachnie żelazem.

- Tak mi przyszło do głowy, co będzie z Mavrą, kiedy pana wsadzą do więzienia za morderstwo - odezwał się.

- Dobra myśl - pochwalił pułkownik. - Oczywiście wziąłem to pod uwagę. Pańska śmierć będzie wyglądać jak nieszczęśliwy wypadek. Ostatecznie na strzelnicy też dochodzi czasem do wypadków. Niechcący wystrzeliłem z mojego parabellum, a pan stał akurat na linii strzału. Niestychanie przykra sprawa. Nasłucham się od komisarza Nurmiego, a potem będę sobie wyrzucał tę tragedię do końca życia. Ale nikomu nie przyjdzie do głowy podejrzewać morderstwa i nikt nie ośmieli się nazwać mnie zabójcą. Jestem przecież niewidomym weteranem. Nikt bowiem nie wie, że zoperowano mi oczy i że nie otacza mnie już nieprzenikniony mrok. Nawet Mavra. Pan będzie to wiedział jeszcze przez chwilę. Jovan wie, lecz jego lojalność jest niepodważalna. Proszę się zatem nie martwić o mnie i o Mavrę. Ale próbował pan. Proszę próbować dalej. Niechże się pan nie poddaje. Zostało panu jeszcze pół minuty. Dlaczego odwrócił się pan do mnie plecami?

- Lepiej mi się myśli, kiedy nie muszę się gapić w lufę pańskiego pistoletu - odparł Henryk.

- Już pan wymyślił? - zapytał pułkownik po chwili. - Już.

- Niechże pan powie i mnie, czas się kończy.

- Sam pan widzi - odrzekł Henryk.

- Gdzie? Co? - zdziwił się pułkownik. - Może się pan odwróci i mi powie?

- Właśnie, że się nie odwrócę. Może mi pan strzelić w plecy, jeśli pan chce.

- Nigdy nie strzeliłbym człowiekowi w plecy! - oburzył się pułkownik.

- Oczywiście, że nie - przytaknął mu Henryk. Pułkownika aż zatkało ze zdumienia. Po chwili wybuchnął śmiechem.

- Ależ z pana spryciarz!

- Czy podaruje mi pan teraz swoją ulubioną żonę? - zapytał Henryk.

- Nie podaruję.

- W takim razie odwróć się - powiedział Henryk.

- Jeśli się pan odwróci, będę musiał pana zastrzelić - powiedział pułkownik. - Słowo się rzekło.

- To nie ma większego znaczenia - odrzekł Henryk i odwrócił się. Przez chwilę stali w milczeniu naprzeciw siebie.

- Pan ją naprawdę kocha - rzekł pułkownik.

- Tak jak i pan - odparł Henryk. - Co robimy?

Z lasu na usypisko wybiegła Mavra, krzycząc już z daleka i nieskładnie w trzech językach:

- Przestań! Zostaw go! Jestem w ciąży! Zatrzymała się, żeby zaczerpnąć tchu. Pułkownik zrobił kilka kroków w jej stronę.

- Trafiony, zatopiony?! Czyje dziecko?! - krzyknął. Mavra zbliżyła się do nich wolnym krokiem i stanęła.

- A więc ty widzisz! - powiedziała zdyszana.

- Powiedz mu, czyje to dziecko - zasugerował Henryk, ale Mavra nie słuchała. Podeszła do pułkownika i spojrzała na niego badawczo. Pułkownik odwrócił twarz.

- Pokaż oczy! - zażądała Mavra. - Zdejmij okulary!

- Daj spokój - poprosił ją pułkownik. - Czego chcesz od moich oczu?

- Widzisz mnie? - spytała Mavra.

- Przecież patrzę na ciebie zupełnie innymi oczami. Powiedz, z kim masz to dziecko.

Mavra spojrzała na Henryka, po chwili odwróciła od niego wzrok. Popatrzyła na pułkownika.

- Z tobą.

- Hurra! - wykrzyknął pułkownik, wystrzelił w powietrze i odrzucił pistolet na hałdę piasku. Henryk pokiwał głową, podszedł do zwalonej sosny,

usiadł, rozwiązał sznurowadła i wysypał piasek z butów.

- „Usta prawdy są wieczne, kłamstwo nie trwa dłużej niż życie człowieka” - zacytował pułkownik. - To mi wystarczy. Niech zatem dziecko będzie moje! Uznaję je. Słyszał pan, panie nauczycielu? Tak to się skończyło. Proszę się nie martwić. Może pan pocałować przyszlą matkę.

Mavra stanęła przed Henrykiem, który włożył buty i wstał. Uniosła twarz do pocałunku.

- Nadal mnie kochasz? - spytał Henryk.

- Bardziej niż kiedykolwiek - odparła. Henryk pocałował ją w usta.

Na plac wjechał z impetem biały mercedes pułkownika i zahamował, wzbijając kurz. Zza kierownicy wyskoczył Jovan.

- Łapy precz od mojej córki! - wykrzyknął.

- Jovan, daj spokój - uspokoił go pułkownik. - Powiedziałem, że mogą się pocałować.

- No, jeśli tak...

Mavra podbiegła do ojca i rzuciła mu się z płaczem na szyję.

- Tato! Jestem w ciąży!

Zdumiony Jovan przygarnął córkę i poklepał ją po plecach.

- Eeee... No, moje gratulacje! Czego się mażesz? To ja będę dziadkiem? Nie płacz, Mavra. Życie zawsze zwycięża.

- W życiu każdy dostaje to, na co sobie zasłużył - ogłosił pułkownik. - Czasem niezasłużenie. Przywiozłeś podanie?

- Tak jest - zameldował Jovan i odsunął Mavrę od siebie. Przyniósł z samochodu neseser, stanął przed Henrykiem i uniósł wieko. - Brakuje tylko podpisu pana Watry.

- Gwarantuję panu, że zostanie pan przyjęty do batalionu - powiedział pułkownik. - Jednak nim pan podpisze, proszę to dokładnie przeczytać - zastrzeżenia, zobowiązania i warunki finansowe, nie zapominając o tych wszystkich punktach napisanych drobnym drukiem.

Henryk wyjął z kieszeni długopis. Odczuwał dziwną lekkość. Spojrzał z uśmiechem na Mavrę i podpisał dokumenty. Wziął jedną kopię, zgiął na cztery i schował do kieszeni, po czym ruszył w stronę lasu. Mavra go dogoniła i dalej szli już obok siebie. Jovan nie spuszczał z nich oczu, jego mina zdradzała głęboką troskę.

- Daj im spokój. Nie odmienili chyba jeszcze jakiegoś czasownika. Mam w bagażniku parę butelek szampana. W sam raz do picia.

Gdy pułkownik i Jovan opróżnili ostatnią butelkę niezrównanego szampanskoje igristoje, podnieśli się z pnia sosny i ruszyli ku domowi. Pułkownik wspierał się na Jo-vanie, uparł się bowiem, że szampan poszedł mu w nogi i znów nic nie widzi. Wymyślił za to nowe słowa do piosenki o górach Wyszegradu i teraz go ich nauczy.

Pijemy szampana za Mavre i jej dziecko, radosna nowina spadła na nas zniecka.

Kto jego ojcem jest, nie obchodzi nas, bo co - bo mamy biologię w głębokim poważaniu!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

NIESFORNA MYŚL

Pułkownik siedział na werandzie w czarnych okularach i grzał twarz w wiosennym słońcu. Pod domem stała taksówka. Jovan postawił przy busie dwie torby, Kiljander skinął głową i wsadził je do bagażnika. Jovan podszedł do werandy i stanął przed pułkownikiem.

- No to ja jadę. Jesteś pewny, że nie będę ci potrzebny?

- Całkowicie - odparł pułkownik.

- Mimo że nic nie widzisz?

- Mimo to - odrzekł pułkownik.

- Już dawno chciałem cię o to spytać, więc zrobię to teraz, jeśli się nie obrazisz: czy widziałeś, gdy strzelaliście wtedy w żwirowni, w tamtych najmroczniejszych chwilach? - zapytał Jovan.

- Nie potrafię powiedzieć nic na pewno - odrzekł po chwili pułkownik. - Myślę, że myślałem, że widzę. Może i widziałem. To sprawa bardzo względna. Jest możliwe, że widziałem. Ale mało prawdopodobne. Bardzo prawdopodobne natomiast, że mimo wszystko nie widziałem nic.

- Przez chwilę zamąciłeś mi w głowie - powiedział Jo-van i klepnął pułkownika mocno w ramię.

- Jestem w tym dobry. Tak dobry, że sobie też zamąciłem w głowie. Jovanie, wyświadczyłbyś mi jeszcze ostatnią przysługę? Spójrz na rzekę i powiedz, co widzisz.

- Ano, na brzegu stoi Mavra ze sterczącym brzuchem i gapi się w wodę. Maotse kopie dziurę w piasku.

- Chyba Mavra nie pali tej swojej fajeczki?

- Nie, nie pali.

- Niedługo będę miał dwie pary oczu. Mavrc i dziecko - powiedział

pułkownik.

- Co dwie pary, to nie jedna - przyznał Jovan.

- Lepsza jedna niż wcale - odrzekł pułkownik.

- No, ale ja muszę już jechać. Bośnia czeka. I Kil-jander.

- Nie daj się tam, w Kukavicy. Powiedz im, że jak cię tkną choćby palcem, przyjadę i zrobię z nimi porządek.

- Powiem.

- Jeśli spotkasz przypadkiem kapitana Watrę, pozdrów go ode mnie.

- Pozdrowię. Od razu sobie wtedy pomyślałem, kiedy go tu wyrzuciło w czasie tej wichury, że to porządny gość. I rzeczywiście, zgodził się wstąpić do batalionu bez jednego słowa. I teraz ciągnie to, co ty zacząłeś, a czego nie skończyłeś.

- To prawda. Z drugiej strony, nie miał innego wyjścia.

- Co będzie, jak jego służba dobiegnie końca?

- Za wcześnie, aby o tym myśleć. Może nie wróci. Może na jego oczach eksploduje historia, Boże uchroni. Z drugiej strony, rany odniesione podczas pełnienia misji pokojowej przynoszą wielki honor. Czułbym wobec pana kapitana głęboką wdzięczność i szczerze mu współczuł. Przecież mógł zginąć. Dlaczego by nie? Ale cóż ja wygaduję! Przepraszam. Trzymają się mnie niesforne myśli.

- W końcu człowiek myśli nie wybiera - powiedział Jovan.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

MOST NA DRINIE

Wyszegrad, czerwiec 2Do pani pułkownikowej Mavry Marković-Musk Mavro!

To już ponad rok, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni. Było to tego dnia, gdy przyszedłem do Twojego domu po tej długiej zimie, krótko przed moim wyjazdem do Bośni. Spotkaliśmy się przy bramie. Wychodziłaś właśnie na spacer z Maotse, który zawarczał na mnie, gdy otworzyłem Ci furtkę. Zamieniliśmy ze sobą pięć zdań, ja wypowiedziałem trzy, Ty dwa. Ta nieparzystość wzięła się stąd, że po moim ostatnim zdaniu, które było pytaniem, nie powiedziałaś nic. Zapytałem Cię wtedy, czy jesteś teraz szczęśliwa. Ale Ty nie odpowiedziałaś, tylko wyszłaś na szosę. Odprowadziłem Cię wzrokiem, byłaś już pięknie zaokrąglona.

Być może pułkownik powiedział Ci, dlaczego wtedy przyszedłem, mimo wszystko jednak napiszę o tym, aby sprawa była jasna. Przyszedłem na prośbę pułkownika. Spytał mnie, czy nie zechciałbym dostarczyć listu dla dowódcy batalionu fińskiego w Doboju, i obiecałem mu, że to zrobię. Przyjechałem prosto z ostatniego obozu szkoleniowego, byłem w mundurze z gwiazdkami podporucznika na naramiennikach. Chciałem oczywiście zrobić wrażenie na pułkowniku. I może trochę na Tobie.

Piszę ten list w Wyszegradzie, w małym zajeździe o nazwie „Gostionica Lotika”. Stoi na brzegu Driny, tuż przy moście wybudowanym przez Mehmeda Paszę Sokolovicia, w tym samym miejscu, w którym w książce Ivo Andricia stał hotel wytwornej panny Lotiki, od którego najwyraźniej wziął swoją nazwę.

Jest to mój pierwszy list do Ciebie i spróbuję napisać go „w waszym języku” najlepiej, jak potrafię. Ty mnie z nim zapoznałaś, tutaj uczyłem się go dalej i ćwiczyłem w praktyce. Przydał mi się w mojej pracy w batalionie: po pół

roku nie potrzebowalem już tłumacza do rozmów z tutejszymi mieszkańcami. Nie wiem, ile w mojej mowie i w tym liście jest bośniackiego, a ile serbskiego i chorwackiego. To pewnie moja własna mieszanka, której nie zaaprobowałby żaden bośniacki, serbski czy chorwacki purysta językowy. Wymyśliłem nawet dla niej nazwę: piszę do Ciebie po chorboserbacku.

Napisałem już do Ciebie kilka listów, ale ich nie wysłałem. Podejrzywałem, że dostaną się w ręce pułkownika albo Ty sama mu je przeczytasz, skoro mnie pozwoliłaś wtedy słuchać jego taśm z podróży. Musiałabyś oczywiście mieć poważne podstawy i uzasadniony powód, aby to zrobić, lecz tych nigdy Ci nie brakowało ani w działaniu, ani w zaniechaniu. Nie wiedziałem nawet, czy chcesz utrzymywać ze mną kontakt. Bo od Ciebie także nie dostałem nigdy żadnej wiadomości. Nie powiadomiłaś mnie nawet o narodzinach dziecka. Dowiedziałem się z drugiej ręki. Oczywiście wiedziałem, kiedy mniej więcej ma to nastąpić, lecz dokładna data urodzenia mogłaby dać odpowiedź na pytanie, kto jest jego ojcem. Czy dlatego nic nie napisałaś, bo bałaś się, że mógłbym się domagać przyznania ojcostwa? Jeżeli tak, twoje obawy były bezpodstawne. Nie zrobię tego. Już choćby z tego powodu, że prawo fińskie stanowi, iż jeśli matka uznała za ojca dziecka mężczyznę, który z kolei uznał swoje ojcostwo i zgodził się być ojcem, sprawa jest zamknięta i już żaden inny mężczyzna nie może nic zrobić.

Kim jestem, by się czegokolwiek domagać?

Nie mówiliśmy wiele, ani pułkownik, ani ja, a o Tobie nie rozmawialiśmy wcale. Pułkownik był w czarnych okularach i jak tyle razy wcześniej miałem wrażenie, że przygląda mi się badawczo. Poruszał się swobodnie i pewnie, jak zawsze w domu. Przyniósł z kuchni dwie butelki zimnego piwa, otworzył je i nalał do szklanek, nie potrącając ich i nie rozlewając ani kropelki. Jeden diabeł wie, jak tam jest z tymi jego oczami, co tak naprawdę widzi i jak dobrze. Nie wypytywałem go o to. Na nic by się to zdało - i tak bym mu nie uwierzył, cokolwiek by mi powiedział. Ale przeprowadziłem mały eksperyment.

Przyniosłem ze sobą butelkę drogiego koniaku. Nie dałem mu jej do ręki, lecz zaraz po przyjsciu postawiłem na barku. Powiedziałem, że przyniosłem mu koniak w ramach rekompensaty za jego ulubionego monneta, którego wypilem w dniu, kiedy wrócił z Petersburga. Wyraziłem ubolewanie, że nigdzie w mieście nie można kupić tej marki koniaku, nie powiedziałem jednak, co przyniosłem. Pułkownik rzucił przelotne spojrzenie w stronę barku i powiedział, że nic nie szkodzi, cordon bleu jest równie dobry. Po tych słowach każdy na moim miejscu byłby święcie przekonany, że pułkownik widzi. Ale nie ja. Myślę, że nauczył się po prostu czytać w myślach osób przebywających z nim w jednym pokoju, przynajmniej w tych głośniejszych myślach. A przecież ta butelka dzwoniła mi w myślach z siłą dziewięćdziesięciu decybeli. Jeśli jednak moja teoria jest błędna i pułkownik widzi, w grę musi wchodzić wyłącznie widzenie sporadyczne i zdumiewająco wybiórcze.

Napisałem, że pułkownik nie mówił dużo, ale tylko dlatego że mu na to nie pozwoliłem. Ma się rozumieć, że starym zwyczajem chciałem mi wcisnąć na drogę jakąś umoralniającą historyjkę, ale nie miał kiedy. Zawsze, gdy otwierał usta z miną zapowiadającą dłuższy, pouczający monolog, wchodziłem mu w słowo i zaczynałem mówić swoje. Nasłuchiwałem się tych jego opowieści za wszystkie czasy. Pułkownik nadal w pewnym sensie mnie fascynuje, ale nie jest już dla mnie bohaterskim ojcem, którego należy słuchać, stojąc przed nim na baczność w nabożnym milczeniu.

Po opróżnieniu szklanki wstałem i zacząłem się żegnać. Powiedziałem pułkownikowi, że trochę to zabawne, iż daje mi swój prywatny list do dowódcy mojego batalionu. Pułkownik nie dopatrywał się w tym niczego zabawnego, ostatecznie przesyłanie korespondencji przez żołnierzy to w wojsku rzecz zwyczajna. Powiedziałem mu wtedy, że czytałem kiedyś o pewnym tureckim sułtanie. Miał on w zwyczaju wysyłać swoich wezyrów, którzy popadli u niego w niełaskę, w długą podróż na drugi koniec państwa z zapieczętowanym listem do zarządcy prowincji. Była to dla nich droga przez mękę, dobrze bowiem

wiedzieli, że wiozą w liście wyrok śmierci na siebie samych wraz z rozkazem jego natychmiastowego wykonania. Rozbawiła mnie myśl, że list pułkownika mógłby zawierać taki sam rozkaz.

Również pułkownik był rozbawiony i powiedział mi, że niedawno przeczytał bardzo podobną historię w *Czarnej księdze* Orhana Pamuka. Z tym że tam bohaterem był kat o imieniu Czarny Ómer, któremu sułtan polecił wyruszyć ze Stambułu do fortu Erzurum z listem i rozkazem stracenia jego dowódcy, Abdipaszy. Lecz nie zdążył mi powiedzieć, co było dalej, bo stałem już w drzwiach.

Pułkownik dał mi jeszcze kilka praktycznych rad dotyczących pracy i życia żołnierza ONZ w Bośni, po czym wręczył list, a ja wyszedłem. W drodze na przystanek autobusowy przypomniałem sobie zażenowany, że historię o sułtanie i jego wezyrach zaczerpnąłem nieświadomie z tej samej książki, której bohaterem był rzeczywiście kat, a nie wezyr. A więc i tym razem moja pamięć mnie zawiodła.

A Ciebie już więcej nie widziałem.

Moja służba w Batalionie Skandynawskim dobiegła końca dwa miesiące temu. Niesamowicie szybko ten rok przeleciał. Rozbrajaliśmy miny, patrolowaliśmy ulice, pilnowaliśmy porządku, uspokajaliśmy zaognione sytuacje, zapewnialiśmy swobodny ruch ludności w strefach, wspieraliśmy i chroniliśmy rodziny, które odważyły się wrócić do domów w opanowanych przez swoich wrogów wioskach. Pomagaliśmy im przywracać gospodarstwa do stanu używalności i budować nowe domy w miejsce zburzonych.

Byliśmy pośrednikami w sporach, wysłuchiwalismy skarg i robiliśmy, co w naszej mocy, by poprawić sytuację. Usiłowaliśmy rozbrajać samozwańczych „policjantów”, czasem nawet skutecznie. Gdyby użyć pięknych słów - staraliśmy się usuwać przeszkody na drodze do pokojowego współistnienia narodów. Syzyfowa to praca, przeszkody te bowiem to biurokracja, podejrzliwość, niewiedza, obojętność i paląca nienawiść do innych narodowości

oraz wszelkiej inności w ogóle, a więc wszystko to, co wiecznie stało i wiecznie stać będzie na drodze do postępu i pokoju. Była to praca wyczerpująca i często frustrująca. Czułem jednak, że po raz pierwszy od dawna robię coś pożytecznego. I mimo to, kiedy spytano mnie, czy nie zechciałbym przedłużyć kontraktu na kolejny rok, odmówiłem. Podziękowałem za zaufanie i powiedziałem, że mam inne plany.

Właściciel „Lotiki” jest uprzejmy, lecz trzyma dystans. Jestem przedmiotem domysłów i plotek. Ludzie nie wiedzą, co o mnie myśleć, bo mówię „po ichniemu” całkiem płynnie, ale inaczej niż tutejsi, których język jest bardziej „serbski”. Uważałem, by nie zdradzić, że nauczyłem się języka, pełniąc służbę w oddziałach ONZ w Doboju, lecz ten i ów zdążył już pewnie wylapać w mojej mowie elementy języka mieszkańców środkowej czy północnej Bośni i wyciągnąć z tego własne wnioski.

Dziwisz się może, co robię w Wyszegradzie. Przyjechałem tutaj, by na miejscu zbadać ów imponujący przekrój historii Bośni, który Andrić daje zwłaszcza w *Moście na Drinie*, lecz także w *Konsulach* i innych swoich dziełach. Zajmuje mnie ogólnie historia Twojej ojczyzny, a szczególnie - jej historia w ujęciu Andrić. Gdy będę miał jaśniejszy pogląd na tę sprawę, spróbuję skleić z tego jakiś artykuł. Zbierałem materiały w Trawniku i w Sarajewie. Teraz siedzę tutaj. Ale nie jestem już tak bardzo pewien, czy cokolwiek z tego wyjdzie.

Na jesieni odwiedziłem Twoją wieś. Pojechaliśmy tam dżipem, ja i dwóch moich podwładnych. Kukavica leży w naszej strefie. Zamieszkująca ją społeczność jest spokojna i nie sprawia żadnych kłopotów, zresztą dlaczego miałoby być inaczej, skoro została całkowicie oczyszczona z Muzułmanów, choć bynajmniej nie dlatego że przysparzali komukolwiek problemów, lecz wyłącznie z tej przyczyny, że byli Muzułmanami. Świadectwem ich odejścia są liczne zgliszczą domostw. Wróciło tylko kilka chorwackich rodzin. Zatrzymaliśmy się w wiejskiej knajpie, którą prowadzi niejaki Milan. Okazało

się, że to znajomy Twojego ojca. Ciebie też pamiętał. Powiedziałem mu, że mieszkasz w Finlandii i jesteś żoną pułkownika. Powiedziałbym mu również, że zostałaś matką, ale wówczas jeszcze tego nie wiedziałem. Jednak Milan, o dziwo, wiedział. Podziękowałem mu za informację i zapytałem, czy nie widział ostatnio Twojego ojca i czy]ovan mieszka w swoim dawnym domu. Na to pytanie jednak nie chciał odpowiedzieć, zmienił temat rozmowy, kazał Ci przekazać pozdrowienia i powiedział, że bardzo się cieszy, że jesteś szczęśliwa.

Zapytałem Milana, czy zna Pavlego z sąsiedniej wioski, tego, który chodził z Tobą do tej samej klasy w szkole, potem przeniósł się do Zenicy, a po wybuchu wojny przyłączył się do jakiegoś serbskiego oddziału. Tylko tyle o nim zapamiętałem, poza tym, co miało związek z Tobą i czego oczywiście nie mogłem mu powiedzieć. Milan odrzekł wymijająco, że chłopaków o imieniu Pavle było w okolicy wielu, ale gdy spojrzał przelotnie na mój karabin, z jego oczu wyczytałem, że wie, o którego mi chodzi. Podziękowałem mu również za tę informację. Gdy odprowadzał mnie do drzwi, szepnął mi do ucha, że zna jednego Pav-lego, który mógłby pasować do podanego przeze mnie opisu. Zapytałem, gdzie mogę go spotkać. „Nigdzie - odpowiedział. - Chyba że na cmentarzu”. Ten Pavle zginął w walkach o Jajce tuż przed podpisaniem porozumienia pokojowego w Dayton.

Nie zdjąłem beretu.

Pojechaliśmy do Waszego domu. Stał nienaruszony. Mieszka w nim rodzina serbskich uciekinierów z Krajiny. Mężczyzna bardzo się zdenerwował, gdy zobaczył trzech uzbrojonych Finów, a kiedy spytałem o poprzedniego właściciela, myślałem, że zemdleje. Zaczął się zaklinać, że płaci mu czynsz za pośrednictwem banku. Spytałem o imię właściciela, lecz go nie znał. Podobno nikt mu nie powiedział. Spytałem, czy właścicielem może być }ovan Marković. Serb odpowiedział, że nazwisko brzmi znajomo. Kiedy podziękowałem mu za informacje i pożegnałem się, błądy i spocony osunął się na stojące pod drzewem krzesło.

Na podwórzu stał zmierzwiony, smutny konik bośniacki. Pomyślałem, że to na pewno ostatni konik Twojego ojca.

A zatem Jovan nie mieszka w swoim dawnym domu w Kukavicy. I wcale mnie to nie dziwi, bo wiem, jak się tam do Was odnoszono. Gdzie mieszka, nie wiem. Najprawdopodobniej pieniędzy z wynajmu domu nawet na oczy nie widział. Ty oczywiście znasz jego adres. Powiedz mu, że chętnie się z nim spotkam. Jestem przekonany, że odsłoniłby przede mną kilka tajemnic owej legendarnej serbskiej duszy, bo sam nijak nie mogę się w niej połapać. Może ów mityczny twór istnieje wyłącznie w głowach samych Serbów?

W Wyszegradzie panuje ciężka atmosfera wzajemnej podejrzliwości. Ludzie na siłę próbują zapomnieć o okrucieństwach ostatniej wojny i właśnie dlatego nie mogą przestać o nich myśleć. Ani ci, którzy brali w nich udział, ani ci, którzy patrzyli na nie przez palce, ani nawet ci, którzy w przerażeniu zamykali się w domach i zatykali uszy. Z ulic, podwórzy i mostu zmyto rozlaną krew. Lecz w powietrzu wisi jakiś smog nieczystego sumienia. Wielu usiłuje stłumić ów wewnętrzny krzyk agresją, zasadność postępowania ich rodaków zdaje się nie budzić w nich najmniejszych wątpliwości. Wszystkie dokonane przez nich rzezie uznają za działanie w obronie własnej, mające przeszkodzić wrogowi w urzeczywistnieniu jego morderczych zamiarów. Nawet niewinne pytania dotyczące najnowszej historii ich kraju odbierają bardzo osobiście i zaraz zaczynają się napastliwie tłumaczyć. A ja nie zdążyłem jeszcze poruszyć tej najdrażliwszej kwestii: Gdzie się podziiali wszyscy tutejsi Muzułmanie? Stanowili przecież w Wyszegradzie wyraźną większość. Nie zapytałem, bo znam odpowiedź. Nie zapytałem, mimo że ją znam. Bo wiem, gdzie zniknęli.

Miejscowi podejrzewają, że jestem jakimś agentem NATO, że przyjechałem tu węszyć. Wielu uważa, że za dużo pytam, choć moje pytania dotyczą wyłącznie pisarza An-dricia, postaci i miejsc z jego książki i życia w Wyszegradzie w dawnych czasach. Myślę, że podejrzewają, iż przyjechałem szukać zbrodniarzy wojennych.

Także tutaj nie trzeba by ich długo szukać. Francuscy i niemieccy żołnierze ONZ aresztowali w połowie zeszłego roku Mitara Vasiljevicia, którego Międzynarodowy Trybunał ONZ w Hadze oskarża o masowe mordy ludności muzułmańskiej, tortury i gwałty w Wyszegradzie i okolicach. Vasiljević należał do paramilitarnej grupy „Białych orłów”, która zemściła się za dawne zbrodnie Turków, zamykając w meczecie mężczyzn, kobiety i dzieci i paląc ich żywcem. Poszukiwanego Vasiljevicia zidentyfikował sam komendant tutejszej policji, Lęka Savić, który dziwnym zbiegiem okoliczności był nauczycielem historii w liceum Gazi Husrev-Beja. Jak twierdzą świadkowie, z własnej nieprzymuszonej woli wybierał spośród więzionych cywilów swoich dawnych uczniów oraz kolegów i koleżanki po fachu, a następnie przekazywał „Orłom” tych, których uznał za „podejrzanych Muzułmanów”. Rozstrzeliwano ich potem w jarach lub wysyłano do obozów koncentracyjnych. Na razie komendantowi nie postawiono żadnych zarzutów, poza tym, że niezbyt gorliwie przykłada się do poszukiwań Milana Lukicia, założyciela „Białych orłów”, którego oskarża się o zamordowanie ponad czterystu Muzułmanów i jednego Serba. Komendant twierdzi, że Lukić zbiegł do Czarnogóry, lecz chodzą słuchy, jakoby ukrywał się w okolicznych górach, jak niegdyś hajducy. Jeszcze do niedawna mieszkał sobie spokojnie w Wyszegradzie, lecz gdy wyznaczono cenę za jego głowę, natychmiast gdzieś się ulotnił.

I to jest to miasto, które chciałem zobaczyć, odkąd otworzyłem książkę Andricia, gdy czekałem na Ciebie w Twoim pokoiku! Więc widzę je teraz, to kulawe, półślepe miasto paranoicznych upiorów, które miecz Stefana Duszana rozciął na zawsze na dwoje.

Po raz pierwszy przyjechałem do Finlandii na urlop ubiegłego lata. Kiljander przywiózł mnie z miasta do domu. Próbowałem oględnie wypytać go o Ciebie i pułkownika, lecz Kiljander, jak to Kiljander, niewiele się odzywał. Tym razem poprosiłem go, by nie zjeżdżał na starą szosę. Kiwnął tylko głową z taką miną, jakby wiedział to od początku. Po załatwieniu najpilniejszych spraw

związanych z domem opuściłem N. Nie chciałem nikogo widzieć.

Gdy przyjechałem znowu, była już jesień. Zobaczyłem Cię na ryneczku, pchałaś wózek i co jakiś czas zatrzymywałaś się i mówiłaś coś do dziecka. Stałem tak daleko, że nie widziałem nawet czubka jego noska. Jakże chciałem podbiec do Ciebie, wziąć Cię w ramiona i przywitać się z maleństwem. Jakże chciałem podbiec do maleństwa, wziąć je w ramiona i przywitać się z Tobą. Lecz szedł obok Ciebie pułkownik, dumny i blady. Poszliście dalej, a ja bardziej niż kiedykolwiek poczułem, że nie jestem już Wam potrzebny. Trwaliście hermetycznie zamknięci w swojej symbiozie, nieprzyzwoicie obojętni na świat zewnętrzny.

Dalszy ciąg tego listu piszę na moście na Drinie, oparty o szeroką, kamienną balustradę. Od czasu do czasu pociągam z butelki łyk rakii. Przechodnie patrzą na mnie podejrzliwie, jakby przeczuwali, co zamierzam napisać. A zamierzam napisać właśnie o tym moście, o tym, co się na nim wydarzyło niespełna dziesięć lat temu. Jak uzbrojeni Serbowie, którym uderzył do głowy alkohol, krew, adrenalina, testosteron i grzeszna żądza narodowej zemsty, których dzika chuć doprowadziła do stanu religijnej ekstazy, zaczęli męczyć i zabijać setki Muzułmanów, gwałcić kobiety i dziewczęta, przerzucać ofiary przez balustradę i strzelać dla rozrywki do tych, którzy przeżyli upadek w wody rzeki. Jak to właśnie ten most wybrano na miejsce kaźni w swoistym hołdzie Ivo Andricowi, który w swojej książce opisał okrucieństwa Turków od rozpoczęcia budowy mostu aż po kres ich panowania, gdy kraj podbili Austriacy. Jak na tym moście krwią chciano zmyć wytoczoną przez stulecia krew. Jak mroczne, historyczne mity, jak zrodzony z nieświadomości lęk i wyrosła z umysłowej ociężałości niewiedza, jak czerpiąca ze skąpstwa zazdrość i poczęta w nędzy zemsta oraz manipulująca nimi zimna, wyrachowana polityka doprowadziły do masakry niewinnych, wypędzenia ocalałych i zrównania z ziemią starej kultury, zanieczyszczenia wód i ziemi, zatrucia powietrza i umysłów, przygotowując grunt pod kolejne rzezie, które przyjdą w swoim

czasie, gdy rozerwą się kokony zasklepionej nienawiści i żądy zemsty.

Na Boga Mojżesza i Mahometa! Jakżeż ja mam już dość tego domu wariatów! Patrzcie sobie krzywo, nie spuszczać ze mnie oczu, mruć pod nosem te swoje groźby! Aż mnie skreca, żeby wam przeczytać, co napisałem, wskoczyć na balustradę i wykrzyknąć na całe gardło: Ivo Andrić umarł po raz drugi w grobie z powodu waszych czynów, umarł ze wstydu, widząc waszą głupotę i wasze szaleństwo, umarł za grzechy swojego narodu, za grzechy wszystkich narodów! I nie wstąpił do nieba, lecz zapadł się w najgłębsze czeluście ziemi, w nicość, aby nie słyszeć już więcej waszych czczych przechwałek, bo nie chce mieć już z waszym narodem nic wspólnego!

To chciałbym im wykrzyknąć. Jak wtedy, zepchnęliby mnie z balustrady do rzeki i poczęstowali ołowiem!

Spadając, wybuchnąłbym czerwonym śmiechem i wezwał na pomoc Czarnego Araba!

Jeśli się nie uspokoję, źle ze mną będzie.

Chyba byłem pijany, kiedy to pisałem. Ale swoich słów nie wymażę. Nic by to nie dało. Wymazałbym te zbrodnie, gdyby to było możliwe. Boli mnie głowa, a knajpa jest jeszcze zamknięta. Podobno do hotelu przyprowadzili mnie policjanci i bardzo byli na mnie źli, bo wrzeszczałem i wymyślałem na przechodniów w jakimś obcym języku. Powiedział mi to wszystko, śmiejąc się, gostionićar, który nagle zaczął się do mnie odnosić nieco przyjaźniej. Najwyraźniej nikt nie przeczytał mojego listu. Znalazłem go w kieszeni, był cały pognieciony. Za chwilę włożę go do koperty i wyślę Tobie. Nie mam żadnej gwarancji, że do Ciebie dotrze, więc może poproszę Niemców z NATO, aby nadali go swoją pocztą.

Nie opowiedziałem Ci o drugiej stronie medalu. Dwa lata temu w Tuzli miejscowa inteligencja muzułmańska doszła do wniosku, że Andrić był serbskim nacjonalistą o skrajnie antymuzułmańskich poglądach. Podobno w swoich książkach szkalował Turków i Bośniaków, zwałając na nich całą winę za

wszelkie zło, za wszystkie okropności i barbarzyństwa, podczas gdy chrześcijan, a zwłaszcza ortodoksyjnych Serbów, upiększał i idealizował. Nawet żydzi w jego książkach są sympatyczniejsi od muzułmanów. Członkowie światłej rady uznali, że Andrić podzegał do serbskiego nacjonalizmu. Niejaki Murat Sabanović wziął sobie ten werdykt tak bardzo do serca, że rzucił się z młotkiem na pomnik Andricia i odrąbał mu nos. W Sarajewie pomnik Andricia skrócono o głowę. Muhidin Pasić, przewodniczący stowarzyszenia kulturalnego „Odrodzenie”, chlapanął w prasie, że gdyby Andrić żył, należałoby się na serio zastanowić nad jego odpowiedzialnością za zbrodnie przeciwko muzułmańskiej ludności Bośni.

Tak traktuje się tutaj noblistę! Jedni dopuszczają się w jego imieniu zbrodni, a drudzy w imieniu ofiar chcą go pociągnąć do odpowiedzialności, powołując się na jego książki. A wszyscy odczytują nieszczęśnika jak diabeł Pismo Święte. A ja? Jak ja go odczytuję? Po co w ogóle go czytam? Czytam i do tego jeszcze przyglądam mu się, zgrywając mądrego, który próbuje zobaczyć jednocześnie obie strony medalu? Co on mnie obchodzi? Co ja tutaj robię, w tym kraju, gdzie wojna opisana w książce potrafi dać początek prawdziwej, krwawej wojnie domowej, czystkom etnicznym i nieopisanym cierpieniom zarówno tych, którzy książkę czytali, jak i tych, którzy jej nie znają?

Znów nie wysłałem dziś tego listu. Ale może wcale nie o to chodzi. W każdym razie napisałem go. Może kiedyś ktoś w dalekim wszechświecie, po wielu latach świetlnych zobaczy go i ubawiony przeczyta ukochanej osobie.

Jest wieczór i znów mogę jasno myśleć. Za dnia do mojego stolika w kawiarni podkradł się jakiś mężczyzna i wyszeptał mi do ucha, że wie, gdzie ukrywa się Milan Lukić! Na szczęście nie od razu zrozumiałem, o kogo chodzi, i mogłem zupełnie naturalnie odpowiedzieć, że nie znam człowieka. Nauczyłem się tutaj ostrożności. Mężczyzna zniknął równie szybko, jak się pojawił. Czy ktoś chciał mi zrobić kawał? Czy też poddano mnie jakiejś próbie? Popijałem piwo i starałem się dociec, kto mógł go do mnie przysłać. Komendant policji,

liderzy serbskiej partii demokratycznej, może sam Milan Lukić? A może zaczynam popadać w obłąd? W tym mieście nie byłoby to wcale dziwne. A jeśli ów człowiek z kawiarni naprawdę marzy o nagrodzie obiecanej za pomoc w schwytaniu Lukicia i rzeczywiście zna jego kryjówkę? Miałbym jeszcze zostać łowcą głów? Cholera, zrobiłbym wszystko, byle tylko ten morderca zasiadł w Hadze obok Vasiljevicia i Miloševicia. Najchętniej własnoręcznie bym go powiesił. Pociągnąłbym za sznur, myśląc o Tobie.

Przeczytałem tu dla zabicia czasu dysertację Andrića pod tytułem *Wpływ panowania tureckiego na rozwój życia duchowego w Bośni*. Muszę przyznać, że porządnie zamąciła mi w głowie. Doprawdy nie wiem już, co o nim myśleć. W młodości musiał być z niego rzeczywiście kawał serbskiego nacjonalisty. W jego stroniczej i jednoznacznej ocenie zacofanie Bośni było skutkiem wpływów tureckich i muzułmańskich. W serbskości zaś widział swoisty konglomerat wyznania i rasy, przeciwwagę dla muzułmańskiego Orientu. Muszę przyznać, że głęboko się rozczarowałem. Ale jako historyk potrafię to znieść. Nie przyjechałem tu chwalić Cezara. Jednak nie przybyłem tu też po to, aby go pogrzebać. Musiałem zatem szukać złotego środka. Mniejsza z tym! Cała naprzód! Może po przeczytaniu tej dysertacji potrafię być względem niego bardziej obiektywny. Poza tym obstaję przy twierdzeniu, że Andrić w swoich dziełach nie szkaluje, nie dyskryminuje ani nie demonizuje żadnej grupy etnicznej ani religii. Twierdzę, że wszystkie postaci z jego książek - Turcy, nawróceni na islam Bośniacy, Serbowie, Chorwaci, Żydzi, Cyganie czy obywatele krajów zachodnich - są ludźmi z krwi i kości, i jako tacy są sobie równi w czynieniu i zła, i dobra. Andrić był cholernie dobrym pisarzem.

Uwielbiam jego książki. Myślę, że badaczowi wolno uwielbiać przedmiot swych badań, byle tylko miał oczy szeroko otwarte i nie przestawał trzeźwo myśleć.

Posłuchaj, co mówi ów pisarz, któremu zwymyślano od serbskich nacjonalistów:

„Boimy się, że coś się wydarzy, ale mamy nadzieję, że się nie wydarzy, i między tym strachem i nadzieją mieści się więcej, niż potrafimy sobie wyobrazić. Czasem balansujemy w ponurym mroku na tej wąskiej, ostrej krawędzi przez całe życie”.

Powiedz mi, moja droga, powiedz, czy człowiek, który napisał takie słowa, mógłby sobie życzyć zagłady jakiegokolwiek narodu?

Twój syn ma teraz jedenaście miesięcy, śmieje się i śpiewa, pędzi gdzieś na czworakach, stawia pierwsze kroki i ma nawet imię, którego nie znam. Czy ma duże uszy o długich płatkach? Czy pułkownik go zarejestrował swoim wybiórczym zmysłem wzroku? Jeśli tak, czy dostrzega w chłopcu - poza Twoim odbiciem - siebie czy mnie? Zapomniałem go o to zapytać.

Czy karmisz jeszcze piersią? Ze zdumieniem złapałem się kiedyś w Bośni na tym, że przyglądam się w parku niemowlętom w wózkach i siedzącym na ławkach karmiącym matkom. Mam nadzieję, że nie wzięły mi tego za złe.

Wiesz, że Myszka też ma dziecko? Urodziło się w tym samym czasie, co Twój syn. Myszka mieszka w moim domu, który teraz należy do niej. Sprzedałem go jej, będzie go spłacać w formie czynszu. Mieszka tam z dzieckiem i swoją matką. Jej mąż nie wprowadził się z nimi. Nie pasował do tego równania. Rozwiedli się. Bywa i tak.

Bądźcie zatem szczęśliwi, Ty, pułkownik i dziecko. Trzymajcie się tego szczęścia kurczowo. To bardzo rzadki ptak na naszej planecie. Widziałem tu tyle nieszczęścia, żalu i nienawiści, że płaczę już nawet na amerykańskich filmach.

Powiedz pułkownikowi, że bardzo mnie kusilo, aby otworzyć ten jego list do dowódcy batalionu. Ale nie zrobiłem tego. Dziś zrobiłbym to bez zastanowienia. Orient uczy. Nie byłem przecież oficjalnym kurierem wojskowym. Teraz się cieszę, że go nie otworzyłem. Tuż przed końcem służby w Bośni dowódca przekazał mi treść owego listu w dotyczącej mnie części. Pułkownik gorąco mu mnie polecał, chwalał za energiczność, stanowczość, upór i pomysłowość. Pisał też, że jestem odważny, a w niektórych sytuacjach

posuwam się nawet do szaleńczej zuchwałości, o czym pułkownik mógł się przekonać w bezpośrednim ze mną kontakcie. Zalecał komendantowi bez skrępowań tłumić we mnie wszelkie przejawy podobnej brawury.

Podziękuj pułkownikowi za te przyjacielskie słowa i przekaz mu, że podziwiam w nim genialnego taktyka i stratega. Powiedz mu, że jego plan powiódł się nadszpiewanie dobrze. Powiedz mu przede wszystkim, że dopiero tutaj zrozumiałem, iż w ogóle miał jakiś plan. Być może nie od samego początku, być może ów plan dojrzewał stopniowo, ostatecznie jednak to pułkownik w pewnym momencie ujął go w ścisłe ramy realizacji, której dopilnował do końca. Powiedz mu, że nie mam do niego o to żalu, podobnie jak nie gniewam się za to, że niemal przemocą zwerbował mnie do sił zbrojnych ONZ. Niewykluczone, że sam bym do nich wstąpił. Szkoła zdążyła mnie już śmiertelnie znudzić, a nasze miasto zaczęło być dla mnie za ciasne. W naszej trójce było o jedną osobę za dużo. Niechaj dziecko zajmie moje miejsce.

Ale Twoje dziecko, Twojego małego watre-muska-markovicia, chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć.

Na wieki Twój kapitan Henryk Watra, historyk

ZRODŁA CYTATÓW

Fragment o zniszczeniu Ar-Moab i Kir-Moab - Biblia Tysiąclecia, Iz 15,1
Przepowiednia Rafu Pardo w wykonaniu pułkownika na podstawie Iz 15,1-9
(BT) Francesco Petrarca, *Sonet 132*, przeł. Agnieszka Kuciak, Kraków 2002
Aleksander Puszkina, *Ja was Ijubił*, przeł. Julian Tuwim i fragmenty *Eugeniusza Oniegina*, przeł. Adam Ważyk Ivo Andrić, *Most na Drinie*, przeł. Halina Kalita